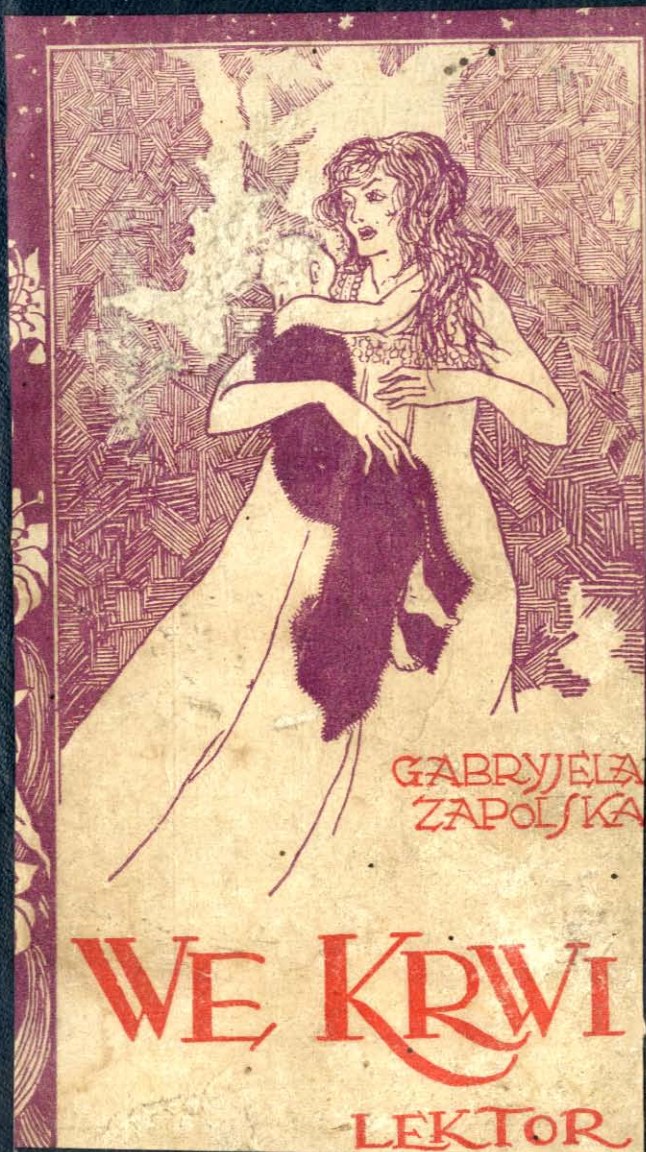




GABRYELA
ZAPOLSKA

W KRWI

LEKTOR

W=70.

WE KRWI

DZIEŁA GABRIELI ZAPOLSKIEJ
WYDANE PRZEZ „LEKTOR“ INSTYTUT LITERACKI.

A gdy w głąb duszy wnikiemy
Antysemitnik
Córka Tuśki
Fin de siecle'istka
Jak tęcza
Janka
Kaśka Karjatyda
Kobieta bez skazy
Małaszka
Menażerja ludzka
Modlitwa Pańska
O czem się nie mówi
Policmajster Tagiejew
Pani Dulska przed Sądem
Przedpiekle
Przez moje okno
Rajski ptak
Sezonowa miłość
Śmierć Felicjana Dulskiego
Staśka
Szaleństwo
Szmat życia
We Krwi
Wodzirej
Zaszumi las (2 tomy)
Z pamiętników młodej mężatki
Znak zapytania

M. Gaborowska
GABRIELA ZAPOLSKA *492 13*

WE KRWI

(-)
POWIEŚĆ



99022
WYDAŁ ODDZIAŁ KRAKOWSKI

Instytutu Literackiego „Lektor” Sp. z o. o.
Kraków — Lwów — Warszawa — Poznań — Lublin.
1923.



SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:

„Lektor“, Mikołaja 23.
(Dom własny) Tel. 525.

W WARSZAWIE:

„Lektor“, Sienkiewicza 5.
Tel. 253-99.

W POZNANIU:

„Lektor“, Ratajczaka 23.
Tel. 39-23.

W KRAKOWIE:

„Lektor“, Rynek Gł. 22.

W LUBLINIE:

„Lektor“, Szopena 6.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145760



W/162/03

I.

Gwałtowne szarpnięcie dzwonka zbudziło Stefanję.
Porwała się ze snu, zsiniała od chłodu.

Ktoś gwałtownie bił pięściami we drzwi wchodowe.

Wyskoczyła z łóżka i dziecięcymi rękami narzuciła na siebie włóczkową spódniczkę.

—Zaraz! zaraz!—wołała w stronę przedpokoju.

Z po za kratki łóżeczka podniosła się mała, jasna główka, ozłocona nagle w świetle porannem.

—Mamusia idzie?

Kobieta znalazła wreszcie spódnicę i, płacząc sznurki, zarzucała ją na długą, nocną koszulę, która jej szerokimi fałdami na boscie stopy spadała.

—Śpij! synku! śpij, Dziudku!

Lecz drzwi wstrząsane silną pięścią dudniły jak dno pustej beczki.

Dzwonek znów zajęczał przeraźliwie.

—Idę! idę!—wołała Stefanja.

Przechodząc mimo łóżeczka nasunęła na tors dziecka kołderkę.

—Śpij, Dziudku!... to tatuś powraca.

Chłopczyk brwi zsunął i piąstki do buzi przytulił.

—Mamusiu!—wyjąkał cichutko, lecz już biała koszula mignęła we drzwiach i Stefanja boso do drzwi dopadła.

Odsunęła rygiel i cofnęła się, przytrzymując na zapadłych piersiach duży kraciasty szal, który, biegnąc przez jadalnię, z krzesła porwała.

We drzwiach teraz, w ciemnej głębi schodowej klatki, stał wielki rozrostły mężczyzna w kożuchu, nadzianym na bieliznę, bosi i z wielką czapką na silnie poczochranych włosach. Mężczyzna ten trzymał na ręku, tak, jak się trzyma kilkoletnie dziecko, porządnie odzianego człowieka, którego rozpięte palto miało obszarpany kołnierz, a cała odzież poplamiona była rozlanym płynem. —Błada, niemal żółta twarz tego człowieka, jak trupia, odbijała przy ciemnoczerwonej cerze stróża. Jedynie tylko na policzkach dwie niewielkie centki, jakby oparzonej skóry, znaczyły się silnie, przechodząc w sine podkowki, okrążające nawpół przy-

mknięte oczy.

Stefanja chwyciła się oburącz za głowę.

— Jezu! — wyjąknęła — znowu!

Stróż wszedł do przedpokoju.

— A jakże! — odparł ochryplym głosem — pod bramą samą to jeszcze stał, ale jak go kompani odeszły, a on bez próg przelazł, tak grypsnął mi odrazu pod nogi. Podjonem go i niose, bo nie chciałem dyshonoru na takiego pana dla ludzi! Ciężki, bo ciężki.

Śmiał się teraz, patrząc w nieprzytomną twarz pijaka, i zakotywał go lekko na rękach.

— Jak to se śpi, a o Bożym świecie nie wie.

Stefanja zwróciła się ku głębi mieszkania.

— Jeśliście łaskawi, to zanieście pana do saloniku.

Polóżcie go na sofie.

Otworzyła drzwi i wprowadziła stróża do małego pokoiku, w którym oprócz sofy, stołu i kilku krzeseł, nic nie było.

Stróż ułożył śpiącego na sofie i stanął, ocierając czoło.

— Pójdę do bramy.

Lecz nie odchodził, czekając widocznie na datek za oddaną przysługę.

Stefanja zrozumiała to nieme przymówienie się.

— Mój Wawrzonie, dziękuję wam tymczasem. Ześlę wam przez dziewczynę szóstkę.

— O! nie spieszno! — odparł stróż, kierując się ku wejściu.

Jeszcze od proga na uśpionego spojrział.

— A to ci śpi, jak roczne dziecko! — wyrzekł, krztusząc się ze śmiechu.

Lecz w tej chwili źrenice pijanego rozwarły się z wysiłkiem.

— Kawy!... — wybełkotał, a z kącików ust ślina mu płynąć zaczęła — kawy dla mnie... i... dla moich przyjaciół!

Stefanja rękę ku stróżowi skierowała:

— Wyjdźcie!... proszę!...

Chłop wyszedł, trzaskając silnie drzwiami.

Stefanja oparła się chwilę o ścianę i przymknęła oczy jakby chcąc nabrać oddechu i siły do przebycia ciężkiej chwili.

Szary świt jesienny stopniowo ustępował przed niepewnym blaskiem dnia dżdżystego i jakby przygniecionego rozsypanym w powietrzu miałem ołowiu. Przez okno przysłonięte muślinową firanką, szare rozwlóczyły się cienie. Po

kątach meble jeszcze w mrok zupełny spowite, występowały gdzieś lśnąciami konturami.

Siedzący na sofie mężczyzna podnieść się usiłował, opierając o stół obiema rękami. Lecz — kłapa przeważała i ciężka masa drzewa opadła mu na kolana.

— Cóż u stu diabłów! — krzyknął, silnie otwierając usta — teraz meble popsulaś! stół złamałaś? Ty... podła!

Drżącą pięść w stronę żony wyciągnął.

— Zrujnowałaś mnie do szczeru i teraz dalej rujnujesz? Czekaj, ja cię nauczę!

Żnów podnieść się usiłował, ale napróżno. Ślina mu wązkim strumieniem sączyła się na przód koszuli, źrenice mimowoli zachodziły za nabrzmiałe powieki. Chwilami, jedynie białka zaczerwienione i zapalone, świeciły pod rzęsą.

— Chodź tu! chodź tu, kiedy ci każe! słyszysz!

Stefanja oderwała się z wysiłkiem od ściany.

— Zaśnij! — prosiła cichym głosem.

— Zaśnij! — przedrzeźniał mężczyzna — zaśnij! ty nie umiesz, tylko spać... i skomleć! a ja muszę o tobie myśleć... i o twym synaczku czułym!... muszę na was pra... co... wać!

Czkawka go porwała; chwilę długą powietrze łapał, rękami o sofę waląc.

— Wo... dy... — wykrztusił nareszcie.

Stefanja szybko z pokoju wybiegła; w sypialni Dziudek niespokojnie głowę z krateszki łóżka wychylił.

— Tatusz? — zapytał przyciszonym głosem.

— Tak, Dziudku, tatuś — ale chory.

— Chory? — powtórzyło dziecko, jakby w zamyśleniu.

Stefanja w konewce wody rękę umoczyła; służąca, tęga dziewczyna, śpiąca na łóżku koło okna, przewróciła się, mającąc, młoda kobieta, jak cień, z kuchni się wysunęła i, nie uważając na wstające w łóżeczku dziecko, do saloniku się skierowała.

Lecz tu już mężczyzna, szarpiąc się, zdołał odepchnąć od siebie stół, i zwałił się ciężarem własnego cielska na ziemię. Na tle jasnej podłogi czerniał, jak wielka czarna kłoda. Głową walił o ziemię, unosząc się na rękach, do których mu silnie krew naciekała. Przez czoło biegła mu sina żyła, prawie granatowa, wypukła na poślódkę skroni.

— Wody!...

Stefanja bez wahania na ziemi przyklekła i grubą szklanek napełnioną wodą do ust męża podniosła.

On skwapliwie usta do szkła przytknął i chleptał płyn zaślinionymi wargami.

— Przechył, podła!...—wybelkotał dławiąc się z wściekłości.

Kobieta przechyliła szklanke, woda pociekła gwałtownie i oblała gors koszuli.

Michał uniósł się na rękach i z całą siłą plunął w twarz żony.

— Masz, szelmo! to... cię... naucz koło męża chorego chodź.

Stefanja cofnęła się w milczeniu i chustką wełnianą twarz ocierać zaczęła.

— Człowiek do domu powrócić nawet nie może — charczał tymczasem mężczyzna—czyste piekło... zmora ta na progu wita!...

Z trudnością całem ciałem się obrócił i na wznak do ziemi teraz przypadł.

— Hije... na!...—wybelkotał, szarpiąc oblaną koszulę na piersiach.

Chwilę panowała głucha w pokoju cisza.

Świt coraz tryumfalej przez okno się wdzierał, białą falą firanek. Jakies szarawe światelko w taflę podłogi zabłysło—mając refleks na listwie pod ścianą biegnącej.

— Hije... na!...—powtarzał wciąż mężczyzna.

Zdawał się usypiać i tylko od czasu do czasu silny dreszcz wstrząsał nim całym. Uderzał wtedy głową o podłogę i prawą ręką posuwał po ziemi. Plamy, na policzkach się krwawiące, blade i przechodziły w cień bladoróżowy, natomiast wargi siniały i zdawały się wydymać powoli.

Stefanja przygasłymi oczami twarz męża śledziła. Zimno jej było widocznie, bo szczelnie się chustką osłaniała i do ziemi chyliła, bose nogi spódnica przysłaniając. Szarawe, ziemiste tony twarz jej wychudłą pokryły; stała tak blada i skostniała, nieruchoma prawie, jakby do ziemi przykuta.

Nagle z piersi mężczyzny wydarł się okrzyk nieludzki, jakby ryk zwierzęcia dławionego przez sforę psów.

I znów nastała cisza, i tylko miarowy stukot głowy bijącej o podłogę pobrzmiwał głucho po ciasnej przestrzeni saloniku.

Stefanja cicho, na palcach, tłumiąc oddech, ku mężowi się podsunęła.

Leżał teraz z oczyma przymkniętymi, napozór spokojny, z maską kłowna, wykrzywioną jakimś wewnętrznym cierpieniem.

Stefanja chustkę z pleców zsuwać poczęła i pochyliła się nad leżącym, ciągle blada i zrezygnowana, lecz on, na-

głym. kocim ruchem, bosą jej nogę wyżej kostki uchwycił i silnie paznogie w ciało zatopiwszy, charczał:

— A, suko! przychodzisz patrzeć, czy żyję... czy nie umarłem, tobie na pociechę... a, suko!...

Ona usiłowała oswobodzić nogę z konwulsyjnego uścisku pijaka.

— Puść! — wyjęczała przez zaciśnięte zęby — puść!... boli!...

Lecz on coraz silniej wpijał swe dawno nieobcinane pazury w wychudłą warstwę ciała, i konwulsyjne to natężenie dreszczem rozkoszy go przejmować się zdawało.

— Ha! ha! ha!—śmiał się przeciągle, uderzając nogami o podłogę.

Nagle cały snop promieni słonecznych wpadł do pokoju, zalewając mdławym blaskiem ciasną przestrzeń. W powodzi tej świetlanej, skapała się nagle straszna postać Michała, torturującego nogę żony.

Pod wpływem bólu, Stefania wyla się prawie, i, szarpiąc, podrzucała w górę bezwładne cielsko mężczyzny, które sunęło się na nią, jakby łańcuchem przykute.

— Puść... Michał!... com ci zawiniła! O, Jezu!...

W tem—we drzwiach uchylonych zamajaczyło coś drobnego o żółtawych barwach. Boso, w koszulce, stanął na progu Dziudek, zwabiony hałasem i jękiem matki. Jak przykuty do ziemi tak stał teraz nieruchomo, wpatrzony wielkimi błękitnymi oczami w straszny obraz, jaki mu się w snopie słonecznych promieni przedstawia. Usteczka wpółotwarte drżały mu lekko i w podkówkę się krzywiły.

Zdawał się nie oddychać, przerażony, przybity, nagle zestarzały.

Stefanja dojrzała natychmiast jasną główkę dziecka. Jak szalona wyciągnęła ręce w jego stronę pragnąc zakryć przed nim nędzę swego życia.

— Dziudek!... idź stąd! idź... natychmiast!...

Pijak puścił nogę żony i zakrwawione paznokcie ku drzwiom wyciągnął.

— Won!... paszo!...—wybelkotał.

Lecz dziecko stało ciągle nieruchome, milczące, chmurne, jakby koncentrując całą swą istotność w żrenicach, w ojca wlepionych.

Matka już do niego przypadła i całem swem ciałem zatrzymując teraz męża, do przedpokoju dziecko popychała.

— Idź, synku, idź!... tatuś chory!...

Drzwi zamknęła i do salonu wróciła.

Pod drzwiami przedpokoju, dziecko do listwy przygłęzło jakby półsenne, rozmarzone, przeżywając świeżo otrzymane wrażenia.

Tymczasem mężczyzna powoli zasypiał, sztywniejąc na środku pokoju, jak figura woskowa za witryną przekupnia. W złocie słońca, w którym już drgały mirjady pyłków, to uosobienie zezwierzęcenia człowieka, wybijało się z brutalnością najwyższą, uwidoczniając ślady bestjalstwa i fizycznego rozkładu ze szczerością prawie bezczelną.

Kilkakrotnie jeszcze zaślinione wargi poruszyły się, usiłując wydać z siebie jakiś głos, wyszeptać jakieś słowo. Lecz już ciężar ołowiu opadać zdawał się silną maską na wszystkie rysy i na klatkę piersiową, z której wydobywało się rżenie. Jedynie tylko palce u rąk zachowały pewną władzę i poruszały się lekko, drapiąc powierzchnię podłogi.

Stefanja odetchnęła.

Wiedziała, że mąż teraz spać będzie długo i spokojnie wróci na godzin parę.

Kulejąc, bo krew z pokaleczonej jej nogi lekko się sączyła — zwróciła się ku drzwiom, zgarbiona i smutna.

Już za klamkę ująwszy, odwróciła się — i, spojrzawszy na śpiącego, ku niemu podeszła.

Chustkę wełnianą z pleców zsunąwszy, delikatnie na nogi mu zarzuciła i, przyklękawszy zdaleka, ostrożnie go otulać zaczęła.

W ruchu tym była cała potęga miłości, silniejszej, niż śmierć, kobiecości bezgranicznej, uległej, płacącej chlebem za kamień.

Chwilę jeszcze wpatrywała się w nieruchomą już twarz męża i w oczach jej zaszkliły teraz dwie wielkie łzy.

Powstała cicho i, ciągle kulejąc, z saloniku się wysunęła.

Na progu spotkała Dziudka przy ścianie drżącego. Chciała przemówić, połajac dziecko za nieposłuszeństwo, lecz... sił jej nie stało. Pochyliła się tylko i przy dziecku przyklękła, a na jasną głowę malca dwie wielkie, gorące łzy spływały.

II.

Nie śmiała odwrócić głowy, aby spojrzeć na stojącego na konsolce zegar i sprawdzić godzinę. Myślała ciągle o

Dziudku, o tem, czy Helena podała mu kawkę nie przydymioną, czy Michał przypadkiem nie obudził się i nie zaczął znęcać się nad dzieckiem. Obliczała w myśli wydatki dzienne i postanowiła umniejszyć ilość branych bułek do wieczornej herbaty. Kitu do okien nie kupiła jeszcze, a służąca codziennie z rozmysłem brutalnej chęci upokorzenia swej pani, wtykała swój gruby, lśniący palec w szpary okien, i mówiła z głośnem śmiechem:

— Patrz, Dziudek, jak ci to wiatr hula!

Obok Stefanji, na aksamitnym wykręcanym taburecie, siedziała zgarbiona dziewczyna, z anemiczną wybladłą twarzą.

Grała fantazję z „Hugonotów“, nadużywając pedału, i palisandrowy fortepian aż huczał od brzęczących tonów. Finał drugiego aktu powracał uparcie w basach, ciężko przecinających powietrze.

Blade, kościste ręce dziewczęcia migwały wśród czarnych klawiatur, jak rozszczępione szkielety nietoperzy. Przez purpurową gazę padał ukośny promień światła, czerwieniący lekko stan i zapadłe biodra, owinięte w jasną tkaninę sukni.

Promień ten obejmował swą czerwoną falą i stopy Stefanji, i krwawił się lekko na wystającym końcu jej bucika.

Przed nią, na ścianie, o którą opierał się ogon fortepianu, wisiło okrągłe lustro w srebrne, wąskie ramy ujęte. Lustro to było matowe i jakby parą zawsze pociągnięte. Obok, na ścianie, osłonięte gazą rozkładały się dwa olbrzymie portrety, ciężko ku ziemi zwisłe.

Po kątach bielily się meble, proste, sztywne w swych białych pokrowcach, jak komuniantki ustawione nieruchomo dokoła balustrady kościelnej.

I tylko pośrodku salonu umieszczony stół dźwigał w górę smukłą lampę Empire, okrytą różowym zalotnym abażurem, rozścielającym się z wdziękiem świeżo zerwanej róży, wśród surowej i wystygłej bieli salonu.

Stefanja, z oczyma utkwionemi w spoconą szybę lustra, siedziała, znacząc takt finału, który dobiegał do końca.

Siekący deszcz fortepianowych tonów oblewał ją gorącą strugą, drażniąc w niewypowiedziany sposób.

Miała przecież czas oswoić się z tą torturą od lat tylu, od pierwszej młodości pływając się w tej siekaninie dźwięków, spadających szeroką strugą na jej schylone

barki.

Lecz dziś — poranna scena z mężem wyczerpała ją do dna. Całą siłą woli powstrzymywała w sobie nerwowy kurcz gardła i zaciśnięcie szczęk, które ją dławilo. Wzdłuż krzyża czuła przebiegające dreszcze. Myśl o dziecku, o mężu, o ilości posiadanych do końca miesiąca pieniędzy, wpila się w jej mózg rozpalonemi szponami.

Pragnęła ją odegnąć, chwyciła ołówek, znaczyła crescendo, piano, moderato, sostenuto — ułatwiała palcowanie.

Wreszcie z hukiem i trzaskiem, a bezustannym naciskiem pedału urwała się fantazja i huczący deszcz tonów umilkł na chwilę.

Siedząc na taburecie, dziewczyna odwróciła się nagle, jakby z jednej sztuki wykuta.

— To już godzina! — wyrzekła smutnym, bezdźwięcznym głosem.

Stefanja odwróciła głowę.

Zegar, stojący na konsolce, pokryty kloszem, wskazywał pierwszą.

— Tak, godzina!

Dziewczyna powstała i szybko kajet z nutami zamknęła, poczem, odsunawszy się kilka kroków, ukloniła się niezręcznie.

— Dziękuję Pani! — wyrzekła pod nosem.

Cofając się tyłem, wysunęła się z pokoju, spokojna, niewzruszona, wyschła w swej dziewiczej sukience, opadającej jej po za spiczaste kolana, okryte ciemnymi pończochami.

Stefanja pozostała sama.

Nie powstała nawet z krzesła, na którym siedziała.

Załamala tylko kilkakrotnie ręce, aż palce z suchym chrzęstem trzasnęły jej w stawach i, odsunawszy włosy, spadające na czoło, oparła głowę na dłoni.

Miły Boże! — kiedyż wreszcie powróci do domu i Dziudka swego zobaczy...

Wybiegła tak szybko, że nie zdążyła prawie uściśnąć go raz jeszcze na pożegnanie.

Stał w swej białej barchance na środku kuchni i czekał spokojnie, aż mu Helena naleje kawy w garnuszek i nadrobi bułki.

Byle tylko bułka kawy nie wypila!

Ta Helena zawsze dziecku naprzekór robi...

Myśląc o kawie i bułce, nagle poczuła Stefanja silny głód, ściskający jej żołądek.

Od rana nie miała nic w ustach.

Po zaśnięciu Michała rzuciła się na chwilę na łóżko i, cała łzami zalana, zdrzemnęła się trochę.

Dziudek przytulił się do jej ramienia i zasnął, także smutny i wyczerpany.

Po przebudzeniu, nie myślała o sobie — biegła na lekcje — lękała się przybyć za późno. Stanowczo głodna była i czuła to teraz dość silnie.

Nieokreślone nudności porwały ją nagle i ślina napływać jej do ust zaczęła.

W głębi duszy poczuła gniew na to zwierzę, które buntowało się w niej, dopominając się swej części z zacięłością okrutną.

Pragnąc oszukać siebie samą, skierowała oczy na gazetę, po za którą majaczyły portrety, jak duchy nagle wśród dnia ujrane.

Znała je dobrze: mary niepewne, zabelone chmurą tkaniny, zaznaczające się cieniami z poza oczek tiulu.

Portret kobiety, blady, wypłowiały, niepewny, z twarzą zestrąszonej kozy, z oczyma chorowitej istoty, od dziecka w gorset spowitej, moralnej i fizycznej kaleki — czepiał się ściany, jak tablica cmentarna w katakumbach wmurowana. Była to zmarła pani domu, suchotnica, sztucznie czas jakiś pielęgnowana umiejętną dlonią męża, doktora, po to — aby dać życie dwojgu sformowanemu dzieciom, i zgasnąć w Hyères, gdy słońce najjaskrawsze blaski z szafiru nieba rzuciło.

Stefanja, w smugi farb, tworzących obraz tej nieżyjącej matki, wpatrywała się często — jakby tajemnica pogrzebowa miała nagle przedrzeć fałdy gazy i objawić się jej w tych rysach ostrych, kościstych, nie złagodzonych, nawet przecuciem agonii, rysów, które powtarzały się dokładnie w twarzy córki ze ścisłością niemal cyrklową, dziwną, tajemniczą, niezgłębianą.

I córka w rysach swych, w zagięciu ust, w bladeści warg, w suchości skóry, zlekka tylko koło nozdrzy zwilżonej tłustym i lśniącym potem, w pogarbieniu postaci, w łamliwości anemicznych włosów, w zapadłej piersi, w zacisku bioder, w suchości głosu i chorobliwej zaciętości charakteru, we krwi skrzepłej i ubogiej — miała całego trupa matki, który, milczący, blady, groźny — jak krzyż na szczycie mauzoleów — z po za bieli gazowej zdawał się stać na straży wygasłego ogniska, wśród wystygłych popiołów.

Z drugiej strony lustra, ciemny profil mężczyzny wy-

chylał się nagle, energiczny — pełen jakiejś chęci dojścia, poznania zakrytych kart, szarpnięcia nerwowym rzutem ręki zasłon, spowijających cierpienia ludzkości w nieprzeniknione, fałdy.

Z twarzy tej czytało się jak z otwartej księgi i rozplaszczona pędzlem uwypuklała się, odstawała, wychodziła z tła przepychem energii swojej. Rozmiałdzenie farb nie zdołało zatrzeć nadmiernie wysuniętego sklepienia czoła i brwi prawie obwisłych, po nad głęboko zapadłymi żrenicami. Nos, zagięty krogulczo, miał cechy semickiego pochodzenia, koło ust, oprawnych w czerni siną zarostu, rysowały się dwie głębokie bruzdy.

Stefanja powoli przymknęła oczy znużone monotonią widoku, który od roku blisko miała przed oczyma.

Trzy razy tygodniowo siadywała tak naprzeciw tych portretów, oddzielonych od siebie białą szybą lustra. Znała dokładnie rysunek ram, ich rozmiary, arabeski, obicia, nawet liście szlaku, bramującego sufit. Znała cień, zalegający ką, z którego występowało ukośne, zwieszzone lustro, i cień ten czasem mimowoli niepokoił ją i mieszał.

Jak gwiazda błyszczała tylko srebrna rozeta, kryjąca hak, podtrzymujący ciężar zwierciadła, i gwiazda ta prawie hypnotycznie ciągnęła wzrok zdenerwowanej kobiety.

Nawet, wróciwszy do domu, gdy po rachunku z Heleną kładła się do łóżka, widziała przed sobą migocący punkt w niepewnej przestrzeni...

Monotonny szmer zegara szeptał po za nią ubiegające minuty.

Po za oknami, z ulicy, dolatywał turkot przejeżdżającej dorożki i ginał powoli w oddali.

Stefanja sięgnęła machinalnie do kieszeni pragnąc schować ołówek.

Poczuła coś twardego.

Była to tabliczka czekolady, kupiona w cukierence na rogu ulicy — dla Dziudka.

Tak dawno obiecała mu ją przynieść, i zawsze zapominała, śpiesząc do domu.

Dziś kupiła, nagle litością zdjęta nad tem biednem dzieckiem, poniewieranem w tej chwili może przez zuchwałą służkę, lub na wpół trzeźwego ojca.

Lecz... głód szarpnął ją silnie i nudności powróciły ze zdwojoną siłą.

Ugryzła kawałek czekolady ostrożnie i żując powoli, starała się polykać jaknajmniej śliny.

Resztę zawięła w ołów i ukryła głęboko w kieszeni.
— Nie ruszę! — wyszeptała z silnem postanowieniem.

Nagle, drzwiami silną ręką szarpnięte rozwarły się z trzaskiem.

Do pokoju wpadł młody chłopak w mundurku, dość wysoki, zgarbiony, z głową spiczastą, okrytą czarnym włosom. Buty miał zabłocone, spodnie zakasane, ręce czerwone i żylaste poplamione atramentem.

Kiwnął głową i do fortepianu poskoczył.

Stefanja odsunęła swe krzesło.

— Dzień dobry, panie Henryku! — wymówiła cicho.

Chłopak machnął głową i położył na klawiszach palce długie, kościste, zakończone olbrzymimi brudnymi i połamanymi paznociami.

— Cóż grać? — zapytał, spluwając lekko na bok.

— Ćwiczenia pięciopalcowe.

Chłopak powoli z mozołem zaczął bębnić jednostajne nuty, wznoszące się i opadające z przerażającą jednostajnością.

Garbił się w dziwny sposób, nie mogąc utrzymać ciężkiego torsu na stosunkowo słabej, niższej połowie szkieletu.

Grając, powtarzał bezustannie jedno i to samo słowo:

— The! the! the! the!...

Zwijął język w trąbkę i sznurował wargi starając się pokryć nimi zęby.

Grał machinalnie, jak maszyna siekająca drzewo, cały przyjęty chęcią nabrania nieskazitelnej wymowy angielskiej.

— The! the!...

Stefanja zmarszczyła brwi mimowolnie, udręczona ciężko tem powtarzającym się bełkotaniem, spadającym w jej zmęczone uszy z okrutnym zacieklým uporem.

— The! the!

— Proszę grać gamy.

Henryk, nie prostując się, nie odrywając nawet rąk od klawiatury, zaczął grać gamę C-dur, zatrzymując się przy każdym podłożeniu palca.

— The! the!

Stefanja wyciągnęła rękę.

— Nie tak! czwarty pierwszy, w prawej.

Dotknęła delikatnie palców chłopca.

Lecz on, jak szalony porwał się z miejsca, i plując, ocierał rękę o połę swego ubrania.

— Co pan wyrabia?

— Niecierpie, jak kobieta mnie dotyka. Pani wiel...

proszę mnie nie ruszać! The! the!...

Za chwilę bębnął znów gamy, sycząc swój angielski przedimek, wysuwając mięsisty język, przejęty cały pogardą dla kobiet, zapóźniony w swym rozwoju, zgnieciony tłumem pracy umysłowej, urągający kultowi ciała.

Gdy wreszcie Stefania znalazła się w przedpokoju, nasuwając na zbolale plecy ciemny żakiet — z pewną trwogą myślała o dalekiej przestrzeni, jaką przebyć musi, aby dostać się do domu. Wśród błota i flagi — bo pogodnie zrana niebo dookoła się zasnęło chmurami — iść musiała niemal przez cały Lwów, wzdłuż ulic ociekłych wodą, po podmurami domów, z których buchała wilgoć, pleśń i zimno. Przyszczypka jednego z bucików odpruła się nagle i woda nabiegała do wnętrza, mocząc pocerowaną pracownicę pięte pończochy. Niewralgja, na którą Stefania cierpiała dość często, zdawała się powracać, ściskając jej lewą stronę karku jakby żelaznymi szponami. Nie zastanawiała się jednak nad tym bólem, śpiesząc, narzucając na gładko przyczesane włosy swój zniszczony kapelusz.

Lecz drzwi, prowadzące do gabinetu pana domu, uchyliły się lekko.

Do przedpokoju wsunęła się dziewczynka i wyciągnęła ku Stefani rękę, w której tkwiła mała tekturowa kartka.

— Tacio przysłał bilet i prosi, żeby pani była tak łaskawa i nie przychodziła pojutrze, bo to... moje imieniny.

Stefania doznała nagłego ściśnienia serca. Znów jedna lekcja mniej, odsunięcie wypłaty o dni parę, w ślad zatem niedostatek chwilowy, zuchwalstwo Heleny, stróża, wściekłość Michała.

Dziewczynka stała ciągle we drzwiach uchylonych, wyciągając rękę.

Jasna struga światła płynęła po za nią w ciemną głęb przedpokoju i mizerna jej postać, jeszcze smutniejsza, jeszcze bardziej koścista, rysowała się czarnymi konturami w tej smudze jasności.

Stefania zbliżyła się powoli i podawany bilet z rąk dziecka odebrała.

— Powiedz tacie, że... nie przyjdę, skoro sobie tego życzy.

Chciała podać rękę malej i życzyć jej szczęścia, lecz ruchy i odręczający wygląd dziecka, zmroził jej słowa na ustach.

Tylko powolnym i przeciągłym spojrzeniem obrzuciła

głowę dziewczyny, po za którą, jak w ramach obrazu, dojrzała jasną, świetlaną przestrzeń rozjaśnioną szerokimi taflami balkonowego okna, rysującego się w oddali z przejrzystością powietrzną. Koło tego okna, oparty na kulach, stał doktor, znacząc się energicznym swym profilem wśród białej przestrzeni.

Stał koło biurka, zasypanego mnóstwem książek i papierów, tuż przy fotelu ruchomym z korbą i kółkami, czerwieniącym się zdaleka purpurą aksamitu.

Z drugiej strony drzwi balkonowych, ciemniał rząd szaf, których szyby okryte szafirowymi firankami, mieniły się barwami opalu. Biała jak śnieg natura kładła swą dziewczęcą szatę na surową linię tych szaf tajemniczych i pięła się wysoko, w górę — aż pod bufy muślinu firanek, nawleczonych na dębowe, oksydowanymi gwoździemi nabite strzały.

W jasności tej wielkiej, przejrzystej, nieskalanej, czarny kontur postaci doktora rysował się brutalnie z całą ułomnością skurczonego ciała kaleki.

Wewnętrzne żarte cierpieniem, ciało to zdawało się chylić bezsilne i już podległe rozkładowi, lecz twarz promieniała wciąż silną, niezachwianą energią, pełną jakiejś szczytnej potęgi.

Stefania stała ciągle wpatrzona w ciemną bryłę tej męskiej postaci, rozjaśnioną zaledwie niewielkim białym znakiem twarzy i obwiedzioną jasną linią światła wzdłuż pochylonej głowy i grzbietu obwisłych poś surduta.

Złota skówka drzewca kuli błyszczała jak maluchny punkcik na ciemnym tle sukna, nogi, zakryte kadłubem fotela, zdawały się nagle odcięte purpurową linią.

Wtem doktor głowę podniósł i dudniącym, przyciszonym głosem zawołał:

— Jadwiniu!

Stefania drgnęła nerwowo, nagłym a niewytłomaczonym przestraszeniem zdjęta.

Zdawało się jej, że widziana przez nią postać w obramowaniu drzwi, jest tak niema, jak wierne jej odbicie, które z po za fałd muślinu codziennie ze ścian ku niej się rzucało.

— Powiedziałaś o wtorku?

— Powiedziałam, tatku!

— Pożegnaj się z panią.

Dziewczyna dygnęła Stefani, cofającej się już do progu i, zniknąwszy w głębi gabinetu, drzwi za sobą zam-

knęła.

Stefanja pozostała w ciemności, szukając nerwowo kulki zasuwki, tkwiącej ponad zamkiem.

Była zmieszana i nie umiała sobie zdać sprawy z tego pomieszanania.

Gabinet doktora przedstawiał się jej zawsze jak mała kaplica pilnie zamknięta i strzeżona.

Każde uchylenie drzwi, każde dostrzeżenie ułomnej i coraz więcej do ziemi chylącej się postaci doktora, przemawiało ją nieokreślonym pomieszananiem. Doznawała niemal bolesnego wrażenia i przez chwilę serce jej łopotało w piersi jak ptak spłoszony.

A przecież, w bolesnym tem wrażeniu odnajdywała jakiś promień jaśniejący; coś, jakby nagle wydobyć się na polankę po długim błędzeniu w lesie.

Coś majaczyło przed jej oczyma, jakaś niewyraźna tajemnica, otaczająca ciemną głowę tego człowieka. Tajemnica ta zajmowała chwilowo jej zniekany umysł i dodawała farb świeżych do szarych, dręczących ją myśli.

I w tej chwili, gdy głodna i niewralgą zdręczona wysunęła się na schody, miała ciągle przed sobą postać kaleki, rysującą się dokładnie na powietrznej przestrzeni szyb lustrzanych.

III.

Kaszląc przeraźliwie, zbudził się Michał ze swego snu kamiennego, podczas którego ani jeden mięsień nie drgnął w jego bezwładnym ciele. Powoli odrzucił z siebie chustkę, okrywającą mu nogi i z wysiłkiem podniósł się na rękach.

Lecz końce palców w zetknięciu z zimną podłogą, skurczyły się, ściągnięte przeraźliwym bólem i odmówiły mu posłuszeństwa.

Oparł się więc na łokciach i z wytężeniem wzrok w szyby wlepił.

Przez chwilę nie widział nic, oprócz punkcików ciemno-błękitnych, uwijających się w przestrzeni. Punkciki te zataczały piekielną sarabandę, ciemniejąc jak plamy atramentu, to znów jaśniejąc barwą turkusową.

Michał wstrząsnął głową i oczy na chwilę przymknął,

zmęczony nad wyraz hukiem cichym, niewyraźnym, a przecie przyniatającym, który mu napelniał uszy.

Włosy opadające mu na czoło przejmowały go dreszczem, do ust napływały całe kłęby śliny lepkiej, zielonej, pomieszananej z żółcią. Splunął i oczy znów otworzył — lecz teraz — zamiast turkusów, ujrzał całe rzędy rubinów zataczających taneczne kręgi. Równocześnie w karku poczuł gorące i niewyraźne laskotanie. Przegiął krzyż, lecz silny ból lędźwi przeszył go jak ostrze noża. I z krzykiem wściekłości bezsilnej opadł na podłogę nędzny, spieczony, bez mocy nad zwierzęciem, które powoli w nim rozkładało się, przepalone powracającym napadem pijaństwa.

IV.

— Jak wiązkę słomy, takem ci go na górę wyniósł.

— Taż ciężki chłop przecie. A pan Wawrzon mógł go uradzić?

Stróż przegiął się zuchowato i czapkę na bakier nasunął.

— Nie takie ci to ja łajdusy nieraz dźwigałem, to i temu poradzę!

Helena aż usta kułakiem zatkała.

— Masz pan Wawrzon recht, łajdusem bo trza być, aby się tak schlać i ludziom porządnym kazać po schodach nosić. A!... zapomniałam, dała ci mi ona szóstkę dla pana Wawrzona, niby za fatygę.

Stróż skrzywił się z pogardą.

— Od takiej tam, to szóstki nie żądam!

Lecz Helena pchała mu w rękę wytarty pieniążek.

— Weź pan Wawrzon, weź... kiedy paniuje, to niech ludziom uczciwie się choć wypłaca!

Stali oboje w bramie, naprzeciw siebie, oparci o ścianę, ubrani dość ciepło — ona owinięta w chustkę, pod którą kryła w papierku trochę smalcu, on w kożuchu rozpiętym na piersiach.

— Panna zeszła tak po pokupki?

Dziewczyna wydeła szerokie, trywialne wargi.

— Po jakie to ja pokupki iść u niej mogę! Smalcu za dziesięć centów, albo perek za trzy. Jezu miłosierny! tożem trafiła! Niech tego kantorowego kolki zepną. Węgle

koszykiem noszę! To dość panu Wawrzonowi powiedzieć!

Stróż tymczasem długie, włoskie cygaro wyjął i słomkę za ucho zatknął.

— Łatyndy!*) — wyrzekł półgłosem.

Deszcz lał po za bramą na ciasny, smrodliwy czworokąt dziedzińca, który jak cuchnąca studnia podnosił się w górę, otoczony murami, przecięty rzędami balkonów, biegnących dokoła każdego piętra.

W szerokim rozwarciu bramy, widać było cały rząd komórek żółcących się świeżo wstawionymi drzwiczkami, w których wycięte serca czerwieniały regularnymi punktami.

— Bo co ci to za państwo, mój panie Wawrzonie — zaczęła znów Helena — niech pan sam odgadnie. Ni to mebli, ni to porządków, ni to zapasów; ona jak kura zmokła wciąż po za domem, on gada czasem, że miejsca szuka. O jej!... miejsca! on! chyba u żyda za ladą do lania w kieliszki...

Stróż wybuchnął śmiechem.

— To ci panna Helena przypieka! oj! oj!...

— A bo i prawda, kwartału nie dobędę. Jednego dnia się podstawię, piekło zrobię, to mnie wygna i tyle.

— A zaświadczenie?

— E!... taka tam klempa to i zaświadczenia złego nie da. A jakby dała, to kto tam takiej łatyndzie uwierzy.

Nagle w ciasne drzwi bramy od strony ulicy, wpadła szybko Stefanja, cała przemoczona, z parasolem popsutym w skostniałych od chłodu rękach. Dół sukni pomimo starannego podnoszenia, obwisł ciężki od wody, tylny bryty zdawały się jakby w fali rzecznej zmaczane. Drobną jej twarz posiniała z głodu i zimna, usta lekko drżały, oczy w dół wpadnięte, podkrażała silna obwódka. W cieniu bramy wydawała się już starą kobietą, w swym przedwczesnym zniszczeniu i zaniedbaniu biednej i za groszem goniącej istoty.

Stapała z wysiłkiem, mając w buciku całą kałużę błota, która za każdym naciśnięciem stopy wypływała z lekkim kłopotaniem.

Natychmiast dostrzegła Helenę, która, zacinawszy wargi, nieruchomo przy ścianie w postawie wyzywającej.

— Dla czego wyszłaś z domu?

— Smalcu dobrać musiałam!

Zmierzyły się oczami. Pani lękliwie jakoś i pokornie,

*) Żebraki — w żargonie lwowskim (Przy. aut.).

sluga ironicznie i wyzywająco.

— Dziudek w kuchni?

— Ostawiłam go kole stolnicy.

— Chodźmy!...

Przeszły obie dziedziniec, Stefanja, opuszczając suknię, aby idąc za nią dziewczyna nie dostrzegła rozpadającego się bucika.

Zaczęły się drapać na kręcone schody, oblewane deszczem, który ciekł ukośnie po przez balustradę, mocząc je całe.

Helena owinęła głowę chustką i zakryła usta.

— Mogłaby też pani kupić kucheński parasol, jak to we zwyczaju u porządnym państwie. He! na nic rzeczy sobie poniszczyć można.

Stefanja nie odpowiedziała.

Szła szybko, ślizgając się po mokrych schodach.

Głód szarpał jej znów wnętrzności ze zdwojoną siłą, myślała w tej chwili o talerzu ciepłej zupy, którą wreszcie zje na rogu stołu obok Dziudka, dzieląc się z nim fasolką, którą dziecko tak lubiło.

— Ale się pani uszlachciła! — mówiła dalej Helena — to feca już nie suknia, doczyścić się nie będzie można!

Stały przeddrzwiami kuchenki przymkniętymi zaledwie na klamkę.

— Nie zamknęłaś?

Helena ramionami wzruszyła.

— Jak ja się o swoje nie boję, to i pani się kłopotać nie powinna.

Stefanja otworzyła drzwi, i od proga z głośnym krzykiem w głąb kuchni się rzuciła.

Na środku kuchenki, w pobliżu łóżka Heleny, zasłanego wysoką pościelą i opiętego prześcieradłem, gorzał jasno złotym, wesołym płomieniem, mały stos drzazg, umiejętnie i pracowicie ułożonych. W jasnym tym płomieniu i w kłębach sinawego dymu, ukośnie ku ścianom ciągnącego, uwijał się z zarumienioną twarzą Dziudek w barchance i szarych majteczkach, podtrzymywanych na ramionach jedną szeleczką.

Drobną swą postacią dotykał prawie płomieni, obójny na niebezpieczeństwo, rozbawiony bliskością ognia, dumny z dokonanego dzieła.

Długie pukle włosów spadały mu aż na piersi, złocąc się w blaskach płomieni, nabierając krwawej jakiejś barwy. Wyciągnięte rączyny miały przejrzystość płatków różowej



bibuły. W ogniu tym ciało dziecka różowiło się, barwiło, krwawiło przepyszniemi tony.

Lecz już Stefanja pochwyciła go za tors i szybko na bok rzuciła. Dziecko przerażone zbladło i przy ziemi kucnęło.

Podmuchem wiatru poderwane płomienie liźnęły prześcieradło opinające łóżko, które płonąć zaczęło. Stefanja rzuciła się znowu i, zerwawszy palącą się tkaninę, parząc sobie ręce, zwinęła, na ziemię rzuciła, i własną suknią, od wody ciężką, przygniatać zaczęła.

Helena ręce załamała.

— Jezusie! takie prześcieradło!

Lecz Stefanja, ręką jej tlejący jeszcze stos drzazek pokazywała.

— Zalej! zalejże na Boga!

Dziewczyzna porwała garnek z zupą i wściekła, cisnęła ją w sam środek ogniska.

— Ależ to zupa!

— Niecha!... takie prześcieradło!

Stefanja ręką po czole przesunęła.

— Dam ci inne, moje własne!

— Co mi tam po niem!... Panie takiego madapolam nowego nie ma!

Z głośnem zawrotem zaczęła teraz przesuwac garnki, przesadzając wartość prześcieradła, szczęśliwa, iż może zgębnić swą panią, którą nienawidziła za jej ubóstwo, graniczące z nędzą.

Stefanja siedziała teraz na ziemi, przybita, prawie ogłupiała, niemogąc się poruszyć, zdrętwiała z zimna, głodu i nerwowego wstrząśnienia. Przed nią, w pół cieniu źle oświetlonej kuchni, rozkładała się szeroka struga dymiącej jeszcze zupy, w której resztki niedopalonych drzazeg mieszały się z jasnymi resztkami fasoli i białawymi masami kartofli.

Dalej—pod stołem, obok worka z węglami i szaflika, w którym moczyły się ścierki, wciśnięty w kąć, błądliwy i drżący, siedział Dziudek z kulakami zaciśniętymi przy skrzywionych w podkówkę usteczkach.

I tylko z otwartych drzwiczek pieca jasna struga światła blade-czerwonego, oświecała kawałki podłogi spalonej od wysypujących się żużli, wklęsniętej i pełnej czarnych plam i zagłębień. A na blasze, nędzna bateria glinianych ryniek, garneków pokrytych wyszczerbionymi pokrywkami, cała nędza smutnego odżywiania się zamierających orga-

nizmów, nędza kupiona wysiłkiem ciężkiej pracy jednostki.

Stefanja zapatrzyła się w tę blachę, z której wystawała reszka pożywienia, stygnąca i niedbale przyrządzona. Czula, że wstać powinna, lecz już sił jej brakło i siedziała tak spowita w cieniu, w mokrych fałdach odzieży kryjącej spalone resztki prześcieradła. Zdawało się jej, że ktoś nagle zanurzył ją w zimnej kąpieli i, skrupowawszy, ruszyć się nie dozwala.

Helena łkała ciągle koło komina, chwytając się z przesadą za głowę.

— O, Jezu!... a to się dorobiła!

Tymczasem — z po za drzwi przymkniętych i w głąb mieszkania prowadzących, dał się słyszeć krzyk Michała, walczącego z ogarniającą go niemocą.

Krzyk ten zdławiony, przyciszony, obił się nagle o drzwi z czystością najwyższą.

I pod wpływem tego krzyku, podniosła się z ziemi Stefanja, i do stołu, pod którym się kryło dziecko, zbliżyła.

— Chodź, Dziudku! — wyrzekła smutnie — chodź, moja biedna sieroto!

Dziecko bojaźliwie w stronę Heleny spojrzawszy, na czworakach, jak psiak, małe i nędzne, wyszło — i do mokrych fałd sukni matczynej przypadło.

V.

Noc.

Nad komódką jesionową pochylona, przyklekła Stefanja i dobywa ze spodu szuflady starannie poskładane swoje jeszcze wyprawne prześcieradła.

Na komodzie pali się niewielka lampka przyćmiona abażurem zrobionym z zielonej bibułki.

Lampka ta pograża w cieniu prawie całą sypialnię, w której kątach kryją się ubogie sprzęty, stare, jesionowe łóżka pookrywane czerwonymi watowanymi kołdrami.

Na jednym z nich, leży na wznak Michał, z oczyma szeroko rozwartymi, wlepionymi w świetlany krąg, który światło lampy zaznacza na ciemni sufitu.

Nocna koszula szeroko na piersiach pomimo chłodu rozpięta, ujawnia przerażającą chudość jego ciała, podobnego do szkieletu, obciążonego żółtą, wiecznie wilgotną

i potem okrytą skórę.

Twarz występuje ostro wśród bieli poduszek, chuda i spiczasta, z bezustannem drżeniem na powierzchni koldry, zaznacza się białawą żółtością na purpurowem tle wełny.

Stefanja nad szufladą pochyłona, ostrożnie ubogą bieliznę przekłada, w bezustannej trwodze, aby ta biel nędzna nie rozpadła się nagle, pozostawiając ich ciała bez koniecznego okrycia.

Ubogą, bo miała wyprawkę ubogą, w domu i po sklepikach żydowskich na Wołówce łataną. Jedyńcąż niby była, ale biedną u biednej matki, którą przed dwoma laty pochowała na końcu cmentarza, het, pod samą linią wytyczną, tam, gdzie były najtańsze kwatery.

Ojca bo i prawie nie знаła.

Miała jego miniaturę z lepszych czasów, zrobioną w halsztuku i z długimi włosami. Matka mówiła, że był to piękny mężczyzna, że tańczył gładko i miał szczęście do kobiet. Urzędnikiem był niewielkim, i pozostawił onie szczupłą emeryturę i córkę, która zupełnie niespodziewanie zjawiła się po piętnastoletnim pożyciu.

W biedzie więc wyrosła Stefania, w biedzie i łataniu wciąż krótkich spódniczek, z których uciekała poprostu w górę, rosnąc jak młoda choinka. Rozwijała się jednak tępo i boleśnie — wciąż zamknięta w ciasnym zaduchu ormiańskiej szkoły, do której oddała ją matka, korzystając skwapliwie z taniego sposobu wykształcenia.

Dziewczyna przerażona i nieośmielona swym stanem, w przełomie ważnego kryzysu swego wzrostu, nagle zachorowała, zbladła i zdawała się prędzej cieniem, niż istotą żyjącą.

Przestała chodzić do klasztoru, w którym nie nauczyła się nic prawie, tylko fałszywie śpiewać *Agnus Dei*, miernie grać na fortepianie i w krótkim czasie została narzeczona Michała Kortysickiego, stroiciela fortepianów i fisharmonji.

Stroiciel był młody, przystojny, ujął od razu matkę, oznajmiwszy, że nie pije, nie pali i w karty nie gra.

Wprawdzie, ten i ów przebąkiwał, że Michał, mając zaledwie lat szesnaście ciągnął do kieliszka i nieraz kaczkę zaganiał, lecz chłopak uroczyście zaprzysięgał, że to było z głupoty, i że nigdy, nigdy do ręki żadnego trunku nie weźmie.

Mówił tak pocziwie, tak ręce składał, i tak ładnie łagodnemi, szafirowemi oczyma na Stefkę spoglądał, że pojechali wreszcie do Ojców Dominikanów w osobnej dorożce,

a powrócili już w jednej uśmiechnięci i o przyszłość spokojni. Jak kartki książki życiowej, tak powoli, drżącemi od zmęczenia rękami, przekładała młoda kobieta ciasno zgniecione fałdy ubogiej swej wyprawki, której połowę na pieluszki i koszulki Dziudka podała sama, w chwilach niepewnych o życie swoje i noszonej pod sercem istoty.

W głębi szuflady śpią cicho i spokojnie poszewski z szydełkowemi wstawkami, koszule obdziergane u góry bawełną, kaftaniki barchanowe szczelnie pod szyję zapięte, spódnice długie na tasiemkę nawleczone dziewicze i proste, cały dostatek kobiety biednej, uczciwej, spokojnie śpiącej na prosto zasłanem łóżku, w mgławem świetle lampeczki migoczącej obok kołyski dziecka. I tylko jak spódniczka zalotnej tancerki, cała z fałd i koronek złożona, przypadł do jednego z kątów kaftanik poślubny, skromnie kokieterijny, z dyskretnemi wstawkami, przez które zda się w niepewnym świetle, różowe przeświecać ciało...

Stefanja wyciągnęła rękę i ciemnemi palcami dotknęła wyrurkowanych walansienek.

Bibułka podłożona pod spód kaftanika zaszeleściła cicho, jak liść jesienny, nagle skrzydłem ptaka strącony.

Lecz na łóżku w tej chwili rzucił się Michał nagle przerażony.

— Co to! — wybelkotał z przestachem.

Stefanja odwróciła się ku niemu.

— Nic! nic! śpij — wyrzekła łagodnie.

Głowa mężczyzny opadła na poduszki i ciemniała znów w kącie, bezustannym, nerwowym dreszczem wstrząsana.

Stefanja zwróciła się ku szufladzie.

Stos prześcieradeł leżał na ziemi, pochyliła się nad niemi i uważnie rozpatrywały fałdy zjedzone przez użycie chlorku i gotowanie w saganach na rozpalonej blasze.

Nie, stanowczo nie zadowoli Heleny, choćby jej nawet oddała najlepsze, obszywane ząbkami, które używała dawniej do obszycia kołder.

Teraz — poprzestaje na podszywaniu zwyczajnemi, perkalowemi prześcieradłami odkąd Michał popadł w nie-szczęście i często w nocy, w napadzie chwilowego szału, lub gniewu, nagle drzeć całą pościel zaczyna.

O!... powoli doszła do tej oszczędności, i to ciężko nabytem doświadczeniem. Poszewki ze wstawkami robionemi pracowicie przez matkę, ukryła także starannie. Zasztywa teraz poduszki na moc, w grube zwyczajne powłoczki, i to jeszcze musi szyc za igłą i podwójną nitką.

Michał, szarpiąc się we śnie, wszystkie guziczki obdzierał, Helena w praniu dopełniała reszty.

Bielizna padała w szmaty; trzeba było ocalić resztę.

Wreszcie, odłożyła Stefanja jedno z prześcieradeł i, ująwszy stos cały, powoli go w komodę składała.

Kłęcząc tak, z głową naprzód pochyloną, w szarym, wieczorowym szlafroku, który opinał jej trochę wychudłe plecy, ramiona i na biodrach przylepiał się dokładnie, miała w sobie wdzięk dziewczęcy, wdzięk nieskażonej prostoty.

Światło padało białawo-żółte z pod zielonej bibulanej obłonki na jej włosy rudawo-blond, opadające na kark w napół rozplecionym warkoczu. Głowa ta miała przeczyste linie drobnej głowy kobiecej, kształtami doskonale pięknej. Włosy pokręcone, naturalnie fryzowane biegly kapryśną kaskadą srebrząc się na szczycie czaszki, zlocąc się jaskrawo po nad konchami uszu. W pochyleniu tem, twarz nikła prawie zupełnie, drobna, blada, zmięta, z przedwczesną linią gęstych zmarszczek koło oczów, z dwoma kreskami, biegnącymi od wypukłości delikatnych nozdrzy nosowych, ku doskonale pięknym ustom, zawsze nawpół otwartym, jakby dla zaczerpnięcia powietrza.

W ustach tych krył się bezmierny urok piękności i czaru tej twarzy. Gdy rzadki uśmiech podniósł nagle, zawsze ku dołowi opuszczone kąciki warg, wówczas cokolwiek wydłużona broda zaokrąglą się, policzki pokrywały się dołkami, linie smutne uciekały, oczy otwierały się z dziecinną jakąś naiwnością. Coś promieniało z tej młodej twarzy, skalpelem nędzy i smutku pooranej, zawsze prawie przygasłej, głodem, zmęczeniem, udręczeniem krzywionej.

Stefanja układała delikatnie, ostrożnie, swą biedną chudobę, z tą kobiecą miłością do bielizny, do fałd dobrze wyprasowanego płótna, do chęci otoczenia swojej delikatnej skóry przeczystą bielą nieskażonej gładkości. Zanurzając głębiej rękę, natrafiła na jakiś zimny przedmiot.

Sięgnęła i wydobyła buteleczkę płaską z długą, ciemną rurką, którą dokarmiała Dziudka, grzejąc mu na spirytusie mleko i wodę ryżową w ciszy nocej, przerywanej kwileniem dziecka, lub ciężkim kaszlem matki, śpiącej w jadalni za parawanem.

Ciężkie bo to były chwile; Michał opuszczał się w pracy, wracał do domu późno, z oczyma dziwnie błyszczącymi, podrażniony, wesół, z mnóstwem idei i zamiarów w głowie, z chęcią łamania murów, z siłą fizyczną zdwojoną, pełen werwy, dowcipu, aż wyczerpany, ogłupiały, belkocząc słowa

bez związku, z gorączką na ustach, walił się na łóżko, najczęściej nawpół rozebrany, nie mogąc trafić do ładu z częściami ubrania, które rozrzucał po podłodze u stóp łóżka.

Była to pierwsza faza jego pijaństwa, faza hałaśliwa, pełna życia i energii. Mówił najczęściej wtedy o nadzwyczajnej swej pracy dziennej i zamówieniach na następne dni tygodnia. Matka wierzyła mu, potakując ze swego łóżka, w którym leżała pod stosem kolder z różańcem określonym na lewej ręce.

Lecz w Stefanji serce szarpało się bolesnem przecuciem.

Przewijając dziecko, lub kołysząc je do snu, patrzyła z trwogą na męża, którego postać rysowała się ciemnym tułowiem w niezbyt jasnej przestrzeni pokoju. Nie poznawała go.

Wydawał się jej większym, tęższym, bardziej rozrośłym. Ten potok słów, płynący mu z ust całą lawiną, przerażał ją poprostu. Wesolość, gorączkowe porywy, mieszały jej spokojne i ciche usposobienie.

Najczęściej milczała, pochylona nad dzieckiem, rzucając od czasu do czasu jedno tylko zdanie.

— Ciszej, Michał! dziecko mi obudzisz!

Lecz on wybuchał hałaśliwym śmiechem.

— Tak! tak! ta Stefka, to czysta kura zmoczona, nawet pośmiać się nie da, rozwinąć szerszych poglądów, wyjaśnić planów na przyszłość. Jedynie mama, ta rozumie dokładnie swego zięcia i wchodzi zupełnie w jego usposobienie. Cóż wielkiego! jeśli się było „Pod gwiazdą“ i ten i ów zaprosił, a potem należało się rewanż dać w całości. Tylko kobiety nigdy wyrozumienia nie mają; jedna mama, pocziwa mama.

Język mu się plątał, powieki przymykały, pomimo wysiłków, jakie czynił, aby wpatrywać się w płomień migocącej lampeczki. Teraz — powoli, tracił swą wesolość, stawał się smutny, melancholiczny i, siedząc na brzegu łóżka, pogrążał się powoli w smutną zadumę. Oczy traciły blask i żywość, zachodziły mgłą, twarz zdawała się nabrzmiewać, ręce nerwowo do ust mu się cisnęły.

Skarżył się na opuszczenie, na nieczułość żony, groził, belkotał, wreszcie ruchy jego stawały się coraz ociężalsze, głowa powoli wgłębiała się w ramiona, krzyż wyginał w pałąk, aż wreszcie pobladły, bez najmniejszego wyrazu w twarzy, osuwał się na pościel, rozkładając swe członki, jakby wypełnione watą, zamiast ciała.

Stefanja nie spała wtedy długo w noc, leżąc cicho z ręką na krawędzi trzcinowej kołyski, w której spało dziecko pod przykryciem zielonej kitajki.

Ciężki, rżęzący oddech męża przecinał ostrą gamą powietrze.

W rżeniu tem była jakaś walka ciężka, strasza, tragiczna, coś ze zdławionego zwierzęcia, które wszelkimi siłami pragnie zrzucić napastnika ze swego grzbietu.

Cicha, powolna praca trucizny rozpoczynała się już z nieubłaganą szybkością. Powoli, jak stado węzów wślizgiwała się w żyły, pławiąc się we krwi, która wielkim głosem domagać się tego jadu musiała.

I leżącej w milczeniu kobiecie zdawało się, że w chrapliwym oddechu męża słyszy świst złowrogiej gadziny, trjumfującej w dzikim uniesieniu.

Zamykała oczy, tuliła głowę w poduszki, lecz świat ten uragał jej usiłowaniami, ciągle wzrastający, szyderczy — zwycięski.

I wtedy — w piersi kobiety powstawała chęć silna do walczenia z tym niewidzialnym wrogiem, postanowienie zmierzania się z kłębiącą masą gadzin zionących jad trucizny.

Stawała do walki, nie mając nic w zapasie, prócz bezmiernej miłości, i walczyła już lata całe z hydrą stugłową, wiecznie potężną, tajemniczą, w swem zwycięstwie nieubłagana.

W walce tej zestarzała się, zniszczyła, stała się sługą swych sług, dziecka, namiętności męża — jego szalonych uniesień.

W walce tej — wzięła na swe wątłe barki utrzymanie domu, bo Michał pracować przestał. A mimo to walczyła jeszcze, postanowiła walczyć — do śmierci.

Lampa dogasała.

Stefanja powstała z klęczek i z po za komody dobyła blaszankę z naftą. Zwyczajem uświęconym tradycją, wykreśliła zapalony knot i naftę w rezerwoar lać zaczęła.

Napełniwszy rezerwoar, brener wkręciła, blaszankę znów na komodę ukryła i zbliżyła się do łóżka, przy którym stało duże pudełko lubiane starannie zamknięte.

Otworzyła wieko i do komody pudełko zaniósła. Przystawiła dwa krzesła, rozwidniła lampę, zasłaniając płomień od strony Michała książką rachunkową i, usiadłszy na

jednem z krzeseł, pudełko postawiła na drugim i rękę weni zanurzyła.

W całej masie gałganków i szmatek kolorowych, w resztkach błękitnej satyny, białego muślinu, wstążek i galonów, zółciły się konopianą barwą peruki niewielkich lalek, starannie na dnie pudełka ułożonych.

Lalki te drzemały spokojnie, z powiekami opuszczonymi na szklane, potworne źrenice, z których rozchodziły się promienie kresk naśladujących rzęsy. Uparte głowy z bombiastemi czołami, głowy źle sformowanych niemowląt, nikiły w masie złocistej filozeli roztrzępionej dokoła żółtawo różowych twarzyczek. Niektóre miały usta wpółotwarte, a w czarnej jamie połyskiwały tekturowe zęby przedzielone czarną linią tuszu, cienką i prawie niedostrzegalną.

Stefanja jedną z tych lalek wyjęła i ostrożnie zaczęła brać miarę jej ramion wąskich i spiczastych z odstającym popiersiem maski na połowie pleców.

Poczem, położywszy lalkę na brzegu komody, kawałek merli z pudełka dobyła i, nadciawszy nożyczkami, szybko przedarła.

Na łóżku rzucił się nagle Michał.

— Co to? — wybełkotał z trudnością spieczony język, od podniebienia się odrywając.

Stefanja odwróciła głowę.

— Nic! nic! śpij, proszę cię!

Lecz on już nie zasnął, tylko chmurnymi i krwią zabiegłymi źrenicami w plecy żony się wpatrywał.

Ona — krajała z merli małą spódniczkę, wycinając dół ostrożnie w ząbki.

Kręciła przytem głową i nerwowo zaciskała usta.

Skrajawszy spódniczkę, szukała chwilkę naparstka i nici na dnie pudełka, wreszcie znalazłszy, do zszywania brytów się zabrała.

Nowy ten rodzaj zarobku, wykonywany w nocy, w tajemnicy przed Heleną — wyprosiła u jednego z kupców ze składu zabawek na rynku, i zwłaszcza przed świętami Bożego Narodzenia dostawała naraż po kilka tuzinów lalek do ubierania.

Szyła tak długo chwilę; nagle szelest przerwał jej robotę.

Obejrzała się.

Michał powoli wysuwał nagie nogi z pod koldry, chłodząc je w dość zimnej atmosferze pokoju.

Cierpiał widocznie, bo cichy jęk wydobywał mu się

z warg zaciśniętych.

Stefanja szyc znów zaczęła, nie śmiejąc podejść do tego człowieka, który rano katował ją, ranił i obrzucał obelgami.

Tymczasem Michał cierpiał zwyczajną swą codzienną mękę, nie mogąc znieść rozgrzania się swych kończyn w pościeli. Z początku jedynie tylko uczucie podobne do łaskotania, przesuwania się pod piętami mrówek, dręczyło go po położeniu się do łóżka. Teraz zaś, pieczenie, kurcze, wreszcie straszliwe łamanie, zmusiły go do wysuwania nóg na chłodną przestrzeń, i do uśmierzenia w ten sposób choć chwilowo straszego cierpienia. Leżał tak długą chwilę, kąpiąc swe zbolale stopy w chłodzie atmosfery pokojowej.

Razem z uśmierzaniem bólu, wstępowała w jego duszę rozpacz straszna, ból ciężki, nieokreślony, pogarda dla siebie, litość dla kobiety, której ciało niedawno szarpał ze zmysłową radością.

Pochyloną jej postać widział teraz przed sobą w złotym świetle lampy i nagle ogarnęło go dziecinne prawie rozrzewnienie.

Łzy nabiegały mu do oczów, żyły na szyi nabrzmiały, drżąca wargę wstrzymała się na chwilę w swym bezustannym poruszaniu.

Wyciągnął sztywną rękę w stronę Stefanji.

— Żono! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem.

Słowo to spadło na jej pochyloną głowę jak uderzenie pioruna.

Odwróciła się szybko i, złożwszy robotę, siedziała jakby w oczekiwaniu powtórnego wezwania.

Lecz z ciemnego kąta, nie wybiegło już żadne słowo. Odezwało się tylko przyciszone łkanie.

Kobieta porwała się z miejsca i szybko do łóżka męża podbiegła. Płakał — ukrywszy głowę w poduszki.

Płakał, kaszląc chrapliwym, zdławionym głosem. Ona pochyliliła się nad nim łagodnie i pleców jego wstrząsanych łkaniem, lekko ręką dotknęła.

— Michaś!... nie płacz!... — wyszeptala.

Lecz ją samą zaczęło ogarniać serdeczne rozrzewnienie. Zaczęła usta, prostując się, nie chcąc poddawać się łzom, które ją wyczerpywały i na drugi dzień czyniły niezdolną do pracy.

Lecz on, gryząc rękaw koszuli, jęczał niewyraźnie, zdjęty zwyczajną nałogowym pijakom reakcją, bezsilną, a przecież pełną woli i chęci ocalenia się za jakąkolwiek cenę.

— Nikczemny jestem! Łajdak! potwór psia krew, którą święta ziemia nosić nie powinna! Jak psa zabić kto powinien, kiedy mnie takiego jak dziś, w nocy spotkał! Że też to Bóg

choćby piorunem z ziemi nie sprzątnie!

Stefanja ręce na piersiach zacisnęła.

— Michaś! nie pomstuj! lepiej proś Boga, niech ci ześle opamiętanie!...

— Opamiętanie? toż ja mam zawsze opamiętanie po łajdactwie... Aj, życie, moje życie!... aj, Jezu miłosierny!... a toż którego dnia powieszę cię i ciebie od takiego łotra uwolnię!

Lecz ona już do krawędzi łóżka przypadła, cała strwożona i drżąca.

— Nie mów tak, Michaś! — zaczęła szybko — to grzech! to Boga obraża i jeszcze więcej na nas nieszczęścia sprowadzi.

— Jakież nieszczęście jeszcze być może nad to, w czym się ja wałam? powiedz...

Łzy ją dławily.

— Walasz się, bo sam chcesz tego. Upamiętać się każdy może, kto chce.

— Toż ja chcę! chcę! Bogiem się świadczę. Ale niech tylko na próg Mańkowskiego wejdę, już po mnie!

— Czegoż tam chodzić?

Michał milczał chwilę, nareszcie wyszeptał:

— Tak proszą!

Stefanja gwałtownie głowę podniosła.

— Proszą!... — powtórzyła z goryczą — inni!... twoi przyjaciele! z ulicy pozbierani. A ja? ja, twoja żona, nie proszę cię, nie błagam, nie żebnę, abys kieliszka do rąk nie brał?...

— Prawda! prawda! prosisz... płaczesz... a przecież ja się upijam, jak bydlę i potem cię unieszczęśliwiam. Łajdak ze mnie! podlec! bydlę, nie człowiek. Że też sobie kiedy o jaki róg łba nie rozbiję, jak do ciebie pijany wracam! że też nóg nie połamię, aby więcej na tę przeklętą ulicę... Kopernika nie łązić...

Zastanowił się chwilę, brwi zmarszczył, jakby w pamięci szukał.

— Stefuś... czy to na... Kopernika ulicy jest Mańkowski?

Kobieta wstchnęła.

— Oj! żebyś ty zapominał tej drogi, pół życia bym za to oddała!

Lecz on nie słuchał, cały przejęty chwilową utratą pamięci, tem dziwnem zamajaczeniem mnóstwa nazw innych ulic, cisnących się ku niemu tłumem w półcieniu migocącej lampy.

— Kopernika ulica... czy Szeroka? Nie wiem! cóż u diabła!

Kopnął nogą w deskę łóżka.

Nie mam pewności!

Chciał dodać: „jutro zobaczę!” ale urwał nagłym przestrawieniem zdjęty.

Tymczasem Stefania z klęczek powstała i na krawędzi łóżka przysiadła.

— Przysylali dziś od Wesołych, czy nie możesz przyjść nastroić trzech sztuk.

— Dlaczegoż mi nie powiedziałaś?

Stefania przygryzła usta.

— Spałeś... nie chciałam cię budzić...

Lecz on wybuchnął znów narzekaniem:

— Pijany byłem! pijany! dlaczego nie powiesz tak, jak jest istotnie.

— Nie... nie... byłeś już zdrów... ręczę ci, tylko spałeś tak smacznie.

Michał westchnął ciężko.

— Ty to nazywasz smaczem spaniem? O!... żebys ty wiedziała, jak mnie taki sen męczy! Gdy po nim oczy otworzę, nie widzę nic! nic! prócz tłumy jakichś kolorowych światełek!... a w ustach pełno flegmy, którą się dławię po prostu. Pot z czoła mi płynie.

Stefania rękę wyciągnęła i na czole męża położyła.

— Wiem! wiem! przecież tak się męczysz już lata całe!

— A ty przy mnie, Stefuś moja!

Drżał cały, tak go ręka żony położona na czole paliła i bolała prawie, lecz całą siłą woli powstrzymywał się od wybuchu, aby nie dotknąć jej boleśnie, odtrącając pieszczotę.

— O mnie, mniejsza! — mówiła młoda kobieta pochyłona nad jego piersią — gdybyś ty... nie chorował! nie wracał do domu... taki, jak mi znów rano wróciłeś...

— Od tygodnia tego nie było! — tłumaczył się pokornie.

— Wiem... otucha w moje serce wstąpiła. Miałam nadzieję, że słowa dotrzymasz.

Delikatnie ręką gładziła mu czoło, skronie i schodziła aż ku policzkom.

On wyprężył się cały w strasznym bólu i dreszczu, który mu tył głowy chwytal żelaznymi szponami.

— Chciałem... nie mogłem!... — bełkotał, zaciskając usta.

Wreszcie drgnął całym ciałem i potrząsł raptownie głową, wysuwając naprzód dolną szczękę.

— Nie ruszaj! — jęknął rozpaczliwie — to boli!

Ręka młodej kobiety opadła.

— Przepraszam cię!... nie wiedziałam!

Przez długą chwilę panowało milczenie, przerywane tylko urywanym oddechem Dziudka, śpiącego niespokojnie w swoim łóżeczku.

Dziecko przewracało się ciągle, zdenerwowane, niespokojne, zgorączkowane pod aureolą swych złotych włosów, rozrzuconych na zgniecionej poszewce poduszki.

W świetlanym kręgu lampy sztywniała ciągle lalka, oczekująca na suknię, wśród mnóstwa muślinu i kolorowej gamy wstążeczek. Rozsypana garstka złożonych blaszek zapalała się żółtymi iskierkami w jasnym świetle.

Stefania wpatrywała się mimowoli w ten punkt migoczący, czując, iż powinna wrócić do swego zajęcia, lecz nagle zdjęta była lenistwem i chęcią pozostania w atmosferze łagodnego smutku, która ogarniała ją powoli.

Gdybyś ty raz jeden powiedział sobie: nie — zaczęła znowu cicho, jakby dziecko do snu kołysząc — gdybyś, odpocząwszy dni kilka, wziął się do pracy chętnie i z całą energią, jestem przekonana, że nie przysłoby ci na myśl, zagładać nawet tam, gdzie tylko chorobę i biedę napytujesz. No!... Michaś!... Michaś!... spojrzij mi w oczy i przysięgnij raz jeszcze, że się poprawisz, że się upamiętasz!... że więcej pić nie będziesz!... Przysięgnij!

On uniósł się na poduszkach i oba wychudłe ramiona ku niej wyciągnął.

— Stefuś, moja najmilsza, toż przysięgam na zbawienie duszy! na ciebie... że już mnie nigdy pijanym nie zobaczysz!

Cała naiwna wiara dziecka malowała się w tej chwili w jego krwią nabiegłych źrenicach.

Kobieta wybuchnęła nagle długo powstrzymywanym płaczem.

— Niech Bóg cię wysłucha! niech cię strzeże, mój ty, jedyny! mój ty, biedaku serdeczny!

Lecz nagle cofnęła się przed strasznym wyrazem, jaki przybrały jego rysy, jego źrenice rozszerzone i wlepione w przeciwną ścianę, w czarny zakąt, utworzony odsuniętą od ściany szafą.

— Michaś!... co ci?... powiedz!

Mężczyzna wyciągnął przed siebie drżącą, klekocącą kośćmi rękę.

— Co tam? co tam... w tym kącie?... — wyszeptał, silnie palce Stefani cisnąc.

Nieokreślona groza dźwięczała w tym szepcie, prze-

strach człowieka, tracącego świadomość siebie wobec nadprzyrodzonego zjawiska.

— Gdzie?...

— Tam!... tam!... o... porusza się!...

Mimowoli dreszcz trwogi poruszył Stefanję. Zdawało jej się, że i ona traci przytomność, i że to „coś” — niewidzialne, wystąpi nagle straszne, dławiące, z czarnych cieni, w których czai się spowite w nocną ciszę.

Lecz szybko — całą siłą woli otrząsnęła się z doznanego wrażenia i, wyrwawszy rękę z dłoni męża, ku szafie poskoczyła.

— Nic tu niema! patrz! nic pusto zupełnie!... czego się ty boisz?... wstyd! wstyd! ojciec rodziny!...

Próbowała śmiać się, biegnąc napowrót do łóżka męża, który opadł na poduszki blady, okryty nagle rześnistymi kroplami potu.

Pochyliła się nad nim, lecz on usunął ją drżącą ręką.

— Może... zasnę... — wybełkotał cicho.

Ona otuliła go kołdrą, odsłaniając mu wiecznie piekące i bolące stopy, które tylko w chłodzie rwać przestawały.

— Czy dobrze?

— Dobrze!... dziękuję ci!... a wiesz?... od jutra pić nie... bę... dę!... Wierzysz mi?...

Pochyliła się nad nim lekko i dotknęła jego włosów ustami.

— Wierzę!... śpij z Bogiem i dobrze!...

Odeszła od męża i do łóżeczka dziecka się zwróciła. Poprawiła kołderkę, poduszkę, naciągnęła na nóżki barchankę.

Dziudek wcisnął nos pomiędzy szczebelki i leżał skurczony, zwinięty w kłębek, z buzią pokrytą zwojami jedwabistych włosów.

Od łóżka dziecka zbliżyła się do komody, poprawiła lampę i, usiadłszy na krzeselku, po lalkę sięgnęła.

Odszukała napaśtek, igłę i włożywszy na biodra lalki kretonową spódnice, silnie ją do koszulki przyczepiać zaczęła.

Znów jasny krąg światła padł na jej schyloną, dziewczęco-kształtną głowę, zapalając srebrne iskierki na szczycie czaszki, złocąc się delikatnie koło konch usznych. I w ciszy nocnej zdenerwowana, zziębnięta, zmęczona, źle żywiona — wysilała swą biedną imaginację, aby stworzyć dla trzymanej w ręku lalki tualową balową, złożoną z tiulu resztek koronki i strzępków różowego adamaszku.

Dawało jej to czystego zysku — centów dwadzieścia,

to jest: jutrzejsze śniadanie dla niej, dla męża, dla dziecka i dla Heleny.

VI.

Przez całe dni dziesięć Michał dotrzymywał przyrzeczenia.

Nie pił, siedział prawie ciągle w domu, zajmując się kitowaniem okien, kłóceniem się z Heleną i wtrącaniem do zabawy z dzieckiem.

Stefanja pobiegła sama do składu fortepianów firmy Wesółych, i upozorowała niestawienie się męża chorobą, prosząc, aby po upływie dni kilkunastu, w razie potrzeby, przysłano po niego.

— Przeziębł się trochę — kłamała odważnie — nie wychodzi z domu, ale doktor zapewnia, że za dwa tygodnie najdalej zupełnie zdrow będzie...

Nie patrzyła wszakże w oczy właścicielce składu, która stała przed nią spokojna i surowa w swej jedwabnej, szczelnie pod szyję zapiętej sukni.

Wiedziała, że nałóg Michała znany jest ogólnie, a stan, do jakiego doszedł, znała ona jedna dokładnie, lecz nawet przed sobą samą przyznać się otwarcie nie chciała.

Gdy wyszła wreszcie na ulicę i wydostała się na Wały Hetmańskie, odetchnęła lżej, nagięła jakąś otuchą zdjętą. Zwróciła się na lewo, i szła teraz wałem, deptąc żółtą liście, ścielące się jej pod stopy.

Dzień był pogodny, jasny, przejrzysty — powietrze łagodne, szklane, jakby resztką ciepła letniego jeszcze prześiknięte.

Koło ławek bielących się wzdłuż trawników, czerniały kałuże błota, migocąc gdzieniegdzie w matowych odstępach. W kałużach tych, gniły liście, przybierając ciemno-brunatną barwę, podczas gdy inne suche jeszcze czerwieniały po brzegach gorącą farbą słoneczną.

Z trawników szaro-zielonych, powłoką liści zasłanych, sterczały pnie drzew czerwono-rude, z obwódkami szaremi na wypukłościach kory. Gałęzie nagie prawie, z resztką liści poczepianych, sterczały gęstym płotem pomiędzy białą masą domów, obejmujących ciasno aleję, niby koryto rzeki w złomy kamieni ujęte.

Stefanja szła wolno, rozkoszując się prawie przeczystą

jasnością, w której roztaczała się linja Wałów, rozlewająca się nagle w płaszczynę Marjackiego placu, prawie wesołego od świetlanej przestrzeni, w której majaczył posąg Dziewicy, po nad basenem marmurowym się wznoszący.

Jasna linja hoteli białych, czystych i zda się, na przyjęcie gości wiecznie odświeżonych, sterczała po prawej — cała słoneczna od białawego blasku z góry płynącego.

Natomiast po lewej, tajemnicze pogłębienia małych uliczek, ciemna barwa kamienic, chłoneła w siebie światło; i zdawały się wydzielać z siebie niepewną wilgoć tłustawych zakamarków. Zdaleka majaczyły sklepy, jak wielkie ciemne plamy z niewielkimi smugami światła z szyb wystawowych płynącymi. Koło fontanny stały rzędem dorożki, wielkie wehikuły próżne i smutne, przed którymi rysowały się kończaste zady końskie, przecięte liniami zrudziałych ogonów. Jeden z dorożkarzy oparty o drzwiczki landa, rozkładał w jasności dziennej czerwoną kamizelkę, obramowaną jasną linją piaskowego surduta. Inny naciągał na ręce olbrzymie, włóczkowe mankietki, cały granatowy pod rondem czarnego lśniącego cylindra.

Na stopniach basenu przykucał bezzębny dziad w szarym surducie i zawzięcie robił pończochę. Przed nim kręcił się jak fryga mały, biały piesek, chcąc uchwycić w zęby własny ogon.

Opodał, ze sklepu kapeluszy wyszedłszy, jakiś chłopiec przypatrywał mu się z otwartą gębą rozjaśniony, wesoły...

Plac był prawie pusty.

Jakaś święteczna na nim panowała cisza. Zdawało się, że w tej chwili, miotły stróżów oczyściły go należycie, na jakieś święto ludowe, i lada chwila tłum nadciągnie rozwartą, szeroką drogą ulicy Karola-Ludwika, wzdłuż zasypanej i krzakami porosłej Półtawy.

Lecz jedynie szata złocona posagu Archaniola migotała w świetle dziennym z czerniejącą u stóp Świętego bryłą cielska smoka. Jakiś krzaczek do stóp posagu przypadły, zachował trochę listków i świeżości, i drżał teraz w chłodzie jesiennym, czepiając się szarawego kamienia, prostego i gładko obciosanego.

Stefanja nie czuła chłodu.

Od rana samego trochę rzeźwiejsza, z chęcią niewyraźną uśmiechnięcia się do życia, szła w swej szarej, welnianej sukience i ciemnej żakietce, szybko tłocząc żwir placu, który z głuchym chrzęstem pod jej nogami ustępował.

Sprawiało jej to dziwną przyjemność.

Silnie przyciskała stopy, czując ostre kamyczki, wpijające się w podeszwy bucików i lechące ją niewyraźnie.

Grube, welniane pończochy paliły jej nogi; w ostrem zetknięciu z kamieniami czuła jakąś ulgę chwilową.

Minęła linję dorożek i przechodzić zaczęła ulicę wprost hotelu Europejskiego. Nagle, z zakrętu krzywej uliczki wypadła jednokonna dorożka napelniona młodymi ludźmi. Stefanja zawahała się chwilę, dorożka przecinała jej drogę; cofnęła się i nagle młoda kobieta poczuła w sercu niewyraźną trwogę, coś ją szarpać zaczęło w dziwny i niewytłomaczony dla niej sposób.

Dorożka z turkotem zatrzymała się przed bramą hotelu.

Z dwóch stron wyskakiwać z niej zaczęli młodzi chłopcy, silni, rozrośli, muskularni, prawie wszyscy w długich butach i kurtkach szczelnie na biodrach obcisłych.

Jakaś fantazja wiejskich junaków biła od nich, fantazja pozbierana wśród pól, łąk, w obcowaniu z koniem i ciepłym zapachem stajni.

Wysiedli wszyscy, okrążając ze śmiechem i nawoływaniem dorożkę.

Woznica na koźle miał także szczyptę miny junackiej, zapożyczonej od swych pasażerów.

Zmęczona szkapą robiła bokami, podnosząc żebrami opuszczone szleje.

Z bramy hotelu wynurzyła się nagle jakaś postać odziana szarem płótnem.

— Hu! ha!... Dublańczyki!...

Głos ten przeciągły, silny, trochę ochryply, zagórował nad całym gwarem dobitnie, ostro przecinając powietrze:

— Hu! ha!... Dublańczyki!...

Postać w szarem płótnie o mur oparta, zlewała się prawie z kamienną barwą murów hotelowych, i tylko twarz purpurowa, olbrzymia, niezarośnięta, czerwieniła się jak tafla lśniąca i rozlana.

— Jak się masz, Jasiu!...—wołali młodzi ludzie.

Jaś głową kiwnął.

— Całuję rączki! dobrze!... jeno kasztany coraz się więcej rodzą i nijak ich wyplenić nie mogę!...

— Co cię to obchodzi!

— Pan hrabia nie wie, jak to Jasiowi dopieka?

Nazwany hrabią—młody, delikatny blondyn, dość wysmukły i kształtny w swym długim, angielskim paltocie, ramionami wzruszył.

— Raz ci mówiłem, żebyś mi od hrabiów nie wymyślał!

Jaś głową pokiwał.

— Niechaj już taki będzie, nie hrabia, ale cygaro zdałoby się dawnemu Jasiowi!... Hu! ha!

Przytupywać zaczął w takt oberka, i w oczy blondynowi patrzył z pokornym łaszczaniem się zwierzęcia.

Blondyn cygarnicę dobył i, śmiejąc się, po cygaro sięgnął.

W tej chwili dorożkarz konia batem zaciął, odjechał w stronę ulicy Kopernika.

Nagle przed całą bandą roześmianych i rozweselonych Dublańczyków, którzy stojąc na trotuarze, pełnemi piersiami zgnie powietrze miejskie w płuca wciągali, odsłoniła się postać stojącej Stefanji, odcinającej się ciemną, dziewczęcą linią smukłych kształtów wśród powietrznej przestrzeni.

W rozwianiu złotawo-blond swych włosów, zarumieniona, z mimowolnym uśmiechem na białych wargach, miała w tej chwili wdzięk wielkiej prostoty, ubogiej schludności, wdzięk pełen ponęt w tej niewinności swojej, która zdawała się płynąć z fałd jej skromnej sukienki.

Blondyn, dobywający cygaro, zmrużył oczy i wpatrywał się badawczo w postać kobiety.

Ona, silną nieśmiałością zdjęta, czuła, że iść dalej powinna.

Spojrzenia tych dzielnych mężczyzn sprawiały jej ból, niemal dojmujący.

Chwilę trwało jej wahanie się.

Ochłonęła i teraz prosto ku grupie mężczyzn szła, usiłując patrzeć spokojnie po nad ich głowy, w ciemną otchłań bramy hotelowej, czerniącą się po za ich plecami.

VII.

Lecz oczy jej mimowoli wślizgnęły się i chwilę krótką zatrzymała na bladej, matowej twarzy blondyna, który wciąż cygaro w palcach trzymał i wzrokiem zbliżającą się kobietę śledził.

Szła dość szybko, prosta, jakby ciągniona jakąś tajemniczą siłą i oddech w jej piersi zaparł się nagle, jakby pod wpływem zbyt silnego wzruszenia.

Znalazłszy się obok nieznanego, ocknęła się nagle i zawróciła śpiesznie na prawo, mijając przejrzystą szybę

fotograficznej wystawy, pełnej płatów ciemnowych, pstrych rozrzuconych na gradusach, pokrytych aksamitem.

— Rudek!... idziesz do numeru? — wołali koledzy.

— Idę! idę!... — odparł blondyn, smukłą postać kobiety śledząc.

Już „durny Jaś“ podsuwał się z głupowato-przemądrym uśmiechem na czerwonej twarzy.

— Dowiedzieć się kto? — szepnął z usługnym uśmiechem.

Blondyn się zawahał.

— Nie! — odparł, marszcząc jasne brwi i gryząc wąsy — nie trzeba!

Na twarzy Jasia odbiło się szczere zdziwienie.

Zwyczajnie tego rodzaju propozycje przyjmował Rudek z radością.

— A cygaro?... — zawołał żałośnie.

— Masz!... nie skomlij!

Cygaro upadło na ziemię u nóg warjata.

Jaś szybko się pochylił.

— Bodajże zdechl! — przez zęby naturalnym głosem zamruczał.

Tymczasem Rudek wciąż za niknącą w oddali, pod murem hotelu Żorza, Stefanję patrzył zdziwiony tą ciszą, jaka nagle w duszy jego powstała. Zdało mu się, że cały tłum żądz i namietnostek, który przywoził zwykle do miasta w hulaśliwym towarzystwie kolegów, zasnął nagle, pozostawiając mu chwilę spoczynku.

W bladawo-srebrnym blasku jesiennego południa ujrzana mizerna twarz Stefanji, bieliła się teraz przed nim jak twarz świętej, ujranej nagle na przydrożnym rozstaju.

Stał więc wciąż nieporuszony i w jasną strugę światła patrzył, w której ciemna sylwetka kobieca drobniała, malała, wreszcie znikła zupełnie po za rogiem hotelu...

I drgnął cały, jakby ze snu zbudzony, gdy Jaś, wsuwając czerwone ręce w rękawy płóciennej kurtki, olbrzymimi krokami przez plac ku fontannie sadzić zaczął.

— Hu! ha... hu!... ha!... durny Jasio boso idzie! boso idzie... bo... so... i... dzie!...

Przeciągle głos idjoty zajęczał i zawisł w powietrzu. Rudek po rzole ręką przesunął.

— Taka panna!... pię... kna panna!... lwowska panna!... niebieskie o... czy!... hu! ha!...

„Niebieskie oczy!“

Tak — nieznaną miała błękitne, niebieskie oczy, zalawione, smutne.

Głos Jasia umilkł zupełnie.

Idjota przy fontannie usiadł i cygaro kozikiem krajał.

— Idziesz hrabia?

Przed Rudkiem stał teraz młody chłopak w eleganckiej marynarce, w aksamitnej dziołkiej, w butach lakierowanych.

Włosy silnie wypomadowane, lśniły się szeroką białą pręgą rozdziału po nad ciemnym, tego rozrosłym karkiem.

Twarz coldcremem i pudrem wytarta, nierówną miała cerę, szczególnie na nosie i policzkach zaczerwienioną.

Starannie rozczesana i dziwnie piękna broda nadawała twarzy jego formę kwadratową.

Daszek czapki przysłaniał oczy małe, otoczone silną, czerwoną obwódka.

— Idziesz, hrabia?—zapytał, cedząc słówka przez pomadką obciążnięte usta.

— Dokąd?—zapytał Rudek z roztargnieniem.

Dokąd? do Rotlendera, *parbleu!*

— Idź sam!

— *Perchê?*

— Czasu nie mam!

— *Mais...* chodź hrabia! Cóż powiedzą, gdy książe sam, bez hrabiego przyjdzie!

Rudek uśmiechnął się wzruszając ramionami.

— Tyle razy pana prosiłem, abyś mnie hrabią nie nazywał!

— O!... przesady!... Masz pan zupełne prawo do korony hrabiowskiej w herbie, tak jak my, Kuczkiryszczeni, mamy prawo do książęcej mitry. *Je vous donne ma parole!* Jest nawet mogiła Kuczkiryszczaka i Kuczkiryszczanki. Kurhan, *ma parole*, na dwa łokcie wysoki!...

Rudek machnął ręką.

— Chodźmy do Rotlendera, boś pan znów na swój kurhan wiaż!

— Bo mi nikt nie wierzy. Kuczkiryszczeni pieczętują się herbem Rudykoń, *Voilà...* Nie wiesz o tem, hrabia? To dziwne!...

Szli teraz w stronę ulicy Karola-Ludwika i Kuczkiryszczeni ujął Rudka pod rękę, prowadząc go ze szczególną ostentacją wzdłuż domów bramujących trotuary.

Idąc uderzał na prawo i lewo szpicrutą cienką, zakończoną czerwonym chwościkiem.

Jakaś kobieta wysoka i silnie opięta długim jasnym płaszczkiem, przemknęła obok nich.

Kuczkiryszczeni wykręcił głowę z uśmiechem.

—Wiesz pan, obejrzała się za nami! *ma parole*, obejrzała się!...

I poszedł dalej triumfujący, zwycięzki, pewny siebie ze sprawionego na przechodzącej wrażenia.

VIII.

— Leż cicho, cholero! bo cię kominiarz weźmie!

Dziudek głowę w poduszki wtulił i jednym okiem na Helenę spoglądał.

Dziewczyna kitowała okna, stojąc na niewielkim stoleczku, cała zamurzana szarą gliną, którą brała niewielkimi grudkami z rozłożonej na oknie bibuły. Dziudek leżał w łóżku matki, cokolwiek chory od rana, rozgorączkowany, z głową zbolalą i płonąca.

Chwilę trwało milczenie.

Helena ze stołka wdrapała się na okno, do załatania poprzecznej szpary się zabrała.

Dziudek głowę podniósł:

— Heleno!...

Dziewczyna nie odezwała się wcale, zajęta robotą, cała jasna od strugi południowego światła, które w jamę dziedzińca na chwilę zajrzało.

— Heleno!...

Dziecko nieśmiało wysuwało spieczoną gorączką usta.

— Czego?...

— Dziudek wody prosi!...

Dziecko znów na poduszki opadło, powolne i zmęczone. Zdawało się być poprostu przygniecione jakimś moralnym ciężarem i fizyczną niemocą.

W rozterce zdrowia i ducha zrodzony, miał w sobie bezustanny niepokój rozstroju nerwowego, który szarpał jego wątłem ciałem i czynił zeń plód niewyraźny, niewykończony, spalony już na miał w samem życia zaraniu.

Nie umiał się bawić długo w jednym kąciu, ciągle gnany nerwową potrzebą ruchu, przenoszenia się z miejsca na miejsce, ustawiczną chęcią zajmowania mózgu, który zdawał się poprostu pod czaszką wirować, podniecany i pędzony niefwidzialną mocą.

Często gości dziecka nie licowały bynajmniej z jego słowami. Wyciągał rękę w przeciwnym kierunku żadanego

przedmiotu. Patrząc — zdawał się wzrokiem przenikać i spostrzegać poza widzianą rzeczą lub osobą jeszcze dalsze horyzonty.

W nocy rzucał się niespokojnie, trapiiony jakąś silną trwogą, tulił się namiętnie w objęcia matki i łkał w półseny, okryty potem.

Przez jakiś czas napadała go potrzeba wydawania z siebie dzikiego wrzasku, który go dławiał i dusił.

Składał ręce i prosił:

— Mamusiu!... pójde do kuchni!... wypuszczę krzyk!...

Stefania zdjęta trwogą przed tym kaprysem dziecka, nie dozwalała na podobne wybryki.

Dziecko dławiło się i męczyło dzień cały.

W nocy porywało się z łóżka i z oczyma w ślup postawionemi wydawało z siebie wrzask dławionego zwierzęcia.

Powoli perjd ten burzliwy przechodził.

Dziudek się uspokajał, osowiał, miał w sobie ruchliwość ciągłą, ale bardziej systematyczną i jakby ujętą.

Tylko trwoga jego nocna, łkania i rzucania się wzmacniały się z przerażającą gwałtownością.

Stefania co chwila musiała się odrywać teraz od swoich lalek i zaglądać do łóżeczka dziecka.

Pochylała się nad synem, otulała go kołdrą, przykładła dłoń do rozpalonej główki.

I prawie zawsze oczy młodej kobiety, z postaci dziecka, biegły w ciemny kąt pokoju, gdzie na łóżku wyciągnięty leżał Michał, ze stopami bosemi, wysuniętymi z pod kołdry, z oczyma szeroko rozwartymi, i w biały krąg, utworzony od światła lampy na ciemnej przestrzeni sufitu, wpatrzonymi.

Nie pracował teraz, nie robił nic — ale nie pił, w domu bezustannie siedział, i młoda kobieta nie pragnęła już żadnej pomocy w trosce materialnej, którą przyjęła dobrowolnie i szamotała się z nią dnie i noce całe.

Powoli, Michał w bezczynność wtrącony, włócząc się po smutnych i pustych kątach mieszkania, na dziecko uwagę zwracał, nagłym paroksyzmem tkliwości ojcowskiej zdjęty.

— Niechże ci choć niańką będę — mówił w chwili swego rozweselenia, które przychodziło teraz nań razem z dojmującym bólem stóp w ciepłym zetknięciu z pościelą.

Dziudek jednak zachowywał się względem ojca opornie, zawsze chmurny, nieufny, i jakby sparaliżowany w bli-

szem zetknięciu z Michałem.

Sam zdenerwowany, nie mógł znieść drżenia rąk ojcowskich, które czyniły wrażenie odrębnych, ciągle się trzęsących zwierząt.

Te ręce zdaleka zaciekawiały go, zbliższa przerażały i wstrętem przejmowały. Otwierał usta, jakby chcąc krzyczeć przeraźliwie, lecz z trwogi nie śmiał, usuwał się tylko na ziemię i głowę krył w ramiona.

Michał wzruszał ramionami.

— A to dzikus!

— A jeno — wtórowała Helena — nic ci dobrego, taż kuli się niby zwierz, ni to dostępu. O, jaj, a rozprostuj się iżu!

Dziecko jednak kurczyło się coraz bardziej.

Ten ojciec, widziany tyle razy w zwierzęcem rozbewstwieciu, pijany i nieprzytomny, był dlań uosobieniem grozy.

Nie zdawał sobie sprawy z nałogu, nie wiedział o jego istnieniu, pamiętał tylko poranki szare, w których matka spłakana i blada, krzątała się koło katującego ją męża.

Wrażliwy umysł dziecka przyjmował tę tylko chwilę i przeżuwał ją bezustannie w swem moralnem osamotnieniu.

W zetknięciu się sam na sam z ojcem, pierwsze wrażenie olbrzymiało, potęgowało się.

Skurczony na podłodze, z oczyma przymkniętymi, wyobrażał sobie, iż nad nim stoi ciągle ten ojciec, ujrany w szarym blasku dnia wstającego, straszny, groźny, cały zielony, z oczyma krwią nabiegłymi.

Miał w sobie trwogę ludzi, mających jakiś umysłowy nieporządek, na widok warjata zbliżającego się do nich z wyciągniętą dłonią.

.....

Nareszcie Helena zeskoczyła z okna.

— Sałę to jutro obkituję! — wyrzekła, składając resztę kitu do bibuły.

Powalaniem rękami pogładziła sobie włosy, obciągnęła kaftanik, i stanęła przed małym lustrem, wiszącym nad komodą.

Pochyliła się i zaczęła uważnie przyglądać się zrastającym brwiom.

Wreszcie odwróciła się do dziecka.

— Nie śpisz, smarkulu? — zapytała groźnie.

Dziecko milczało, tylko głową bezustannie tarło o poduszkę, jak to czynią noworodki świeżo spowite.

— Czekaj! kominiarz jest w kuchni, zaraz go zawołam! a jak ci to mało, to ci czarną babę pokażę! Czy będziesz spał!... zobaczysz!

Po bladej twarzy dziecka przebiegli kurcz nerwowy. Głowa zatrzymała się w swym ruchu i malec leżał teraz nieruchomy, z powiekami silnie zaciśniętymi. Drzwi otwarły się szarpnięte nierówno.

Na progu stanął Michał.

Odziany był w stare palto ciemno-granatowe, włożone na nocną koszulę, rozciętą, jak zwykle, na piersiach. Niegolona broda zaczęła porastać ciemnym zarostem, i nadawała jego twarzy trupie wrażenie.

Z nóg mu spadały sukienne, zielone pantofle, obszyte czerwoną tasiemką.

— Gdzie kit?—zapytał ochrypłym głosem.

Helena ramionami ruszyła.

— A panu na co?

Miała w głosie zuchwałość sługi, znającej słabą stronę swego pana, uragającej z jego nałogu, pogardzającej jego nędzą i skarłającą postać.

— Okutuję salon nim pani wróci.

— Ta dajby pan spokój. Popsuje pan kit i tyle!

— Dawaj!

A ja nie dam!

Skierowała się do kuchni.

— Niech pan lepiej Dziudkowi barchankę zdejmie z pleców, bo go pani spirtem natrzeć kazala w południe. Ja tu zaraz wrócę.

Michał do łóżka się zbliżył, kontent, że dano mu wreszcie jakieś zajęcie.

— No!... chłopak!... dźwigaj się. Tatuś cię rozbierze!

Dziecko według zwyczaju głowę w poduszki wkopalo. Lecz Michał na krawędzi łóżka przysiadł.

— Nic ci, bratku, nie pomoże mówić, usiłując żartować, choć wieczny smutek i głucha, nieodstępna w stanie jego rozpacz nim szarpała—kiedyś grzyb, leż w kosz, kiedyś chory, lecz się!...

Drżącymi rękami barchankę z syna ściągnął, macając, szarpiąc, odkrywając bladawo-żółte ciało dziecka, niezdrowe i jakby białym tłuszczem nalane.

Chwilkę zastanowił się nad tą trwogą, jaka widocznie Dziudka za każdym zbliżeniem przejmowała.

— Czego się tak chowasz? — zapytał nagle, trzęsącą się ręką nagie plecy dziecka gładząc. — Dziudek...

nie bądź głupi, odwróć się do mnie.

Usiłował się uśmiechać, lecz na jego wychudłej twarzy była jakaś boleść nieokreślona, spotęgowana silnem podrażnieniem organizmu, żyjącego od dni kilku w przymusie i braku koniecznej mu już trucizny.

I delikatnie znów ręką po ciele dziecka sunął, aż nagle do karku doszedłszy, na kędziory włosów natrafił.

— Dziudek!... odwróć się! — prosił jeszcze, lecz już ciszej i jakby zdławionym głosem.

I nagle palce kurczowo w złociste jedwabie włosów wplótł, ręce skurczył, czując szalone, prawie bolesne łaskotanie w wewnętrznym kącie zgięcia łokciowego.

Dziecko szarpnięte za włosy tak silnie i nagle, nie jęknęło nawet, lecz puszczone przez ojca, głębiej się jeszcze w pościel wkopalo.

Michał rękę z włosów dziecka wyplątał, zawstydzony tym brutalnym czynem, z którego sobie poprostu sprawy zdać nie mógł.

Zdawało mu się, że to jakaś inna istota w nim będąca, zacisnęła mu palce w kaskadzie tego złotego jedwabiu i ścisnąć ręce kazala.

On sam w tym czynie woli nie miał i dopiero po dokonanym fakcie go poczuł.

Zmieszany, niepewny, powstał i po pokoju się przechadzał, nie odważając się zbliżyć do tej drobnej istoty, żółcącej się nagim szmatem ciała wśród bieli poduszek i prześcieradeł.

Drzwi od kuchni otworzyły się.

— Rozebrał pan Dziudka?

— Rozebrałem.

Dziewczyzna do łóżka podeszła.

— O!... jak się to nażyło, jakby mu kto co złego zrobił.

Nalala na szorstką dłoń spirytusu i, pochyliwszy się, plecy dziecka trzeć zaczęła.

— To się pani coś ubrdało, że mu to polepszy na chrypienie.

Śmiała się, ruszając ramionami.

— A jużci! pomoże!... jak umarłemu kadzidło.

W kuchni nagle coś syczeć zaczęło.

Helena porwała się od łóżka.

— Na! niech pan weźmie spirt i natrze dziecko, mnie się obiad przyswędzi!

Szasnęła spódnica, wpadła do kuchni i drzwi z trza-

skiem zamknęła.

W pokoju został Michał sam na sam z dzieckiem. Trzymał w ręku butelkę, na której dnie było trochę spirytusu.

Postąpił do łóżka i z wysiłkiem na dłoń trochę płynu nalał.

Dziecko ciągle odwrócone, nagie, czekało.

Michał zachwiał się na nogach.

Gorąca woń, ostra i nudząca — woń alkoholu rozeszła się w powietrzu.

Zgłodniały pijak rozszerzył nozdrza, otworzył usta, w których nagle zabrakło na chwilę śliny, szczęki ścigać mu się zaczęły.

Wyprostował się, chrząknął, klatkę piersiową naprzód wysunął i, wstrząsając głową, płyn na plecy dziecka wylał.

Nierówno, w ciągłych podskokach, dłoń przesunął, tymczasem woń ostra, gryząca, wznosiła się coraz triumfalniej, coraz potężniej i ogarniała go całego. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

Obejrzał się po pokoju.

Był sam, bo dziecko leżało jak martwe, jak trupek do śmiertelnego obmycia gotowy.

W kuchni Helena siekała buraki.

Suchy łoskot tasaka uderzającego o stolnicę wpadał w ciszę z przerażającą dokładnością.

Michał pot z czoła otarł.

Miał pełne usta śliny i nudności go porwały nagle i gwałtowne.

Splunął raz i drugi — i znów spirytus na dłoń nalał. Lecz teraz — zanim ciecz na plecy dziecka wylał, niósł rękę powoli koło nozdrzy rozdętych, jakby z lubością napawając się brutalną wonią.

I nagle wargi roztworzył, usta wyciągnął, lecz znów się cofnął straszny, błądy, wycieńczony tą walką, staczaną z najwyższym swoim wrogiem, który mu w żyły się wpił, w krew wszedł.

Helena przestała siekać i wyszła z kuchni, zamykając drzwi za sobą.

Nastąpiła wielka cisza.

Siedzący na krawędzi łóżka mężczyzna z butelką w ręku, miał wyraz twarzy groźny, tragiczny prawie, pomimo trywialnej powszedniości otoczenia tych mebli ubogich, w świetle porannem jeszcze uboższych i ścian oblepionych szarem obiciem w drobne różowe kwiatki.

Była to cała tragedia cicha, a przecież przepotężna,

bijąca z drgających pożądliwością mięśni twarzy, z ust w pół otwartych, nagle jakby wzdętych i sączących wąskie nitki śliny.

Klatka piersiowa nagle w głąb wciągnięta, zdawała się zniknąć zupełnie pod cienką obsłoną koszuli, natomiast grzbiet wygiął się w kabłąk, jak u kota wietrzącego wroga i gotującego się do walki.

Długą chwilę siedział tak Michał z ręką oblaną spirytusem, który ściekał czystymi jak szkło kroplami na podłogę i rozlewał się na deskach w ciemne i nieregularne gwiazdy, czerwone, jakby krople krwi świeżo otrąśniętej.

Przeszło tydzień całą siłą swej słabej i nadgnilej woli wstrzymywał się od wiania w siebie płonących trunków, które sączył z dziką jakąś rozkoszą w zadymionej salce na ulicy Kopernika.

Przeszło tydzień nie wychodził o północy z handlu, silny i podniecony, aby w gronie kilkunastu zdemoralizowanych i jak on przesiąkniętych alkoholem ludzi — włóczyć się het, aż pod rogatki Żółkiewskie, dobijając się gwałtownie do nawpół przymkniętych szynków i nor, pełnych obdartusów, i tam wieszać swój wytarty cylinder z tłumem czapek i kaszketów, i stawiać „kolejki“ fałszowanych wódek na brzegu blachą obitego szynkwasu. Lecz już jak zgłodniały zwierzę nagle dopuszczony do żeru, tak teraz wciągał woń alkoholu w siebie, drżący i niepewny, czując, że za minutę przestanie panować nad sobą i ulegnie pokusie.

Ku drzwiom rzucał niespokojne wejrzenie, pragnąc, aby Helena weszła, i bojąc się chwilami tej przeszkody, która odebrałaby mu możliwość dręczenia się dalej rokosznie, w tej cuchnącej woni tak dla niego drogiej i niemal do życia mu potrzebnej.

Nagle cichy, stłumiony, do jęku kociaka podobny kaszel wstrząsnął nim całym.

Dziudek kaszlał, ukrywając głowę w poduszki.

Michał drgnął cały, jak od uderzenia szpicruty, kilkakrotnie podskoczył na łóżku, obracając się całym korpusem, i z krzykiem nieludzkim, w którym drgało całe zwierzę przed śmiercią się broniące — cisnął flaszkę ze spirytusem na ziemię.

— Nie!... nie!... — wycharczał zdławionym głosem.

Porwał się z łóżka i, z rękoma naprzód wyciągniętymi, rzucił się ku drzwiom, niepewny, drżący, macając jak ślepy deski, szukając klamki.

Usta teraz zaciął, wargę dolną zębami przygryzł i cią-

gle wyrzucał z siebie krótkie, chrapliwe, urywane dźwięki.

Wreszcie klamkę znalazł, drzwi szarpnął i do dalszych pokoi wpadł, nie obejrzawszy się nawet za siebie, spocony, zdyszany, jakby przez całą masę furji piekielnych goniony.

.....

Jak wielkie skrzydło szare o stalowo-błękitnym odcieniu, zapadał zmrok ponad miasto osunięte w dolinę, do ziemi przypadłe, dokoła szaro-żółtymi górami ściśnięte.

Ponad dachami domów zmrok ten słał się powoli, czepiał jak pajęczyna nikła, a przecież ściśnięta, i zdawał się w dół, uwypuklającą się masą opadać, ze stoków gór, zapadających w niepewne światło, chwilami blado-różową rozjaśnione linią.

Od strony szarych mas Kopca nadpływał jakiś mrok żółtawy, dżdżysty i usuwał się powoli w zarośla całe czarne od sterzających pni drzewnych i powalonych gałęzi.

Tymczasem na środku całej masy dachów, wieża ratuszowa prosta i gruba, przebijała z siłą zgęszczające się mroki, a zdala Święty Jur, cały żółty na wzniesieniu, miał jeszcze w sobie wyraźny rysunek swych śmiałych linii.

Tu i owdzie zabłyскиwało powoli światło gazowe, blade, niezdrowe, jakby krepą przyćmione.

Cały żalobny sznur znaczył teraz plant kolei, nasypany wysoko i opasujący miasto, niby sznurem lekko nanizanych topazów. Lwów układał się do snu cichy, spokojny, jako zwierz kontent ze swego wśród gór i zarośli legowiska.

I tylko jak źrenice płowe o złotawych odblaskach, mięły czasem wśród szarej mgły kopuły kościołów, albo krzyże wież katedralnych.

Wreszcie wszystko zagasło.

Całe miasto w szarą parciankę jesiennego zachodu spowite, leżało martwe napozór i wystygłe, i tylko jak wielkie mrowisko, całe masy ludzi wewnątrz poruszać się zaczęły, gnane namietnością lub gonitwa za chlebem, rzucając się i szarpiąc, targając swe życie i życie drugich — przecież nie mogąc poruszyć z posad olbrzymiego cielska zwierzęcia, które drzemało królewsko w swem gnieździe, apatyczne i pogardy pełne.

.....

Dziudek leżał wciąż na łóżku matki z twarzą wko-

paną w całe stopy poduszek.

Po wyjściu ojca pozostał tak nieruchomy, żółcąc się

jasną plamą anemicznych pleców wśród białych fałdów płócien.

Nad główką jego przeleciał nagle krzyk ojca, krzyk rozpaczliwy, charczący, równocześnie z brzękiem rozbrzgującej się o podłogę butelki. Dziecko, jakkolwiek przyzwyczajone do tych scen piekielnych, w których żyło — doznało silnego wewnętrznego wstrząśnienia.

Krzyk ojca zawsze działał nań jak oddalone uderzenie pioruna. Paraliżował je na chwilę, zimny dreszcz wstrząsał niem całem. Późem następowało uczucie bezmiernego smutku i jakiejś nieokreślonej tęsknoty.

Za czym?

Tego Dziudek wytlómaczyć sobie nie umiał. Nie za objęciem matki, bo chłopiec wiedział, iż w takich chwilach matka, krzając się koło ojca, uwagi nań nie zwraca.

Ta tęsknota więc, która mu serce szarpała, tworzyła naokoło niego pustkę ciemną i bezdenną. Czuł się sam, opuszczony, zgnębiony.

Chował główkę pomiędzy stos poduszek, jak strusgnany przez myśliwych i wyczekiwał ciągle jakiegoś ciosu, który miał nań spaść nagle i zgruchotać jego drobne ciało.

Nagle drzwi skrzypnęły i Helena ukazała się na progu.

Ciemno już było prawie, bystre oczy dziewczyny różniły jednak nagie plecy Dziudka pośród pościeli.

Pociągnęła czarną chustkę, którą miała na grzbiecie i szybko zbliżyła się do łóżka.

Po drodze utknęła na rozbitą butelkę.

— Bodaj cię! — zaklęła.

Schyliła się, kawałek szkła weszło jej w rękę.

Krew pociekła ciepłą strugą.

— Cholera! bestja! zbił butelkę!...

Zaczęła z wściekłością wysysać krew z rany, i razem z tą ciepłą posoką, która wypełniała jej usta, zaczęło się w niej budzić zwierzę drapieżne, trywjalne, pełne chęci pastwienia się i znęcania nad jakąś bezsilną istotą.

Nieskaleczoną ręką uderzyła Dziudka w plecy.

— Ty skocie! ty butelkę stłukł? ty niemrawo!

Dziecko drżeć zaczęło, ale nie odwróciło głowy.

— Ja ci tu pokażę butelki tłuc! paniczu! hrabiczu! łatyndo! Bieda dziurami prześwieca, a ten po butelkach bumbluje!...

Wściekłość jej wzrastała; uderzywszy raz dziecko, poczuła nieprzepartą chęć uderzania raz drugi i trzeci.

Miękie ciało, które usuwało się pod jej kościstą pięścią, sprawiało jej rodzaj zadowolenia.

— Przez ciebie koszlawcze se rękę rozorałam! masz! masz! masz!... to ci pokaże, jak szkłem o ziemię ciskać.

I nagle porwawszy dziecko pod pachę, odrzuciła je na wznak, jak pakunek brudnej bielizny.

— Łba nie chowaj jak zwierz! lampartować się to umiesz, jak twój tacio!... czekaj!... baba idzie, baba cię weźmie!...

Chustkę z pleców pociągnęła na głowę i twarz nią okryła.

— Buu! buu!...— zaczęła chrapliwym głosem, pochylając się nad łóżkiem.

Dziudek szoroko oczy rozwarł, i w tej samej prawie chwili je zamknął, zaciskając mocno powieki.

Drobna jego twarzyczka zmarszczyła się w tym momencie jak twarz starca.

Pod delikatną skórę skroni przebiegały prawie niewidzialne dreszcze.

— Buu! buu!... charczała Helena.

Pochylała się teraz tak blisko dziecka, że czarną wełną chustki dotykała prawie jego główki.

— Buu!...— rzuciła mu prawie w samą twarzyczkę, która miała żółtość woskową trupa jeszcze nie stężalego.

Prawie z uśmiechem zasiadła dziś Stefanja do obiadu.

Dostała nową lekcję na jednej z pensji i przyrzeczono jej w czasie karnawału kilka wieczorów, na których miała grać do tańca. Powróciwszy do domu, zastała Dziudka leżącego w pościeli, dobrze okrytego kołdrą, z twarzyczką wprawdzie pobladłą, ale spokojnego i cichego nad wyraz wszelki.

Michał siedział w saloniku pogrążony w smutnej zadumie i prawie gorączkowo uczeplił się rąk żony, które mu podawała na powitanie.

Belkotał szybko i niewyraźnie o tem, że zajmował się Dziudkiem, że chłopiec nie kaszlał, i że on, Michał, czuje się zupełnie zdrowym. Zdejmował z niej żakiecik i nagle Stefanja doznała ścisnienia serca, czując szarpające ruchy, jakie drżące ręce mężczyzny na jej plecach wykonywały.

Wprędce jednak opanowała wzruszenie.

Poprawiła nakrycie stołu, dobiła grubą solniczkę, na-

pełniła ją w kuchni solą, pokrajała chleb, nałożyła ze słoika ćwikły na głęboki talerz, i zbliżyła się do łóżka, na którym wciąż nieruchomo leżało dziecko.

— Może Dziudus do obiadku wstanie?—zapytała, pochylając się z pieszczotą.

Dziecko oddychało leciuchno, tuląc skurczone piąstki do piersi okrytej białym barchanem.

— Dziudku!... są naleśniczki z powidłami!... wstaniesz, co?...

— Dobrze, mamusiu.

Usiadła na krawędzi, posadziła dziecko i delikatnie, ostrożnie, zaczęła wkładać mu na nóżki pończoszki.

Nagle porwała jego jasną główkę w obie ręce i ucałowała ją serdecznie.

— Skarbuś mamusi!— powtórzyła kilkakrotnie.

— Natarli ci plecki? powiedz, Dziudek? — pytała, ubierając go dalej.

Dziecko nie mówiła nic, ciągle zastraszone, bierne, jakby senne, z oczyma nawpół przymkniętymi. Lecz ona pełna jakiejs werwy, nie zwracała na to uwagi, szczęśliwa, że mały nie kaszlał, i w braku wiadomości higienicznych przypisując to polepszenie natarciu pleców spirytusem.

— Widzisz, synku!... — mówiła, stawiając już na wpół ubrane dziecko na podłodze — leżałeś cały dzień w łóżeczku i kaszel minął. To babuś tak robiła zawsze, jak kaszlała i potem zdrowa była. Odwróć się, kotku!

Zapinała teraz mały staniczek z szarej flanelki, który przytrzymywał majteczki zamiast szelek.

Podniosła oczy i spojrzała w okno.

Tak jej teraz było pogodnie, że nawet ciemna przepaść studni podwórza wydała jej się nie tak ponurą.

Tylko firanki, zwieszające się od okna, trochę przybrudne były, i w cieniu zalegającym powoli pokój, czarnych cieni nabierały.

— Trzeba je kazać wyprać! — pomyślała, szukając kurteczki w rzeczach poza szafą w kącie wiszących.

Znalazła kurteczkę i znów przy dziecku przykleła.

Przez otwarte drzwi jadalnego pokoju widać było stół nakryty ceratą, na której bieleły się poustawiane talerze.

Na kredensie, zapalona przed chwilą przez Stefanję lampa, białe rzuciła na ziemię i szkło szyb koło.

W kole tym, pochylony, stał Michał i usiłował przykręcić knot, który filował.

Lecz ręce mu drżały i trącały co chwila przyciemkę,

naprawdę siląc się za kurek pochwycić.

Stefanija głowę pochyliła.

— Michciu!... proszę cię!... nie ruszaj lampy!

Lecz on obruszył się, jak dziecko, któremu zakazują ulubionej zabawki.

— Knot chcę przykręcić! — odpowiedział.

— Lampa zepsuta, a jedna umiem się z nią obchodzić!...

— A... kiedy tak.

Odszedł i zbliżył się do stołu, udając, że wierzy w rzucaną przez żonę wymówkę, wdzięczny jej za to ocalenie od śmieszności, na jaką się narażał.

Usiadł przy stole spokojny, cichy, smutny i jakby zrezygnowany.

Sam widok przygotowanego jedzenia ścisnął mu gardło.

Postanowił jednak jeść, aby powrócić całą siłą woli do normalnego trybu życia.

Uskubał kawałek chleba, umaczał go w soli i pożył.

Przełknąć go jednak nie miał odwagi.

Tymczasem Stefanija skończyła ubierać dziecko i teraz sama przyglądała włosy i zmieniała suknię. Dziudek stał ciągle koło łóżka, jak zahipnotyzowany, z głową pomiędzy ramionką wciśniętą, jakby oczekując jakiegoś ciosu.

Stefanija coś nucić zaczęła.

Jako natura nerwowa, niezmiennie łatwo poddająca się zniekaniu i ożywiająca się lada pomyślniejszym podmuchem, odczuła się prawie omlodzoną w tej ciszy, i niby rodzinnym ciepłem, jakie ją owiewało.

Mąż spokojny, milczący, czekający na nią poza stołem, dziecko zdrowsze tuż przy fałdach jej sukni, pieniądze za lekcje prawie wszystkie ściągnięte, to ciepło jesienne na Walach Hetmańskich, w płuca wciągnięte, sprawiało jej aluzję chwilowego spokoju.

Śpiewała więc cichutko, kładąc kapelusz do pudełka i wsuwając go pod łóżko.

Nagle z kuchni dał się słyszeć chrapliwy głos Heleny:

— Zamiast śpiewać, kupiłaby pani lepiej deskę do prasowania!

Głos uwiązł w gardle Stefaniji.

Lecz już za chwilę powróciła do równowagi.

— A kupię! kupię! — rzuciła prawie z przechwałką — i nowe dusze także!

— Aha!... w krzywy piątek po niedzieli! — odrzuciła sługa!

— Dobrze! dobrze... Idź tymczasem kup cukru miał-

kiego, a ja sama wazę podam!

— Już rosół zasypany.

— Dobrze! ja go wleję!

Wzięła Dziudka za rękę, wprowadziła do jadalni, przysunęła wysokie krzesło z poręczami, podłożyła poduszczykę perkalową w kwiaty i posadziła dziecko.

Potem z kredensu zdjęła lampę i postawiła ją na stole, starannie knot wkręcając.

Michał śledził jej ruchy z uporem manjaka.

— Mówiłaś, że popsuta!

Ona uśmiechnęła się doń przez odległość stołu, pełna pobłażliwości dla tego smutnego człowieka, który siedział zgębiony, czepiając się drobnych, powszednich faktów, aby zaznaczyć w jakimkolwiek sposób swą chorobliwą żywotność.

— Popsuta jest! i ja jedna znam jej tajemnicę! — rzuciła mu, wiążąc duży ceratowy śliniak pod brodę Dziudka.

— Teraz idę po rosół, wrócę natychmiast!

Wyszła, pozostawiając przy stole ojca i dziecko, oboje milczących, ponurych, w światło lampy wpatrzonych.

Koło ust Dziudka zarysowały się dwie głębokie fałdy i jasna maska jego twarzyczki w uderzający sposób przypominała w tej chwili spieczoną twarz ojca.

— Oto rosół! — wymówiła triumfalnie Stefanija, wnosząc niewielką wazkę, w której sterczała chochla.

Wyciągnęła rękę po talerz Michała, uprzedzając ruch jego drżących palców.

— Będziesz jadł dużo? — zapytała, czerpiąc w wazie.

— Tak!... — wybełkotał mężczyzna, ciągle w płomień lampy wpatrzony.

Wreszcie wzrok ku żonie skierował.

— Filowała jeszcze, jak wyszłaś, poprawilem — wyrzekł pośpiesznie.

Kłamał, chcąc się w jej oczach okazać silniejszym, aniżeli był w istocie.

Ona spoglądała nań ze zdziwieniem.

— Tak?... — urwała, zrozumiała kłamstwo i ogarnęło ją rozrzewnienie wielkie.

— Odkryłeś mój sekret! — zażartowała, stawiając przed nim talerz pełen zupy.

Wzięła talerzyk dziecka, i w tej samej chwili przed jej oczyma mignęła jasna głowa młodego Dublańczyka, ujrzana przed bramą hotelu na placu Marjackim.

Kilkakrotnie w ciągu dnia powracała do niej ta wizja zaledwie w przelocie dostrzeżona, i to powracała najnie-

spodziewaniej, czyniąc jej jakiś niepokój.

— Jedz, Dziudus! — wyrzekła, kładąc dziecku łyżeczkę w rękę.

Chłopiec ujął machinalnie podawany przedmiot, lecz nie spieszył do jedzenia, skłaniając główkę na ramię, jakby snem zmęczony.

Stefanja w tej przygnębiającej ciszy, w tym ponurym smutku, zaczęła tracić swą sztuczną wesołość, którą wniosła ze sobą i otuchę po drodze nabytą.

Zdawało się jej, że jakaś żelazna obręcz powoli zaczyna opasywać jej skronie i ugniatać silnie, bieg krwi tamując.

Usiłowała jednak ożywić się cokolwiek.

— Byłam u Wesołych! — zaczęła po chwili wahania.

Michał położył łyżkę, którą przebierał w talerzu, nie mogąc się zdecydować do przełknięcia zupy.

— I cóż? — zapytał.

Niedługo przysła po ciebie, obiecali!

A!

Nastała znów chwila milczenia.

Dziudek nie jadł, trzymając z wysiłkiem łyżeczkę w skostniałej dłoni.

— Nie jesz, Dziudku? — zapytała Stefania.

Teraz dopiero, przy żółtem świetle lampy, dostrzegła bladeść dziecka, zsiniałe i odęte usteczka, zesterzenie całe twarzyczki, i osłupiały wyraz oczów, jakby zestraszonych i niepewnych, ukośnie spoglądających.

— Co ci to synusiu? — zapytała pochylając się ku dziecku, lecz ono nagle, wyprężyło się jak struna, otwierając szeroko oczy i usta, w których zabłysnął stężały i suchy język. — Oczy wlepione w jeden punkt, we drzwi stołowego pokoju, rozszerzyły się potwornie i pozostały już tak nieruchome, gdy całe ciało drgało wirowemi rzutami, gnąc się w kablak coraz więcej, z rękami skurczonemi na zewnątrz, z nogami silnie opartemi o deszczułkę stołeczka.

Stefanja porwała się jak szalona, chcąc dziecko w ramiona pochwycić, lecz ono silniejszym rzutem pchnęło krzesło, i upadło w tył, odbijając się głową o ziemię.

We drzwiach stała Helena osłonięta czarną chustką, z paczką mialkiego cukru w ręku...

Stefanja do dziecka przypadła, oswobadzając jego drobne ciałko ze szczebli krzeselka, pomiędzy którymi drgało podrzucane w rozliczne skrety.

Trochę żółtawej piany ciekło z kącików ust strasznie

wykrzywionych, odsłaniających białe zupełnie dziąsła.

— Jezus! Marja!... on ma konwulsje! — jęknęła Stefania.

Chwyciła się za głowę, niewiedząc co czynić, odwróciła się, szukając męża, który drżący i pobladły wciskał się w kąt pokoju.

Wreszcie oprzytomniała i porwała za róg chustki Heleny.

— Dawaj!... — wycharczała zdławionym głosem.

Chustkę na szamoczące się dziecko zarzuciła i teraz sama ukłękła na straży, groźna, z oddechem zapartym, patrząc na tę czarną bryłę szarpiącą się w strasznych podrygach, w piekielnej męczarni, w szale krwi drgającej nierówno, tajemniczo — jakby chcącej wyrzucić ze siebie jakieś trujące pierwiastki.

IX.

— Zechciej pani dziecko ubrać, ja tymczasem zadzwonię i potrzebne rozkazy wydam!

Stefanja pośpiesznie kurteczkę Dziudka z dywanu podniosła i zaczęła na rączki dziecka naciągać. Zmieszana była niezwykłą dobrocią doktora.

Gdy na drugi dzień, po ataku konwulsji Dziudka spóźniła się na lekcję, w formie usprawiedliwienia, wybełkotała wchodząc do salonu:

— Dziecko moje zachorowało nagle, przepraszam za opóźnienie!

Stojąc przy fortepianie, Jadwinia nie podniosła nawet swych spuszczonej powiek i jak sędzia surowy a nieubłagany, bez cienia współczucia na wybladłej twarzy zasiadła do klawiatury, z której wybiegł cały deszcz suchych, urywanych tonów.

Lecz gdy Stefania po lekcji weszła do przedpokoju, zastała drzwi od gabinetu lekarza uchylone, a w nich jak cień płaską sylwetkę dziewczynki.

— Tato prosi panią do siebie!

Weszła, cała spłoniona, drżąca, niezgrabna w tem jasnym świetle z okna na wpół przysłoniętego płynącym.

Doktor stał przy biurku, oparty na kulach, cały ciemny, z bladą tylko plamą swej twarzy przeciętą czarnym brwi łukiem.

— Przyprowadź mi pani dziecko!—wyrzekł na zakończenie rozmowy.

We dwa dni później, Stefanja usiadła na jednym z fotelików, mając oczy wlepione w złotą główkę synka i jego nagie piersi, które były różowo-żółte jak kwiat mistyczny, wykwitły z faldów opuszczonej na biodra koszulki.

Dziecko stało na stole, ciche spokojne i zaledwie tylko drżenie opuszczonych w podkówkę ustek zaznaczało w niem wzburzenie wewnętrzne.

Na małym szmacie jego nagiego ciała czerniła się głowa doktora, który uważnie badał, słuchał tajemnicy wnętrza, napozór zamkniętej, a przecież więcej, niż niejedna rozwarta księga czytelnej.

I po długim badaniu, do Stefanji się zwrócił:

— Zechciej pani dziecko ubrać! ja zadzwonię!

We drzwiach ukazała się Jadwinia.

— Jadziu! proszę cię!... zabierz stąd malca!

Dziewczynka ciągle zimna i szttywna, jak lalka z kartonu wycięta, do chłopca się zbliżała.

Chodź ze mną! wyrzekła cichym głosem wyciągając rękę.

Mały zawahał się chwilę, na matkę się oglądając.

— Idź Dziudku!—prosiła Stefanja.

Malec rączkę podał, przyzwyczajony do slaniania się przy boku obcych, i podreptał obok zawsze surowej i chmurnej dziewczyny.

Wreszcie oboje we drzwiach znikli.

Portjera za niemi zapadła.

— Siądź pani, i odpowiadaj na moje pytania.

Stefanja usiadła, mnąc w rękę fałdy swej sukni, było jej tak w duszy, jak gdy po raz pierwszy przystępowała do krates konfesjonału.

— Ile lat ma dziecko?—spytał doktor.

— Cztery.

— Jedno?

— Tak!

— Ile lat masz pani?

— Dwadzieścia trzy.

— Dlaczego tak młoda pani za męża poszła?

Stefanja oczy spuściła ku ziemi.

— Tak się złożyło.

— Żle się złożyło. Mąż pani o wiele starszy?

— O sześć lat.

Doktor ramionami wzruszył.

— Zdrow?

Nastąpiła chwila milczenia. Stefanja odrazu nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

— Zdrow...—wybełkotała po chwili.

Doktor patrzył na nią z pod brwi krzaczastych.

— Czy mówisz pani prawdę?

— Prawdę.

W jej przekonaniu nie kłamała w tej chwili. Według niej, Michał był zupełnie zdrow. Pił tylko, a to przecież jako chorobę uważać nie można.

W zaciśniętem swem pojęciu — pijaństwo liczyła do siedmiu grzechów głównych. Grzech przecie nie jest chorobą.

— Skoro pani mówisz, że mąż jej jest zdrow, wierzyć w to pragnę. Leczyć jego rodzina, kto są jego rodzice?

— Nie wiem... nie żyją!

— Na co umarli?

— Nie wiem. Nie pytałam nigdy, mąż mój nie mówił mi o tem wcale.

Nie dodała, że kilkakrotnie próbowała Michała naprowadzić na rozmowę o jego rodzicach, lecz mąż zbywał ją półsłówkami, lub zżymał się ze złością, a czasem nawet z pasją.

Wszystko co wiedzieć mogła, było to, że ojciec męża umarł w dość tajemniczy sposób, matka zaś w kilka lat później po niewytlómaczonych nerwowych cierpieniach umarła.

Doktor dalej badał:

— A rodzice pani?

— Ojciec mój umarł na tyfus, mama ze starości.

Doktor uśmiechnął się nieznacznie.

— Przypomnij sobie pani. Czy oboje byli pozbawieni jakiegokolwiek, choćby najniewinniejszego nałogu?

Stefanja poruszyła się niespokojnie.

— Rodzice moi byli wzorem uczciwości, — wyrzekła odważnie, niewiedząc nawet skąd podobnego rodzaju śmiałość wstąpiła w jej duszę.

— Nałóg nie zaciera uczciwości — odparł doktor — pijak może być najuczciwszym człowiekiem.

Stefanja otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, i zamilkła, czując, że cała teoria jej rozumowania o uczciwości ludzkiej, burzy się i chwieje pod wpływem słów doktora.

— Widzę, że to, co powiedziałem, nie trafia pani do przekonania. Jednak, to postaci rzeczy nie zmienia. My, lekarze, musimy zawsze sięgać po życie ludzi i szukać

przyczyn ich chorób w tych, którzy im to życie dali. Syn pani jest chory na... konwulsje, pytam o ojca, matkę i całą wreszcie rodzinę. Jest to rzecz naturalna i dla mnie konieczna.

Stefanja milczała.

Jakiś instynkt kazał jej w tej chwili wyznać przed lekarzem całą prawdę, powiedzieć o nalogu męża, o jego latach młodocianych w pijaństwie spędzonych. Nie pojmowała tego dokładnie, lecz już w umyśle jej zjawiała się jak mgła, ta nić nieszczęsna, wiążąca niemoc syna z pijaństwem ojca.

Czuła, że powinna mówić, lecz słowa jej w gardle więzły.

Zimny spokój doktora mroził ją.

Nie mogła ran swoich obnażać przed tym człowiekiem, który po raz pierwszy prawie mówił z nią i imponował jej chłodem swych słów i spokojnym, równym tonem głosu, który zdawał się płynąć wśród białych ścian jasnego pokoju. Jakże ona — nędzna, biedna, miała nagle ujawniać całą nędzę swego istnienia, brudną, smutną, i oskarżać męża z braku silnej woli, i tego, co w jej przekonaniu „uczciwością“ się nazywało?

— Pani zdajesz mi się bardzo nerwową. Czy się mylę? — ona podniosła na niego swe wielkie, piękne oczy. — Nie wiem o tem, panie doktorze! Nie mam czasu się zastanawiać nad tem!

— A mąż pani, czy także nerwowy?

Zdawał się przeszywać ją wzrokiem, jakby chciał oczami swemi wyciągnąć tajemnicę, która przyczajona kryła się na dnie jej duszy.

— Mąż mój jest silny i zdrow zupełnie!

Mówiła te słowa bezwiednie, machinalnie, myśląc, że co innego należy powiedzieć.

Jakaś druga istota była w niej w tej chwili i działała za nią, mówiła, dyktowała jej słowa.

Ona sama asystowała biernie tej czynności, tej presji, jaką na nią wywierało to „coś“, — ta druga ona, usta jej do odpowiedzi składająca.

W dniach moralnego rozstroju i fizycznego znużenia, objawiała się w niej taka druga wola i rządziła nią bezpoźnie.

Doktor zbliżył się do biurka.

— Jesteś pani trochę skryta i nie dowierzasz mi. To źle.

Uśmiechnęli się oboje.

Ona z przymusem, on, nagle zdziwiony i olśniony jej wielkim wdziękiem który pomimo wysiłku rozjaśnił rysunek jej warg.

— Trzeba się trochę więcej szanować. Bardzo mi pani jesteś blada. Czekać pani! zanim dziecku tryb życia przepiszę, muszę i pani coś dać na wzmocnienie.

Usiadł na wysokim, szrubowanym krzeselku i, odłożywszy jedną kulę, za pióro ujął.

— Źle, że pani do mnie nie masz zaufania! źle! — powtórzył.

Ona chciała zaprzeczyć, lecz znów umilkła, i tylko wzrok jej błędził machinalnie po frendzlach bramujących portjery i usuwał się na dywan jasną powodzią arabesek pokój zaścielał.

A tymczasem doktor kończył swą receptę i spokojnym swym, stanowczym, trochę ochrypłym głosem zaczął wykladać system postępowania z Dziudkiem, którego odtąd trzymać się powinna:

— Konwulsje jeszcze nieraz powrócą... — mówił — to rzecz nieunikniona.

Stefanja drgnęła nagle, uczuwszy pchnięcie noża w serce.

— Powrócą?... o! panie doktorze!

Dławiła się łzami, cała drżąca blada, na myśl tej chwili bolesnej, którą przeżyła, patrząc na padające dziecko sztywne, zdrętwiałe początkowo, później drgające w potwornych skurczeniach i pianą ziejące.

Lekarz ręce rozłożył.

— Wolę powiedzieć całą prawdę. Nie chcę, abyś pani była na to nieprzygotowana.

Oparła głowę o kant biurka i pozostała tak chwilę nieruchoma, widząc oczyma duszy zdaleka na ulicy ujrany obraz człowieka porządnie ubranego, leżącego na bruku, i bijącego głową o kamienie.

Tłum cisnął się dokoła, zdaleka widać było błyszczący uniform policjanta.

Strach ją zdjął przed tą myślą, że złota głowa jej syna może takim samym ruchem uderzać kiedyś o bruk uliczny...

Doktor patrzył na nią przez chwilę i coś nakształt mgły powlekło mu źrenice.

Ta kobieta zdawała się dźwigać na sobie całą Gólgotę i padać pod jej ciężarem.

Nacisnął dzwonek.

Stefanja podniosła głowę.

— Przepraszam!... ale to co mi pan powiedziałeś... sprawiło mi zawrót głowy...

Tłómaczyła się, ocierając oczy, już zrezygnowana, przyjmując ten nowy krzyż do innych, które na swych barkach dźwigała.

Powstała, szukając kapelusza syna, i przez ten czas, gdy się schylała dokoła siebie, myślała, w jakich słowach podziękować lekarzowi za zajęcie się dzieckiem, poradę — i prosić, aby należność potrącił z przypadającej sumy za lekcje Henryka i Jadwini.

Lecz, gdy znalazłszy kapelusik, stanęła naprzeciw doktorowi, który powstał z krzeselka i podpierając się na kulach zbliżył się ku niej powoli — nie umiała wyrzec jednego wyrazu.

Miała tylko w rękach nerwowo rondo kapelusza cała przejęta niewysłowionem wzruszeniem, które ją za każdym zbliżeniem się mężczyzny, przejmowało.

Doktor tymczasem stał przed nią, podając jej dwa wąskie świstki, na których nakreślił recepty.

— Sądę — wyrzekł z uśmiechem — że powoli pozyskam więcej zaufania u pani. Nie chcesz mi pani odsłonić swej przeszłości, ani... teraźniejszości. Każesz mi więc błądzić wśród ciemności. Nie znając ani ciebie, ani twego męża dokładnie, nie mogę stanowczo orzec nic o stanie zdrowia syna pani. Zdaje mi się, że dziecko to ma coś we krwi, lecz co — nie wiem jeszcze dokładnie!

Ręce Stefanji drżeć zaczęły, on chwilę patrzył na te palce wychudłe, pokłute od igły i zniszczone przedwcześnie.

— Patrz pani, jak drżysz bezwiednie... jesteś jednym kłębkim nerwów. Nerwowość tę oddziedziczył syn pani, wzmocnioną jeszcze czemś z drugiej strony, tem czemś, co kryjesz przedemną. Skoro się uspokoisz i zastanowisz, przyjdź do mnie z całą ufnością, i wyznaj szczerą prawdę.

Wtem drzwi się otworzyły cicho i w obramowaniu portier ukazała się sucha głowa Jadwini.

— Tato dzwonił?

— Tak... przyprowadź malca.

Dziewczyna zniknęła po za fałdami tkaniny.

Stefanja stała ciągle na środku gabinetu, i teraz schowała wewnątrz kapelusza drżące ręce, jakby wstydząc się bezwiednego ruchu, który wstrząsał niemi. Milczenie panoowało dokoła.

Doktor stał teraz profilem zwrócony, unikając spoj-

rzeć w zmienioną twarz młodej kobiety, od której bił ku niemu dziwny prąd sympatii.

Ta wąła, chuda, drobna istota, miała w sobie jakiś niepokój drażniący, coś, co się zwykło unosić dokoła kobiet nerwowych, i w tej nerwowości przez życie się wlokących.

Nie znał jej prawie; na prośbę Jadwini wpuścił ją po raz pierwszy do swego gabinetu z dzieckiem, trochę niezadowolony z tej pacjentki, która mu spadła tak nagle w zupełną ciszę i odsunięcie się od czynnego życia, w jakim przebywał.

Lecz powolny, smutny urok opanowywał go w zetknięciu się z tą delikatną postacią kobiecą, która rąbkami zbloconej sukni wałała miękką powierzchnię dywanu.

W kalektwie, jakie go dotknęło, w tej chorobie nabytej w wędrówce po zakażonych jadem stołach operacyjnych, odwykt już od zetknięcia się z delikatnością kobiecą i cichym głosem, nurtującym do głębi duszy każdego wrażliwego mężczyzny.

Przeczuwał w niej istotę zanędziałą, zbiedzoną, chorą, parjasa społecznego, i on, kaleka, parjas fizyczny, czuł powoli odzwierciadlenie się własnych smutków w zamglonych źrenicach kobiety.

Dziecko podniosło fałdy kotarji zjawiło się pomiędzy niemi dwójgiem z całą aureolą złotych blasków na swej głowie.

Stefanja szybko kapelusik nakładać mu zaczęła, przeciągając gumkę po za uszki.

— Ukłoń się panu doktorowi i powiedz: dziękuję

Malec nagle zawstydzony, za fałdy matczynej spódnicy się schował, wycierając o szarą tkaninę rączki powalane sokiem malinowym.

Stefanja wzruszyła ramionami.

— Pan doktor przebaczy... on taki nieśmiały.

Doktor uśmiechnął się dobrotliwie.

— Nic nie szkodzi... nie strofuj go pani! Powoli się ośmieli skoro mnie lepiej pozna.

Stefanja dziecko za rękę ujęła.

Czuła, że nadeszła chwila stanowcza, że powinna wyrzec jakieś słowo podziękowania.

— Dziękuję, panie doktorze! — wyrzekła wreszcie z całą prostotą i lekkim drżeniem w głosie.

Na nic lepszego zdobyć się nie mogła.

Chciała powiedzieć „Bóg zapłać“, lecz bała się wydać śmieszna i trywjalna.

On rękę ku niej wyciągnął.

— Nie podasz mi pani ręki na pożegnanie?

Postępował wbrew przyjętemu przez siebie zwyczajowi, stawiania swych pacjentek na stopie zimnej, obojętnej grzeczności.

Stefanja wyciągnęła z pośpiechem rękę.

— Do widzenia panie, dobranoc! — wyrzekła, sama nie wiedząc dokładnie co mówi.

I, cofając się, uciekła szybko po za fałdami portjery. W gabinecie pozostał doktor i przez chwilę patrzył przed siebie trochę zdziwiony pustką, jaka koło niego się zrobiła razem z wyjściem tej kobiety.

Do okna się podsunął i przez muślin firanek patrzył jak w jasnej strudze słońca co się po drugiej stronie trotuaru szerokim obrusem stała, szła Stefania i Dziudek, ku dołowi Strzeleckiej ulicy się opuszczając.

Po pod wysokimi masami domów drobniały te dwie postacie matki i dziecka, wązkie, szare, bezbarwne prawie, mające w pochyleniu ramion i opuszczeniu głowy, ten skurcz, biedakom właściwy, to onieśmienie w zajmowaniu przestrzeni choćby najbardziej zacieśnionej.

Lecz nagle doktor poczuł, że ktoś obok niego stoi i głowę do firanki przytula.

Obejrzał się.

Obok niego stała Jadwiga, i zimnemi, stalowemi oczyma śledziła oddalającą się coraz więcej postać swej nauczycielki.

Doktor odsunął się od okna nagle zmieszany, jakby złowiony na gorącym uczynku lekkomyślnego postępu.

Postąpił do biurka i rozrzucone papiery zaczął na niem porządkować.

— Tatko! na co to dziecko chore? — zapytała nagle Jadwiga, głowę od firanek odejmując.

Chciał odpowiedzieć: „na epilepsję“, lecz zawahał się z wyrzuceniem tego strasznego słowa, jakby lękał się przerazić cienia tej kobiety, która przed chwilą stojąc na środku pokoju, patrzyła nań oczyma zranionego zwierzęcia.

— Jeszcze nie wiem dokładnie... — odrzucił po chwili milczenia.

— Ojciec jego, to pijak podobno... — wyrzekła dziewczyna.

Oczy doktora zabłyśły.

— Pijak? z kąd wiesz o tem?

— Prosiłam Wesółych, aby przyszedł nastroić fortepian, odpowiedzieli mi, że niepodobna, bo pije. Dziecko się też

rozgadało. Ot!...

Urwała i do okna ku ojcu postąpiła, ciągle sztywna, blada, sucha, jakby skamieniała w nieczułości i braku temperamentu.

— Idę do panny Giunti... do widzenia, ojcie! a! — prawie od proga się zawróciła — niech tatko powie Henrykowi, żeby nie pluł, ile razy niechający go potracę; to mnie nudzi. Nadzwyczajny chłopak!

Ramionami wzruszyła i jak cień w wązkiej szparze drzwi znikła, pozostawiając po sobie chłodną smugę lodowatej atmosfery.

* * *

Pomiędzy czarną koronką drzew skarpowych się przesunawszy, ulicą Różaną, czarną, smrodliwą, ku rynkowi, Stefania iść zaczęła.

Po lewej — niezliczone drobniuchne kramiki żydowskie, zagłębiały się jak bezżebne jamy w kadłuby domostw wysokich a wązkich, upstrzonych kilkunastu jamami zniszczonych okien.

Po przed kramami, żydówki w sznurach fałszywych pereł i kamieni, i całe gromady dzieci w barchankach i majtkach beżowych, tworzyły kąć odrębny, gwarliwy, barwny, wrzeszczący, w szarym, płaskim tłumie miasta, który het, po za tą dzielnicą, czystą smugą, pomiędzy górami się siał.

Dziudek mimowoli stawał, przyglądając się bachorom po nad rynsztokami się grzebiącym.

— Mamusiul... o!... dzieci!...

Wychodził tak rzadko i tak mało widywał sobie podobne istoty, że coś go ciągnęło w stronę tych obszarpanych kurtek, chałatów i małych aksamitnych jarmułek, z pod których wysuwały się kręcone loczki.

Lecz wóz jakiś z turkotem sunął przez wązką uliczkę.

Stefanja przemknęła na drugą stronę, pociągając za sobą dziecko.

Lecz ono ciągle wykręcało główkę, powtarzając z uporem manjaka:

— Mamo! dzieci!...

Wydostali się na rynek, gdzie w jasnej, choć jesienią trochę przybrudzonej barwie, rysowała się dokładnie ciężka masa ratusza, z kamienną figurą gienjusza, wznoszącego uparcie długie ramiona ku niebu.

Przysadzista gruba wieża wysuwała się ze środka i szła w górę leniwie, wolno, jakby niechętnie, dźwigając ciemne oko zegaru i balustradę, po za którą widać było krążącego, jak hiena w klatce, strażaka.

Stefanja przecięła na ukos rynek, i pod ratuszem krążąc, wpadła nagle w całą aleję kwiaciarek kupujących od strony Krakowskiej ulicy, i rozkładających się na długich, jasno-żółtych stołach, na stołkach, koszach, wreszcie na filizach chodników i wystających grzbietach brukowców.

I w chłodzie tym jesiennym zazieleniało nagle przed oczyma młodej kobiety, całą powodzią liści, gałęzi i łodyg. Pośród tego tła, snopy astrów liljowych, żółtych, różowych, całe pęki malowanych nieśmiertelników w płaskie pączki spowitych, kładło jaskrawe, purpurowe, błękitne, lub szafirowe odcienia, gubiące się powoli w delikatnej oprawie liści pnących się ku górze roślin.

Wzdłuż rynsztoku, na jasno popielatej barwie kamieni, czepiały się rozpuszczone gałęzie bluszczu, wypływające łamaną falą z ceglanych doniczek. Tu i owdzie przypadła do ziemi wiejska baba, rozkładając przed sobą jaskrawo purpurową spódnicą białą płachtę, z której wysypywały się aksamitne cegiełki mchu, upstrzonego czerwoną jarzębiną i gałązkami barwinku.

Z tyłu, jako główny podkład tła, wznosiła się biało-żółta ściana ratusza, zagłębieniami okien przecięta, z frontonem bramy, dzielącej kwieciste stragany na połowę. I cały ten kąt zieloności świeżej, do murów głuchego gmachu przypadły, nadawał tej stronie rynku pozór małego wiejskiego cmentarzyka, bramującego obejście kościołka do bruku małowiaściznowego od wieków przyrosłego.

Stefanja zwolniła kroku i wzrokiem błdziła wśród straganów, z pożądliwością biednej kobiety, wrzuconej nagle pomiędzy doniczki bujnych roślin i pęki liljowych astrów.

Uwielbiała kwiaty, znajdując pewną zmysłową rozkosz w dotykaniu przejrzystych płatków, gładkich i chłodnych, w tuleniu warg spieczonych do lśniącej powierzchni listków, lub delikatnie chropawej powłoki łodyg.

Dziudek z ekstazą wpatrywał się w jaskrawą barwę nieśmiertelników, które ciągnęły go ku sobie w szczególny sposób, zwłaszcza jeden wielki bukiet upstrzony żółtą koronką mietlicy i rozkładający się na tle ciemnych liści rycynusów, jak stubarwny ogon pawia, magnetycznie przykuwał wzrok jego.

— Mamo! kwiatki!...

Głos dziecka miał w sobie powolne pociąganie istot chorych i z ciężkością wydobywających z siebie słowa. Stefanja westchnęła.

Głos ten dźwięczący przywołał ją do rzeczywistości.

Przez chwilę, z fantazją właściwą nerwowym istotom, na widok tej świeżej zieleni i jaskrawych spódnic chłopiek, zamajaczyła przed jej oczyma wiosna, ciepły podmuch wiatru coś naksztalt jaśniejszej jakiejś chwili.

Powolny głos dziecka, z trudem składającego sylaby, był dla niej uderzeniem pogrzebowego dzwonu i targnął nią całą, z pieśczośliwą siłą sygnaturki, dźwięczącej nad otwierającą się mogiłą.

— Chodź, Dziudku! pójdziemy dalej.

Lecz chłopiec ociągał się, na bukiet z mietlicą wciąż patrząc.

Zimny, jesienny wiatr kołysał delikatną koronką trawy, która czepiała się rozpaczliwie za druciki, do których przywiązano pęki pomarańczowych nieśmiertelników.

— Mamo! kwiatki!...

— Tak synku, kwiatki.

Stała chwilę, nie chcąc dziecku odmawiać jedynej przyjemności, tej rozkoszy wzroku, którą mu w ubóstwie swoim dać mogła.

Dziudek rozjaśniony, paluszkami w takt wahającej się trawy machał.

— Kwiatki! kwiatki!... — powtarzał z uporem śpiącej inteligencji.

Na wieży ratuszowej nagle godzina bić zaczęła.

Biła trzecia.

Z hukiem tętniącym wśród zacieśnionego kwadratu rynku przeleciały kwadranse i niskim, przeciągłym jękiem zabrzmiły trzy uderzenia, warczące chrapliwie w powietrzu. Stefanja mimowoli liczyć je zaczęła nagle a niewytłómaczoną zdjęta trwożą.

Często serce jej tak łopotowało w piersi, jakby w przeżuciu jakiegoś nieszczęścia.

Przychodziło to na nią nagle i odstępowało z równą szybkością, aby powrócić niebawem.

Pociągnęła dziecko za rękę, chcąc opuścić tę aleję kwiecistą, w której zdawała się nagle jej wola tracić wszelką siłę.

Z przeciwną stronę rynku znajdował się sklep, w którym Stefanja brała do ubierania lalki.

Lecz Dziudek z żalem roztawał się ze swym bukietem.

tem mietlicy.

— Mamusi!... kwiatki!... — wyszeptał, jakby na pożegnanie.

Ona odwróciła głowę, chcąc przyrzeć się tym kwiatkom, które przykuwały tak uwagę syna, i wzrok jej spotkał się z delikatną, spokojną twarzą mężczyzny, który z pod wąskiego ronda cylindra patrzył na nią uparcie.

Stał na środku alei, cały w obramowaniu zieleni, mając pod stopami masę rozrzuconych astrów i powiązanych w pęki georginji. Wyprostowany w swym ciemnym, doskonale skrajonym paltocie, miał w poddaniu w tył głowy trochę wyzywającej śmiałości, i jakby lekkiej pogardy dla tego, co go otaczało.

Stefanę poznała go od razu.

Był to ten sam Dublańczyk, który przed hotelem na placu Marjackim, zastanowił ją i przykuł na chwilę do miejsca swem badawczym, przejrzytem spojrzeniem.

Spotkanie to było bardzo naturalne.

Na ciasnej przestrzeni małego miasteczka ciągle potracają się ludzie wzajemnie, zaglądając sobie w głąb oczów, a przecież Stefanę, w podnieceniu nerwowem, zejście się to na ciasnej przestrzeni, pomiędzy ścianami liści, w wąwozie zieleni, wydało się rzeczą niezwykłą i z równowagi ją wytrącającą.

Szare źrenice Rudka nie trwożyły jej wprawdzie jak ciemne oczy doktora, lecz znów ten niepokój kołaczący w niej za każdym zbliżeniem mężczyzny, ogarniał ją i oddech w piersi tamował.

Odwróciła się szybko i iść zaczęła.

Lecz podwójne kroki rozlegające się tuż za nią, zdawały się uderzać ją w schylony kark, wychylający się z pod wyłożonego kołnierza żakietu. Przecięła na ukos rynek i weszła do bazaru, kryjącego się obok jednej z księgarni.

Chudy, czarno zarosły żyd stał za kontuarem, trzymając ręce w kieszeniach od spodni.

— Dzień dobry, panu!

Kupiec głową skinął.

— Jak się pani ma!... jest dla pani robota!

Stefanę odetchnęła.

— Tem lepiej!

Obawiała się, że w jesiennej porze zabraknie pokupu na lalki.

Zapomniała o Świętym Mikołaju.

Kupiec schylił się pod kontuar i wyjął duże pudło

tekturowe, owiązane szpagatem.

— Mamy trzy tuziny Morów, bo teraz w Wiedniu najbogatsze dzieci Morami się bawią. O!...

Szpagat zębami szarpnął, i z pudełka wydobyl małego murzyna z kędzierzawą głową, ubranego w cienką z muslinu koszulkę.

— Trzeba go ubrać w majtki i kaftanik paskowany. Kapelusze też zrobić trzeba.

— Jaki?

— To pani rzecz, pani powinna wiedzieć co do mody się stosuje.

Dziudek z pod brwi chmurnie ściągniętych na czarną lalkę patrzył, obrażony nagle w poczuciu piękna barwy, które sobie sam wytworzył.

— To brzydkie! — wyrzekła wreszcie Stefania.

— W handlu nie ma brzydkiego! — odparł filozoficznie kupiec—to jest moda... To córka od nieboszczyka Rudolfa takie Mory lubi! No! to wielkie dziecko, i wie co ładne! ha!

Nagle zaciemniało u wejścia do bazaru.

Rudek i książę Kuczkiryszkiewicz z nieźrównaną dezynwolturą wtargnęli do sklepu.

— Kupiec! cygarnicę; tylko prędko!...

Stefania cała drgnęła i usunęła się w kąt sklepu, gdzie słabo płonęło zapalone światełko gazu wśród zupełnej prawie ciemności.

Kupiec ku nowo przybyłym się rzucił.

— Panowie każą!

— Cygarnicę — cedził przez zęby książę, wyjmując z kieszonki od kamizelki lusterko — tylko proszę dać to, co jest najszykowniejszego, a prędzej... bo panowie czekają!

Rozstawił szeroko nogi, otworzył usta, przejrzał się w lusterko, pokręcił zaczerwienionym nosem, na którym bieleł się źle starty puder, i z całą efronterją oparł się o ścianę kramiku.

— Piękny sklep, prawda, hrabio? — zapytał, zwracając się do Rudka.

Zapytany nie odpowiedział nic, tylko wzrokiem w głąb sklepu zmierzał, w głąb ciemną gdzie zaledwie zaznaczała się jasna główka Dziudka na tle ciemnej spódnicy Stefanji.

Kupiec, przystawiwszy drabinkę, po pudełko obszarpane sięgnął, i kilka cygarnic ze skóry wytłaczanej na ładę rozrzucił.

— Prawdziwa kirderusi! — mówił czyszcząc grzbiety o rękaw surduta — pachną juchtem jak fijołki. Niech pan

hrabia popacha!

Pod nos Rudkowi swój towar wetknął, cały przejęty chęcią oszukania tych dwóch młokosów, w których przelotnych gości, wypadkiem do nędznego kramu sprowadzonych, poznał.

— Ileż to za to? — zapytał Rudek, usuwając się przed natręctwem kupca.

— Cztery, pięćdziesiąt, jak dla pana hrabiego!

Książę nagle śmiechem parsknął.

— Cóż to może być za takie marne pieniądze? — Ramionami ruszał, i chusteczką, na której fikały spodniczki pomarańczowych tancerek, usta sobie otarł.

— Rzuć to baronie!... to nie dla ciebie... niech nam pokaże coś lepszego...

Żyd szeroko otworzył oczy!

— Takie cygarnice z *kirderusi*, sam sekretarz od namiestnictwa nosi!...

Książę z uciechy tupął nogami.

— Sam sekretarz! *nom d'un chien!*... sam Cabiński!

Żyd za kontuarem się obruszył.

— On nie nazywa się Cabiński, on jest pan Wojsa, pan baron Wojsa!... z Czerniowice.

— Nie z Czerniowice! — zaprzeczył książę — z Kołomji!

Kupiec oko przymrużył.

— Pan go zna?

Książę kłatkę piersiową wydał, jak żaba grzbiet.

— *Pan go nie zna* — wycodził — ale książę pan, książę go zna.

Kupiec się po brodzie podrapał.

— Jaki książę?

— Ja, Rudykoń, Kuczkiryszka Kuczkiryszkiewicz.

I, zadowolony z efektu, wsadził ręce w kieszenie od paltota.

— Cóż, dziwi to kupca?

— *Laisse donc! tu est impossible!* — rzucił mu przez ramię Rudek.

— Pan hrabia bierze którą cygarnicę? — pytał żyd znękany i przybity impozycją Kuczkiryszkiewicza.

— Wezmę, ot tę, czerwoną!

Brał na chybił trafił, ciągle w głąb sklepu patrząc.

— A teraz, daj mi pan...

Zawahał się, niewiedziało sam co kazać sobie podać w tym ubogim kramie, w którym cały stek dziesięcio-cen-towych bazarów wiedeńskich zdawał się zalewać półki.

— Kup sobie... szelki! — rzucił brutalnie książę z pod ścianą.

Rudek brwi gniewnie zmarszczył, jakkolwiek miał w sobie już pogardę dla kobiet, i Stefanja w umyśle jego przedstawiała jedną istotę więcej ściganą po ulicach, dla przepędzenia czasu — jednak, jakieś wrodzone poczucie delikatności szarpnęło nim na trywialne słowa kolegi.

— Proszę o scyzoryk!

— *Tiens*, lepiej piórko do zębów!... — błagował Kuczkiryszkiewicz.

Kupiec z gniewnie zaciśniętymi ustami na blagiera spojrział, i cały tuzin scyzoryków na szkło leżącej szafki rozsypał.

Rudek otwierał je powoli, oglądał, zastanawiał się nad wyborem, w gruncie serdecznie zirytowany zachowaniem się ukrytej w cieniu i nieruchomej Stefanji.

— Ładne koziki mają *cachet!* — zaczął znów Funiek, przechylając głowę, która błyszczała wypomadowanym pan-cerzem ciemnych włosów, jak atlasowa nawpół pęknięta krymka.

— Koziki. Weź, weź hrabio, cały tuzin. *Une occasion rare...* Będziemy niemi w Dublanach ogony krowom temperowali!

Parsknął śmiechem, uszczęśliwiony z bolesnej miny kupca, który wyteżał całą moc charakteru, aby nie odpowiedzieć temu gburowi, rozpościerającemu całą bezden swęj głupoty w tej ciasnej przestrzeni nędznego kramu.

Lecz już z ruchliwością małpy, książę do kąta w którym się kryła Stefanja, posuwał się.

— *Parole d'un prince!*... co za wspaniałe okazy! — mówił, przykładając ręczną, w szyldkret oprawną lornetkę damską do oczów — czego tu nie ma! podwiązki kobiece, gąbki, szczotki, naguski!

Ręką dużą, o grubych połączeniach, całą poślódką od gliceryny, z wyszlifowanymi pazurami, na półkę sięgnął.

Kupię sobie lalkę... co?... jak pani myśli?

Zuchwalec ku Stefanji się zwrócił, która z Dziudkiem, przytulonym do jej kolan, tworzyła nieruchomą grupę, zaledwie słabo oświetloną drżącym płomykiem gazu.

Rudek nad scyzorykami się pochylił, jakby onieśmiewiony czelnością towarzysza.

— Którą mi pani wziąć radzi? Damy są w tem specjalistki. Moją księżna-matką, gdy byłem dzieckiem, zawsze mnie lalkami bawiła. Gust ten mi pozostał. *C'est une manie*

Zapolska: We krwi (Lektor).

parole d'un prince!... Pani mi nie wierzy? co?

Wkręcił się już teraz cały w ciemny kąt sklepu — zasłaniając Stefani odwrót, barykadując przejście swą olbrzymią postacią o silnie wypchanych watą plecach.

— Pani nie wierzy? — powtarzał, uśmiechając się wyzywająco.

Stefania uczuła w piersiach nagle przebiegający płomień; płomień ten przesunął się jej wzdłuż gardła i na mózg uderzył z gwałtownością niezwykłą.

Chwilę stała, wahając się, jakby niepewna, co jej uczynić należy.

Gorący oddech Fuńka czuła prawie na swej twarzy.

Dziudek nieufny i zdenerwowany, tulił się w fałdy jej spódnicy.

Nagle przypomniała sobie, że sklep ma podwójne wyjście.

Małe, zamaskowane juchtową firanką drzwiczki, kryły się w czarnej głębi, prowadząc do sieni, i służąc głównie do sprzedaży niedzielnej, podczas gdy front bazaru zostawał szczególnie zamknięty.

I, szybko pociągając dziecko za sobą, młoda kobieta w tył się cofając, klamkę poprzez fałdy juchtu namacawszy, nacisnęła, i nagle z przed oczu Kuczkiryszkiewicza znikła, zostawiając go zdziwionego z głową przekrzywioną i całą lśnią pod światłem gazu.

— A to truc!... znikła!... widzisz, wice-hrabio? — do Rudka się zwrócił.

Rudek zirytowany ku drzwiom się rzucił.

— To przez ciebie!

— Jak mamę kocham, nic temu nie jestem winien! Ja do niej, ona szast!... piramidal!

Lecz Rudek szybko coś z kontuaru pochwycił.

— Zostawiła mufkę... chodźmy! dogonimy ją! oddamy!

Biedną, barankową mufkę, w której grzechotała zniszczona portmonetka, w rękach obracał.

— Chodźmy!

— Kupiec go za połę od palta złapał.

— A cygarnica?... a scyzoryk?...

— Dobrze! dobrze! jutro wstąpię i wezmę.

Do wyjścia się rwał niecierpliwy i zdenerwowany.

Kupiec ramionami wzruszył.

— Aj! aj!... ta pani nie ucieknie. Ona Krakowską na Ormiańską pójdzie! Ona tam żyje!

Rudek uważnie słuchał.

— Zapłać Funiek za mnie i weź te drobiazgi. Ja idę! dogonisz mnie na Krakowskiej.

Szybko z sklepu wypadł i na lewo się skierował. Oczy zmrużył, szyję wyciągnął i pomiędzy przechodzącymi szarej sukienki upatrywać zaczął.

Dostrzegł ją jeszcze na rogu rynku i Krakowskiej ulicy, zagłębiającą się wśród przechodniów w ciemną i zacieśnioną szyję uliczną.

Malec dreptał obok matki nierównym, zmęczonym krokiem.

Teraz gdy Rudek odnalazł ją tak łatwo, zwolnił kroku i poszedł w pewnem oddaleniu po pod sklepami, pełnemi wystających przed progiem żydów i żydówek. Zagłębił rękę w mufkę i namacał gruzły starej waty, pokłębione pod zcerowaną i połataną podszewką. Chustka do nosa owijała portmonetkę, której zameczek nie zapinał się zbyt szczelnie. Rudek chustkę wyciągnął i oglądał chwilę.

Była to biedna chustka uczciwej kobiety; prosta, białe szlaczki snuły się dokoła, cokolwiek żółkła i spalona żelazkiem. Jeden róg związany był w węzelek. Rudek idąc, węzelek rozplątał. Wypadło zeń trochę szychu i kilka złotych blaszek.

— Aktorka, czy co? — mruknął przez zęby.

Chustkę trzepnął.

Szych wpadł do rynsztoka, błyszcząc słabo w przesłoni.

Jedna z blaszek uczepiła się poly paltota Rudka i pozostała tak, migocąc jak gwiazdka na tle ciemnego nieba.

Do portmonetki chciał się dobrać i zajrzeć do wnętrza, lecz jakiś cień delikatności mignął mu przed oczyma.

I Funiek Kuczkiryszka już go dopędził, za rękaw go łapiąc.

— Zapłaciłem za hrabiego, jak żądałeś. *Voila vos emplettes*. Gdzież nasza zwierzyna? Widzisz ją, margrabiolo!

— Na rogu, teraz już zakreca. Przyspieszmy kroku!

Zaczęli biegnąć prawie, roztrącając przechodniów. Wpadli na pustą ulicę Ormiańską, która w szarem obramowaniu kamienia ciągnęła się leniwie linją, ginącą w błękitnawo stalowem pomroczu.

Na lewo wydłużał się mur klasztorny, po za którym nagle sterczał w górę ciężki krzyż kamienny, nadając całemu miejscu pozór cmentarny.

Ulica była pusta i tylko pod murem cofających się w głąb i czarną linją poprzecinanych brudnych i splekanych

kamieni, szybko dążyła pochylona postać Stefanji z drepającym obok niej Dziudkiem.

Chłopak stawał, opierał się, wykręcał głowę. Ona ciągnęła go nerwowo, czując instynktem kobiecym, że jest ścigana, i te przyspieszone kroki obu mężczyzn zdawały się jej uderzeniami bata, chłoscącego jej plecy.

— Trzeba jej oddać mufkę! — odezwał się Rudek.

Książę rękami machać zaczął:

— Dziwna rzecz, jak hrabia nie masz doświadczenia w podobnych sprawach. Oddać mufkę, może na ulicy? ha?

Przybierał minę mentora, oko mrużył i laseczkę w kieszeń od paltota, pakował.

— Oddalibyśmy mufkę, i bywaj zdrów, holenderski śledziu, jak mówi mój papo, gdy na swoją taradaję wsiada. Mufkę jej oddamy, ale u niej, w mieszkaniu. Co? jak wicehrabia myślisz?

Rudek się uśmiechnął.

— Hm!... myśl niezła! spróbujemy! Kto to jednak może być?

Książę usta wydał.

— Któż? szwaja pewnie. Coś z kanalii!

Stefanja tymczasem do bramy domu dopadła, nie śmiejąc spojrzeć po za siebie, szczęśliwa, że znajdzie się za chwilę u siebie.

Szybko przebiegła bramę i, do sieni wszedłszy, po schodach pięć się zaczęła.

Klatka była ciemna, smrodliwa, stopnie oślizgłe i schodzone. Na pierwszym piętrze stała wielka beczka pokryta krążkiem, napelniona do połowy cuchnącą deszczówką. Stefanja Dziudka do poręczy dopuściła, sama idąc koło pobielonej wapnem ściany. Na pierwszym piętrze drzwi uchylone ukazywały wnętrze pokoju zastawionego łózkami z porożrzucaną dokoła pościelą. Jakaś dziewczyna bosa zmieniała poszewki poduszek. Koło samych drzwi, prawie na progu, stała wysoka chuda kobieta w okularach i gładko przyczesanych włosach.

Zobaczywszy idącą Stefanję, wychyliła głowę.

— Dzień dobry, kochanej pani! — wyrzekła ochryłym głosem.

Stefanja chciała odpowiedzieć, lecz narazie zabrakło jej głosu.

W sieni, w klatce schodowej, posłyszala nagle kroki mężczyzn, i serce zakolało w niej silnie.

Myśl, że pani Wisienkiewiczowa, najstraszniejsza w ca-

tej kamienicy plotkarka, zobaczy ją ściganą przez mężczyzn, przejęła ją wielką trwogą.

Skinawszy więc głowę, pieła się gorączkowo dalej po schodach, potrącając prawie brutalnie Dziudka i popychając go naprzód.

— Idź-że! idź-że prędzej!...

Pani Wisienkiewiczowa brwi zmarszczyła niezadowolona, iż minęła ją sposobność wypowiedzenia kilku słów o nowo-przyjętej Maryśce i o zepsutej kłódce od strychu.

Okulary podniosła nad bombiaste czoło, i przymrużeniami oczyma patrzyła na oddalającą się Stefanję.

Lecz nagle, z zakrętu, Rudek i Funiek wynurzyli się na tle białej ściany, elegancy, pełni szyku, jak zjawiska, w ubogiej jamie, brudnej i bezświetlnej.

Wisienkiewiczowa oczy szeroko rozwarła i w głąb mieszkania się cofnęła, pozostawiając wszakże niewielką szparę przez którą cokolwiek zobaczyć mogła.

Stefanja strwożona i cała drżąca, zaledwie kilka schodów drugiego piętra przestąpiła, gdy cofnęła się nagle na widok Michała, ubranego w paltot i kapelusz i gotującego się do zejścia.

Gdzie idziesz? — wybelkotała przyciszonym głosem.

On rękę o poręcz oparł i z góry, z pod przymrużonych i opuchniętych powiek na nią patrzył.

— Idę przejść się! nudzę się w domu!

Ona zacisnęła kurczowo palce koło dłoni Dziudka, aż dziecko z bólu syknęło.

— Nie chodź!... proszę cię... zacznie się znowu.

Mówiła cicho, wiedząc, że za skrzem są tamci, że słuchają, że są świadkami tej sceny, którą radaby ukryć przed samą sobą, a cóż dopiero przed obcymi!...

Lecz Michał postąpił kilka kroków, silnie zdecydowany, bądź co bądź, odetchnąć powietrzem ulicy.

— Pójdę!... zaraz wrócę!

Wiedziała dobrze co znaczą te słowa. „Zaraz” — to nad ranem, o brzasku dnia... z pianą pijaństwa na zsiniałych wargach.

— Proszę cię, wróć! wyjdziemy we dwoje wieczorem!

Nie śmiała nalegać, schwycić za połę paltota, ucześcić się rąk, jak to czyniła w domu, gdy była sam na sam z mężem.

Tamci dwaj milczący i za filarem ukryci, paraliżowali jej słowa i ruchy, tamowali gorącą nutę, która drgała w głosie.

Michał zszedł na dół, Dziudka odsunął i koło żony

się precisiśnają.

Stefanja wyciągnęła rękę i za paltot go chwyciła.

— Nie idź!...

Lecz on ciężko opuścił zaciśniętą pięść na trzymające go palce.

— Puszczaj! idę, bo mi się podoba!...

Na twarz mu wystąpiły ceglaste rumieńce, w całej postawie znać było upór i podniecenie nadzwyczaj silne.

Ręka Stefanji opadła wzdłuż sukni, łzy zamglily jej oczy, mimo to próbowała jeszcze przemówić:

— Dziudku!... prosz ojc!... niech nie idzie!

S ept jej rozplynął się w powietrzu.

Michał z ustami zaciśniętymi schodził ciężko, jakby gnany jakąś niewidzialną potęgą, wolą w nim zbudzoną i dotąd z wysiłkiem uśpioną.

Oczy miał płonące i przed siebie uparcie wlepione, zdawał się już nic nie widzieć, nie słyszeć, pełen niepo- hamowanej chęci zadowolenia rozbudzonej bestji, żądającej zwykłej, palącej strawy.

Stefanja odwróciła się i zeszła kilka stopni za mężem, pozostawiając do ściany przytulonego Dziudka, którego twarzyczka nagle postarzała i pociągnęła się chmurą prze- rażenia.

— Michale!... proszę cię!...

Lecz on minął już drzwi Wisienkiewiczowej i nagle natknął się na kniazia i Rudka po za filarem przyczajonych.

Chyłkiem koło ściany przemknął i, stukając silnie ob- casami, na dole schodów zniknął.

Stefanja zatrzymała się, niezdeterminowana, nie śmiejąc przejść koło wpatrzonych w nią mężczyzn.

Stała tak chwilę, cała drżąca, wsłuchana w odgłos kroków oddalającego się męża.

Wreszcie wszystko ucichło.

Wszedł do bramy.

Stefanja nabrała odwagi, posuwała się naprzód.

— Panowie darują!...

Szukała przejścia, niezręcznie ocierając się o woniejący paltot Funika, który podawał jej mufkę.

— To zguba pani?...

Nie spozrzała nawet na podawany jej przedmiot.

— Nie zgubiłam nic... proszę mnie przepuścić.

Myślą goniła za mężem. Wiedziała, że, wyszedłszy z Oszmianskiej ulicy, zaginie w którejkolwiek bocznej prze- cznicy i zmyli ślad.

Funiek mizdrzył się tymczasem, podsuwając pod roz- gorączkowane usta kobiety twarz tředowatego *viveur'a*.

— Więc to nie pani zguba? Widzisz, hrabio, pomyli- liśmy się.

Rudek wysunął się z cienia.

— Może pani zechce w domu obejrzeć i przekonać się... my za panią pójdziemy i czekać będziemy cierpliwie!

Podsuwali się, nacierali obaj, podnieceni rozzenerwo- waniem kobiety, która rwała się ku przejściu bezsilna, jak ptak spętany.

— Proszę mnie przepuścić!... — wymówiła gniewnie.

— A!... a!... — rozśmiał się kniaz, mufkę za siebie chowając — któż widział się gniewać! Taka piękna i złośni- ca!... a! a! to niewypada!

Blagował, pociągając Rudka, który trochę umiarkowa- niej, jednak zawsze dość bezczelnie się nadstawiał, uśmie- chając się lekko.

W dłoni Stefanji załaskotało coś nagle.

Jak błyskawica przemknęła w głowie tej znieważanej kobiety myśl wymierzenia policzka którejkolwiek z tych twarży mężczyzn, barykadujących jej drogę i pogrążających ją znów w przepaści smutku i niedoli.

Podniosła rękę, lecz odwaga ją opuściła na samą myśl zetknięcia się brutalnie z policzkiem mężczyzny i, cała okryta potem, z oczyma łez pełnymi, zamiast gniewu, wy- rzuciła z siebie cichą prośbę.

Instynktownie cofnął się Rudek o kilka stopni, lecz kniaz rozstawił szeroko nogi, zwycięski i wyzywający.

— Proszę płacić rogatkowe!

Stefanja jak błyskawica szybko za siebie się zwróciła.

— Dziudek! chodź do mamusi!...

Dziecko zbiegło szybko i, załęcznione do matki się zbliżyło.

Lecz ona podniosła je z ziemi i przytuliwszy do piersi, zbrojna ciałem dziecka, śmiało na kniazia natarła.

— Precz!

Mężczyzna cofnął się przed majestatem tej znieważo- nej matki, która w ciasnej klatce schodowej rosnąć i olbrzy- mieć się zdawała.

Oddychając ciężko, po schodach zeszła i bramą na ulicę się wydostawszy, gorączkowo na obie strony ulicy spojzała.

Cała przestrzeń była pusta, szara, jednostajna, i tylko na środku ulicy mały psiak się kręcił, szukając śladu swego

właściciela.

Stefanja zsunęła dziecko na ziemię i chwilę stała w milczeniu, jedną ręką twarz zasłaniając.

Dziudek na psa z zajęciem patrzył.

— Mamusiu! piesik!

Już rwał się do zwierzątka i rączkę wyciągał, lecz Stefanja rękę tę w przelocie schwyciła.

— Chodź, synku!... pójdziemy!

— Gdzie, mamusiu?

— Szukać tatusia.

I poszli oboje, mali, szarzy, nędzni, wlokąc się pomiędzy rzędami kamienic, jak uosobienie niedoli na bruku miasta z życiem się bijącej.

X.

Kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, z wydetami brzuchami pod płótnem fartuchów, krzatali się chłopcy wśród gości, usługując, ścierając marmur stolików, roznosząc filiżanki z czekoladą, z której krem spływał na grube, ordynarne spodki.

W całej powodzi światła gazowego, zalewającego cukiernię, bieliła się jasność ścian zaledwie powleczonej po kątach cieniuchnemi, złotemi prążkami.

Sufit, cokolwiek spękany, miał w jednym rogu niewielką, podłużną szarą plamę, powstałą ze świeżo opadłego tynku.

Plama ta magicznie ciągnęła do siebie wzrok siedzącej przy stolikach publiczności, interesowała stałych gości konturami, przypominającymi do ziemi przysiadłą małpę.

Lecz już zaraz, obok, rozpoczął się trójkąt ornamentacji sufitu, z pospolitemi fioryturami, w które szara czerń kurzu zainkrustowana się zdawała i przecięty w poprzek mnóstwem drobnych, wystających linijek, ginał w ciemno-brązowym szlaku, bramującym dokoła szerokimi ramami kwadrat sufitu. Ściany pokryte brązowym, sukiennym papierem, ciemniały wąskimi pasami wśród szyb zwierciadeł, z których niektóre zdawały się od wewnątrz srebrnym, migocącym pyłem przysypane.

Ciemne, zapadłe, wysiedziane kanapki, wciśnięte w róg, miały w zagłębieniach tkaniny świecące paski, jakby szare

pajaki rozczepione w gwiazdę, z wytartym grzbietem guzika, zamiast tułowia. U drzwi i szerokich okien zwieszały się leniwie ciemne firanki, ciężkie, smutne.

I tylko rzędy białych stolików, jak stado owiec białych o płaskich grzbietach, dobrze na cienkich nóżkach osadzonych, jaśniało kęgami pod silnym blaskiem gazu, z kilku kłoszy do połowy matowych, płynącego.

W kącie tuż pod zbiorom gazet zawieszonych na hakach, jakaś młoda kobieta z dzieckiem czekała na biszkopciki do czekolady, którą przed niemi w grubych filiżankach chłopiec postawił.

Jasny kapelusz dziecka, opasany szerokim, szarem piórem, kładł wesołą nutę w ten kąt zacieniony. Wyżej migotała stalowa egretka na kapeluszu matki i migotała na tle ciemnego obicia, jak gwiazda promienna, pełna wdzięku i blasku.

Opodał dwóch starych mężczyzn piło herbatę, maczając w szklankach sucharki.

Na ziemi wałał się rozdeptany różowy cukierek w lśnącym papierku.

Za oknami, do szyby przylgnęło kilkoro dzieci, mierząc z ciemności ulicznej światłem zalany pokój i siedzące przy stoliku boby w jasnym kapeluszu i białym paltocie. Lecz już w pierwszym pokoju, subiekci z szurgotaniem nóg usługiwali jakiejś damie w pluszowej rotundzie, wybierającej końcami palców drobne ciasteczka, i układającej je na drewnianej pokrywce.

W głębi, wielki, cały złoty i blaskiem migocący, wznośli się kontuar, a poza nim w stylu renesansowym, z balustradą u góry, olbrzymi bufet biały i złoty, z przejrzystymi taflami szkła ujawniającymi wnętrze.

Rubiny i topazy likierów, zielenie szmaragdowe, brylantowe białości wódek, liljowy opał orszady, cała tęcza słoików z maczkami, tajemnicze barwy nalewek, cała ta gama kolorów z świetlanem wnętrzem, z punktem jasnym, migocącym poza szkłem szyby, rozkładała się triumfalnie w świetle gazu, jak potworna wystawa jubilerska, w którą gnomy obdarzone nadludzką potęgą, zniosły bryły klejnotów z rozrzutnością istot śpiących w grocie z szafirów o dyamentowych zawiasach i rubinowym dachu.

I wszędzie, gdzie oko się zwróciło, grała ta orgja barw, na kadłubach ciastek, żółtych od lukru kawowego, na czarnych okrągłych grzbietach pączków kremowych oblanych czekoladą, szarych zagłębieniach kartofli marcepanowych,

na różowych lub zielonych trójkątach tortowego ciasta, w brązowo spieczonych tonach babek pączowych, w płasko roztartych, cielisto-żółtych ciastkach francuskich, we wnętrzach studzienek wypełnionych konfiturami o ciemno krwawych barwach, zaognionej porpurze.

Cały marmur kontuaru zasypany tą masą słodką, wonną, miał pozór gąbki złotniczej, podniesionej do potęgi przez srebrzące się patery piętrowe i błyszczące metale talerzy, na których ciastka ułożone były.

Nieco niżej, jakby w pohańbieniu, cały tłum pośledniego pieczywa, ułożony w przedziałki wysuniętych naprzód bocznych bufetów, złościł się rudo, gorącą barwą wypieczonego ciasta.

Papatacze, babki śmietankowe, ptysie, łódeczki, paluszki, sucharki, rogalki z masą i maczkiem, serniki, wszystko to odosobnione, kłębiło się wśród linii szuflad i przegródek.

Na środku stały gąbki ukośne, poza którymi różowiły się badjanki, kręciły w niezliczonych splotach wiórki, rozkładały poważnie gofry, zbijały się w masę grymasiki, białe albertki.

Ponad niemi pęk lamp rzucał światło na sterzące w metalowych kubkach wafle, delikatne, rudo blond, jak loki podrastającej dziewczyny. Spięte różowymi papierkami, leżały płaskie andruty, złote, okrągłe lub lekko pudrem białego cukru przysypane karbowacze z wystającymi brzegami.

I już, przy drzwiach samych, w osobnej szafce wysokiej, spłaszczonej, do muru przypartej, jakby w szafie skarbcza klasztornego, zawierającego najdroższe klejnoty, mieniły się delikatne, chorobliwe barwy pluszu i ałasu ustawionych rzędami bombonierek. Od białych, niewinnych, prawie nieskalanych zacząwszy, skończywszy na ciemno fioletowych, aksamitnych, spokojnych i religijnego skupienia pełnych; była cała gama barw, cieni i tonów zmieszanych z sobą w harmonijnym chaosie. I tylko złote lub srebrne skówki, rączki, narożniki, migotały tajemniczo, i tylko kwiat róży opadły na śnieżnej powłoce pudła, krwawił się wybitnie, lub czarna jaskółka na błękit ałasu rzucona, ciemniała, podrywając się do lotu. Nieco wyżej w wysuniętych, oszklonych gablotkach zsypane cukierki, posortowane według barw i formy, śmiały się wiosennymi barwami, rozjaśnione platerowanymi płytkami szuflki rzuconych na powierzchnię. I tylko oddziałki czekoladek miały w sobie czerni żalobną, odcinającą się ostro od sąsiadujących z niemi orzechów, oblepionych blado-zieloną srebrzącą się masą.

Na środku sali, na podłużnych zastawionych stołach, migołając tysiącami blasków, wznosiła się triumfalnie olbrzymia piramida w kształcie fontanny ze złocistego karmelu wysnuta. Delikatne, niemal pajęczne nitki, setkami całami były w powietrzu i opadały na podstawę szeroką i miękką, ćwiartkami pomarańcz jak topazami przetykaną. Płatanina białej, papierowej koronki, opadała dokoła tego różowego kregu i ubierała delikatne ciasto, jak spódnica ciepłe ciało tancerki.

W świetle tem, w barwach tych, w tej woni mdłej i słodko drażniącej, w tej monstrualnej kolacji cukrowej, przygotowanej zda się dla całego legjonu zgłodniałych olbrzymów, kręcili się subjekci, ordynarni pomimo ufrzyzowania i czysto wypranych kołnierzyków. Miękkie słodczyce domagały się gwałtem cienkich palców kobiecych; węzłowe palce mężczyzn, zuchwałe, jak potworne pajaki, przesuwały się wzdłuż gąbłotek, chwytaly rzeźbione rączki szuflki, zdejmowały przejryste opłatki wafli, układały ciemną zieleni renklod, w płaskich obwiedzionych koronką pudełkach. Co chwila ktoś otwierał drzwi i zbliżał się do kontuaru, lub ginął w fałdach ciemnej portjery, z poza której dolatywał suchy łoskot kul bilardowych, uderzających jedna o drugą.

Nagle drzwi wchodowe, szarpnięte silnie, otwarły się na rozcież.

Subjekci podnieśli głowy, jeden z nich wążący właśnie babkę na błyszczących jak patyna wagach, otworzył szeroko usta.

We drzwiach stał Rudek i kniaź, trzymający w rękach z przesadą mufkę Stefanji.

— Całuję rączki — odezwał się najbliższej drzwi stojący subjekt.

Cały szereg afiszów teatralnych, przyczepionych na gwoździu tuż koło drzwi, wionął z szelestem.

Kniaź drzwi zatrzasnął.

— *Bon jour.*

Głowę kiwał i ręce do mufki pakował.

Rudek do pokoju bilardowego zmierzał.

Funiek jak bocian szyję na lewo wyciągał.

Mieniająca się egreta damy z dzieckiem wabiła go ku sobie.

— Czekaj, wicehrabio!... zdaje mi się, że... tam... coś... tego!

Subjekci się uśmiechali.

Jakaś sługa w chustce na głowie, żądająca „ciast drożdżowych za trzy centy“ — wytrzeszczała blade oczy, chłonąc w siebie błyszczącą postać kniazia, któremu gaz odbijał się ostro na wypomadowanej czasce.

— Proszę mi podać do tamtego pokoju... bawarki, tak! bawarki, ukropku z mlekiem i cukrem. *Ma foi*, mam gust na bawarkę. Będę pijał bawarkę. A ty, baronie, chcesz bawarki?

Rudek ku subjeptom się zwrócił.

— Proszę o szklankę groku!

— Zaraz szklanka groku! bawarka!

Kniaź zatrzymał się na progu.

— Proszę mi podać także plasterek cytryny i trochę soli.

Subjekt jak automat w głąb się wykreślił.

— Plasterk cytryny jeden! soli kupka jedna!

— Tak! tak! — śmiał się kniaź. — Bawareczkę przyrządzę tak, jak u nas w Kuczkiryszkach piją!...

Głową skinął i lekkim, tanecznym krokiem do pokoju „niepalących“ podążył — wzięwszy poprzednio z tacy duże, czekoladowe cygaro.

Za nim, znudzonym trochę krokiem, wszedł Rudek, dominowany ciągle przez ruchliwą naturę kniazia, którego nie lubił, a któremu przecież bezwiednie prawie ulegał i na pasku prowadzić się dawał.

Kniaź zainstalował się obok stolika damy z dzieckiem i, trzymając ostentacyjnie mufkę, oparł łokcie na marmurowym blacie.

Dama spojrzała mimowoli zaciekawiona, lecz szybko spuściła oczy pełne wstępu, na widok trądów, pokrywających twarz Fuńka, i białymi plastrami pudru posypanych.

On tymczasem błagował ciągle, wyrывая ostreimi paznogciami welnę mufki, imitującą kędziory baranka.

— Patrz, hrabio! nieznane merynosy, muszę zawieźć do Dublan. Nasze „pierniki“ połamią sobie głowy nad tym, przedziwnym gatunkiem! Próbkę poślę księciu ojcu do Kuczkiryszek. Na kurhanie kniaziowskim niech zasadzi, a gruszki na wierzbie się obrodzą!

Śmiał się cieniuchnym głosikiem i piersi wydymał.

Dama dławiła się biszkopcikami, nagłąc dziecko do śpiesznego wypicia czekolady.

Funiek z gracją przez poręcz się przechylił i po leżący „Journal amusant“ sięgnął.

— *Pardon!* czy można?

Dama skinęła głową.

Funiek maluchne oczy przymknął z wyrazem rozkosznego omdlenia.

— Czy można? — powtórzył z naciskiem.

Dama, zdenerwowana, zadzwoniła, uderzając łyżeczką o szklankę.

— Płacić...

Chłopak drzemiący w kącie sali powstał leniwie.

— W kasie.

Kobieta wstała, zsadziła dziecko i, nerwowo strzepawszy okruszyny, do wyjścia się skierowała.

Kniaź porwał się z miejsca.

— Pani zapomniała! — podawał mufkę Stefanji, lecz ona nie spojrzała nawet na natręta, ale szybko opuściła salę, mijając się we drzwiach z chłopcem, niosącym bawarkę i grok na platerowanej tacce.

— Zapóźno! — jęknął kniaź — chciałem ją ogłupić moją bawarką z cytryną... co teraz zrobić! co?

Rudek zatopiony w płachcie „Czasu“, wzruszył ramionami.

— Ogłup się sam!

— Niepodobna!

— Prawda; zapomniałem.

— Co?

— Nic... pij bawarkę... to ci dobrze zrobi.

Kniaź przysiadł na brzeжку krzesła.

— Wicehrabia się gniewasz i chmurzysz, bo nie udało się nam z tą idjotką z Oszmiańskiej. Nic straconego. Mufkę mamy, jutro rano możemy się wybrać i dotrzeć aż do mieszkania. Choć Bogiem a prawdą, nie warta gra świeczki...

Rudek się skrzywił.

— Co ty tam wiesz! nie znasz się!

Kniaź się zacietrzewił.

— Ja? ja? ależ nie wiesz co mówisz, markizie!

W domu zawsze dobierałem matce do garderoby służące, a ojcu konie do czwórek... Ja się nie znam! phi!... to mi się podoba!

Kreślił się jak fryga, Rudek śmiał się i za sól schwywszy, do bawarki chciał wsypać.

Kuczkiryszczak złapał go za rękaw.

— Nie teraz!... jak która przyjdzie; teraz nie warto!

Rudek solniczkę postawił i znów do czytania się zabrał.

Kniaź siedział i wzdychał, paznogcie oglądał, poczem

wyjął maluchne lusterko i przejrzał się w niem z zadowoleniem.

— Blednie! — wyrzekł, ściągając nerwowo zaognione opuchłe nozdrza — zawsze na jesień blednie!

Zaszumiało i pociemniało w jasnej smudze drzwi. Dwie kobiety i podrostek weszli do salki, dając dyspozycje chłopcu.

Książ porwał się od stołu.

— *Tiens!*... panna Jadwiga!

Jadwinia zatrzymała się na progu i chłodnymi oczyma przeszła Dublańczyka.

— Dobry wieczór! — wycodziła przez zęby.

Stalowe jej źrenice szukały czegoś poza wypomadowaną głową Fuńka, dostrzegła Rudka, i cień niepokoju przesunął się po jej drewnianej twarzy.

Towarzysząca jej, czarno ubrana, o klasztorным wyglądzie kobieta, przysiadła z przestraszoną miną na pierwszym lepszem krzeselku z brzoza.

Henryś już nosem utkwiał w gazetach, „Times’a” szukał szeleszcząc papierami, niezgrabny, śmieszny, z długimi, czerwonymi rękami wysuwającymi się ze zbyt krótkich rękawów.

Funiek szastał się, nogami suwał, robiąc miejsce, uprząając z kanapki porozrzucane gazety. Rudek ciągle czytał, i tylko jego cienki i delikatny profil odbijał się w lustrze, obwiedziony jakby konturem jasno-złotej obwódki świetlanej.

Jadwinia przy stoliku stawiała i zarysowała się nagle z całą smukłością podłotki, ukrywającego płaskość swej kibici w fałdach grubego, sukienego kostiumu.

— Czy to pan Rudolf? — zapytała, mrużąc oczy.

Poznała go doskonale, cała wstrząśnięta widokiem tego chłopca, który na niej zawsze tak silnie robił wrażenie.

Funiek wykręcił się na pięcie.

— Rudek! odlep się od tego „Czasu”! Panna doktorówna...

Rudek odłożył gazetę i wstał leniwo, niechętnie.

— Dzień dobry paniom!

Zbliżył się do czarno ubranej kobiety, której twarz różowa o aksamitnym połysku, jaśniała w cieniu. Podał jej rękę, ona wyciągnęła śpiesznie drobną dłoń w zniszczonej rękawiczce.

— Jakże migrena?

— Czuję, że nadchodzi.

Zbliżył się teraz do Jadwini, która usiadła i gorąco zajęła się rozmową z księciem.

— Witam panią!

Skinęła mu głową, napozór obojętna, zimna sztywna, jak lalka tekturowa.

— Czy panie wydały rozkazy? — spytał książ z miłym uśmiechem.

— Tak... ale pani Metzler mówiła tak cicho, że wątpię, aby kto dosłyszał — odparła Jadwinia. — Henrysiu! proszę cię!

Henryk rozsiadł się na oddalonej kanapce i obłożył cały gazetami.

— Czego? — burknął przez ramię.

— Może...

Lecz książ gwałtownie o marmur stolika olbrzymimi spinkami zadzwonił.

— Zaraz się tu zjawi jakiś malec; tymczasem panie pozwolą, że my tu swoją bawarkę i grok przeniesiemy.

Pani Metzler spojrzała strwożona — Jadwinia usuwała się już, robiąc miejsce obok siebie, ciągle z oczyma spuszczone, pełna suchości i pewności siebie.

Rudek z ociąganiem się i jakby z żalem, swój „Czas” porzucał, nie lubiąc tej płaskiej dziewczyny, którą mimowoli dość często spotykał na swej drodze, zawsze jakby niezadowoloną z jego widoku i niechętną nawet w podaniu mu ręki.

Książ tymczasem piersi wypinał, biodrami kołysał, robiąc gracie, mrużąc oczy, jak tancerka na widok gazowej rampy, cały już podniecony obecnością posażnej dziewczyny i skrzywionej od migreny Metzlerowej.

— Pan zapewne nie wie — ciągnęła Jadwinia — że pani Metzler zrobiła układ z Panem Bogiem. Modliła się tak długo, aż wyprosiła niedzielę, jako dni migrenowe. A dziś sobota, więc...

— Więc migrena u płota! — dokończył książ, sypiąc ostentacyjnie sól do mleka.

Lecz Jadwinia nie zwróciła na to uwagi.

Rudek z roztargnieniem na Henrysia spojrzał.

— Pan Henryk zawsze sam? — zapytał.

— Tak... mówi, że przy kobietach jeść-by nie mógł! —

odparła Jadwinia.

— Dlaczego?

— Bo mu sprawiają obrzydzenie.

Pani Metzler poruszyła się niespokojnie.

— Moja Jadwiniu...

— Ależ tak! tak!... zawsze pluje, gdy się przypadkowo

pani dotknie.

Mówiła spokojnie, mieszając łyżeczką kawę, którą przed nią chłopiec postawił.

Zapanowało przez chwilę milczenie, przerywane tylko szelestem przewracanych przez Henryka gazet.

Ruch w głównej sali ustawał powoli.

Drzwi trzaskały coraz rzadziej.

Subjekci, oparci o bufet, stali nieporuszeni, wpatrzeni w ciemne szyby, poza którymi czerniała ulica.

Od góry, z pod sufitów opadała jakaś biaława mgła, poprzecinana żółtymi smugami, jakby skłębionej pary.

— Co pan masz w ręku? — spytała wreszcie Jadwinia, spoglądając na mufkę, męczoną przez kniazia.

— Mufkę.

— Czyją?

— Moją.

— To żarty! mężczyźni mufek nie noszą!

— Ja wprowadzę tę modę. Dlaczego nam mają rączki marznąć?

Jadwinia brwi zmarszczyła.

— Nie lubię żartów. Czy pan tę mufkę znalazłeś?

— Nie ja...

A kto?

— Rudek... o! patrz pani, jaki zły, że go z sekretu wydaję. Ta mufka, to cały romans!

Pani Metzler poruszyła się znów niespokojnie.

— Pij, kochaneczko, kawę — wyrzekła przyciszonym głosem.

Lecz Jadwinia uparcie teraz w oczy Fuńka patrzała.

— Jakież to romans? opowiedz pan! proszę!...

Rudek ramionami wzruszył.

— Prosty wypadek: jakaś pani zostawiła w sklepie mufkę. Zabraliśmy ją — ot i wszystko.

Groźnie na księcia spojrzał, czując nagle jakąś potrzebę zatajenia swego ubiegania się za Stefanją przed tą niedorostłą dziewczyną, spokojną, zimną i tak mało, według niego, rozumiejącą się na namiętnościach.

— Pokaż pan tę mufkę! — wyrzekła Jadwinia, wyciągając rękę.

— Nie pokażę! nie pokażę! — przekomażał się kniaz — razem zobaczymy, co też tam jest we środku.

Wyciągnął chusteczkę z zawiniętym w rogu węzełkiem.

— Chustka, czy nie chustka? pytał roztrząsając bledną, bawelnianą szmatkę wypraną i od chloru zjedzoną.

Jadwinia przygasłemi oczyma spojrzała na ten kawałek tkaniny bielący się w powietrzu.

Tylko pani Metzler miała w oczach przeblysłk smutku, poznając w tej szmatce ubóstwo, graniczące z nędzą.

— W węzełku naparstek za dziesięć centów i kawałek tasiemki... aha... guzik od kamizelki... patrz, Rudku.

Ku koledze się zwrócił i mały, czarny guzik w wyszlifowanych pazurach podał.

— To mężatka! — zakonkludował wreszcie, guzik do chusteczki wrzucając.

— Portmonetka! — obwieścił, triumfalnie wyciągając zniszczony woreczek.

Położył go na stole, i nędzny ten przedmiot zaczął się nagle w nieśmiałem skurczeniu, jakby wstydząc się swego ubóstwa.

— Wewnątrz cztery guldeny papierkowe, kluczyk od zegarka! phi! phi! co za przepych! paperek od cukierka! Cała kolekcja! A tu recepta!

Rozwinął triumfalnie długą białą kartkę.

Recipe, ten tego... Solum amoniakum! Akwa distylata... et cetera bomba! — błagował, śmiejąc się cieniutko i spoglądając ukosem na Jadwinie. Lecz ona zmarszczyła brwi i rozkazującym gestem rękę wyciągnęła.

— Oddaj mi pan to wszystko! Wiem, do kogo mufka należy. Jesteś pan niedyskretnym i niedowcipnym!

Szybko pochwyciła ze stołu portmonetkę, w której poznała ubogi woreczek Stefanji.

Widziała nieraz, jak jej nauczycielka chowała w jego wnętrzu bilety, lub pieniądze otrzymane za lekcje.

W tem jasnym świetle gazu, w szyderczym naigraniu się kniazia, odnalazła nagle pamięć i postanowiła sama oddać zgubę Stefanji, a tem samem przeciąć ów „romans“ przez Rudka rozpoczęty.

Kniaz próbował oponować.

— Przepraszam! myśmy znaleźli! my oddamy! prawda, Rudek?

Lecz Rudolf powstał i mufkę z rąk kniazia prawie gniewnie wyrwał.

— Skoro się tak dobrze złożyło, że panna Jadwiga zna tę panią, będę pani wdzięczny, jeśli zechcesz podjąć się wręczenia jej tej drobnostki.

Jadwinia powstała także z miejsca.

— Daj pan.

Wyciągnęła rękę.

Zapolska: We krwi (Lektor).

Na ubogiej powierzchni mufki ręce ich na chwilę się spotkały.

Dziewczyna o stół się oparła, jakby nagle tchu jej zabrakło, lecz twarz jej pozostała niezmienna.

— Jeszcze naparstek! — błagował Funiek podając zarzewiały naparstek na koniec wypieszczonego palca — szkoda byłoby tak pięknego okazu.

Jadwinia gorączkowo portmonetkę i chustkę do wnętrza mufki włożyła.

— Pani Stefanja musi być niespokojna... — wyrzekła, do Metzlerowej się zwracając.

— To jej Stefanja na imię? — szybko zapytał Rudek z uśmiechem.

Jadwinia brwi zmarszczyła.

— Tak... — wyrzekła sucho, bezdźwięcznie, i po raz pierwszy może, w oczy Rudka swe stalowe, spokojne źrenice utkwiała.

XI.

Przez środek ulicy czerniała szeroka droga błotna, w jaśniejszą ramę wyschniętych trotuarów objęta.

Wysoko wznosiły się mury kamienic całe czarne u góry, i tylko od spodu cokolwiek żółtem, chorobliwym światłem gazu wyjaśnionych. Od otwartej części ulicy, wychodzącej na plac, płynęła cokolwiek jaśniejsza smuga, jakby lekką parą błotną nasycona. W cieniu jednak zacierały się kontury wałów, posąg św. Michała i tylko wysoko w przestrzeni uwieszone cztery globy kandelabru placowego, żółciły nieruchomo, jakby po za zasłoną brudnej, gazowej kurtyny.

Ulica biegła w półkole, zakreślając ciemny łuk i gubiła się w tajemniczej czerni, lekko punkcikami światel podznaczona.

Od czasu do czasu przemykał ktoś lub wolno prześlizgiwała się podskakując wśród błota jednokonna dorożka.

Żółto pomalowane pudło i biały zad szkapy, rozjaśniał na chwilę ciemnicę, migając w smugach otaczających latarnię.

Po chwili wszystko zapadło w głuchą ciszę; miasto całe zdawało się zasypiać, niezdrowym, anemicznym snem, rozlanego we własnym tłuszczu zwierzęcia.

Jedynie tylko w szeregu czarnych frontonów domów, szeroko rozwarte drzwi korzennego sklepu błyszczwały żółtym, podłużnym otworem, przeciętym liniami ram i czarnymi literami na szkłe nakreślone. Opodał drzwi, szerokie okno przepelnione pudełkami konserwów i podsypane kawą i cukrem, z tajemniczo matowym szklanym ekranem zasłaniającym widok wnętrza, bielilo się szeroką płachtą prawie wesołego światła.

W tym szeregu zczerniałych i obumarłych domostw, okno to miało pozór nagle otwartego grobowca, z którego wylała się orgja białawego światła, koło świeżo ustawionej trumny straż pełniącego.

I na cmentarzysku czarnem i wygasłym, jasna ta brama z promiennem wnętrzem ciągnęła, wabiła tajemniczą bladeścią zszarzałej i martwej twarzy rozpustnicy.

Trwożliwie i jakby ukradkiem posuwał się od czasu do czasu jakiś cień magnetyczny i znikał we drzwiach szybko otwieranych. We wnętrzu sklepu cicho było i jakby wymarło. Szeroka ścieżka jasności wybiegała na trotuar, i jakby wachlarz szybko rozwinięty, ginęła nagle ciemnicą przeciętą.

Časami od wnętrza miasta wyrwał się przeciągły jakiś krzyk, ten jęk niezrozumiały po miastach, wśród nocy się tłukący. Jest to wycie psa lub śmiech kobiecy, coś z pomiędzy przegniłych murów kamienic w górę płynącego, wyziewów gnijących organizmów poczęte i nagle w przestrzeń rzucone.

Krzyk taki ze szpar brukowców się cisnący, czepia się uśpionych okien, przewija wzdłuż rynien, kołysze blaskiem szyldów, zgrzyta w łańcuchach i ryglach drzwi, porusza dzwonki aptek, uderza o szyby latarni, kołysze żółtą dłońią gazu, jęczy w siatce drutów, pędzi w górę w ciasne zaułki ulic, gdzie w mroku suną wybladłe kobiece szkielety po nad brzegami trotuarów.

I krzyk ten milknie, echem się wlecze, i znów w ciemności powraca, wiecznie zagadkowy, jak oddech zdychającego zwierzęcia, liżącego swe rany w sztucznym i ostatnim wysileniu.

Skąd się bierze, kto go wydaje, za kim się wlecze, jak się rodzi, z nędzy, czy zbytku, rozpusty czy rozkoszy, nikt nie wie, a przecież krzyk ten po nocy jak puszczyk niewidzialny, wśród miast się tłucze i na wzór śmiejącego się lasu z pod dachów w czerni zapada.

Stefanja z Dziudkiem do muru kamienicy przytulona,

mimowoli w głos ten się wsłuchiwała, wywabiona tą jęczącą gamą, gnającą wśród ulic jakby wiedźma rozplakana.

Dziecko do fałd sukni matki przytulone, stało ciche, zrezygnowane, kobieta tuż koło okiennicy, bramującej okno sklepu do wilgotnego muru domu przylepiona, zlewała się w jedną czarną masę z otaczającą ją ciemnością.

Po co tu przyszła? dla czego stała tak w chłodzie i wilgoci, z ręką zaciśniętą koło drobnej dłoni dziecka, z twarzą zsiniałą i ustami boleśnie skrzywionymi? Wiedziała przecież, że mąż jej wewnątrz, po za tą szklaną przegrodą, która obecnie dla niej murem ze stali wydawać się mogła.

Wiedziała to wszystko, ale знаła przecież i słabość swej woli, brak odwagi, bezsilność wobec hydry, która tam o kilka zaledwie od niej kroków truciznę palącą w żyły Michała wlewała.

Wiedziała, że nie ośmieli się wejść do oświetlonego sklepu i nie zdoła ze zdławionego gardła wyrzucić błagania: „pójdź!”

Wiedziała to wszystko, a przecież stała ciągle nieruchoma, zdając się zapominać o sennem dziecku, które w fałdy jej spódnicy wtulone, oczy przymykało, bierne, posłuszne, przywykłe do tych nocnych postojów na chłodzie i wśród wilgoci kamienicznych murów.

Z rynku doleciał huczący głos zegara.

Cztery uderzenia cienkie, przejmujące, a później dwanaście silnych tonów oblewających falę dachów gradem głuchych, rżężących pocisków.

Teraz już ulica była zupełnie pusta.

Całe miasto przypało do ziemi uśpione, ogłupiałe dzienną wrzawą.

Tylko głos tajemniczy rzucił się powoli we wzrastających ciemnościach coraz jękliwszy, do śmiechu łaskotanej dziewczyny podobny.

Nagle z wnętrza sklepu wyszedł niewielki wyrostek i, zażółciwszy się przyszyżoną kulą głowy, zaczął okiennice zamykać.

Stefanja usunęła się śpiesznie, on zuchwale kobietę zmierzył okiem, splunął wzgardliwie i powłócząc zbolalymi nogami, z hałasem rygle zasuwać począł.

Skończywszy, ręce w kieszenie wpakował i, gwizdząc, w stronę placu się powłócił.

Stefanja mimowoli śledziła jego niknącą, to znów pod latarniami ciemniejącą sylwetkę.

Chłopak na brzegu placu stanął i nosowym ochryłym

głosem wołać zaczął:

— Fiakr! ffiakr!...

Chwilę panowało milczenie, wyrostek pluł i nosem pociągał.

— Ffffiakr! fffiaakr!...

I nagle zachrobotało coś, jakby poruszono kupę starego żelastwa.

Z oddali migotały dwa czerwone światełka, i jak barka wśród ciemnej nocy, tak zaczęły płynąć, kołysząc się zwolna ku wołającemu wyrostkowi.

On czekał spokojnie teraz, odwracając głowę w stronę Stefanji, bynajmniej nie zaintrygowany tą milczącą kobietą, kryjącą się w cieniu, lecz z instynktem przedwcześnie rozwiniętego w atmosferze sklepowej dziecka, garnący się zawsze tam, gdzie widać było fałdy spódnicy.

Dorożka pojechała zwolna, chłopiec uczeplił się stopnią ręką w kierunku sklepu wskazując.

Koń kopytami o bruk walił, szarpiąc pojazdem w nierównych rzutach.

Wreszcie wszystko ucichło.

Dorożka stanęła przed sklepem i tylko czerwone światełka latarni, ciemno-krwawą strużkę światła po obu stronach wylewały.

Chłopak ze stopnia się zsunął i koło Stefanji umyślnie przeszedł, pogwizdując beczelnie walca z Gasparona.

Drzwi od sklepu szarpnął i wewnątrz się rzucił.

— Ta fiakier je!

Zaszumiało wewnątrz, jakby nagle zakipiała woda.

Stefanja rękę Dziudka nerwowo szarpnęła, instynktem kobiecym odgadując zbliżenie się męża.

Chciała odejść, lecz teraz z cienia wyjść się bała, lękając się, aby ją Michał nie dojrzał i wobec całej bandy nie zelżył.

Wyrostek, na progu stojący, wciąż się na nią ogładał, gwizdząc przeciągle i fałszywie.

Wreszcie na progu pojawiło się kilku mężczyzn, odzianych w ciemne paltoty i rozmaitego kształtu kapelusze.

— A gdzie ten fiakier?

— Ino? Pan nie widzi? stoi!

— Einspänner?

— Nie było dwojaka!

— No, no! nie marudzić, siadać!...

Ze schodów zlazili plując, powłócząc nogami. zakreślając koła.

Wszyscy zbydlęci wśród tych nocnych cieni, rozognieni upajającą trucizną, podnieceni żądzą skomplikowanej rozpusty, do której niektórzy jeszcze chęć czuli.

Włazili powoli, czepiając się budy, kół, latarni, z głośnym śmiechem przerywanym czkawką.

Jeden wysoki blondyn o szerokim, apoplektycznym karku, chciał koniecznie wleźć w zwinietą budę, twierdząc melancholijnie, że będzie mu tam dobrze, jak w trumnie.

Inny w ciągłej walce z przekręcającym mu się na szyi paltotem, siedział już na kozle obok dorożkarza i wyrwał mu lejce, krzycząc w niebogłosy.

— U mego ojca czwórka wozilem, baciarsu jeden, dawaj lejce i proś Boga Ojca niech cię zbawi!...

— Michał! gdzie Michał?—wrzeszczano z głębi dorożki.

Stefanja przytuliła się jeszcze więcej do muru i oczy w drzwi sklepowe wlepiła, jakby chcąc z tej smugi jasnej wywołać postać męża.

Wyszedł w tej samej chwili, potykając się o próg, z paltotem, zarzuconym niedbale, z kapeluszem w rękę.

Szedł z wysiłkiem, zginając, nogi w kolanach, podany całym korpusem naprzód, z głową wciśniętą w ramiona.

Oparł nogę na stopniu dorożki i ochryplym głosem zapytał:

— Gdzież psiakrew siadę! na łbach, czy co?

— Michaś! nie rób trudności!—bełkotał blondyn, tonąc w fałdach budy.

— Rznij na kozioł!

— Siadaj! jeszcze się zmieścimy!

— Syp, Michasiowi!

I nagle zabrzmiała dzikim rykiem fanfara, która piekielną dysharmonią wpadła w wilgotną przestrzeń ulicy.

Dziudek w fałdy matczynej spódnicy głowę ukrył. Stefanja gorączkowo włosy syna gładziła, z zaciętych jej ust zaledwie wybiegł dostrzegalny obłoczek oddechu; zdawało się jej, że ten chór pijackich głosów czaszkę jej na kawały rozsada, mózg wyżera...

Michał do dorożki wszedł, depcząc po swych towarzyszach.

— Uważaj! moje nagniotki!—piszczal któryś.

— Schowaj je do kieszeni, nie noś na ulicy.

— Gdzie jedziemy?

— Michaś, gdzie?

I nagle w żółtawo-szarem świetle, które smugą z drzwi

sklepowych płynęło, ujrzała Stefanja niewyraźną masę postaci męża, wstającego ze środka dorożki z ręką naprzód wyciągniętą:

— Na Wysoki Zamek!... Do szansonistek!...

— Do szansonistek! hip! hura!

— Syp! Michasiowi!

I znów warkot kół poruszonej nagle z miejsca dorożki mieszał się z wraskiem ochryplych męskich głosów.

Dorożka zawróciła, przejeżdżając ku wałom, minęła Stefanję.

Kobieta ani drgnęła, ciągle ukryta w cieniu i tylko jej łzami nabiegłe oczy śledziły oddalającą się dorożkę, z której jak posąg żalobny wysuwała się postać męża z odsłoniętą i na ciemną wilgoć podaną głowę, z ręką wyciągniętą naprzód, jak drogowskaz rozpusty.

Tymczasem wyrostek zamknął drzwi sklepu i sztaby zasunął.

Z pod szpar jednak wysuwały się wąskie światła i silnie w cieniu się znaczyły.

Nagle od rogu pojawiły się dwie postacie męskie i szybko ku drzwiom sklepu zdążyły.

Wyrostek stanął, ręce w kieszenie od spodni wpa- kował.

— Gdzie, panowie? już zamknięte: przez bramę! przez bramę!

Silnie za dzwonek sąsiedniej bramy pociągnął i razem z gośćmi w otwartej furtce zniknął.

Brama zamknęła się z łoskotem głuchym, jak wieko grobowe.

Stefanja pozostała sama z dzieckiem.

Wyteżyła ucho i łowiła jeszcze kołatanie się dorożki. Łoskot ten niewyraźny, szarpał poprostu jej sercem, zdawało się jej, że ktoś jej to serce kawałkami z piersi wydziera i w czerń niepewną unosi.

„Do szansonistek!...”

Miała niepewne pojęcie o tem, czem są te istoty, lecz wiedziała, że są to dziewczyny umalowane, które tańczą i śpiewają w świetle gazu.

Przypomniła sobie, że Michał kiedyś opowiadał: dziewczyny takie z estrady schodzą i z gośćmi się zaznamiają łatwo i szybko...

Więc tam, pomiędzy niemi, mąż jej pijany zakończył noc, i o szarym świetle powróci, aby ją dręczyć, znieważać, bić, kaleczyć!...

Dorożka już nie turkotała z oddali.

Wszystko ucichło, tylko znów coś jęcząc przeleciało w powietrzu.

Z murów kamienic zdawały się wypływać jakieś zgnile opary i opadać ku ziemi.

A kobieta stała wciąż nieruchoma, mając w fałdach swej sukni, tuż u kolan, zziębnięte dziecko, cała zboląła w swym znieważonym majestacie opuszczonej, zaniedbanej i w zgnilej rozpuście zdradzonej żony.

XII.

Wchodząc w klatkę schodową, ciemną i pokreśloną, przypomniła sobie nagle Stefania zgubioną mufkę i portmonetkę z jedynymi pieniędzmi, jakie miała na dzień jutrzejszy.

Dziudek, śpiący na jej ręku, zaciężał jej nagle jak stufantowy ciężar.

Oślabła na samą myśl, że za chwilę nie będzie w stanie dać Helenie „do miasta“ na bułki poranne, na koszyk węgla i na wykupienie z pobiałych rądek, bez którego dziewczyna nie chciała już gotować obiadu.

Stała chwilę, obejmując myślą sytuację, szperając z wprawą nędzarki w zakątkach swych, przypominając sobie, czy gdzie nie ma czegoś, jakiegoś przedmiotu błyszczącego i wartościowego, któryby spieniężyć mogła.

Nie, nie! wszystko oddawna w zastawie, wszystko u Jenty, grubej żydówki na Krakowskim, w tej pochyłej kamienicy, którą знаła tak dobrze.

Tylko w głębi szuflady jest jeszcze medal chrztu Dziudka, medal srebrny, zamknięty w ubogim, saffjanowym futerliku.

Chyba to... ale nie! to niemożliwe.

Przycisnęła silniej do siebie śpiące dziecko i z westchnieniem na schody spinać się zaczęła.

Nagle na zakręcie otwierają się drzwi mieszkania Wisienkiewiczowej — cały obłok pary żółtego światła rzuca się wprost w twarz Stefani... W parze tej i w prostokacie drzwi ukazują się kobiece postacie pochylone nad balją, chlapiące dokoła całe kłęby mydlin, spocone, z karkami odsłoniętymi przez brzeg balji ciemny, o rudawym odcieniu.

W głębi, na szafce spiżarnianej, lampa bez abażuru błyszczy jak mistyczny płomień, rozsiewający blask skoncentrowany magicznie, i wzrok ku sobie wabiący.

W blasku tym ciemnieją całe rzędy pokryw, tasaków, stolnic, patelni, rynek porozwieszanych symetrycznie na bielonej ścianie kuchni.

Po nad niemi, wysoko, póki okryte papierem czerwono-krwawym, wyciętym maszyną w ząbki.

Na półkach blaszane korpusy samowarów, saganów i całe wojsko lśniących w półcieniu butelek.

Lecz już dalej, ku kątom kuchennym, sznury przebiegające wzdłuż całej przestrzeni, kraja powietrze i zasłaniają dalsze plany. Ze sznurów zwieszają się świeżo rozpostarte fartuchy pani domu, błękitne z paskami i olbrzymimi kieszeniami, wyciągniętymi od ciężaru kluczków i rąk w kułak ściśniętych i wiecznie w kieszeniach trzymany.

Kilka „tabaczerek“ purpurowo brązowych kładzie swe odcienia na te jasne rzędy płacht podwieszonych gdzieś nieśmiało liną rozpiętej szpilkami koronki.

I cała ta czystość nieposzlakowanej kuchennej kokieteryj, ten spód domowego życia, skapany w białych kłębach pary i przejmującej woni mydlin, w gorącu wyziewów rozparzonej w kotłach bielizny, kłębiącej się na blasze, przedstawił się nagle oczom Stefani, oblewając ją okrutnie rodzajem wzgardliwej ironji, dla jej nędzy domowej, dla jej, smutnej czarnej kuchni, w której ciskała się na nią ironicznie, skrzywiona i niezadowolona służa.

Chciała przemknąć się szybko, lecz Wisienkiewiczowa kocim swym wzrokiem dojrzała ją wśród ciemności.

— Pani kochana do domu wraca dopiero! — rzuciła, szyję naprzód wysuwając.

Stefania wstrzymała się przy progu, zawstydzona, zmieszana tym słodkim głosem, który ją chwycił jakby na gorącym uczynku zbrodni.

— Tak!... — wybełkotała, czując, że coś odpowiedzieć musi, pod badawczym wzrokiem stojącej przy balji kobiety, którą mimo kłębow pary chwilami widziała dokładnie.

Dziewki, zlewające wodę do szaflików, patrzyły na nią z pod czół wypukłych, na które spadały potargane i polepione kosmyki grzywek.

Koło komina przysiadła baba wynajęta na dni i, pochylona nad garnkiem krochmalu, mieszała złamaną kopystką.

Wisienkiewiczowa w gorsecie, w ciemnym staniku, ściskającym jej ordynaryjny tors rozplaszczoną kobietę, po-

wtórzyła przeciągle:

— Dopiero?...
 Kłab pary zasłonił ją przez chwilę.

— Słyszysz, Maksymiljanie, pani wraca do domu.

Z kąta zawieszzonego płachtami fartuchów, zakotłasała się biała czupryna, jakby z waty wyskubana.

— Słyszę, duszko—odezwał się głos męski.

— Pani była w teatrze? ciągnęła dalej swą inkwizycję Wisinkiewiczowa.

— Nie.

— U krewnych?

— Nie...

Nastała chwila milczenia.

Stefanja czuła, że odejść powinna, niewiedziała jednak poprostu jak przerwać nużące ją badanie. Widok kręcących się po kuchni ludzi rozrywał ją i ciepła, wilgotna atmosfera kłębiącej się pary, zanurzała jej zziębnięte członki w letniej, łagodnej pieszczocie.

Wisienkiewiczowa energiczną ręką schwyciła całą masę pokreconych, kolorowych szmat, które stosem ciężkim i mokrym na stolnicy, obok balji, leżały.

— Żwawo, dziewczęta! żwawo, wziąć się do zapa-
 rzania. Ja tymczasem kolory oplukę.

Dziewczyny zbliżyły się do ognia, znużone tą nocną pracą, gnane dzień cały gorączkowym pośpiechem pani, topiącej chwilę krytycznego przełomu pięćdziesięcioletniej, namiętnej kobiety, w tej wycieńczającej i przesadzonej robocie koło porządków domowych.

— Pani prędko duże pranie rozpocznie? — spytała, zwracając się ku Stefanji.

— Ja... tak!... niezadługo!...

Czuła wzrok obu sług zwrócony na siebie, wiedziała, że Helena rozwłóczyła jej nędzę po ciasnych zakątkach kamienicy, że często musi być przedmiotem drwin i szykan tych brutalnych dziewczek o lśniących, dobrze wykarmionych ramionach.

— Bo... ja klucza od strychu, póki moja bielizna na nim wisi, z rąk nie popuszczę—ciągnęła Wisienkiewiczowa—w kamienicy różne łatyndy się kręcą i mieszkają, toć Boże odpuść, zginąć co może. Nawet dla pewności, ja i Maksymiljan po nocy ze stoczek na strych chodzimy i sztuki liczymy i obmacujemy. Prawda, Maksymiljanie?

Kurtyna z fartuchów zakotłasała się lekko, siwy czub mignął i zniknął, coś zamruczało w kącie. Jedna z dziewczek

kułak w gębę wpakowała, dławiąc się ze śmiechu.

— Teodozka! nicponiu, klempo jedna! czego koło blachy stoisz przez powodu? — krzyknęła nagle Wisienkiewiczowa—może ty *florek* lejesz? Niech cię Bog broni, bo jak zobaczę, paluchy do cna połamię!

Porwała się od balji i, obcierając o fartuch ręce, do komina przypadła i węszyć zaczęła.

— Ja was znam! florku nalejesz, bo się dotrzeć nie chce, po bożemu, brudu.

Dziewka do ziemi przykuła.

— Bogać tam florka lałam, ani krzty nie mam, skąd ci bym wziena?

Oczy jej świeciły złośliwie jak u małpy, do której miała wielkie podobieństwo, cała czarna, z wystającą dolną szczęką i długimi, żylastymi rękami.

— Milcz, nie gębuj! woda się gotuje!

— Psiaczy.

— Chytaj sagan i nieś do wanienki. Zośka! gdzie tam tkwisz popróżnicy? No! chyżo, chyżo, bo do świtu nie skończymy!

Podniosła jeszcze pokrywę kotła, w którym gotowała się w szarej, gęstej, błotnistej wodzie gruba bielizna i tłuste ścierki, wetknęła nos w garnek pełen skarpetek, wrzuciła polano pod blachę i, sapiąc, przeleciała jak furja przez kuchnię, szeleszcząc wykrochmaloną spódnicą szlafroka.

— Maksymiljan, daj szafran!

Z kąta wysunęła się ręka odziana w szary, beżowy rękaw, trzymając małą paczkę.

— Cóż dajesz, niedojdo? przecie to mięta do koronek, Jezusie!... nawet farbków rozróżnić nie umie!

Pochyliła się znów nad balią i roztrzepywała fałbany jakieś starej, bareżowej spódnicy nieokreślonej barwy.

— Tak... tak... pani kochana, jak się wedle domu chce czystość i ład zachować, to całe gospodarstwo w zębach trzeba poprostu trzymać. Ja już sił nie mam, bo choć nas tylko dwoje, a przecie od świtu do nocy pracuję po łokcie!

Stefanja, jak zahypnotyzowana, patrzyła na pracującą kobietę w otoczeniu sług, ogłuszona potokiem jej monotonnej mowy i szumem wlewanej do wanienek rozparzonej wody.

— Pani do czarnych bierze mydlik? — zabrzmiało znów pytanie.

— Tak! mydlik — odparła machinalnie młoda kobieta.

— To źle! bierze się żółć i trochę dziewanny.

Stefanja przypomniała sobie nagle, że jutro Helena chciała koniecznie wyprać sobie swą czarną spódnicę.

Zażąda pewnie pieniędzy na mydło i tę żółć nieszcześnie, a portmonetka z mufką przepadły.

Ktoś je wziął! ah!... tak!... widziała je przecież w rękach tego szkaradnego, pachnącego mężczyzny, który ją prześladował w sklepie Zimmermana.

Był tu na schodach, razem z drugim, którego rysy zapamiętała dobrze, nawet wryły jej dziwnie w umysł; miała je przed oczami ciągle teraz, nawet tu, jakby występujące z kłębow pary.

Potrząsnęła głową, jakby chcąc opędzić się natrętnemu widmu.

— Dobranoc pani! — wyrzekła nareszcie, zabierając się do odejścia.

— Och! dla mnie nie ma dobrej nocy! odparła Wisienkiewiczowa — próżniaczki się wylegają w betach, kobiety pracują. Ja już taka jestem! U mnie dom przedewszystkiem. Nocami siedzę i za wszystkich robię. Matka moja nieboszczka była taka sama! U nas pracowitość, to już jest tak jak pijaństwo u innych... we krwi! Dobranoc pani!

Dobranoc!

Głowę na dół opuściwszy, prawie na czaszke śpiącego na piersiach Dziudka, Stefania zaczęła się pisać na górę.

„Jak pijaństwo? — „we krwi!“

Drugi raz dziś już o uszy jej obija się to słowo: „We krwi!...“

Zadzwoniła lekko, nieśmiało, nie jak pani domu, lecz podwładna, powracająca z późnej a niedozwolonej wycieczki. W mieszkaniu panowała cisza.

Widocznie Helena spała. Okno kuchni wychodziło na ganek. Stefania zastukała w szybę.

— A idę! idę! — zabrzmiał gniewny głos służącej.

Powoli wreszcie otworzyły się drzwi kuchenki.

— Niech pani ostrożnie idzie, bom kuchenczynę wyszorowała!

Stefania przeszła na palcach wśród ciemności zupełnej i, znalazłszy się w swoim pokoju, dziecko na łóżku złożyła.

Poszukała zapalek, zapaliła świecę i, usiadłszy obok

Dziudka, rozbierała go ostrożnie, z całą delikatnością kochającej matki.

— Biedactwo moje! — szepnęła wreszcie, do kołyski go wkładając.

Otuliła dziecko i stanęła pod ścianą, błędnymi oczyma patrząc przed siebie.

Co pocznie jutro bez grosza? jak sobie poradzi?

Chwilę myślała zejść do Wisienkiewiczowej i prosić ją o pożyczkę. Lecz szybko myśl tę odrzuciła od siebie. Wiedziała, że kobieta ta nie lubi jej, i uważa za istotę niechlujną i próżniaczkę. Przytem Wisienkiewiczowa ze sług swych robiła zwykle swe powiernice: Teodożka i Zośka jutro będą wiedziały o jej upokorzeniu.

Nie, nie! to było niepodobieństwem.

Cóż więc? jaki środek? jaki sposób, aby jutro móc dać Helenie guldena do miasta, i mieć na drobne rozchody przez dni kilka najmniej?

Trzeba coś zastawić, lecz gdzie? już późno, północ wybiła!...

Jenta pewnie jeszcze nie śpi, trzeba pójść do niej, pójść dziś jeszcze koniecznie.

Jutro rano Michał powróci z nocnej swej hulanki i trzeba będzie krzątać się koło niego długo, prawie do chwili rozpoczęcia lekcji.

Trzeba więc iść frontowem przejściem, cicho tak, aby Helena nie słyszała i nie domyśliła się tego.

Zgasiła świecę, poprawiła jeszcze raz kołderkę na łóżeczku dziecka, otworzyła pociemku komodę, zanurzyła rękę, wyjęła jakiś przedmiot i z westchnieniem, na palcach, wysunęła się do przedpokoju.

Helena w kuchni chrapała głośno, Stefania drzwi otworzyła i powoli ze schodów schodzić zaczęła.

Na zakręcie wszakże wstrzymała się, oddech tamując. Jasna linja światła przecinała jej przejście.

Zapomniała, że kuchnia Wisienkiewiczowej ogromna, długa, ciągnie się aż do klatki schodów frontowych, i ma drugie wyjście, poprzedzone małą sioneczką, zawsze na rozcież otwartą.

Stefania chwilę się zawahała, nie chcąc, aby Wisienkiewiczowa ujrzała ją wychodzącą o tak późnej porze. Wiedziała, że przez stróża dowiedzieć się może o tym fakcie, lecz nie chciała być badaną wobec sług, zapytywaną o przyczynę tak spóźnionej wędrowki.

Przez sekundę mignęła jej w głowie myśl, aby wrócić

na górę, lecz cała groza położenia dodała jej energii.

Cicho, ostrożnie jak złodziej, do ściany przytulona, zaczęła się zsuwać ze schodów, tłumiąc odgłos kroków, prawie bez tchu, z oczyma szeroko wlepionymi w jasną przestrzeń otwartej sionki.

Zdawało się jej, że przeszła niepostrzeżenie.

Zeszła na dół, i śpiącego na sienniku w sieni Wawrzyńca budzić zaczęła.

— Otwórzcie mi, proszę; zaraz wrócę!

Stróż z barłogu się dźwignął, zapalkę o ścianę potarł i chmurnym wzrokiem kobietę zmierzył.

— Idę do apteki—wyrzuciła z siebie, sama nie wiedząc dla czego pod wpływem chmurnych oczów stróża.

Wawrzon nie odpowiedział nic, bramę otworzył, potem silnie zatrzaskał i, splunawszy, na barłóg jak martwy upadł.

W kacie bramy, w czerni zupełnej, dogasała powoli czerwona linijka porzucona zapalka.

Tymczasem na górze u Wisienkiewiczowej, Teodozka z sionki, do której wyszła po szaflik, wróciła z pełną gębą źle utajonego śmiechu.

— Czego się gżisz?—spytała Wisienkiewiczowa, obserwując ciągle twarze swych sług z po za kłębów pary.

— A bo... proszę pani!... hi!... hi!...

— No, co?

— A bo... ta pani z trzeciego... to...

— No, co!

— To... teraz po omacku ze schodów złażyła... hi!... hi!..

— Śni ci się!

— Bogać tam! Cichutko kole ściany lażyła, jak ćma cichuśko, a byle ją kto nie ujrzał.

— Ale... prawda była... kłamiesz!

Teodozka ręce załamała.

— Pani bo zaraz wydziwiał; nic, ino kłamiesz! a odże prawdę mam!

Odwrociła się do komina zadąsana, czując się panią sytuacji.

Wisienkiewiczowa milczała chwilę, wreszcie nałóg plotkarstwa przemógł jej surowość obrażonej pani domu.

— Mówisz, na dół schodziła?

Teodozka milczała, ścianę pomarszczoną od gorącej wody i sody palcem obskrobując, koło drzwiczek pieca.

— Gadaj! kiedy ci się pytam!

— A gdzieżby miała zejść? na dół, potem stróża obudzila i wyszła na ulicę. Słuchałam aż brama trzasła. A jakże! Milczenie zapanowało w kuchni.

Zośka wetknęła palec w gębę i stała, wpatrzona w Teodozkę, cała żółta od światła, lejącego się z lampy.

Baba rozbijająca krochmal koło komina, ścierała powoli kleistą ciecz z ząbków kopystki, obojętna na wszystko, zaspasana, maczając w garnku pęk medalików, spadających z szyi a zczepionych na tłustej, zielonej tasie.

Teodozka triumfowała, a wykręciwszy małpią swą szczękę, zmrużonemi oczami patrzyła na swą panią, która, wykrzywiwszy się ironicznie, przybrała postawę obrażonej matrony.

Zegar zawieszony w kacie cykał powoli, niewidzialny, nieublagany, przerażający monotonią swej ukrytej za plachtami istoty.

Wreszcie Wisienkiewiczowa znów ręce w balji zanurzyła.

— Do roboty! — zawarczała — do roboty! my czasu nie tracim na nocne spacerki i lampartki. Dalej, dziewczęta! dalej!

Zaszumiało, zaturkotało, i z głuchym chrzęstem cała lawina ukropu spadła do balji, zakrywając Wisienkiewiczową kłębami białej pary, po za którą promieniał żółty odbłask lampy, jak mistyczny punkt środkowy domowej świątyni.

XIII.

Nieludzkim wrzaskiem Ichimka napelniał się ciasny pokój, po którego ścianach migwały pasy światła i cieni od drgającej w kacie świecy.

Z rogu obszarpanej sofki podniósł się rudy łeb Gołdy i zaczerwienił złotem drgających iskerek w pokręconych spłotach.

Dziewczynka patrzyła na krzyczącego malca zaspasnymi oczami, szeroko rozciętymi i leniwie w dół opuszczonymi.

— *Still Bube!*—wyharkotała wreszcie.

Chłopak jeszcze szerzej gębę roztworzył i ze stosa gałganów, poduszek i betów, w które był wciśnięty, podniósł się drobny, czarny, skulony w fałdach swej sukni

brudnej, małą kamizelką na ramionach przytrzymanej.

— *Mame!*—zawodził wśród łkań żalonych, bez kropli łez z pod kurczowo zaciśniętych powiek.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i drobne, krogulczo zagięte palce w rozczochraną swą czuprynę zatopila, drapiąc się niemiłosiernie.

— *Ma... me!...* — wrzeszczał chłopiec.

— *Szluf!* — syknęła mała, nagle się prostując, prawie naga w opadającej z bioder spódnicy i atlasowym różowym, staniku szeroko na piersiach rozpiętym.

— *Szluf!*

Brwi silnie zmarszczyła nad garbatym noskiem, którego nozdrza poruszały się nerwowo.

— *Ma... me!...* — ryknął Ichimek.

Gołda jednym susem z sofki zeskoczyła jak pantera w stronę chłopca się rzucając.

— *Szluf!*

Stała już przy barłogu z nagą ręką i rozkazująco nad głową dziecka wyciągniętą.

W tańczących blaskach świecy wydawała się cyrkówką zbiegłą nagle z areny i z rozpiętym stanikiem nad klatką swego rumaka stojącą.

Różowy atlas zbyt wielkiego stanika połyskiwał niepewnymi blaski, służąc na plecach za świetlane tło gorąco rudych włosów, opadających pokręconą kaskadą.

Pomiędzy stanikiem i paskiem spódnicy bielił się anemiczny szmat ciała bladej skóry rudowłosego dziecka, podczas kiedy nagie łydki miały cień brązowo-czarny, ku stopom w szary, ziemisty ton przechodzący.

Chłopiec strwożony, pod pięścią siostry do kupy łachmanów przypadł i leżał cicho z zamkniętymi oczyma, piszcząc tylko od czasu do czasu, jak szczenię.

W ciemnym kącie pokoju tuż koło rozwalonego pieca z drzwiczkami, wiszącymi na jednej zawieszce, poruszyło się coś cicho, ledwie dosłyszalnym szmerem:

— *Gołda!...*

Dziewczyna odwróciła leniwie głowę.

— *Man szlag.*

— *Wues?*

Lecz już wyraźnie dało się słyszeć pukanie we drzwi, na klucz nie zamknięte.

Gołda ku drzwiom się powlokła i za klamkę chwycić chciała, lecz drzwi same się otwarły i w ramach stanęła Szeffanja.

— Jenta w domu? — spytała, wchodząc.

— Niema! — odparła Gołda, do sofki drepcąc.

— Prędko wróci?

— Niewiedzieć.

— Ja poczekam.

Odpowiedzi nie było.

Ichimek z nosem w bety się zarył, Gołda z podkurczonymi nogami, jak bóstwo indyjskie, na sofie usiadła i głowę senną na ramię schyliła...

Pod piecem stos gałganków, owijający matkę Jenty, osiemdziesięcioletnią paralityczkę, zdawał się zastygnać w nieruchomej martwocie.

Szeffanja przysiadła na krzeselku, naprzeciw sofki i, oparłszy głowę o ścianę, czekała.

W rękę ścisnęła płaskie pudełeczko, w którym spoczywał medal chrztu Dziudka, jedyna dziś kosztowność, którą zastawić mogła.

Sądziła, że ta chwila nie przyjdzie nigdy, że ta pamiątka uroczystego dnia, w którym akuszerka wyniosła z ubogiego mieszkanka dziecko, strojne w długą muślinową sukienkę i biały czepeczek różową wstążką związany, że ta pamiątka pozostanie na zawsze na dnie komody schowana, jak relikwia, jak świętość powagi pełna.

A wszystko poszło przed nią do rąk Jenty, wszystko: zegarek ojca, pierścioneł matki, kubek srebrny, dukat ślubny, nawet obrączka — wszystko, byle tylko nie ten medal, na którym Święty Jan lał wodę na głowę Chrystusa, stojącego ze złożonymi pokornie rękoma pośród falującej wody.

Szeffanja powoli podniosła rękę i otworzyła wieczko pudełka.

Medal błysnął w niepewnym świetle świecy, jak szeroka żrenica chłodna, niemal lodowa.

Szeffanja napis odczytywać zaczęła:

„Pamiątka Chrztu Świętego...”

Wpatrzyła się w gołębia delikatnie zarysowanego ponad literami, który, skrzydła rozpostarłszy, unosił się na szklistem tle srebra.

Przyczajona na sofie Gołda, z pod długich, rudych rzęs w błyszczący przedmiot swe leniwe żrenice wlepiła, jakby zahypnotyzowana tym bladym krążkiem, świecącym w przestrzeni.

Ichimek, na chwilę uspokojony, piszczeć znowu zaczął.

Szeffanja podniosła głowę.

— Co temu dziecku? chore?

Golda wykrzywiła wargi.

— Jemu durno Jasio pobił!

— Kiedy?

— Dzisiaj, przed kamienicą... un się bawił. Jasio szedł; nu, tracił, pobił.

Mówiła obojętnie, apatycznie, cała rozleniwiona w tej beczynności, w jakiej pędziła od kołyski swe życie, czekając po nocy nadejścia matki, która im żer przynosiła, jak ptak pisklętom do gniazda przykutym.

Chłopak, słysząc, że o nim mowa, znów zawodzić zaczął:

Ma... me!... Ma... me!...

W sercu Stefani szarpnęło się coś niewyraźnie na ten płacz opuszczonego i skrzywdzonego dziecka.

Była to jednak chwilowa i słaba isierka, która natychmiast zgasła.

Wrodzony, we krwi antagonizm dwóch ras nawet w jej gołębiej naturze, dławiał ludzkie instynkty i na serce pancerz egoistycznego sposobu cierpienia nakładał.

Milczała więc, prawie już nie słuchając jęku chłopca, który powoli cichł coraz rzewniejszy, tęskny, pełen bólu zranionego zwierzęcia, wśród tej nocnej ciszy, przerywanej tylko niekiedy turkotem przelatującej dorożki.

Świeca dopalała się w blaszanym lichtarzu i płomień jej drgał konwulsyjnie, wydobywając chwilami jaskrawe szmaty ścian, z których malowidła szafirowych palm zacieły się w poczepianych plamach wilgoci i zagięciach kątów.

Uboga szafka nawpół otwarta, w głębi łóżko, przykryte starą portjerą, po której przewijały się jeszcze złotawe nitki, na szafce dwa rądle, samowarek blaszany bielący się wśród cienia, trzy japońskie podarte wachlarze, uczeplone na gwoździkach nad sofką, z której wypadła sierć i sprężyny; kilka krzeseł, na stole talerze, gałgany, papiery, imbryk, grzebień z resztą rudych włosów kolejno oświeślał blask tańczącego światła, szarpiącego się nerwowo, niespokojnie w głębi lichtarza.

Przy oknie, po nad którym zwieszała się szmata białego tiulu, brudna i smutna, leżała na ziemi stara peruka Jenty z dwóch wstążek zszyta, z długimi tłustymi tasiemkami i jak robaki na podłodze się wijąciami. Do jednej z tych tasiemek ręka Ichimka przyczepiła drewnianego konia, z poutraćcaniami nogami, owiązanego szychową szmatką z naszyjnikiem paciorków na karku.

Paciorki te błyszczwały pożyczanym, sztucznym blaskiem szmaragdów, jak oczy pantery przyczajone w cieniu klatki.

W podnoszącym się płomyku świecy migotały żywo jakieś krwawe refleksy rubinów, gorąca żółtość atlasu, drżące srebro frendzli, lub ponure, niepewne, żalobne światła dżetów.

Chłopak leżał na całej masie szmat starej kobiecej garderoby, na balowych trenach zgniecionych w jedną masę jedwabnego ciasta, na powodzi brudnych koronek, z których wyzierały aksamitne liście kwiatów lub pęki spłowiałych wstążek, na stanikach oszytych piórami i wydzielających woń ciał kobiecych, na blaskach porannych, zachowujących zda się formy piersi i ramion dziewcząt, które je nosiły.

Gdzieniedzie czerniał aksamit paltota, oszytego wytartym futrem, lub kryła się jakby zabłąkana kamizelka męska z oberwaniami guzikami.

Był to cały kąt próżności kobiecego ciała, które triumfalnie w strojne szmaty się obwinawszy, szmaty te przepocone i zbłocone, w kąt izdebki żydowskiej zrzuciło, ciągle dumne i nieubłagane w bezustannej chęci posiadania nowości.

Dziecko w brudnej koszuli, w stos ten jedwabów, piór, atlasów zaryte, niemal zrodzone na tej macie wonnej i cuchnącej, miało pozór kota, wylegającego się na kupie wystygłego popiołu.

Gdzieniedzie z pod stosa zabłysła jeszcze świetna isierka i gasła, pozostawiając jedwabiom i koronkom szary wygląd kupy bezbarwnych lachmanów. Wreszcie cicho, jakby ostrożnie, ktoś koło drzwi zachrobotał.

Golda podniosła głowę, Ichimek oczy otworzył.

W pokoju stanęła Jenta.

Na czarnym tle sieni zarysowała się niepewnymi konturami cała postać żydówki.

Mała była, niska, zgarbiona, z brzuchem silnie wyдутym, z piersiami zapadłymi, twarzą pociągłą, mizerną, o dużych, czarnych oczach. Pod oczami temi żółciły się wątrobiane plamy, usta boleśnie skrzywione zaokrąglały się rasową linią w podkowę po nad spiczastą brodą.

Młoda była, najwyżej lat trzydziestu, lecz zniszczona w wiecznym rozgonie po czterech stronach miasta, w tej wiecznej wędrówce za groszem, nigdy nie mając chwili spoczynku, drepcąc po ulicach z gardłem zaschłym z pragnienia, z wiecznym bólem we wnętrzu swego zbolełego

macierzyństwa rozdartego ostatnim prorodem przedwczesnym, spowodowanym straszną wiadomością o ucieczce męża do Ameryki, ucieczce tajemniczej, która ją wraz z dwojgiem dzieci i sparaliżowaną matką męża, na pastwę nędzy i własnego przemysłu rzucała.

Stała na progu i, zmrużywszy oczy, wpatrywała się w Stefanję.

— A, to pani! — wyrzekła niskim, zmęczonym głosem — aj! aj! tak późno! co się stało?

Przestąpiła próg i ku Stefanji zmierzała, lecz Ichimek z wrzaskiem z barłogu się zerwał.

— *Mame! mame!...*

Żydówka tobolek z rzeczami, który w rękę miała, rzuciła na ziemię, starą lampę postawiła na krześle i ręce do dziecka wyciągnęła.

— Idę, synku, idę... — wołała, biegnąc do barłogu.

W pół drogi wszakże zatrzymała się.

— Pani daruje, ale dziecko stęskniło. Od rana niema mnie w domu.

Stefanja próbowała się uśmiechnąć.

— Niech Jenta się nie krępuje... ja poczekam.

Jenta na stosie sukien przysiadła i gorączkowo z kieszki kawałki ciastek wyjmować zaczęła.

— Na tobie, Ichimek! ciastki dobre, migdałowe, same smaczne, o! widzisz, różowe!

Chłopiec brudne rączki wyciągnął i okruchy chwycił, lecz już Gołda, z sofy się zsunawszy, milcząc, matkę za łokieć ciągnęła.

— I ty też? — łajła ją Jenta — nie wstyd ci? taka wielga panna o łakotki prosi? Aj! aj!

Dała jednak dziewczynie makaronik i teraz w kącie do pieca się zwróciła.

— Matka co jadła?

Nie czekając na odpowiedź, wstała i, schwyciwszy talerz, do pieca podeszła.

Ichimek z kupy gałganów się zsunął i za nią dreptał.

Gołda posuwała się także za matką.

Stefanja stała chwilę, oczekując aż się wreszcie uspokoją, nakarmią gorącą strawą, którą Jenta z garnka na talerz przelewała.

— Niech matka je! — mówiła, nad starą paralityczką się pochylając.

Ta ostatnia głową trząsła, nie mogąc ustami łyżki uchwyć.

— A! aj! z matką to gorzej, niż z dzieckiem.

Karmiła jednak swą świekrę z cierpliwością niezwykłą, pełną abnegacji i zapomnienia o sobie, zdając się nie czuć już głodu, ani zmęczenia i jak suka do szczeniąt biegnąca, sama znędziała, wyschnięta, zczerniała, wlokąc się wśród dżdżu i miastowego zaduchu do swego barłogu, w którym ledz nawet nie mogła na krótką chwilę, szarpana przez opuszczone przez dzień cały dzieci, okrutne w swym egoizmie, barbarzyńskie w swej nieświadomości, czyhające na powrót matki, jak na łup rzucony im na pastwę.

— Gołdziu, masz tu kawałek świeczki: zapraw w lichtarzyk, bo tanta skipnie.

Gołda ramionami wzruszyła.

— Nie chcesz, córeczko? aj! jaka ty niepocziwa! widzisz, mama ledwie bokami robi, a ty świeczki zaprawić nawet nie chcesz! Aj! ty zła dziewczyna!

Gołda ssała makaronik obojętną, apatyczną, przylepioną do ściany, od której odcinała się błyszczącą linią różowego, atlasowego stanika.

— Niech matka zaczeka, ja świeczkę zaprawię!

Stefanja wyciągnęła rękę.

— Niech Jenta da; ja to zrobię.

Jencie twarz się wydłużyła wielkiem zadziwieniem.

— Gdzieżby pani takie rzeczy u mnie robiła? ja to w duch zrobię... ot i już!

Świeca zapalona i krzywo osadzona, jaśniejsze światło na izbę rzuciła.

— A teraz pani pozwoli, ja chłopca ułożę, bo śpiący... pozwoli pani?

Patrzyła błagalnie w oczy Stefanji, stojąc przed nią z Ichimekiem na ręku.

Chłopiec oparł kędzierzawą głowę na zapadłej piersi matki i zamglonymi oczyma wpatrywał się w płomień świecy.

— Niech Jenta dziecko położy, ja poczekam — odparła Stefanja.

— Bo jak pani pilno!

— Nie, zaczekam.

Osunęła się znowu na krzesło i, ściskając w rękę medaljon, śledziła żydówkę, rozbierającą malca po nad kupą gałganów.

Delikatnie, miłośniczo suche palce Jenty zdejmowały z synka brudne części odzienia.

Stefanja z instynktem kobiety i matki zaczęła intere-

sować się powoli tą czynnością, śledząc miarowe opadanie odzieży na podłogę, i ukazywanie się nagiego ciała o ciemno-złotawym połysku skóry.

Przyszedł jej na myśl Dziudek śpiący teraz w łóżeczku, może wołający ją w tej chwili tak, jak niedawno to żydowskie dziecko wołało swej matki.

Nagle Jenta drgnęła nerwowo i nagie dziecko ku światu zwróciła.

— Aj! aj! co ty masz, Ichim, tu... bez plecy, co?

Stefanija ujrzała na chudych plecach malca czerwoną pręgę, jakby od uderzenia szpicruty.

— Co to jest? aj, aj, aj... Gołda, czy to ty dziecko tak popsula?

Gołda wdrapywała się właśnie na sofę.

— To durny Jasio na ulicy jemu pobił!

W małych oczach Jenty zaświeciła iskra.

— A bodaj mu pokręciło temu łatyndzie, temu zabiakowi! temu parchulcowi!... on dzieci będzie po ulicach rozbijał! Aj! aj!

Pięścią zacisniętą w stronę okna groziła, jakby po za temi ciemnymi szybami stał olbrzymi warjat, śmiejący się przeraźliwym, przeciągłym głosem.

— Policja go tak luzem po mieście puszcza! Co to za sprawiedliwość! co to za policje, co daje zabijać dzieciów i kaleczyć!...

Ichim łkać rzewnie zaczął, wtórując zawodzeniom matki.

— Cyt, synku, cyt! — jęczała Jenta — ty sierotka jesteś, a dzień cały sam, czy to i krzywdy ci nie czekać. Co zrobić? no, co zrobić? Ja po mieście uganiam, dziecko na ulicę się przebierze, łajdak przejdzie i zamorduje go!... Aj! aj!...

Delikatnie, ostrożnie krwawej pręgi dotknęła.

— Boli?

Chłopak coraz głośniejsze krzyki zaczął.

— Aj, jaki to los mój!... — ciągnęła żydówka — za głupią szóstkę pod Rury leczę, bokami robię, spoczę się jak suka, język mi przyschnie, a od głodu to i opadam czasami na ulicy, do domu wróć — nieszczęście mnie czeka!... dziecko zabite przez tego rozbójnika!...

Nagle uderzył ktoś silnie kilkakrotnie w ścianę.

— Cicho tam, żydy!... — dał się słyszeć przytłumiony głos z po za muru.

Jenta odrazu przycichła i krzyczące dziecko tulić

zaczęła.

— Cicho! nie płacz!... na ci jeszcze pierniczka.

Nerwowo w kieszeni szukała, i wreszcie garść okruszków wydobyła i dziecku na dłoń wysypała.

— Patrz jakie ciasteczki!

Lecz chłopak garścią okruszków w oczy jej rzucił.

— Neel!... — mazał się, głową o piersi matki trąc jak małe jagnie.

Jenta oczy z kruszyn oczyszczała, i nagle śmiać się przez łzy zaczęła:

— Aj, ty delikatniś!... ty ciasteczki już nie chcesz, bo pokruszone... Widziała pani? On taki już z ojca: jak talerzyk powalany, to wszystko ciśnie na ziemię i woła: daj czyste! Aj ty! ty, księżu!...

Chłopak umilkł i przytulony do matki zasypiał powoli znużony snem i łzami.

Jenta do Stefaniji się zwróciła.

— Pani ma interes? Niech pani mówi! On już spać będzie... tak, byle przy mnie! byle się na kolana dostać. O... o... jak to sapie!

Stefanija powstała i zbliżyła się do żydówki.

— Mojo Jenciu... — zaczęła przyciszonym głosem — zdarzyło mi się nieszczęście: zgubiłam portmonetkę!

Jenta głowę podniosła.

— Aj, aj, jaka szkoda!... a gdzie?

— Wiem gdzie, tylko odebrać... nie mogłam.

— Ny, ale pani odbierze?

— Tak, tak, pewnie, odeślą mi. Tylko potrzeba mi na jutro do miasta.

Jenta głową pokręciła.

— Bieda!... u mnie niema prawie centa!

— Ja przyniosłam zastaw.

— Zastaw?

— Tak.

Stefanija zbliżyła się teraz zupełnie do barłogu, tak, że suknią dotykała pomiętych włosów i koronek.

— Oto jest.

Otworzyła pudełeczko i z westchnieniem podała medal Jencie.

— Co to jest? to pieniądz?... — spytała żydówka, jedną rękę wyciągając.

— Nie: to pamiątka. pamiątka, którą dostał mój synek.

— Jak się urodził?

— Nie, jak go chrzcili.

Jenta szybko medal do pudełeczka włożyła.

— Aa!...—wyrzekła przeciągle.

Stefanji krew zbiegła do serca.

Może żydówka nie weźmie w zastaw medala, nie da jej pieniędzy...

— To duża sztuka srebra... kosztowała ze dwadzieścia reńskich... Niech Jenta da pięć, moja Jento!

Żydówka milczała, kołysząc na kolanach śpiące dziecko, które teraz nagie i całe złocisto-śniade promieniało doskonałą pięknnością nerwowych i delikatnie rzeźbionych kształtów.

Stefanja umilkła na chwilę, wyczerpana, zziębnięta nagle widmem jutrzejszej rozpaczliwej chwili, w której stanie oko w oko z nędzą i głodem dziecka.

— Żebym była sama...—podjęła po chwili, czując, że musi powiedzieć to, co jej serce nęka—żebym była sama tobym Jencie w nocy się nie naprzykrzała... ale jutro... widzi Jenta... sługa!...

Żydówka milczała.

— Mąż...

Po twarzy Jenty przesunął się cień.

— Dziecko... chore...

Twarc żydówki nagle przybrała wyraz żalony.

— Chore? co jemu?...

— Ma konwulsje...

— Aj!..., aj!...

Ręce Jenty zacisnęły się dokoła palców synka.

— Aj! aj!...—powtórzyła i umilkła na chwilę.

— Niechaj pani sięgnie do tej spódnicy, co koło matki na gwoździu wisi. Tam pani znajdzie piątkę w papier zawiętą. Niech pani weźmie!...

Głos żydówki miał niskie, miękkie, ciepłe tony.

Stefanja odetchnęła.

Koło matki!—spytała.

— Tak; na gwoździu. Ja nie wstanę, bo się dziecko obudzi.

Stefanja podeszła w ciemny kąt, w którym drzemała blada i pomarszczona paralityczka.

Sięgnęła ręką do kieszeni zabłoconej spódnicy, wiszącej na gwoździu, na troczkach związanych w tysiąc węzłów.

Wydobyła pakietek starych gazet, związanych kawałkiem galona.

— Naszła pani?—spytała Jenta.

— Znalazłam.

Odwinęła gazety, które z szumem upadły na ziemię i wydobyła z wnętrza pięcio-reński papierek podarty i zniszczony.

Czuła się w tej chwili tak szczęśliwą, jak tonący, któremu nagle rzucą ratunkową linę.

— Gdzie położyć zastaw?—spytała, wyciągając rękę z pudełeczkiem.

Lecz Jenta potrzęsła głową.

— Niech pani to sobie zabierze... ja panią znam, ja się o moje pieniądze nie boję. Pani odda jak będzie można.

Stefanji ręka wzdłuż ciała opadła.

— Moja Jenciu...—zaczęła cichym głosem.

— Ny... niech się pani nie spiera. Niech pani do dziecka wraca i niech jemu zdrowo będzie... Taki ładny paniczek!... aj! aj!...

Stefanji łzy wzrok zasłoniły.

Postać skurczonej w żółtawem świetle żydówki zamajaczyła jej nagle w wilgotnych źrenicach, jakby oprawne w tysiące niebieskawych promieni zjawisko.

Siedząc na tej masie łachmanów, z nagiem dzieckiem, przytulonem do piersi, z wycieńczonym profilem, objętym w orzechowe pukle wstążek, miała w sobie Jenta spokojny kurcz istoty, wycieńczonej macierzyństwem i walką o nędzny kawałek chleba.

W Stefanji serce topniało powoli, i to zimno, które ją przejęło nagle na myśl o jutrze, ustępowało teraz jakiemś ciepłu rozmarzającemu. Czuła wielką, bezmierną wdzięczność dla żydówki i nie wiedziała jak ją ma wyrazić, jakie wdzięczności tej nadać formy.

I nagle, w sercu matki natchnienie czerpiąc, zbliżyła się do Jenty i pochyliła szybko nad nagiemi ramionami lchimka.

Lekko, jak w przelocie, dotknęła ustami ramienia żydowskiego dziecka, zmieszana, zawstydzona tym porywem, tą jakąś wolą, która przed przecięciem krwawą blizną ciałem żydziaka schylić się jej kazała.

XIV.

Nazajutrz na lekcję do domu doktora przyszła Stefanja z rękoma nawskroś zziębłymi pod niedostateczną

osłoną zniszczonych nicianych rękawiczek.

Jadwinia siedziała już sztywna i obojętna na taburecie, z rękoma obwisłymi, z twarzą zimną, nieruchomą, jakby z drzewa wyciosaną.

Nie spojrzała nawet na Stefanję, tylko skinęła głową, usłyszawszy skrzypiące drzwi od przedpokoju.

Stefanja usiadła obok fortepianu na swem krześle bez poręczy, na którem osłabione jej plecy napróżno szukały oparcia.

Kajet ćwiczeń, cały czarny od szesnastek, z wąsami luków, powiązanych numerami, rozkładał się na pulpicie w żółtawo-szarem świetle, włączając się po pokoju. Dwie świece wznosiły swe białe czyste linie po dwóch stronach pulpitu, tonąc w srebrnej podstawie lichtarzy, które znały się plamami, lekko świecącymi w przestrzeni.

Jadwinia położyła ręce na klawiaturze i ostro, jakby złośliwie posypała całą moc łoskotliwych, urywanych tonów.

Zimny dreszcz przeszył mózg Stefanji i osunął się wzdłuż palców.

Machinalnie wyciągnęła prawą rękę, uzbrojoną ołówkiem, oparła o kant fortepianu i takt znaczyć zaczęła.

Po upływie godziny Jadwinia powstała z taburetu i, wbrew zwyczajowi, nie cofając się ku drzwiom, do kanapy podeszła.

— Zdaje się, że to własność pani... — wyrzekła, sięgając po mufkę, która na białym pokrowcu znać miała się czarną plamą.

Stefanja szeroko otworzyła oczy.

— Panna Jadzia... znalazła?

Dziewczyna nie odrywała oczów od ziemi.

— Tak, znalazłam — odparła, mufkę na fortepianie kładąc.

— Gdzie?

Brwi dziecka zsunęły się gniewnie.

— Nie pamiętam.

Stefanja uczuła, że Jadzia badaną być nie chce. Wzięła mufkę w rękę, serdeczną radością przejęta. Ten biedny szmacik imitacji karakulów, który przeżył z nią dolę i niedolę, wydawał się jej w tej chwili dobrym przyjacielem, wracającym z dalekiej podróży.

Wsunęła rękę, znalazła chustkę i portmonetkę, wyciągnęła je na wierzch, całą uciechą przejęta.

Wszystko jest! — uśmiechnęła się, lecz nagle przysła jej na myśl recepta dla Dziudka. Może zginęła; w takim

razie ośmieli się i poprosi doktora o napisanie drugiej.

Otworzyła portmonetkę i pierwszej nim receptę, dostrzegła nowy trzyreński papier, starannie złożony i wsunięty w przegródkę.

W nędzy swej nauczyła się dobrze pamiętać ilość pieniędzy, jaką zawiera jej kasa; ten świeży banknot, cały zielony i szeleszczący, nie należał do niej, nie był jej własnością.

Spojrzała na Jadzię, która symetrycznie poduszkę na kanapie ułożywszy, do wyjścia się zabierała.

— Te trzy reńskie nie należą do mnie! — wyrzekła Stefania, pieniądze z portmonetki wyjmując — to jakaś pomyłka, może to...

Jadzia zatrzymała się na środku pokoju.

— Mylisz się pani — odparła stanowczym tonem — skoro mufkę znalazłam, pieniądze te już być tam musiały. Należą więc do pani

— Nie wiem czyją są własnością; to pewne, że nie moja. Kładę je więc na pulpicie. Może znajdzie się prawy właściciel; jeśli nie, najlepiej będzie oddać je biedniejszemu odemnie.

Ani na chwilę nie zadrgał jej głos dumą, jakkolwiek coś tam w jej wnętrzu szarpało się niewyraźnie na widok jałmużny, tak niezręcznie oschłą ręką tej dziewczyny podrzuconej.

Drzwi skrzypnęły lekko.

Pani Metzler, cała czarna w swej prostej sukni, ze świecącymi plastrami przyklepanych niobów, stanęła na progu.

— Czy lekcja skończona? — spytała cichym, kaplicznym głosem.

Jednocześnie nagle głowę podniosła.

— Pani swych pieniędzy nie bierze? — spytała sucho, bezdźwięcznie niemal.

— Nie moje... nie biorę!... — odparła Stefania.

Dziewczynka do fortepianu podeszła, wyciągnęła rękę i kościstymi palcami ujęła papier, poczem ku oknu się zwróciwszy, otworzyła lufcik, i z rodzajem pogardy banknot na ulicę rzuciła.

Stefanja mimowoli rękę wyciągnęła.

— Panno Jadziu!...

Lecz dziewczynka lufcik zamknęła i ciągle sztywna, zimna, milcząca, ukloniwszy się lekko, panią Metzler we drzwiach minęła i za portjerą znikła.

Pani Metzler złożyła ręce jak do modlitwy.

— Co ta dziewczeczka wyprawia?... Zdaje mi się, że pieniądze przez lufcik rzuciła!

Stefanja ramionami wzruszyła.

— Dziwny charakter!—wyrzekła. nuty z pulpitu zdejmując—dziwny, bardzo dziwny!

Pani Metzler do okna podeszła.

— Co ona wyrzuciła?—spytała z ciekawością starej dewotki.

— Trzy reńskie!

— O, Matko Boska! dlaczego?

— Nie wiem; kaprys zapewne. Znalazłam te pieniądze w mojej mufce. Nie należały do mnie, położyłam je na pulpicie...

— W mufce? a!... to może który z młodych panów przez nieuwagę zostawił.

Stefanja uważnie spojrzała na mówiącą, śmielsza wobec tej wolnej najmitki, równej jej rangą na drabinie społecznego podporządkowania jednostek.

— Młodych panów?... jakich?...

Pani Metzler machnęła ręką.

— A!... dwóch ich było: ten książę z Kuczkiryszek, czy jak tam... i drugi...

Umilkła i znów za lufcik spojrzała.

— Trzy reńskie... hm!... ani śladu... pewnie wiatr uniósł!

Stefanja szukała ćwiczeń Czernego i nerwowo przekładała stos nut w koszyku napiętrzonej.

„Książę? i ten drugi? Więc to ten drugi był znajomym. Jadwini, bywał tutaj może...”

Kajet ćwiczeń wysunął się nagle z rąk młodej kobiety. Zdawało się jej, że drzwi otwierają się i wchodzi ten blondyn, wśród alei kwiatów ujrany.

Lecz nie: był to Henryś, cały zamazany atramentem, olbrzymi jak klekoczące kośćmi żrebie, śmieszny w swych zbyt krótkich spodniach i za długiej kamizelce.

Machnął głową, zatarł czerwone szorstkie ręce i na przywitanie rozszerzył dziwnie usta.

— *Décidément!*—wymówił z przyciskiem.

— Dzień dobry panu!—odparła Stefanja.

— *Décidément!*—powtórzył chłopiec.

Pani Metzler westchnęła.

— Zdaje mi się, panie Henryku, że ten wyraz wymawiasz już dobrze... Od czterech dni ciągle go powtarzasz. Przejdź do innego słowa.

Décidément!—zabrzmiało w odpowiedzi.

Pani Metzler, milcząc, wysunęła się z pokoju.

Stefanja za ołówek ujęła i po czarnych od nut stronach wolno posuwać zaczęła.

.....

— Czy sam pan jest w domu?

— Tatki niema, ale mama są i prosi się pani do *sal de dąsu*.

Stefanja, poprzedzona przez chłopca, minęła duży pokój, służący podczas „kompletów” za garderobę, i znalazła się w wielkiej, podłużnej sali, w której pod ścianami poustawiane wąskie kanapki, kładły czerwone, jaskrawe linje, silnie od jasnego obicia murów odcięte.

Koło okna, w prawym kącie, stał olbrzymi fortepian rudo-czerwony, jak zwierz uśpiony, z łbem, opuszczonym ku ziemi. Podobnym był do starej szkap, drzemącej na pastwisku. Obok niego pulpit do nut sterczał w jasnej, okiennej przestrzeni, z dokładnością czarnego szkieletu. I tylko lustro, wcisnięte pomiędzy okno, migotało czystą taflą, nierozdzieloną żadnym obcem ciałem.

Firanki u okien z jasno-popielatej brokateli silnie odciągnięte, odłożone na drewniane podpórki, miały w swych fałdach czystość sukni młodej wdowy, spieszącej na pierwszą taneczną zabawę.

Podłoga silnie wyfroterowana, świeciła jak skóra rudego olbrzyma, zlanego gorącym potem. W lśniących taflach odbijały się nóżki ławek ciemnymi, kreskowanymi linjami, jakby na zwierciadlanej powierzchni wody cicho stojącej.

Stefanja z trudnością po tej powierzchni się posuwała.

Malec, stojący przed nią, zanosił się ze śmiechu.

— A to się pani pokracznie rozstawia! — wrzasnął przeraźliwym głosem.

Stefanja, przerażona tym przepitym dźwiękiem, wychodzącym z tej niewielkiej klatki piersiowej, przysiadła na pierwszej ławeczce z brzoza.

— A nogi! trzyma pani nogi w jedenastej pozycji!...— wołał tymczasem malec, zataczając nadzwyczajne kręgi i ślizgając się z niewypowiedzianą wprawą po wyszlifowanej posadzce.

Mimowoli Stefanja wyciągnęła rękę.

— Dziecko!... upadniesz!...

— Śmieję się radca z tego!... — odparł malec, tańcząc walca w lewo coraz szybciej, tak, że za chwilę tylko czerwone jego pończochy wiły się jak węże i łączyły w jedną

całość, kręcąc się, migając, zlewając w jedną linię, jak ramiona drżącego zwierokrzewu.

— Ein! zwei! drei! — przyspiewywał sobie dzieciak na całe gardło.

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanęła w nich silna, barczysta kobieta.

— A ty, karaluchu! idziesz precz!... będziesz ty mi posadzkę rysował?

Malec nie ustawał w swych tanecznych podskokach.

— Cwicze się, pani radczyni!... ćwiczę się! — krzyczał, pakując ręce w kieszenie od kurtki.

— Czekaj-no, niech ojciec powróci!...

— Śmiej się radca z tego! — odparł mały.

Ustał jednak w tańcu, stanął na jednej nodze, zrobił baletową pozę, mrugnął znacząco w stronę matki i, jak wąż, pośliznął się ku drzwiom. Teraz wreszcie Stefanja powstała ze swej ławeczki.

— Przychodzę tu z rekomendacji pani Wisienkiewiczowej, podobno potrzeba kogoś do grania na kompletach...

Gruba kobieta skinęła protekcyjnie głową.

— Tak!... pan Funkier mi to mówił przedwczoraj, ale...

Urwała i zmierzyła wzrokiem Stefanję, cała przejęta zazdrością, obawą o tego męża, którego uwielbiała i lękała się utracić, z powodu jakiej pobocznej jego miłości.

— Czy państwo już mają kogo na to miejsce?

Funkierowa zawahała się chwilę.

— Nie!... to jest, nie wiem! Zdaje się, że pan Funkier jeszcze nie ma nikogo napiętego!

Stefanja wydawała się jej bardzo nędzną, nawet brzydką, gdy tak stała przed nią ze spuszczonej oczami, cała drżąca od chłodu panującego w nieopalananej salce.

— A umie pani grać porządnie?—zapytała, opierając ręce na wydatnych biodrach—bo to trzeba dobrze *wybić*, nie...pytlować, aby w uszy im wpadało.

Powtarzała bezwiednie słowa męża, które chwytala z za drzwi niedomkniętych, z po za których szpiegowała pana Funkiera i jego uczennice, ciągle się trawiąc podejrzeniami, często uzasadnionymi.

Bo to lekcje, to jeszcze, ot przy skrzypcy, ale komplet, to niech Bóg broni. Jak wezmą walić piętami hołubce, to się sama pani w fortępienie zgubi!...

Stefanja potrząsnęła głową.

— Grywałam już do tańca, sądzę, że potrafię.

Drzwi się uchyliły i malec głowę wysunął.

— Pan Funkier we własnej osobie! — krzyknął, parskając śmiechem.

Tadek! ty mnie do grobu wpędzisz!—jęknęła Funkierowa.

Ale już we drzwiach, podskakując, zjawił się nagle mały człowieczek, z wydłużoną twarzą, wychudła, podobną do ryja mrówkojada. Szyję miał tak cienką, że chwilami tylko „jabłko“ zdawało się trzymać głowę i łączyć ją z tułowiem.

Wiek jego określić było niepodobieństwem.

Metr tańca mógł mieć czterdzieści lub sześćdziesiąt lat.

Wygolony, jak stary aktor, pomarszczony, jak histeryczka, miał fizjonomię ruchliwą, ciągle ożywioną, z uśmiechem jakby przyrosłym do wyschłych i bezzębnych ust.

— Pani dobrodziejka od pani Wisienkiewicz? — wymówił, kłaniając się umiętnie—co do grania na kompletach?

— Tak, panie.

— Hm!... a coś pani bardzo przezroczysta... jakże to będzie z siłą?

— Mówiłam właśnie! — wtrąciła Funkierowa.

— Pozwól, Kociu!... może pozory mylą. Kto wie co w kim siedzi! Ha, ha!... Tadek! nie ruszaj nogi ojcowskiej. Chłopak przykląkł i kolano ojcowskie gwałtem w tył popychał.

— Czego ty kolana zginasz? — zapytał wreszcie, marszcząc brwi—ej, radco! zaczynasz się negliżować!

Funkier całe usta z uciechy otworzył.

— Patrzcie, co to za dziecko! cudowne!... już i mnie poprawia! Czy pani wie, że ten smyk to już na lekcjach pokazuje młodszym? Słowo honoru!... Tadzik, zatańcz dla pani mazura!...

Chłopak podparł się pod boki i nogą o nogę uderzył.

— Dziś!... dziś!... dziś!... jutro!... jutro!... jutro!... — wrzasnął, pośpiewując przeciągle.

Funkier jednym skokiem do ławeczki podbiegł i leżące skrzypce schwycił.

— Ta, ta, tata, ta, ta, ta, — dośpiewywał, przytupywał, aż wreszcie smyczek znalazł, i cały w podrygach grać zaczął.

Tymczasem mały tańczył solo mazurowe, ilustrując je całym arsenalem baletowych gestów. Przekrzywiał głowę, wyciągał ręce, zaokrąglał je nad głową, machał nie-mi po powietrzu, przeginał się, wdzięczył i robił wrażenie

małej marjonetki, w ruch ukrytą sprężyną puszczonej. Stefanija, jakby zahypnotyzowana, śledziła nogi malca, poruszające się jak czerwone węże w jasnej przestrzeni i w takt muzyki drgające. Tadek miał głowę i tors matki, silne, uparte, kwadratowe, natomiast od pasa kariał w ojca — chudy, cienki, nerwowy, spieczony ciąglem pragnieniem ruchu i tanecznych podrygów.

— Dziś, dziś, dziś... jutro! jutro!

Wrzeszczał mały, zataczając holubce.

Ojciec o kilka kroków rzepoląc na skrzypcach, śmiał się, cały rozradowany, i powoli ogarnięty zaraźliwym szaleństwem, sam tańczyć zaczął.

— Dziś, dziś, dziś!...

Tymczasem Funkierowa nachmurzona, z odętymi wargami na męża i dziecko patrzyła.

— Dalibyście pokój tej hecy — wyrzekła wreszcie, wrusząc ramionami — co to panią obchodzić może. Prawda?

Stefanija zdobyła się na uprzejmy uśmiech.

— Ależ nie! owszem!... mały jest zachwycający!

Mały klasnął w dłonie.

— Słyszysz radca! — odezwał się do ojca, oddychając ciężko — ciesz się! masz przynajmniej tego syna!

I, nagle rozochocony, stanął, grzywę z czoła odgarnął, do ziemi przysiadł i rozkazującym głosem wrzasnął:

— Obertas!

Piskliwie zabrzmiał oberek, a Tadek jak koń w cyrku na bok przechylony, po salonie w krąg się puścił.

— Hu! ha!...

Do ziemi, jak gad mały i potworny przypadał, roskraczał się, podnosił, fikcyjnie poły sukmany zbierał.

Funkier na środek sali się wysunął i stał tak, jak be-rajter cyrkowy, wyprowadzający kuca, tresowanego z wolnej ręki.

Funkierowa zgrzytnęła ze złości zębami.

— Zachwycający... — powtórzyła z ironią — niewiem, czy pani to powtórzy, gdy się dowie, że ten kawaler abecadła jeszcze nie zna!

W jednej chwili nastąpiła zmiana dekoracji. Tadek zatrzymał się w półobrocie i wykrzywił malpą twarz, jakby do płaczu.

Funkier grać przestał i z pod oka na żonę spojrzał.

— Zawsze mi dziecko przed obcymi kompromitujesz! — wyrzekł cierpkim głosem.

Funkierowa ramionami wzruszyła.

— Cóż mam robić? toż dopust w tej całej familji na to fikanie. Ty jeszcze ale on? poco? na co?

— Niech się kształci!

Toż kształcenie! Boże!

— Będzie miał chleb w rękach...

— Chyba w nogach! Lepiejby było, żeby się czego innego jał. Będzie się kiedyś tak lamparcił po nocach, jak ty!...

Funkierowi twarz się rozjaśniła.

— No, to co? niech się lamparci zdrow! Czy to mi nie służy? co?

Zwrócił się do Stefanji:

— Ile pani mi lat daje? no ile?

Podsuwał się ku niej, coraz bliżej, wdzięcząc się i starając ożywić swą zmarszczoną twarz, skamieniałą poprostu w swej niezwyklej chudości.

— Niewiem — odparła zakłopotana — pięćdziesiąt, czterdzieści pięć — dorzuciła z pośpiechem.

Szło jej o dostanie miejsca w tym domu, kłamała więc wbrew swemu zwyczajowi, zniżając się nawet do pochlebstwa.

Funkier kłatkę piersiową wydał i z dumą się po niej postukał.

— Czterdzieści pięć! hm!... słyszysz, żono!... czterdzieści pięć!... Toż pani dobrodziejko, ja mam już sześćdziesiąt trzy! słyszy pani, sześćdziesiąt!...

Stefanija pokręciła głową.

— Rzeczywiście... to nadzwyczajne! — rzuciła znużonym głosem.

— Ech!... niech mu pani nie pochlebia! — wtrąciła Funkierowa silnie zirytowana — dziadziśko stare i ledwie łązi. Gdzie mu tam do czterdziestki!

Lecz Funkier odmłodzony, ożywiony, nogami szurgął pełen galanterji i wesołości.

— Pani radczyni nie zrzedź! masz męża, jak perłę, i do wypitki i do wybitki!...

— Oj, że do wypitki, to wiadomo!

— Radczyni bluźnisz! widziałas mnie kiedy pijanym?

— No!... niby nie!... ale!

— Więc co cię to obchodzi, co ja w siebie wleję? co?

Stefanija spuściła oczy, nagle przytłoczona tem widmem pijaństwa, które, wywołane głosem Funkierowej, zjawilo się przed nią w jasnej przestrzeni tej pustej sali.

I nagle głos Funkiera zaczął jej przypominać jakieś znane dźwięki.

Tak!... niedawno, bo przed tygodniem może, stojąc w nocy pod oknem handlu, na ulicy Kopernika, słyszała ten głos żartobliwy, suchy, łaskocący, jakby chichot potwornej maski.

Głos ten łączył się z belkotem Michała — przypomina to sobie dokładnie.

Miała więc przed sobą jednego z „przyjaciół” męża, tych przyjaciół, w mgłę tajemnicy spowitych, o których mówił Michał, tocząc z obwisłych warg pianę:

— Ja i moi przyjaciele!...

Zrobiło się jej nagle zimno i patrzyła teraz przed siebie na lśniąca podłogę z wysiłkiem najwyższym. Walczyła z sobą, by nie wyjść z tego domu, od tych ludzi, od tego człowieka, który miał w sobie część występku Michała, i oddychał tym samym zatrutym knajpowym wyziewem, w którym nudząca nuta alkoholu przebiegała jak ostrze sztyletu przez krepową zasłonę.

— Nazwisko pani? — zapytał nagle Funkier, zacierając ręce.

Chciała się zaciąć w upornym milczeniu i nie odpowiedzieć na to pytanie, lecz nadzieja zarobku przewyciężyła wstręt w niej się rodzący.

Funkier ręce szeroko rozstawił.

— Jaki? żona pana Michała? Pani dobrodziejo, toż ja i Michał jak rodzeni bracia. Bumblujemy po wszystkich knajpach. Tylko... on ma biedną głowę. Byle co — fajt, już po nim! Ja, bo morze wypiję i zawsze sztaff na nogach stoję...

Urwał na chwilę i palec do nosa przełożył.

— Phi!... patrzcie państwo, jaki to skryty Judasz z tego Michała. Ani pisał, że żonaty. Ani pisał... Tak sobie tego... ten... niby kawaler...

Stefanja usiłowała się uśmiechnąć, bo czuła, że błędnie pod wrażeniem okrutnych słów Funkiera.

— Michał jest skryty... rzeczywiście! — wyrzekła cicho i urywanym głosem.

— A nawet... raz... — ciągnął Funkier, uśmiechając się lubieżnie — kiedy...

Zatulił usta pięścią.

— A tożbym się wygadał!... — zawołał, podskakując — byłby dopiero miał Michał kapelusz.

Nastąpiło ciężkie i przygniatające milczenie.

Tadek tylko przy oknie lekko pogwizdywał, plotąc frendzle firanek w warkoczyki.

— Więc co do godzin i zapłaty — podjęła wreszcie Stefanja, czując się śmiertelnie znużoną i zadraśniętą w swej ambicji kobiecej.

— Trzy reńskie, do dwunastej; po północy, wedle umowy z panami! To już oni płacą!

— Trzy reńskie... to trochę mało!...

Funkier ręce rozszerzył.

— Jak wola! ja już tak zwykle płacę. No! to dosyć! niech!... niech mi pani wierzy. Przez przyjaźń dla mężusia może co postapię, ale mi za to musi kapucynki postawić całym sznurem. Dobrze?

Przymilał się znów i suchy język, ciągle spragniony, a nie nasycony nigdy, pomiędzy wargami przesunął, jakby już widząc te ulubione „kapucynki”, błyszczące na tacce, na brzegu knajpowego stołu.

Krwawy obłok przesunął się przed oczami Stefanji.

— Dobrze? — pytał Funkier — będą kapucynki?

— Będą... — prawie szeptem odparła kobieta.

XV.

— Ja, das ist die Liebe,
Ja, das ist die Liebe,
Das muss die Liebe sein!...

Mitzi Pradel wygięła się jak wąż w swej płomiennoranzowej sukni i, rozstawiając szeroko ręce, śpiewała ochryplym głosem delikatnego menueta, który w atmosferę przepojoną miazmami ordynarnego tytoniu, wpadał, kręcił się, czepiał paludamentów scenki i, jak ptak spłoszony, pod zczerniałe sztukaterje sufitu uciekał.

Nędzna sala tingel-tanglu tonała w jakiejś szarawej, jakby wilgotnej mgłę, wznoszącej się ściśniętym wałem nad stolikami, przy których siedzieli mężczyźni zwrócenii twarzami do sceny, prawie wszyscy pijani, z oczyma podwleczonemi mgłą, z wargami bezsilnie obwisłymi.

Przed nimi, w ciemnych kartonowych ramach, jak rana świeżo otwarta, krwawiła się scena, obita purpurową kitajką, pomarszczoną w krzywe fałdy.

W głębi duże lustro jasne na tej czerwieni kładło znamię, spoczone do połowy matową warstwą tej samej pary, która z wyziewów ludzkich i dymu tytoniowego złaczona snuła się po całej sali.

Na przodzie rzadkie kinkiety, jak zęby starej kobiety, szczyrzyły się poza porwaną i przepaloną siatką, rzucając żółte, niezdrowe, przecięte smugami światło, na brudną podłogę. Lecz już górna część sceny niknęła w cieniu, a nawet twarz śpiewaczki oświetlona od spodu, miała czarne plamy zamiast oczów, które przecinały ją jakby potworne okulary.

Wysoko na ścianach sali ćmiące się kinkiety, okryte zczerniałymi od kurzu globami, zdawały się być przysłonięte krepą i rozwlekały niepewne blaski, jakby konających żałobnych latarni.

Ponad niemi, dokoła, dach galerji opuszczał się leniwy, obwisły, ciężki, dyszący zmęczeniem od tych grubych butów wyrobników i żołnierzy, tłoczących się na wysoko podniesionych pod sufit ławkach.

Na dole całe szeregi stolików, ciemnych, zachlpanych, zastawionych kufkami, kieliszkami, szklankami.

Koło nich resztki ludzi ciężkich od wlanego w siebie trunku, lub nagle podnieconych świeżo przełkniętą dozą jakiegoś fabrykatu. Tu i owdzie mundur oficera jasno-błękitny, lub spodnie ułana purpurowe, rozjaśniały ten mrok, jakby kwiat polny na szare bagnisko rzucony.

Gdzieniedzie zamigotały guziki freiwiligera, w cieniu zabłysła rękojeść szabli, lub sprzączka kaska na stoliku postawionego.

Zresztą, cień i brud, w których migały niepewnej białości gorsy koszul garsonów i ich serwety o czarnych załamach. Czasem jakiś promień zbłąkany zaświecił nagle w masie kufli, którą dźwigał garson na zaokrąglonem ramieniu. Promień ten jak gwiazdka niepewna zaświecił, rozszczepił się na tysiąc blasków i w tej chwili zgasł, jakby przytłumiony tą wilgocią smrodliwą, opanowującą triumfalnie wszystkie zakątki sali.

Tymczasem hałas rósł i potężniał z każdą chwilą. Mitzi Pradel gestykulowała w dalszym ciągu, wyciągając ponad głowami orkiestry długie ręce chudej Niemki, wybile one z wierzchu, żółte w zgięciach łokci, obwieszzone tombakowemi bransoletkami.

Mężczyźni, siedzący w sali, nie uważali na śpiew aktorki. Jedni podnieceni trunkiem i zepsutą atmosferą, wyli,

śpiewali, piszczeli naprzemiany; drudzy siedzieli cicho jakby w zamyśleniu, pluli, lub melancholijnie kiwali głowami. Jakiś młokos, tuż pod filarem, podpierającym galerję, założył nogi na stolik, prezentując zielonawe podeszwy swych zniszczonych butów. Siedzący naprzeciw niego freiwiliger, wpatrzył się bezmyślnie w te sterczące pośród kufli nogi i powtarzał machinalnie:

— Pyramidal!...

Nieco dalej grupa „koniarzy“ eleganckich, nieposzlakowanych w swych angielskich kapeluszach i ciemnych paltach, nie dotykając postawionych przez kelnera kufli, gwizdała chórem graną przez orkiestrę melodję.

Przyszli tu „całą paczką“ z wieczoru w Namiestnictwie, na którym „embetowali się“ w towarzystwie dobrze wychowanych kobiet. Przywlekli się tu, sami niewiedząc po co, pełni odrazy dla brudu i zaduchu, czując doskonale przyniatający i jakiś rozpaczliwy smutek, wiejący z tego gniazda rozpusty. Siedzieli teraz rzędem przy brudnym stoliku, ogłupieli, sami, patrząc ironicznie na chudy gors Mitzi i tanie cygara w ustach swych sąsiadów. Nie rozmawiali nawet z sobą, znając się dobrze, jak lalki poustawiane za jedną witryną wędrownego kataryniarza. Gwizdali lekko, dystyngowanie, opierając ręce na galkach od lasek i parasoli. Jeden z nich tylko rozłożył się na krześle i, wpakowawszy w oko monokl, pokazywał Mitzi język, na co odpowiadała czarującym uśmiechem. Zato reszta „koniarzy“, nieznających wcale koni, miała zupełnie wygląd psów porcelanowych, poustawianych rzędem i zwróconych nosami do siebie.

Była to grupa nie tyle inteligentna, nie tyle *correct*, ile niezmiernie dystygnowana i zajmująca.

Kółko to tworzyło rodzaj *cercle'u* osobnego, otoczonego delikatną wonią werweny i zapachem hawańskich cygar. W brutalną i cuchnącą atmosferę sali wtłoczone, miało pozór delikatnego kwiatu wędznego na bagnisku. Białe, delikatne twarze „koniarzy“ przedstawiały się jakby przez zasłonę z białej gazy w leniwem oświetleniu, włócząc się po kątach tinglu. I tylko laski stylowe w rękach tych panów, wysoko aż pod brodami trzymane, świeciły zdaleka pokręconą rzeźbioną galką srebra lub złota.

Lecz już opodał zmiażdżone w ciemną masę pospółstwo szare i niewyraźne, nie miało ani jednego jaśniejszego tonu, ani jednej iskierki w swym przyniatająco bezbarwnym kolorycie. Zanurzone w szare kłęby dymu, wpadało w jedną kupę szmat ciemnych, szaraczkowych, poznaczo-

ných zaledwie niewyraźnymi linijkami wątpliwej białości kołnierzyków, i brudno-cielestymi plamami twarzy, powalanych gęstymi głębami zarostów. Gdziegdzie jasnością blado-różową odcięła się twarz młokosa, cała gładka, lecz szybko znikła w sinawej chmurze, podnosząc się leniwo, ciężko, ku górze jak oddech zatruty jadowitego płaza. Na lewo, nad orkiestrą, gdzie trąby żółciały brudną jasnością mosiądzu, widniał mały otwór łoża, zasłoniętej pomietą czerwoną firanką, mającą w swych fałdach cień wątpliwych spódnic kobiecych. Pomiedzy temi fałdami migiała od czasu do czasu ręka, ubrana w jasną rękawiczkę, ręka długa, męzka, nerwowa, jakby niecierpliwa i podrażniona.

Spojrzenia mężczyzn, przepelniających salę, biegły wciąż ku tej brudnej purpurze, za którą kryła się widocznie kobieta wrażeń chciwa, ale liczącą się z przesadami świata. Urok tajemnicy wydierał się z małego okienka łoża, wykrajanego niezgrabnie w źle spojonych deskach, pomalowanych grubo czerwoną posoką.

Zwłaszcza Funkier, przydujący przy stoliku środkowym w gronie kilku napół pijanych przyjaciół, wyciągał uwydatniając swą chudą szyję starego indyka, i mrugał znacząco, wykrzywiając się jak pajac na podrogałkowej arenie.

— Jakaś dama!...—mówił—ja mam nos!

I poruszał komicznie spiczastym noskiem, trzeźwy doskonale, przytomny wśród tej ciężkiej brudnej atmosfery, triumfując tęgością swej głowy nad oglupiałymi towarzyszami.

— Faje jesteście! zmokłe kury! baby!... Funkier morze przez siebie przeleje i zawsze sztaf! zawsze *frisch und munter*! Szpryncz jak chcecie będę wam wycinał, nogami całego Ojca zadżumionych wypiszę. Jak Boga Kocham! każcie tylko! takie pointy po podłodze posmaruję że za nic wszystkie aplikanty u adwokatów!

Podrygał na krzeselku jak fryga, kręcił się, rękami machał.

— Cóż?... Michał? już kaput? *ferfat die klaczkes mit die weisse kopytkes?*

Przechylił przez poręcz krzesła, Michał podniósł głowę.

— I zaraz!—wybelkotał przez zaciśnięte zęby—nikt tu nie *ferfat*... Kelner! daj pić!...

— Kie-ee-li-szek trzęsionki! — podśpiewywał Funkier, opierając się na stole łokciami z gracją naiwnej kucharki.

Kelner, młody żydek, w szarej beżowej kurtce, popla-

mionych spodniach i głęboko wyciętym kołnierzyku, odslaniającym chudą grdykę, zbliżył się szybko.

— Co dać?

Michał podniósł na chłopca podciągnięte bielmem oczy.

— Co chcesz, durniu!... ot...

Splunął ciagnącą się sliną i oczy znów przymknął ciągle na wpół senny, czując się dobrze w tym chaosie niewyraźnych głosów, szczerku kufli, stuku rzucanych na stoły miseczek.

Kelner znikł.

Funkier z kieszeni garść drobników wyjął.

— Para, czy nie para? — zapytał, trącając łokciem

Michała.

— Djabeł! odparł tenże, nieotwierając oczu.

Funkier pieniądze w rozlany na stół płyn wysypał.

— Przegrałeś, syneczku! przegrałeś!... dawaj guldeneczka!

Chudą, dobrze utrzymywaną rękę wyciągnął i palcami z niecierpliwością przebierać zaczął.

Palce zdawały mu się tańczyć w takt menueta śpiewanego przez Pradłównę na scenie.

— Dawaj!

— Niemam!—szarpnął się Michał.

— Phi!... coż ty za kompanion? I tak mam u ciebie w parki już dwadzieścia siedem ryniów. Kiedyż ty...

Nagle urwał, przypomniał sobie, że właśnie rano zgodził żonę swego wierzyciela do grania na kompletach.

Genialna myśl przyszła mu do głowy.

Żona za męża zapłaci.

Parsknął śmiechem rad z siebie i losu, który mu wygrane pieniądze odebrać pozwoli.

— Ty! Michał, jeszcze raz zgaduj, para, czy nie para?

Zgarnął pieniądze mokre od piwa i wódki, a otrzepując palce, pobrzękiwał trzymaną w dłoni monetą.

— No! para, czy nie para?

— Guzik!—wypluł z siebie Michał, czując instynktem nałogowego zwierzęcia zbliżenie się kelnera z blaszaną tacką pełną kieliszków napelnionych przegniłym żółtawym płynem.

— Przegrałeś znów!—wrzasnął Funkier podskakując na krzeselku.

Kelner z tacką w ręku już stał obok stołu. Funkier pośpiesznie pieniądze schował do kieszeni.

— Za nasze!... kawalerskie! — pisał, rozstawiając

kieliszki.

Po chwili grubym basem dodał:

— Czyja funda?

— Moja — odparł ponuro siwy jak gołąb mężczyzna, siedzący obok Michała.

Miał wytarte palto, a z kieszeni wyglądał mu zwój pisanych nut.

Michał protestował:

— Ja... kazałem!...

— Ja dawniej stałowałem — huczał starzec, a krew mu zarysowała silnie żyły, przecinające pomarszczone ciało — to moje!...

Funkier pelen chęci pojednania już ręce rozstawił.

— O co chodzi?... ty, Michałeczku chcesz fundować? dobrze? i pan Kunigasiński także? Ślicznie!... Będziecie fundować oba. Kelnerku, gołąbku!... jeszcze jedną tacuchnę, a ciepłą.

I, zakręciwszy znów pieniędzmi, do ponurego mężczyzny się zwrócił:

— Pan Kunigasiński zgadnie! co? parka, czy nie parka? he?

Kunigasiński siwe brwi zmarszczył.

— Nie parka! — odmruknął pomiędzy dwoma napadami czkawki.

— Policzymy!

Funkier pieniądze na stół wysypał.

Ein! zwei! ein! zwei!... — śpiewał, przesuwając monetę rytmem tanecznym — *ein! zwei!...*

Nagle dłonią pieniądze zakrył i filuternie a bystro w oczy swego partnera się wpatrzył.

— Pan Kunigasiński ciekaw? co? — zapytał.

Starzec niecierpliwie laską o ziemię stuknął.

— No!... cóż tam? kto wygrał?

— Ja! — wykrzyknął Funkier odsłaniając ręce przyciskając jednym palcem jedną z monet.

— Ja już mam takie psie szczęście!...

Kunigasiński do kieszeni sięgnął i garść zmiętych, podartych w strzępki papierków z niej wyjął.

— Ano, to i zapłacę!...

— Nic pilnego! o proszę!

Funkier z kurtuazją się skłonił, papierek jednak ze spoconej zimnym potem dłoni starca zdjął i znów pieniędzmi brzęknął.

— No!... jeszcze raz!... na odegranie!... Panie Kuniga-

siński, parka czy nie parka?...

Tymczasem na scenie, Mitzi Pradel znikła, pozostawiając w pustym otworze czerwonych kulis jakby jeszcze wspomnienie swych cielistych zbrudzonych na kolanach trykotów i chudych rąk, przecinających pustkę powietrza.

Muzyka ucichła na chwilę a gwar i krzyk wzmógł się na sali, która zdawała się być napelniona czarną, jakąś błotnistą poruszającą się falą. Co chwila wchodzili nowi widzowie i, stercząc silnie po nad głowami siedzących, tonęli szybko w ogólnej płaszczyźnie tajemniczej, tłustej i silnie w lepka masę zbitej.

Z góry, z galerji, które znów powoli się opróżniały, spadały od czasu do czasu kawałki papieru i jakby wstrzymane sinym oparem, unoszącym się po nad głowami tłumu, kołysały chwilę w przestrzeni.

Lecz już Mitzi zeszła na salę, ubrana w jasny płaszczyk deszczowy, z pod którego błyskały galony jej kostjumu.

Szła pomiędzy stolikami, poddając pod spojrzenie mężczyzn swą twarz umalowaną, twarz brzydkiej slugi o nosie rozplaszczonym z uczerwienionymi silnie nozdrzami.

Idąc, wyciągnęła rękę, na której dzwoniły grube bransoletki, i podawała talerz, na który publiczność rzucała miedzianą monetę.

Dziewczyna miała do twarzy przyrośnięty uśmiech bezczelnej cyganki, łaszczącej się o rzucony z pogardą cent za wykrzychaną piosenkę.

Nie krzywiła się, gdy jej mężczyźni dmuchali w oczy kłębam gryzącego dymu i obelżywemi dowcipy; miała w sobie spokój skażonej istoty, którą nic już zadziwić ani obrazić nie jest w stanie. Kołysząc się, podeszła do stolika zajmowanego przez koniarzy, którzy, niewzruszeni, ssąc galki od lasek, ruchy dziewczyny śledzili.

Wyciągnęła talerz, lecz ten sam „koniarz“, który przez cały czas jej śpiewu zabawiał się pokazywaniem języka, szybko laskę podniósł i w talerz uderzył.

Dziewczyna drugą ręką pochwyciła brzeg talerza i w ten sposób ocaliła od rozsypania się na ziemię nędzny uzbierany zarobek.

Po twarzy jej przemknął cień; spojrzała czarnym wzrokiem na grupę ssącą galki lasek, ożywioną cokolwiek dowcipnem wystąpieniem jednego ze swoich i odeszła powoli, uśmiechnięta, z krwawą blizną ust, przecinających jej

bladą maskę kłowna.

Lecz już koło drzwi zawirowało nagle, i cała grupa hałasujących mężczyzn wtargnęła, torując sobie bez ceremonii drogę i kierując się ku środkowi sali.

Na czele Kuczkiryszkiewicz, z twarzą apoplektycznie lśniąca, nosem silnie upudrowanym szastał się i kręcił jak panna na wydaniu.

Po za nim, delikatna i spokojna, rysowała się postać Rudka, który już od progu kapelusz z głowy zdejmował i włosy gładził, zawsze równowagi pełen, nawet w tym zaduchu i ciemnocie, w jaką nagle wpadł po wieczornej włóczędze wśród zarośli zamkowych. Spokojem tym odbijał dziwnie od swych towarzyszy zgorączkowanych, ciągle nerwowych, pełnych histerycznego niepokoju, targającego ich ciała, którzy cisnęli się po za nim z szerokimi gestami szlagonów, na jakich kierowali się wśród słońcem oblanymi budynków dublańskiej szkoły.

— Hej!... książę!... gdzie idziesz? nie ma już miejsca!

Kuczkiryszczak stanął, czyniąc gest zniecierpliwienia.

— Pozwól, baronie... idź tylko za hrabią i podaj rękę wicehrabiemu. Gwarantuję ci, że dla nas miejsce się znajdzie!

Wypiął tors, wydał szyję, przymrużając oczy i wysuwając pomiędzy wargami język.

„Koniarze“ nagle laski ssać przestali.

Książę, hrabia, baron, wicehrabia? Cóż to znaczy?

Wszak oni jedni mają monopol na tytuły ponabawiane za cenę zniżoną w Wiedniu.

Ospale twarze zaczęły się ożywiać.

— *Tiens... le prince... qui est ce? Connais pas!...*

Było to jakieś zuchwałe wkroczenie w ich prawa, deptanie po ich grzędach, rozpanoszenie się na ich śmieciach.

Powstali oburzeni.

— *Sortons... Sortons!...* — zaszemrali.

I wyszli cicho, poprawnie, z godnością, jak na prawdziwą, nie fałszowaną arystokrację przystało.

Kuczkiryszczak triumfując do stolika dopadł.

— *Voilà!...* mamy miejsce!

Lecz połowa Dublańczyków otoczyła Funkiera.

— Jak się masz Funkier!

— Zdrow jesteś, stary łobuzie?

— Kiedyż komplety?

— Cóż, Tadek? ciągle fika?

On kłaniał się uszczęśliwiony, cały rozweselony tą falą

młodzieńczej buty, która z tych ludzi ku niemu spływała.

— Siadajcie tu!... zestawmy stoliki!...

— Tak! tak!... grzechotnik ma rację! Książę, dawaj tu stoliki!

Kuczkiryszczak oczy zmrużył.

— Zapominasz się baronie, od tego są lokaje...

Końcem cieniuchnej, hebanowej laseczki stołu dotknął.

— Panie kelner, bądź tak grzeczny, stolik ten przestaw.

I, zbliżając się do całej grupy, dodał, kręcąc głową:

— Prawdziwy pan jest grzeczny nawet z kelnerami.

Tymczasem Rudolf oczy w Michała utkwiał, poznając doskonale w tym człowieku raz jeden ujrzaną postać w półcieniu schodów, przy boku Stefanji dojrzaną.

Powoli zbliżył się do krzesła, niezajętego tuż pod ręką Michała.

— Pan pozwoli? — zapytał.

Michał oczy otworzył.

— Pro... szę... — wybełkotał — będzie mi bardzo przyjemnie!

Z hałasem i krzykiem lokowali się Dublańczycy pełni energii i krewkości młodzieńczej.

Nikt nie protestował, bo muzyka, silnie dzwoniąc w splekane blachy, zaczęła już pokrywać ich głosy.

Na scenie ustawiono rodzaj estrady, pokrytej obtarganym dywanem, a na nim, jak wąż, cała blaszkami obszyta, wciśnięta w zielony weronczowski trykot, wiła się kobieta kauczukowa, potrząsając zielonem piórem, w chmurę jasnych włosów wpiętem.

Bez kości, cała jakby z gumy złożona, rozciągała się, składała, zwijała i po chwili straszna w swem potwornym skurczeniu, uśmiechała się boleśnie, wysuwając głowę z pomiędzy nóg, odwróconych silnie napiętym łukiem.

— Bodajęś! radca byś tego niepotrafił! — wyrzekł jeden z Dublańczyków, trącając Funkiera.

— Phi!... jakbym się uwziął!

— Nie! nie!... ani nawet wtedy.

— Co tam się sprzeczać, lepiej się napijmy!

— Tak! tak!... kelner!...

— A przedtem w parczkę!... No, panie książę... parka, czy nie parka?

Pieniądze zadzwoniły znowu w takt granej przez orkiestrę polki.

Rudolf ciągle obserwował Michała, który, nagle zbudzony, cały zaśliniony, drżącymi rękoma po kieliszek sięgał.

Cera jego twarzy w żółtem i brudnym świetle, miała plamy ołowiu na sinawo-różowej skórze, która obwisła po obu stronach policzków, suchymi łamliwymi fałdami. Z pod oczu zasuniętych białą niepewną zasłoną, zwieszały się dwa silnie podcięte worki skóry, prawie czarne, ziarniste, ku kącikom żółtawe. Lecz już na skroniach skóra nagle ściągnięta, i wyprężona, lśniła niezwykłą białością poznaczoną drobnymi plamami przysychających wyrzutów.

Rudolf ze swym zwykłym spokojem analizatora, rozbierał powoli z brutalnością posługacza szpitalnego tę złamaną i zniszczoną istotę, która bezsilnym prawie ciężarem zwieszała się przez poręcz krzesła, maczając prawie włosy w rozlanym płynie na blacie stolika.

Widział już nieraz w swem życiu nałogowych pijaków i często spędzał z nimi noce całe, lecz zawsze i wszędzie starał się zauważyć pewne odmiany, wynikające z indywidualnych własności obserwowanego osobnika.

Michał miał swoje osobne specjalne odcienie dziwnego drżenia kolan, które uderzały o siebie miarowo, jakby uderzenie wahadła zegarowego. Przytem z pod bielma, kryjącego źrenice, strzelał chwilami wzrok złośliwy, wzrok drażnionej małpy. Rudolf wzrok ten chwytła i w pamięci niżał. Przypomnił sobie słodki, dziecięcy wyraz twarzy Stefanji i zestawił z ukośnem, małpiem spojrzeniem Michała. Nie musiała być szczęśliwą z mężem ta ładna kobietka.

Tem lepiej!

Poprawił się na krześle, jakby zadowolony ze zrobionego odkrycia.

Tem lepiej!

Ale dlaczego?

Czyż myśli, że uda mu się osiągnąć z tego jakieś korzyści?

Kto wie! kto wie, jaką los mu chowa niespodziankę. On wie tylko, że ta blada, chuda, drobna istota weszła mu w krew, że ma ją w sobie, tak jak setki innych, które później zadowolenie podrażnionych zmysłów z krwi tej usuwało. Chwilę jeszcze się waha, analizuje swój stan, w gwarze tym i hałasie, przy dźwiękach zawrotnej polki, ze skrupulatnością chirurga zapuszcza sondę w swe zmysły i, sprawdzwszy w nich chęć, pchającą go ku Stefanji, nagle do Michała się pochylił.

— Pozwoli pan?...—podsunął mu świeżo postawiony przez kelnera kieliszek, w którym zmieszane likiery grały

kolorami tęczy, obejmując promienną obrączką złoto-żółte jajka, świecące się na powierzchni, jak oko uśpionego zwierzęcia na dnie kieliszka.

Michał podniósł głowę i z trudnością chwytając szyk słów, w drżące palce nóżkę kieliszka ujął.

— Za... nasze... kawa...ler...skie!...—wybelkotał.

Rudolf brwi ściąga. Kawalerskie? może się pomylił? Może ten wstrętny pijak nie jest mężem tej kobiety!

— Dlaczego kawalerskie? pan jesteś żonaty!

Michał wybuchnął zgrzytliwym, nierównym śmiechem.
— Widzisz pan... tak się mów... W kompanji są same kawalery!... Cóż żo...na? Kura... piszczy, coż żona!...

Otrząsnął się i skrzywił.

— Mocne? — zapytał Rudolf.

— Co?... mocne?... nie czu...łem, mdle... brr... nudzi!

Kulak w usta wpakował, zęby mu dzwoniły, bijąc szaloną tarantelę o zaciśnięte kurczowo palce.

— Chcesz pan co innego?

— Dzień...ku...ję!...

— Ale!... na znajomość!...

Michał głową skłonił.

— Na bru...der...schaft... Ale... Ale... pan ze mną? Wypijesz pan?...

— Dobrze!... Kelner!...

Tymczasem Funkier rozpromieniony, cały w błazeńskiej swej skórze, sypał dowcipami, wykrzywiając maskę starego kłowna, sponiewieranego w bezustannej, chciwej gonitwie za zafundowanym kieliszkiem, lub wygranym w „parkę“ guldenem. W otoczeniu tych młodych chłopców, zdawał się być głównokomenderującym jakąś armją, którą wiodł z zimną krwią strategika na pewną zgubę. Z beczelnością dziką rzucał słowa nagie, pełne wyuzdanej rozpusty, które rozlatywały się dokoła jak nietoperze i rozplywały w chmurze dymu i sinego oparu, zalegającego salę. Książę był celem jego głównych żartów i pocisków, lecz Kuczki-ryszczak, malpując ciągle arystokrację, przyjmował te żarty z dobrym humorem cyrkowego Augusta. Mój Boże! gniewać się, unosić? *fi donc!* prawdziwy pan nie unosi się nigdy. Funiek był prawdziwym panem.

— Cóż, książę, te kurhany? ha? z czego to, z gipsu? z gliny?

Funiek ramionami ruszył.

— Nie śmiejcie się, toż to pamiątka rodzinna, majątkowa. Kurhany, jak kurhany. Dwie mogiły Kuczkiryszkich i Kuczkiryszkich. Na czystym stepie!... Łzawice dwie znałli. Mama je ma na serwantce?

— Co takiego?

— Łzawice!

— Nie gadaj!...

— Jak Bożię kocham. Dwa garnki nadzwyczajne. I pi-szczel jest... mama mówi, że to damski.

— Czy także na serwantce?

— Takóż!

Zapalił się rozradowany, że może opowiadać i puścić wodze swemu blagierskiemu usposobieniu. Nos, z którego spadł puder, świecił mu kolorami rubinu, granatowe żyłki przecinały nozdrza rozdęte i jakby nabrzmiałe.

Wyjął małe pudełko z lusterkiem i, przejrząwszy się, pokrywkę odkręcił.

— Upudruję się, jak Bożię kocham!

Dobyl małeńki puszek i tumanem drobnego pyłu twarz obsypał.

Wytań się lekko rękawiczką i, cały ubielony jak spód matowej bułki, śmiał się do pokładających się z wesolości towarzyszy.

— Książę wyglądasz jak Schusterlabel — zakonkludował Funkier.

Funiek usta wydał.

— Z szewctwem nigdy nie mam nic wspólnego!

— To też nie książę, ale książęcy nos.

Wesolość całej gromady przeszła w ryk prawie.

Kładli się na stoły, na poręcze krzeseł, podnieceni, podpojeni już trochę fałszowaną trucizną, którą powoli sączyli.

Jedni bledli, oddychając ciężko, krople potu występowały im na skronie, oczy zasnuwały się jakby czarną krepową zasłoną, zwiększone jakby pod wpływem atropiny.

Inni czerwienieli, z trudnością wydobywając z kołnierzyków nabrzmiałe szyje, ściskane nagle jak obrozą, oczy pokrywały się im bielmem i łzami, kąciki zaciekały wilgocią.

Ciężki powiew pijaństwa zwykłego, codziennego, w którym się kąpać nauczyli, opadał powoli od ciemniejszego w górę sufitu na cały tłum, uginający się prawie pod olwanym tej prawicy ciężarem.

Wszędzie głowy na piersi opadające, plecy w kabłak wygięte, ramiona skalone. Wszędzie ręce, kolana drżące po-

wolną tarantelą, jakby tajemniczą a przecież przepotęzną, pełną chichotu puszczyka, wszędzie w tej półciemnicy, w tym tłoku, dymie organizmy gnijące, rozkładające się, spalone, strawione, zjedzone trucizną, która jak wiedźma morowa całun swój ogniowy na tłum ten zapuszczała.

I tylko jeszcze gromadka Dublańczyków odcinała się niepewno zdrowszym powiewem, choć i oni ślaniali się powoli, ufnie w bogactwo krwi młodej, według nich nie zużytej, nigdy nie stępiejnej.

Przez uchylone okienko wpadł nagle jakiś ptak zbłąkany, zziębnięty i zawirował po sali wśród szarego obłoku, płynącego w górę.

Obijał się o ściany galerji, wreszcie, zaczerniwszy się w przestrzeni sceny, do obramowania łoża przypadł i, skulony, drżący, na przymurku przysiadł.

Tylko Rudolf bieg ptaka śledził, i w twarz tę niewielką plamkę ciemną, zaznaczoną na szarem tle się wpatrzył, słuchając z roztargnieniem słów Michała, który nagle ożywiony przychylnością nowego znajomego, bełkotał masę zdań niezrozumiałych, protestów, przyjaźni i zapewnień dogzonnej wdzięczności.

— Dobrze!... dobrze!... — wycedził Rudolf, odsuwając od siebie cuchnącego Michała.

Ptak drżał, tulił się do ściany, przygnieciony brzękiem dzwoniących blach i łoskotem bębna.

Rudolf oczy przymrużył i z pod rzęsów śledził ptaka.

— Bo ja... już taki jestem... serce jak na dłoni... — bełkotał Michał—musisz pan... pójść ze mną do domu... Proszę do siebie na kawę... na czarną kawę... Moja żona czeka... o!...

Rudek szybko głowę w stronę Michała zwrócił.

— Jakto? na kawę?

— No!... na czarną.. u mnie...

— Późno! noc!...

— Nic nie szkodzi... Żona czeka, bo już tak wytresowana. Kawa gotowa... Przyjaciołom w knajpie kawy... pić nie dam. Trucizna! co? No, i cóż?... idziesz pan? Proszę! błagam!...

Rudolf milczał chwilę.

Znów dając folę swemu usposobieniu, analizował sam siebie,

Może wejść do tego domu za chwilę. Czy jednak jest w nim to coś, co go tam popycha?

— Pójdę! — odrzekł zupełnie spokojnym głosem.

Tymczasem na scenie, kobieta w zielonym trykocie, rozplaszczony się na estradzie jadła kawałki mięsa zbierane z talerza nogą, do której był przyczepiony jak wielka ostroga żelazny widelec.

Świecąca się, jak wąż o złotej łusce, noga, zakreślała w powietrzu półkole i zaginała się nad głową, na której drżały delikatne pióra.

Kobieta przełykała z wysiłkiem mięso, i po każdym kęsie, podczas gdy noga opadała z nad głowy i szukała talerza, uśmiechała się boleśnie.

Jakaś grupa oficerów, tuż ponad samą orkiestrą, obсыpywała kobietę potokiem słów obelżywych. Ona wyginała się dalej jak sfinks w złotą łuskę spowity, i pod grudem tych zniewag robiła się coraz smutniejsza, coraz boleśniej uśmiechnięta, w smudze żółtawego światła, płynącego z rzędu kinkietów, bramujących scenę.

Nareszcie powstała, odczepiła widelec i, podniósłszy się powoli, stanęła wyprostowana, dziwnie harmonijna, z biodrami wygiętymi w kształcie liry, z doskonałą harmonią kształtów i rozwinięcia kobiecego. Jak posąg w płótno Weroneza spowity, drżąca od promieni złocistych, wyciągnęła nagie ramiona ponad głową, i stała tak cicha, milcząca, zagadkowa, na tle czerwonych draperji, ciągle uśmiechnięta, w kaskadzie tonów polki, przecinanej zgrzytem obelg, które ku niej od gromady pijanych mężczyzn płynęły.

Teraz na sali zapanowała chorobliwa ekstaza trywialnego podniecenia, które z tego całego tłumu zgorączkowanego dobywało jakieś ochryple, drżące belkotanie, w jęk chwilami przechodzące. Obłok dymu stał się tak gęsty, iż z trudnością przebijały się przezeń zmienione twarze ludzkie. W kącie, pod galerją, gasły jedna po drugiej, lampy olejne, a wiatr szarpał otwartym okienkiem i uderzał niemiłosiernie o ramę okna.

Rozpaczliwy smutek wyzierał ze wszystkich kątów, jakaś bezdenna nędza ludzkiej egzystencji i nędzy życia, słabości woli i jakiegoś braku w organizmie, który cały tłum charczący, plujący, potem i bielmem okryty, w atmosferze tej strasznej dopełniał.

Był to brak fizyczny, bo rozpalające trunki, wlewane w żyły, chłostały krew stygnącą, zamierającą leniwo w bolesnym konaniu; był to brak moralny, bo ta rozpaczliwa chęć odurzenia, która spędzała całą gromadę mężczyzn do cuchnącej i ciemnej nory na noc całą, była despotyczną,

wszechwładną, silną jak zgon.

Jednak pomiędzy tym wpół pijanym tłumem, jeden Funkier zachowywał ciągle całą przytomność, doskonale trzeźwy, triumfujący, suchy, bez śladu potu na swej zastygłej twarzy.

Z wysiłkiem najwyższym zorganizował cały chór i teraz rozpoczął cienkim, piskliwym głosem:

Była babuleńka rodu bogatego,
Miała koziółeczka bardzo rozpustnego.

Na dany znak, wybuchnął chór fałszywy, straszny, rozdzierający uszy:

Fik, mik! fik, mik!
Szwadyrydy rydy mach ciach! ciach!
Bardzo rozpustnego!...

Wówczas powstał Rudek ze swego krzesła i, odsuwawszy nietknięty przez siebie kieliszek, galką swego parasola dotknął ramienia Michała.

— Chodźmy!

Michał powstał z trudnością i zaczął się pomiędzy krzesłami z przekleństwem i hałasem przeciskać.

— Do diabła!... drogi znaleźć nie można... tyle hołoty pijackiej się natłoczyło.

Protestowano groźnie ze wszystkich stron.

— Patrzcie go!... sam pijany!... ledwo się na nogach trzyma!...

— O, jak zagania!

Michał silnie się na nogach oparł.

— Kto kaczki zagania! he? — wrzasnął, pochylając się nagle naprzód.

— Nie wychodźcie!... — błagał Funkier, ręce jak do modlitwy złożony—napijemy się co jeszcze. Książę funduje, a potem pójdziemy tramwajki robić i wstąpimy do apteki...

Michał się zatrzymał niepewny, wahający się.

— Idź pan—wyrzekł niecierpliwie Rudolf, popychając go końcem parasola.

Pijak kiwnął się i szybko, jak kula ku drzwiom się potoczył.

Wyszli przed bramę; chłód owiał ich nagły, chłód ostry, zimowy, z trochę gnijącej jesiennej wilgoci pomieszany.

Przed nimi wznosił się po drugiej stronie drogi olbrzymi wał góry, ciężką masą dźwigającą się w przestrzeni.

Zapolska: We krwi (Lektor).

Wszystko tonęło w ciemności zupełnej, jedynie latarnia zawieszona ponad bramą, rozświecała rudawą smugą niewielki szmat pokrajanej w marznące grudy ziemi.

Na prawo, w przedłużeniu alei, świeciły zdaleka latarnie, anemiczne, chorobliwe światła rzucające w czarnej przestrzeni.

— Iść nie mogę... — żalił się Michał — chory jestem... nie widzę drogi!

Rudek, który szedł naprzód, z rękoma w tył założonemi, z oczyma wlepionemi w świecący punkt najbliższej latarni, stanął i zawahał się chwilę.

Człowiek ten sprawiał zaledwie wielkie obrzydzenie, aby pozwolił mu oprzeć się na ramieniu.

Zostawić go jednak tu nie chciał i nie mógł, bo czuł, że teraz w tej ciemności nocnej coś go popychało ku tej kobiecie o zmęczonej twarzy i rozkosznym dziecięcym uśmiechu.

Wyciągnął więc parasol w stronę Michała.

— Weź pan mój parasol silnie w rękę, ja wezmę drugi koniec, i w ten sposób prowadzić pana będę.

Pijak drżącą ręką srebrne okucie laski uchwycił i, jęcząc, stękając, powlókł się, tracąc coraz więcej przytomności na świeżem, ostrem powietrzu.

I poszli tak oba sprzęgnięci razem, a rozdzieleni jak dwa woły jarzmem, poszli w ciemności i chłodzie, i tylko wiatr po obu stronach alei bezlistne drzewa kołysał i drzące od chłodu gałęzie z namiętnością warjata szarpał.

XVI.

Nocy tej Stefanja położyła się już, nie czekając na męża. Grozą pięści wydarł jej portmonetkę i, uderzywszy kilkakrotnie w głowę, wyszedł, aby nie wrócić ani na noc, ani dnia następnego.

Stefanja zrobiła obrachunek z kupcem z rynku, odebrała kilkanaście reńskich, należących się jej za lalki, kupiła lekarstwo Dziudkowi, zapłaciła Helenę, a pozostałe pieniądze ukryła po za fotografią matki, wiszącą w sypialni nad komodą. Dwie noce czekała do świtu, będąc przekonana, że lada chwila posłyszysz charakterystyczne szarpnięcie dzwonka, które знаła, niestety, tak dobrze.

Zgorączkowana, zmęczona, chodziła cicho po kątach

mieszkania, otwierając lufcik w saloniku i szepecząc pacierze.

Czuła, że życie jej wali się w gruzy, że ten dach, który ma nad głową, nie kryje ją bezpiecznie, że dnie następujące po sobie z nieubłaganą ścisłością, coraz czarniejszą smugą się ściągają.

Nie widziała końca swego udręczenia, zanadto nieśmiała i niezaradna, aby coś postanowić; zdawało jej się chwilami, że tonie w grzązkiej, czarnej kałuży, i że lada chwila ta czerń dławiąca, zamknie się nad jej zboląłą głową.

Zamknęła oczy, pacierz szeptany konał na jej ustach pobladłych.

Czekała tego pogrążenia się w nicość z łakomstwem nieokreślonym.

Gdyby jednak kto powiedział jej wtedy, że pragnie śmierci, zaprzeczyłaby mu z oburzeniem.

Pragnąć śmierci? — nie, nigdy! to grzech! to wyzywanie Boga.

Samobójcami pogardzała, a nawet tymi, którzy śmierci wzywają w chwilach udręczenia. Od kratek konfesjonatu, z pacierzy odmawianych wieczorami z matką, wyniosła przywiązanie do życia. Był tam silny podkład egoizmu, właściwy każdej żyjącej istocie i niezatarty nawet brutalnością losu. Lecz owo zapadnięcie w nicość przedstawiało się w jej umyśle jako odpoczynek, jako chwila oderwania się od trosk i kłopotów, zdjęcie z szyi łańcucha, który zanadto silnie wpijał się w jej ciało.

Często, siedząc pociemku na oknie w saloniku, z głową opartą o ramię, starała się zapomnieć o tem, co ją gnębiło, o mężu, dziecku, o wszystkim.

Myślała wtedy.

— Ot, niema mnie... zapadłam się gdzieś głęboko pod ziemię, leżę cicho, śpię; nikt mi nie przeszkadza, nikt mnie nie bije. Odpoczywam... dobrze mi! Ach, Boże!...

Lecz jakieś ochryple głosy, dolatujące z ulicy, budziły ją z tego półsnu, jakby podcięciem bicia.

Wstrząsała się cała niby zimną wodą oblana, wychylała głowę przez lufcik. Może to Michał? może powraca w towarzystwie swych przyjaciół i kawę podać każe. Zrywała się od okna i biegła jak szalona do kuchenki, gdzie stała już przygotowana w blaszanym rondelku czarna kawa, obok maszyny spirytusowej i paczki zapalek.

Czasem Helena wypijała lub wylewała do szaflika kawę umyślnie, aby swej pani „psikusą“ wyrządzić. Cza-

sem wynosiła ronderek i raczyła się razem z dziewczynami Wisienkiewiczowej, która sama od balji się oderwawszy, nos w czarny płyn wtykała.

— Co to, pokaż, Helenko!

Helenka dusiła się od śmiechu.

— A toż kawa, co ją moja sfabrykowała.

Wisienkiewiczowa nosem kręciła.

— Sama cykorja i to figówka!

Helena wiała się poprostu z tłumionego chichotu.

— Pewnie, że figówka; cóżby innego u nas brali?

Raz jeden Stefanja, wyszedłszy na swój ganek, posłyszała tę rozmowę.

Cofnęła się zmieszana, onieśmielona, jakby ta „figówka“, której żółte paczki przynosiła Jenta pod swą pelerynką, była jakąś zbrodnią, spełnioną przez nią z całą wolą i świadomością.

Od tej chwili pilnowała lepiej kawy, wchodząc od czasu do czasu do kuchni, a w razie zbyt podejrzaney miny Heleny, brała maszynkę i ronderek do sypialni.

— A jaj!... a to się pani z tą lurą nosi jak kura z jajkiem — decydowała Helena, obracając się na tle jasnego drzewa.

Stefanja, nie odrzekłszy nic, do sypialni wróciła. Przechodząc, spojrzała na dziecko, śpiące spokojnie w słabym świetle przyćmionej lampy.

Konwulsje nie wróciły, lekarstwa przepisane przez ojca Jadwini zdawały się uspokajać powoli zaburzenia wewnętrzne. Tylko apetyt nie wracał i cera twarzy Dziudka stawała się coraz żółtsza i przejrystsza. Na lewem oczku wystąpiła w kąciku niewielka narośl czerwona, obciągająca na dół powiekę. Zdawało się chwilami, że to iza krwawa zastęła nagle wśród długich nitek złotej rzęsy. Dziecko mrużyło teraz ciągle powieki w kurczu jakimś bolesnym, chyląc główkę na bok. Napróżno Stefanja delikatnie podnosiła tę bladą twarzyczkę ku światłu; Dziudek się kurczył w smutku cichym i znekaniu nieokreślonym.

Stefanja cicho zaczęła się rozbierać, pragnąc za jakąkolwiek cenę choć trochę spoczynku. Ubogie posłanie ciągnęło ją ku sobie. Zdawało się jej, że pod tą zniszczoną kołdrą, opiętą grubym prześcieradłem, czeka na nią spokój i siła. Usiadła na brzegu łóżka, rozpinając bryklę gorsetu, która pęknięta we środku, wpijała się jej w ciało krwawą pręgą.

Ciemne, kolorowe spódnice, cały spód ubogiej kobiety,

lękającej się kosztownej bieli, opadły dokoła jej stóp obutych w grube, na gumach buciki. I tylko na ciemnej powierzchni pończoch odznaczała się delikatnie wązka linja podwiązek, jasno-niebieska, wesoła, jakby zdziwiona swą czystą barwą wśród tej żałobnej ciemni porozrzucanych dokoła spódnic.

Odpiąwszy bryklę gorsetu, Stefanja odetchnęła ciężko i, uniósłszy w górę głowę, siedziała tak chwilę z nawpół otwartymi ustami. Wpatrywała się bezmyślnie w biel sufitu, senna, zdjeta nagle znużeniem całego ciała, wypowiadającego posłuszeństwo sile woli.

Krew zbiegła jej w tył głowy pod ciężki warkocz, zwieszający się grubym kłębem na szyję.

Zdawało się jej, że jakaś dłoń żelazna ciągnie ją w tył i na łóżko wali jak kłodę drewnianą, bez czucia i myśli.

Dźwigała się jednak, zrzucając z siebie resztę odzieży i upadła prawie bez tchu na powierzchnię łóżka, prezentując w słabym świetle lampy odsłoniętą, pożółkłą szyję zniszczonej kobiety, wychylającą się bladawym znamieniem przeciętą cieniami prostych przyramków koszuli.

Machinalnie podniosła rękę do czoła, aby się przeżegnać, lecz już przy piersi ręka opadła na prześcieradło i Stefanja uczuła nagle lekkość całego ciała, które zdawało się nie dotykać nawet pościeli.

Chciała się poruszyć, krzyknąć, jakaś myśl ostra, której znaczenia nadać nie mogła, przewinęła się jej przez mózg z piękącym uczuciem; po chwili pod czaszką poczuła próżnię, otworzyła raz jeszcze usta...

Zasnęła.

W godzinę później obudziła się, doznawszy wrażenia, jakby ją kto nagle za włosy pociągnął.

Nie wstała jednak zaraz, tylko otworzywszy oczy leżała chwilę z zaciśniętymi rękami dokoła szyi.

W przedpokoju dzwonek odezwał się nagle przeraźliwym jękiem.

Stefanja wyskoczyła z łóżka.

— Ach, Boże! — szepnęła, narzucając na koszulę długą ciemną rotundę.

Porwała lampę i wybiegła, uderzając bosem piętami o zimną powierzchnię podłogi.

Dopadła do drzwi, odsunęła zasówkę i cofnęła się nagle, widząc w obramowaniu drzwi postać obcego człowieka.

Lecz tuż po za plecami Rudolfa, slaniając się, czepiając muru, ukazał się Michał, cały zsiniały od zimna i krwi napływającej mu do głowy.

— A to pan... na kawę! — wybełkotał i wszedłszy do przedpokoju, szerokim gestem na pobladałą Stefanję wskazywał.

— Moja... żona!... o! a ten pan... pan przyjaciel!

Stefanja stała nieruchoma, otulona od stóp do szyi w ciemną oponę płaszcza, który spokojnymi fałdami dokoła niej się drapał.

Z rozpiętego cokolwiek koło szyi kołnierza wysuwała się jej głowa delikatna, kształtna, dziewicza, o pięknych rysach, otoczonych całą chmurą roztrzepanych we śnie włosów.

Postawiona na małym stolicku lampa rzuciła na nią przepyszne półświatło, odcinając równo jej profil, dzieląc ją ostrym cieniem na świetlaną sylwetkę i srebrząc kręcone włosy, opadające dokoła głowy.

Nie śmiała się poruszyć z obawy, aby gość nie dojrzał jej stóp bosych, które bieleły z pod fałd płaszcza na tle ciemno pociągniętej podłogi.

Poznała Rudolfa i stała przed nim pełna jakiejś instynktownej trwogi, nie śmiejąc mu w twarz spojrzeć.

Lecz on patrzył na nią z podziwem, tak piękną wydała mu się w tem półświecie i w tej czarnej, żałobnej draperji, okrywającej ją w tajemniczy sposób.

Z przymkniętymi rzęsami, stojąc obok lampy, czysta, doskonała w rysunku, miała idealną piękność ślepych chrześcijańskich dziewic, rozświetlających wejście do katakumb.

— Proszę do salonu! — bełkotał Michał, macając drżącą ręką drzwi, w poszukiwaniu klamki.

Rudolf zacisnął zęby.

Ten charczący głos przerwał mu chwilę prawdziwej ekstazy. Łakomie, jak każdy sceptyk i analizator, chwycił podobne chwile i chętnie je przedłużał.

Głos Michała przywołał go do rzeczywistości.

Czuł, że musi być bezsilnym, skłonił się i wycedził przez zęby.

— Pani daruje... tak późno... ale mąż...

Stefanja nie poruszyła się nawet.

Ciągle nieruchoma, jak statua obrzucona kirem, cisnęła pod płaszczem ręce do piersi, które gwałtownie się podnosiły. Jakieś wzruszenie i rozżalenie opanowywało ją

gwałtownie. Zdawało się jej, że przepaść się pod jej stopami otwiera.

Michał znalazł klamkę i triumfująco drzwi do salonu otworzył.

— Światła! — zawołał ochryplym głosem — cóż u diabła!... dawaj tu lampę!...

Stefanja wciąż stała jak w ziemię wrośnięta, czując, że nieusłuchawszy męża wywoła skandaliczną scenę, z drugiej strony, bose jej nogi napępiały ją wstydem nieokreślonym.

— Dawaj lampę! — ryczał Michał, wchodząc do saloniku.

Ona podniosła wreszcie oczy na Rudolfa, oczy spłoszonej gazelli, i kilkakrotnie przełknęła ślinę, oddychając ciężko.

On śledził ją uważnie, rozumiejąc dokładnie o co idzie. Zakłopotanie jej sprawiało mu pewną przyjemność. Widział jej wstyd i pił go poprostu — on, który był głodny kobiecego wstydu.

— Cóż, cholero!... idziesz z tą lampą? głuptasie!...

Ona postąpiła krok jeden naprzód; nagie ciało błysnęło. Szybko nogę cofnęła, i z wyrazem nieokreślonej rozpacz, przecięła zębami dolną wargę aż do krwi. Ten tajemniczy, milczący człowiek, nachodzący jej dom w nocy, będący świadkiem jej nędzy, jej upokorzenia, wydał się jej w tej chwili katem. Czuła w głosie męża ryk, przepowiadający jej za chwilę razy; nie chciała, aby Rudolf był świadkiem jej zniewag. Na samą tę myśl krew jej się w żyłach ścięła.

Rudolf wreszcie postąpił ku niej i wyciągnął rękę, w stronę lampy.

— Jeśli pani sobie życzy, ja...

Chciała mu pozwolić wziąć lampę, lecz nagle szybka jak błyskawica, inna myśl przeszła jej przez głowę.

— Życzę sobie — odparła drżącym, ale silnym głosem — życzę sobie, abyś pan stąd wyszedł!

Nie poruszyła się przytem ani na cal, tylko wyprostowała się dumnie w swym całunie, i ruchem tym zdawała się rosnąć i rozwijać nagle, silna swem żądaniem, w którym drgała część prośby ukrytej.

Rudek zawahał się chwilę.

Przyszedł tu z zamiarem zawiązania z nią rozmowy, wyrobienia sobie częstszego wstępu do domu, przypatrzenia się zblizka pożyciu jej z mężem.

Na samym wstępie kobieta ta każe mu dom opuścić, po

raz wtóry odpędzając go od siebie.

Raz na schodach, zastawiła się dzieckiem.

Teraz tu, w domu, wskazuje mu drzwi i objawia swą wolę w krótkich, lecz silnych wyrazach.

Jednak jeśli zostanie, cóż skorzysta?

Znienawidzi go, to pewna.

Będzie dla niej wstrętnym intruzem, który dom jej naszedł, spokój nocny pogwałcił, i był świadkiem brutalności zwierzęcej jej męża wobec niej. Wiedział teraz wszystko, co wiedzieć pragnął.

Dokoła niej pijak mąż, nędza, osamotnienie, ciężka praca, w niej czystość dziecięca, poddanie się losowi, doskonała rezygnacja

Spojrzał na nią raz jeszcze.

Stała ciągle przed nim błada i smutna w swych czarnych draperjach i tylko niepokój wewnętrzny silnie rysował się dokoła jej ust doskonale pięknych i gorączką spalonych.

Nagle zwierzę drzemiące w Rudku zbudziło się z całą gwałtownością.

„A gdybym ją pocałował“ — przemknęło mu przez umysł i usta mu nagle zadrżały, na myśl, że ta kobieta, obrzucona tajemniczym płaszczem, ciepła jest jeszcze od snu, z którego porwała się w nieładzie i trwodze.

Lecz ona, jakby instynktem przeczuwając to zbudzenie zwierzęce, podniosła nagle opuszczone powieki, i wielkie swe łagodne źrenice utkwiała w oczach Rudka.

Mężczyzna cofnął się ku drzwiom, skłaniając głowę.

— Dobranoc pani!... — wyrzekł, stojąc już na progu — dobranoc, przepraszam!...

Zatrzasnął drzwi, a wówczas Stefania poczuła, że jej się serce z piersi za nim wydziera.

.....

Lecz już ze drzwi salonu, czepiając się ściany wytoczył się Michał, czekając głośno.

— Proszę... do salonu... zaraz... lampę sam po...

Nie dokończył nawet i zakrwawionymi ślapiami po przedpokoju zatoczył.

— Gdzie przyjaciel? — zapytał zdławionym głosem.

Nie było odpowiedzi.

Stefanii zdawało się, że podedrzwiami słyszała leciuchne skrzypnięcie obuwia.

— Gdzie przyjaciel? — powtórzył, charcząc, Michał.

Następował prawie na nią, rzucając jej w twarz całe

kłęby smrodliwego oddechu.

— Wyrzuciłaś go? co!... wyrzuciłaś go! ty!... niegodziwa!...

Stefania instynktownie ręce przed siebie wyciągnęła, osłaniając głowę.

— Ja cię nauczę, moich przyjaciół za drzwi... wyrzucić!... ja cię nauczę!... jedź!... masz!... masz!...

Rękę podniósł i pięścią ciężką, prawie bezsilną, a przecież mającą prawie moc żelaznej sztaby, po wyciągniętych rękach kobiety uderzał.

— Ty się nie zasłaniaj... ja cię trafię!...

Ona zacisnęła zęby, oczekując ciosu, postanawiając nie jęknąć, nie poruszyć się z miejsca.

Po za drzwiami czuła obecność tego drugiego.

Był tam, był z pewnością największą!

Głuche razy silne, nerwowo, nierówno spadały teraz na nią z przerażającą szybkością.

Silna pięść biła ją po głowie, w skronie, zalewając oczy jej purpurową luną.

Zwykle prosiła go o litość, chwytając za ręce, wołała po imieniu.

Dziś w zaciętem milczeniu pochylała tylko głowę i zaciskając dokoła nagich ramion fałdy płaszcza, ukryła w nich twarz, zbolącą.

Michał bił ciągle zaciekłe, zapamiętałe, nie wiedząc już co czyni, w pobudzeniu szalonym, w rozprężeniu nerwów, które w nim grały piekielną serenadę.

W słabym świetle lampy, oblewającej tę straszną grupę, złożoną z rozszalałego, ociekłego pianą mężczyzny i pochylonej ku ziemi kobiety słabej, nędznej w swych czarnych draperjach, opadających na jej bose odmrożone stopy, ujawniły się: brutalny triumf zwierzęcej przemocy i uległości kornej, i zarazem jutrzienka odwetu, przeblyskująca nagle niepewną, a przecież nieubłaganą koniecznością.

.....

Tymczasem po za drzwiami w ciemnej sieni stojący Rudolf, z podniesioną głową, z zapartym oddechem, całe tej scenie towarzyszył, odtwarzając sobie sytuację i zastanawiając ją do słów Michała i głuchego łoskotu razów, które jak z po za wieka trumny do niego się dobywały.

— Biję ją!... — pomyślał z początku.

Zwrócił się, chcąc wziąć za klamkę.

W połowie obrotu jednak zastygł z wyciągniętą ręką

— Jak ona się też zachowa? — przemknęło mu przez umysł. — Jakie to na mnie wrażenie uczyni? — dodał po sekundzie zimnej analizy.

Nie postrząsał jęku, skargi, najłżejszego łkania.

Silna, silniejsza aniżeli myślał.

Ciekawa natura.

Teraz zaczął badać siebie, swoje wnętrze wobec odgłosu razów, spadających na jej głowę.

Nic w nim nie drgnęło, nie szarpnęło się silniej. Często przechodząc ulicą, widział stróża, bijących swe żony. Doznawał wtedy wstrętu, niesmaku, jakby zbiegiem okoliczności musiał nagle wejść do nieprzewietrzanej stacji karczemnej.

Przyspieszał kroku, uciekał.

W tej chwili jednak, sondując, odkrył w sobie różnicę.

Głuchy łoskot razów i ta świadomość, że przez przegrodzenie drzwi, pod pięścią męską chyli się głowa kobieca, nie przejęły go niesmakiem.

Leciuchny szmer przesunął mu się pomiędzy łopatkami, lekki kurcz ściągał mu żyły wzdłuż rąk, jakby i w nim budziło się zwierzę brutalne, straszne, o instynktach kata.

W uczucie to subtelne, nikłe, w mgle niepewnej się zarysowujące, wsłuchiwać się zaczął uważnie.

— Jest we mnie coś dla niej — pomyślał wreszcie — czego dokładnie jeszcze określić nie umiem, ale jest coś stanowczo.

Razy ucichły.

Ciężkie, szarpiące kroki Michała rozległy się teraz jak spadanie ciężkiego drewnianego młota.

Obijając się o ściany, potracając stólik, wieszadło, skierował się widocznie w głąb mieszkania.

Rudolf wciąż jeszcze stał nieruchomy tuż podedrzwiemi, ginąc w cieniu, zalegającym sionkę.

Po chwili, lekkie, ale mimo to dokładne kroki nóg bosych, jakby odgłos stłumionych pocałunków, przecięły ciszę.

Rudolf głowę w stronę drzwi nachylił.

Kroki tuż podedrzwiemi przycichły i mężczyzna w tej ciemni odczuł zbliżanie się ciała kobiecego, pochylonego ku niemu po drugiej stronie warstwy drzewnej.

I stali tak długą chwilę.

On, zdający sobie dokładnie sprawę z całego położenia, wyobrażający sobie okiem fotografa sytuację, ją obwinęta czarną draperją, z bladą twarzą w żółtym świetle

lampy, siebie zupełnie przyzwoitego, z gałką parasola przy nawpół otwartych ustach. Całą właściwość czasu, barwy, rysunku i psychologicznego podkładu, zachowywał w tej chwili z ostrożnością i dokładnością wprawnego rysownika. Czuł siebie, rozumiał, widział dokładnie.

Tymczasem ona, nawpół przytomna, oszałała z bólu i bezsilnej rozpacz, z włosami poplątanymi ręką okrutnika, wpatrywała się jak oblakana w powierzchnię starych desek drzwi, instynktem łgnąc już w stronę człowieka, który w tej chwili analizował ją i siebie ze spokojną dokładnością chemika.

XVII.

A była to dziwnie skomplikowana i połamana natura ten Rudek.

W wiecznej walce z „tym drugim“, którego nosił w sobie, z „tym drugim“ zimnym, sceptycznym, surowym i nieubłagany sędzią, który chłostał go co chwila różgą krytycyzmu, szedł przez życie w zygzak, zataczając koła, chwilami pijany prawie sztuczną egzaltacją, sentymentalnych porywów, to znów wystygły, obojętny, drwiący z siebie i z drugih.

Pod jego ostrzyżoną, a okrągłą jak kula bilardowa czaszką, gnieździły się całe tłumy procesów najdziwniejszych, chorobliwych, męczących. Nie mógł podnieść do ust szklanki wody, aby w tej chwili nie przedstawił sobie dokładnego obrazu siebie, pijącego wodę.

Ciągle, zawsze i wszędzie to „ja“ cielesne i widoczne wypełniało przed nim przestrzeń, zmuszało go do zajmowania się sobą, do widzenia się, do krytykowania, aż wreszcie, gdy znużony, udręczony, usuwając się w kąt samotny zamykał oczy, pragnąc spokoju, i wtedy jeszcze przez zasłone powiek widział siebie, siedzącego w kurczu niezgrabnym, i szybko zmieniał pozycję, bo go kanty ostre spiczastych owych kolan kłóły i bolały.

Była w tej głuchej, rozpaczliwej walce cała cicha tragedia, niepojęta, niezrozumiana dla nikogo z otaczających, ściśnięta we wnętrzu duszy zamknięta, i tam jak drapieżny ptak się trzepocąca.

Zbudziło się to w nim dość wcześnie, jeszcze gdy

był podrostkiem i w mistyczny sposób, codziennie z woli spowiednika obrachunek sumienia w ciszy wieczornej robił.

Dziecko zamożnych rodziców „dla tradycji“ był chowany w dewocji, i włóczył się na jezuickie rekolekcje, wpatrując się w płomienie gazowe, które w teatralny sposób, złotym węzłem dokoła kolum biegly.

W owym obrachunku sumienia nabył sposobu mówienia do siebie w drugiej osobie, i stawiania siebie samego pod pręgierzem własnej krytyki.

— Czyś był posłuszny rodzicom?

— Czy nie miałeś gorszących myśli?

Odpowiadał „tak“ lub „nie“, stosownie do okoliczności; częściej „tak“, gdyż był krnąbrnym, despotycznym, namiętnym i leniwo-zmysłowym. Czasem, ten drugi, ten, którego sądził, chciał zataić spełniony czyn.

Rudek rękę z pod kołdry wyciągał, i grożąc, wołał:

— Nie kłam!

Dźwięk własnego głosu budził go i przerażał.

Chwilę leżał cicho, nie śmiejąc podnieść głowy.

Co się z nim działo?

Dla czego „ten drugi“ go dręczył?

Ale powoli, z wieczornych obrachunków sumienia, z ciasnych ścian chłopięcego pokoiku „ten drugi“ wyszedł za Rudkiem na świat Boży, i odtąd coraz częściej zjawiał się obok niego, jak widmo, wchodził w jego ciało i szperał w zakątkach mózgu, serca, kościstą ręką zastygłego trupa.

Chłopak uczył się pilnie, książki chwycił, umysł nużył, nie pomagało to wiele.

Gdy zmęczony do domu powracał, już „ten drugi“ szedł z nim, drwiąc, śmiejąc się, dowcipkując jak garbus upokarzający prostego. Ojca Rudek prawie nie znał.

Umarł z obłędu, jeszcze gdy chłopiec po drzewach za wróblami się wspinał.

Matka, cała kosmetykami przepojona, konserwowała swą cerę, zajęta własną urodą i odzyskaną swobodą długo więzionej kobiety.

Rudek więc dalej w życie brodził, ogłuszając się nowymi ideami, prądami szerszemi, które pełnemi garściami chwycił, chcąc tem „dwoistość“ swą zwalczyć, i myślał o przewrocie socjalnym wygnać i zażegnać upiora, który przed nim sarabandę tańczył. Lecz upiór ten z najdokładniejszą i najściślejszą miarą obalał jedno po drugich ideały, jakie sobie Rudek przed oczy stawiał.

Przyćmił mu krepą szyderstwa niepokalaną szatę

dziewicy, ośmieszył kult, i z bigota, wolnomyśliciela zrobiwszy, zabrał się do szarpania i niszczenia czerwonego sztandaru, ukazując go, jak płachtę na cztery wiatry rozwianą, za którą krył się egoizm, fanatyzm i chęć wyciągania kasztanów cudzemi rękoma z piekącego żaru.

„Ten drugi“ był nieublagany

Raz wzięwszy różgę w rękę, chłostał głowę i plecy chłopca, aż ten bez sił upadał, wołając:

— Czego chcesz?... czego ty chcesz odemnie?

Lecz „ten drugi“ śmiał się ironicznie, i Rudek już rywał się, otrzepując kolana, zawstydzony chwilą trywialnej słabości.

Więc jeszcze w zmysłowych spazmach szukał Rudek zapomnienia. Pograżył się cały w lubieżności, to taniej, to wyrafinowanej—lecz i tu „ten drugi“ stawał wraz z nim u drzwi każdej alkowy i pod błękitnem światłem nocnej lampy, z bezmyślnością studenta medycyny, lub posługacza szpitalnego, każdą ekstazę na marmur prosektorjum wyciągał, pełen pogardy dla zwierzęcości ciała i namiętnych uniesień.

I wreszcie Rudek uległ, wszedł poprostu w „kompromis“ z samym sobą, i teraz włóczył się po świecie z „tym drugim“, pod rękę, spokojnie, jak przyjaciel, jak jakiś plód potworny, zrośnięty, analizując bezustannie siebie, innych, sytuacje, wypadki, zasiadając jak widz teatralny w niewidzialnem krześle, z nieodłącznym towarzyszem przy boku i, uśmiechając się ironicznie, w chwili najbardziej zawikłanej akcji szeptał:

— Widzisz? widzisz, co się tu dzieje?...

Powoli obojętna obserwacja zmieniła się w jadowite chwila szyderstwo. Rudek, nie oszczędzając samego siebie, nie oszczędzał drugich. Jak dwóch schorowanych, ze szpitala wypuszczonych starców, tak urągali „ci dwaj“ jaśniejącym słońca promieniom. Wszystko przeszło im przez ręce: wielkie idee społeczne, nowe prądy, rwąc się po kamieniach przesądów, i jasny atlas ciała kobiecego, tkliwsze porywy serdeczności kobiecej, jej wstyd, jej wdzięk, jej histeryczne ekstazy.

Chwilami Rudek dorównywał mistrzowi, próbował sił swych i zaczynał walkę podjazdową, nieokreślony powab dla niego mającą. Czasem identyfikował się z „tamtym drugim“, wchodził w niego i wtedy pozostawiał swe ciało martwe na boku.

Przyglądał się sobie ze wstrętem i obrzydzeniem,

czasem do tych uczuć łączyła się przymieszka smutku i jakiegoś żalu nad tą udręczoną masą kości i ciała. Lecz szybko otrząsał się z tych myśli. Zaczynał już smakować w tej zgodzie ze swym cieniem, z tem widmem, które mu do tej chwili życie zatruwało.

Ustępował, i w ustępstwie tem spokój względny odnajdywał.

Teraz we dwóch rzucali się na wszystko: na świat cały, na porządek społeczny, na ludzi, na siebie. Szarpali, gryźli, kopali, lub, przyczaiwszy się w ciszy, śledzili, analizowali, szperali ze skalpelem w najtajniejszych zakątkach istnienia ogólnie światowego.

I szczególnie analiza zimna, spokojna, beznamiętna nadawała się im wybornie do wspólnego zajęcia. Rudolf, rzucając na pastwę „temu drugiemu“ spotykane na drodze osobniki, miał chwilowo zapewniony spokój i pozostawienie na stronie samego siebie. Nie trwało to jednak długo: szybko „ten drugi“ zwracał się ku niemu i, porównyując, zakładał ciepłomierz, liczył siłę, wytrzymałość, i znów torturował ciąglem porównaniem. Nawet swoje kochanki Rudek rzucał na żer temu nienasyconemu zwierzęciu. Szczególniej na ciało kobiecie łakomy, wampir wgrzyzał się w różowe członki i targał uśpioną duszę, lub szarpał nadto rozbudzoną, ciesząc się z konwulsyjnych porywów. Każdą ze swych kochanek Rudek usiłował „poznać“ i to poznawanie powolne, ciężkie, ostre, przejmowało podziwem, trwogą a później znużeniem dręczoną kobietę.

Tak jak „ten drugi“ stał przed nim z wiecznym uśmiechem i niewiarą, tak i on sam stał przed należąca do niego kobietą z błyskotliwym ostrzem skalpela, i po całych godzinach wyczerpujących pieszczot zmysłowych, mówił miarowym, powolnym głosem:

— Chciałbym ciebie poznać...

Kobieta otwierała szeroko oczy.

— Jakto?... jeszcze mnie nie znasz?

On wzruszał ramionami.

— Ani troszkę; nie wiem nawet, kto jesteś...

Zdenerwowany do ostateczności, w chwilach rozwoju cierpiał na silną neurostazję i, zanosząc się od spazmatycznego płaczu, owijał się w mokre prześcieradła i połykał salaterki kwaśnego mleka.

Wyleczył się z neurostazji, ale, ciągle szukając kontrastów, rwał nerwy w strzępy, pragnąc chwilami popaść w zupełny obłęd, który uwolniłby go od ukrywanych sta-

rannie cierpień.

Skryty będąc z natury, skryty nawet w chwili miłosnej ekstazy, którą przechodził z zaciśniętymi konwulsyjnie ustami, dławiał się poprostu samym sobą, buntując się jeszcze w milczeniu i bezustannej sprzeczności.

Jak każdy cierpiący umysłowo, lubił półcienie, ciszę, półbarwy, półświatło. Lecz tak wielka była jego nienawiść do samego siebie a więc i do „do tego drugiego“, że porwał się ostro za kark, i nagle brutalnie, bez opowiedzenia się sobie samemu, rzucił się w sam środek Dublan, w trywialny spód natury, w tę maszynę produkcji warczącej, charczącej wśród ostrej szmaty światła, oślepiającej falą swoją.

I, triumfując, włóczył teraz swego wampira i swe delikatne ciało po tych wszystkich stekach mierzwy, i gdy nerwy szarpały nim jak stado szakali, on uśmiechał się wyzywająco, błędnymi oczyma wpatrując się w przestrzeń.

Mścił się w ten sposób za te lata męczarni, mścił się na samym sobie z nieubłaganą zimną krwią kata, prowadzącego skazańca na gilotynę.

Dwa lata był już w Dublanach i dojeżdżając do Lwowa, włóczył się po knajpach i zaułkach z resztą towarzyszy.

Stalowo-niebieskimi żrenicami co chwila kogoś chwycił, śledził, więził.

Przeszło mu już to w nałóg.

W Dublanach profesorowie i zwierzęta zastanawiali go najwięcej; we Lwowie studjował pilnie męty społeczne i uczciwe kobiety.

W oczach już, w spojrzeniu, w ruchach, w trzymaniu opuszczonej na piersi głowy, miał wyborne cechy maniaka.

Zawiażywał intrygi miłosne, które rozrywał nader szybko.

Mówił do kobiety: „nie mogę cię porzucić!“ i odchodził w inną stronę, jakby znużony jednostajnością natury kobiecej, nieuchwytniej jak piskorz, a przecież wyglądającej jak wrota opuszczonego cmentarza.

Chciał widocznie doczekać się czegoś innego pod banalnym pocałunkiem miłosnego spazmu. I nawet uporczywie czepiał się teraz tej myśli.

Wyciągał ręce i szedł przed siebie, niepewny.

I wówczas ujrzał Stefanję.

Od tej chwili, w której przez drzwi zamknięte, zbita i stłuczona, czuła obecność człowieka, wplatającego się nagle w jej życie, dziwne i niewytłumaczone napozór, ogarnęło Stefanję zaniepokojenie i wzburzenie wewnętrzne.

Doznawała ciągle uczucia bolesnego przestachu, a w sercu fizyczny ból wzrastał, z lekkim drażniącym pieczeniem na wspomnienie minionej chwili.

Nie zdawała sobie dokładnej sprawy ze stanu swej duszy; wlokła się dalej, pracując, biegając po lekcjach, cerując bieliznę i pielęgnując Dziudka.

Było w niej jednak coś nagle przełamanego, coś, jakby świeżo nawiązana nitka życia, która świeżością tą właśnie odbijała zanadto brutalnie od szarego i zniszczonego tła codziennego istnienia.

Świeżość ta raniła, piekła, dojmowała boleśnie, a mimo to, młoda kobieta jak zahypnotyzowana, w pręgę tę jasną się wpatrywała.

Z początku jedynie ukośne, jakby kradzione spojrzenia rzuciła.

Powoli wzrok jej zatrzymywał się, oswajał chwilowo, uciekał, znów wracał, aż wreszcie poprzez głowę syna, uparte czaszki uczennic i rozgorączkowane czoło Michała, nic tę świeżą a tak niespodziewaną w siebie chłoneła, jak zjawisko jeno oczom warjata w sali materacami obitej widoczne.

Nie pragnęła jednak widzieć Rudka; przeciwnie, bała się ponownego spotkania. W ciemnicę jej ponurej i nędznej egzystencji, ta nagle wciśnięta jasna postać wydawała się jej za ostro elegancką i świeżą. Przywykła do szarej i odrażającej płaszczyzny, nie mogła znosić bez trwogi wypuklających się jasnych promieni. Mrużyła oczy, kurczyła głowę w pochylone ramiona, zanurzała się w swej moralnej abnegacji i nędzy, do której przywykła. Była to jedna z tych natur, które zżywają się ze swym jarzmem i doznają dreszczu trwogi na myśl, że jarzmo to choć na chwilę z ich karku zdjęte być może.

Tymczasem Michał codzien więcej tracił władzę nad sobą, nad całym ciałem, nad własnymi mięśniami. Teraz nie mógł już niemal wymówić jednego zdania, całego okresu, aby maska jego twarzy nie wykrzywiła się w dziwny sposób.

Ręce drżały ruchem suchym, urywanym, a palce poty-

kały się jeden o drugi, jakby rwane niewidzialnymi sznurkami.

Często na ustach pojawiała się krwawa plama, która powoli spływała wzdłuż brody, tworząc w ten sposób lśniąco-czerwone przedłużenie rozczochranych, zrudziałych wąsów.

Chwilami zatrzymywał się nagle, nasłuchując, podnosząc najczęściej prawą stronę głowy ku górze, strzygąc uchem, które ruszało się w niepojęty dla patrzących sposób.

Uchem tem łowił tylko dla siebie dosłyszalne dźwięki, jakieś krzyki, jęki, niewyraźne hałasy, które rozróżnić i rozdzielić pragnął.

Chwilami zdawało mu się, że gwizd przenikliwy rozdzierał powietrze i, wpadając mu do ucha, przeszywał mózg, jak ostrze sztyletu. Żeby ścinały mu się bolesnym kurczem i chwytał się rękoma za głowę, bełkocąc:

— Niepotrzeba! niepotrzeba!

Gorzej było jeszcze ze wzrokiem.

Ciągle prawie, cienki welon żółty i mdły zasłaniał mu oczy. Napróżno rozszerzał źrenice, zgniła warstwa niepochwytana, a przecież nieubłagana, istniała pomiędzy nim i resztą świata. Wyciągał drżącą rękę, aby zasłonić tę rozerwać. Lecz już i ręka tonęła w tej mglistej mazi. Cofał ją szybko, tak mu się zdawała, oddaloną i niepewną. Chwilami pluł w przestrzeń z siłą, na jaką się zdobyć mógł jeszcze.

Ślina, rozpryskując się na kilka lśniących bryzgów, wpadała półkołem w mgłę żółtą i leniwą i ginęła tajemniczo w tem półświecie.

Powoli przecież żółte to tło zaczęło się zabarwiać wąskimi nitkami czerwono-brunatnymi, które siatką przedzy z niewidzialnego walca zesnuwane, już jednolitą strugą pod stopy Michała się stały. Chwilami zdawało mu się, że to rzęsy tak się rozrosły olbrzymio i spadają mu z pod powiek cienkimi pasmami. Drżącymi palcami chwycił w powietrzu niewidzialne nitki i tak silne było zdenerwowanie całej jego istoty, że, szarpiąc w tył głowę, odczuwał ból fizyczny w nabrzmiałych i krwią ciężkich powiekach.

Z brunatnych nitek rozrosły się przecież już teraz czerwone smugi o żółto-gorących brzegach i te jak fajerwerk wspaniały i natrętny, kołysały się przed nim w przestrzeni. Zamykał oczy porwany wspaniałością barw i w pokryciu powiek zachowywał najdoskonalej te smugi, przecinające mu zgniłą maz, która go swą jednostajnością dręczyła. Purpura i złota linja jak węże błyszczały w powietrzu. Michał usta otwierał, śmiechając się zaślinionymi wargami.

— Do diabła!... złoto!... — mruczał, rękoma po powie-

trzu ciągnąc.

Lecz już ta gorąca purpura zmieniała się powoli w jakiś war piekielny.

Od smug promieniejących dokoła biło piekące gorąco, które mu w zrenice się wgryzało.

Od zrenic gorąco to świdrowało głębiej i zdawało mu się, że aż w tylną część głowy się wkłada i włosy mu z tyłu osmala.

Przesuwał ciągle dłonią po głowie, aż karku sięgając, gdzie pod cienką i suchą skórą czuł cały kłęb robactwa, rozlewającego się cienkimi strugami wzdłuż palców i ramion. Robaki te, również jak zjawiska wzroku, niewidzialne i nieuchwytnie, mnożyły się pod skórą legionami całemi, drgały, kłębiły, szalały chwilami piekielną tarantellą, osuwając się wzdłuż krzyża, aby powrócić do karku i tam triumfując deptać po nerwach drgającego z bólu i szału człowieka.

Kilkakrotnie już wracając do domu, zatrzymywał się pod numerem jakiejś kamienicy, i z całej siły pięścią uderzał się w kark, jakby chcąc rozgnieść niewidzialne to gniazdo. Ciągłe rozdrapane ciało sączyło w tym miejscu nieustanną, ciemną posoką. Nie znosił już kołnierzy z kołszul i Stefanja musiała mu sztucznymi sposobami przypinać krawaty do kamizelek. Wkrótce i kołnierze ubrań doprowadzały go do szału. Chodził więc w domu z szyją obnażoną, straszny w swych nocnych kolorowych koszulach, rozpiętych na nagiej i żółklej piersi. Dolna warga opadła jak u zdzieciniałych starców, odsłaniała cały rząd zębów zczerniałych, a równych i ostrych.

Dziudek chował się po kątach, bojąc się spotkać ze wzrokiem ojca, który od czasu do czasu przez zaciśnięte zęby wyrzucał z siebie jakieś groźby, niezrozumiałe wyrazy, lub chrapliwe wykrzykniki. Dziecko uspokajało się tylko wtedy, gdy Michał, trzaskając drzwiami, wychodził z domu. Gdzie szedł? kto mu za trunki pochłaniane płacił? Naprawdę Stefanja starała się dociec. Nie był już więcej w handlu na Szerokiej. Zresztą cała banda, z Funkierem na czele, przeniosła się w inną, bardziej oddaloną dzielnicę. Z nadejściem zimy Dublańczyki mniej często przyjeżdżali do miasta, lecz Funkier ciągle tworzył dokoła siebie silny legion wesołych braci. „Parka, nie parka?“ dzwoniło bezustannie jak dzwonek elektryczny, wybornie funkcjonujący.

I wiecznie trzeźwy, zimny wśród gorącej atmosfery

trunków i nagich ramion kobiecych, ze swym profilem wychudłego charta, zdawał się przewodniczyć temu tańcowi szkieleatów, który złączoną silnie falangą włókł po cuchnących zaułkach lwowskich szynkowni.

Rozpajał, popychał w objęcia ulicznic, śmiejąc się suchym, łaskocącym śmiechem grzechotnika, pławił, topił w ognistej powodzi trunków ludzkie ciała, i gdy po nocy spędzonej w powietrzu dusznej jamy wyległszy na ulicę, cała banda, oswiała, szara, straszna, zataczała koła, obijając się o mury, on, triumfujący, rzeźki, ironiczny, z rękami w kieszeni od spodni, wycinał po bruku podskoki, balanse, a próbując siły swych mięśni, śpiewał, zawodząc przenikliwie:

Łachtyrydy bim, bum,
Łachtyrydy Danaj, Danaj!
Kto Funkiera kocha,
Choć trocha,
To pójdzie za nim w świat,
Bo Funkier chwata!
Łachtyrydy... bim, bum!...

Odwracał się i, stojąc pomiędzy szynami tramwajowymi, zwolywał:

— No! dalej wiara! do tramwaja!

Cała banda w mrok listopadowego ranka spowita, tłoczyła się na środek ulicy, potykając o kamienie.

— Wszyscy jesteście? — pytał Funkier, głowę wysuwając z nurkowego kołnierza.

Zdawał się okiem wprawnego dowódcy liczyć swoje hufce.

— Dobrze!... wszyscy są! a teraz bacność! ty, Frejlig, naprzód, jesteś woźnica, ja idę na konduktora. Dalej, jak gwizdne, jazda!...

Cofał się w tył, a Frejlig mrucząc, plując i brwi siwe marszcząc, ster gromady obejmował.

Cała banda w milczeniu szykowała się pomiędzy szynami, kołysząc się jak słaba kępa drzew.

— *Fertig?* — pytał Funkier.

— *Ja!...* — ryczał Frejlig, rozstawiając szeroko nogi, obute w olbrzymie kalosze.

— *Avanti! fiu!... fiu!...*

Przeraźliwy gwizd wstrząsał powietrzem.

Z początku wolno, jak prawdziwy wagon tramwajowy, ciągniony przez zmęczonego konia, poruszała się ciemna

gromadka mężczyzn i, stopniowo przyspieszając biegu, gnała pomiędzy szynami, pędzona jakąś nerwową potrzebą ruchu na ostrem, zimnem powietrzu.

Na przodzie Frejlig z głową naprzód pochyłoną, okazujący silne pijaństwo, które mu mocy szczególnej dodawało—szedł śpiesznie, waląc kaloszami o ślizkie od śniegu kamienie uliczne.

Z tyłu, Funkier baczny, uważny, zupełnie serjo traktujący tę sprawę, z pod brwi zmarszczonych śledził całą bandę.

Szło mu o pochwycenie któregośkolwiek na „wykolejeniu“ z szyn i na odebraniu zwykłego w tym razie haraczu, w formie dziesięciu centów. Banda jednak szła nieźle, trzymała się ostro, ścieśniając się do środka, jakby za punkt honoru mając sobie nie „wypadnięcie“ z prostej drogi.

Lecz powoli, świeże powietrze działać zaczynało. Ten i ów skręcał w bok, odrywał się od gromady, zaganiał kaczki, przysiadł na ziemi.

Funkier wtedy gwizdał przenikliwie.

— Stać!

Frejlig utrzymywał się jak mógł, i cofnięciem silnem w tył, powstrzymywał gromadę.

— Stać—ryczał z wściekłością.

Funkier już zbliżał się do przestępcy.

— Dawaj, synku, szóstki! dawaj, byczy aniele, monete, dawaj!...

I szóstka wpadała do woreczka z drucianej siatki, który miał przedstawiać torbę konduktorską.

Powoli tramwaj formował się znów.

— *Fertig?*—pytał Funkier.

— *Ja!*—ryczał Frejlig.

— *Avanti!*

Szli dalej, w zimnie i przenikliwym chłodzie porannym się pławiąc.

Dokoła pustka i cisza, gęsta ciemnica nocna szarząca już tylko cokolwiek w oddali.

Domy czarnymi szeregami dźwigające się wśród ulic, miały wygląd olbrzymich murów fortecznych, bramujących wyschlą fosę.

Gdzieniedzie żółciało światło latarni.

Nagle Funkier przeraźliwie gwizdnął.

Mała lampka czerwona migotała, prawie w mur wlepiona.

Ponad nią w czerwonej smudze czytać można było:

„Dzwonek do apteki.“

Funkier krokami baletnika do muru przypadł i guzik dzwonka nacisnął.

Po upływie kilku chwil, ze zgrzytem otwierały się drzwi apteczne.

Ciemna głowa prowizora pojawiała się w tej szparze.

— Czego pan sobie życzy?

Funkier przybierał minę gentelmana, nogami szastał.

— Proszę komarowego sadła za trzy centy!

Cała banda wybuchała przeciągłym śmiechem, prowizor drzwi zatraskiwał, Funkier triumfował i tylko jeden Frejlig kaloszami o ziemię walił, mruczając:

— W drogę!... w drogę!...

Gdy już ostateczna ilość szóstek się zebrała na dnie woreczka Funkiera, wtedy zatrzymywano się przed pierwszą lepszą szynkownią, która źle domknięta, zaznaczała się jasną linią na oślizgłej ciemni ziemi.

Z krzykiem i hałasem tramwaj oblegał drzwi szynku i wpadał do wnętrza, biorąc w posiadanie cały blat kontuaru i popychając po kątach piszczące dziewczyny.

Szynkarze znali doskonale tę bandę tłukącą się po nocy, wśród ciszy i pustki ulic, a usłyszawszy gwizdawkę, mówili, idąc ku drzwiom zawartym:

— Tu... pan Funkier tramwaj wiedzie!

Po chwilowym przestanku, Funkier wyprowadzał swą czeredę i znów szykowali się wszyscy do dalszej drogi, jak stado wilków błądzące wśród zaśniewanej drogi.

Często śnieg drobny i gęsty zaczynał sypać z góry, bieląc się w chmurnej i tłustej, stalowej barwie, która powoli z czerni nocnej wydobywać się zdawała. Wysokie kamienice zamieniały się na małe domki przedmieść, w których oknach tu i owdzie światła błyskać zaczynały.

Gdzieniedzie pies zawył, lub koń w stajni zarżał, świt przeczuwając.

A banda mężczyzn szła ciągle naprzód, w ścieśnionej kolumnie, poprzedzana olbrzymią postacią Frejliga, który, czapkę z głowy zdjawszy, siwe pomierzwione włosy pod mokre płaty śniegu nadstawiał.

Tragiczny, groźny, z brwiami krzaczastemi, zsuniętymi nad orlim czerwonym nosem, szedł jakby prowadząc konwój żałobny a zawodzący, jękliwy głos Funkiera, wycinającego piruety, wpadał w pustkę ulic, po nad którymi już niebo ze stalowego przechodziło powoli w jasne szare tony.

Łachtyrydy Danaj!...
Łachtyrydy bim, bum!

XIX.

Z chwilowego oszołomienia się ocknąwszy, Stefania oparła się o poręcz łoża i spojrzała przed siebie.

Na dole, półokrągłym amfiteatrem wznosiły się fotele wyplecione słomą, które żółtymi płatami zaznaczały się na miejscach niezajętych przez posłów. Oliwkowe sukno tylnych poręczy bramowało żółtość słomy miękką ramą, a lśniąca powierzchnia pulpitów kładła miejscami rude, świetlane punkty, w tę powódź przedmiotów piętrzących się stopniowo ku górze.

Przy głównej ścianie cały szereg komód tworzył trybuny, biura, stoły marszałkowskie, namiestnikowskie i inne.

Wszystko to spiętrzone niesymetrycznie, chaotycznie, sterczało na tle jasnej ściany, przeciętej zgnięto-zieloną firanką rozwieszoną nad marszałkowskim fotelom.

Z fotelu tego sterczała siwa, krótko przystrzyżonemi włosami pokryta głowa marszałka, głowa uparta, chłopska, sangwiniczna, dominująca cały tłum posłów jakąś butą i siłą brutalną, przegniatającą, despotyczną.

Niżej, na lewo, po za stołem, rozkładała się lisia twarz namiestnika, jasna płyta ciała, przecięta nagle ostrym, krogulczym ormiańskim nosem. Ta twarz potwornie szpetna, okolona rudym zarostem, miała w sobie dużo pomieszanego wyrazu lokaja i dymisjonowanego szwajcara w jednej osobie. Osadzona na ciężkim kadłubie wtłoczonym w czarny szczelnie zapięty surdut, twarz namiestnika zdawała się wisieć w przestrzeni na jakichś drucikach, jak w czarodziejskim przedstawieniu tęczowej baśni odcięta głowa potworu.

Od czasu do czasu tylko, para bladych olbrzymich, trywialnych rąk podnosiła się ku górze i automatycznym ruchem gładziła rude bokobrody. Za chwilę ręce te znikaly i znów sama twarz w przestrzeni zawieszona, jaśniała, żółta, obramowana rudą szczotką przyglądanych starannie włosów.

Koło stołu, jak przeciwstawienie potwornej szpetności dygnitarza, młody, rzadkiej urody mężczyzna pilnie odczytywał papiery. Doskonała i poprawna rasa biła z całej po-

staci pochylonego nad stołem chłopca. Jasne włosy miały złote tony, miękkie i przejrzyste. Kształtny kark, wysuwający się z kołnierza koszuli, migotał przezroczem delikatnej skóry. Od czasu do czasu podnosił głowę i spoglądał nieznacznie ku łożom, które powoli wypełniały się kobietami. Kobiety patrzyły także na jasne włosy młodego mężczyzny.

Ta i owa uśmiechała się nieznacznie.

On uśmiech ten z ust im zbierał i znów w papiery się pogrążał, cały ciepły jeszcze od doznanego przed chwilą dreszczu.

Lecz już po za łożami w kątach, jak gniazda jaskółcze przylepionemi, wznosiły się na lewo wielkie szuflady, imitujące łoża marszałkowskie namiestnika i ambasadora. Szuflady te były puste i tylko oparcia rzeźbionych krzeseł sterczały zimno na tle zgnięto-zielonych kotar, tworzących tylną ścianę łoż. Kotar tych było niewiele ze względów akustycznych, natomiast rodzaje desek gładko wyplatanych, wznosiły się jak parawany silnie rozciągnięte i w niewiadomym celu w jasnej przestrzeni nagle ustawione.

Naprzeciw łoż dygnitarskich galeria dziennikarska napchana dość szczerlnie publicznością, miała ten sam wygląd szufladkowy, ten sam system potwornych konfesjonatów, otwartych i niedyskretnych.

Lecz już ku górze się wznosząc, cała sala białała i przybierała piękne łuki wysmukłe i proste, silnie i energicznie w górze pochwycone i pod wysoką kopułą związane. Światło jasne i niekrępowane płynęło przez szyby, oblewając zdrową kaskadą czarną, ruchomy tłum posłów rozsypanych gromadnie pomiędzy ławkami i opartych o pulpity.

Środkiem jednak sali, na wysokość łoż, biegło mnóstwo drutów cienkich, rozciągniętych jak cyrkowa siatka pod trapezem gimnastyka. Ciemne te druty przecinały powietrze ostrą równoległą tkaniną rozszczępioną i przejrzystą.

Stefania, patrząc na dół, widziała czaszki posłów, stenografów, referentów, poznaczone siekaniną ciemnych linii.

Zwłaszcza jednego ze Stańczyków, łysiego i spokojnego, wypukłość czaszki była pokreskowana w dziwny sposób.

Spał spokojnie, prezentując okrągłą kulę swej głowy obnażoną i lekko zaróżowaną.

W stalli swej siedząc tak nieruchomo, stanowił punkt jasny i barwny w szeregu głów ciemnych, czarnych, rudych, siwych, tłoczących się nad pulpitemi.

Na trybunie, jakiś chudy mężczyzna odczytywał mo-

notonnym i cichym głosem pewne sprawozdanie, którego nikt nie słuchał. Posłowie skupiali się małymi gromadkami, prowadząc półgłosem ożywione rozmowy.

Rusini zbici w gromadę, niechętni, chmurni, w wiecznej opozycji, jakby cierpieli na manię prześladowczą, wbici w swe stalle, mieli pozór „grzecznych“ uczni, którzy w sztubie dławiąc się z wściekłości, wyęzają wszystkie siły, aby się zachowywać przyzwoicie.

Jak z klombów ciemnych i nieuprawnych, tak wykwiły tu olbrzymie czupryny lśniące i rozrzucone. Tu i ówdzie szarżała silnie ostrzyżona głowa księdza, ku której chyliły się jakby magnesem ciągnięte inne głowy.

Jakiś mały, chudy, uparty mężczyzna, wpakowawszy ręce w kieszenie od spodni, stał w ławce i ironicznym wzrokiem z pod brwi krzaczastych wpatrywał się w trybunę.

Czuć w nim było prowodyrę, tego, który całą gromadę prowadził i przed trybuną biegając, nie wahał się rad swych udzielać, gdy który z posłów jego partii chwiał się, lub ogłuszony ironią, miękł i grunt pod stopami tracić się zdawał.

W dalszych promieniach amfiteatru ławek, ku stronie prawej się kierując, coraz więcej miejsc było nie zajętych. Promień Stańczyków świecił pustkami. Najwięcej tu było głów siwych, pleców szerokich rozlanych kadłubów. Czyniąc w ten sposób *vis-à-vis* Rusinom, czarnym, upartym, energicznym, Stańczycy dziwnym kontrastem, jasnym i miękkim, odcinali się i rozplýwali w przestrzeni. Amfiteatr więc czarny i chmurny od strony lewej, jaśniał stopniowo i w miękkiej, a leniwej fali stał się pod stopy namiestnika, który jakby armię swą powolną w jasności tej macając, potworną twarz swoją z zadowoleniem ku niej zwracał.

W samym środku sali, więcej jednak ku Rusinom się chyląc, promień „dzikich“ niesforny, hałaśliwy, zdawał się być jądrem całego zgromadzenia, nerwem żywym i drgającym, energią, samowolą i krwią szybko pulsującą.

Inteligentne, piękne głowy, ciała prawidłowo rozrosłe, silnie skoncertowane, niektóre doskonale rasowe, ciągnęły wzrok Stefanji i zatrzymywały przy sobie. Mimowoli nie znając zupełnie różnicy przekonań, partji, po raz pierwszy w sali sejmowej siedząc, czuła się pociągnięta grupą środkową, ruchliwą i energiczną. Oparła się o balustradę i śledziła ruchy wysmukłego mężczyzny o przepyszej niewielkiej głowie, okolonej zwojami siwiejących włosów. Człowiek ten nerwowym ruchem gładził ciemny zarost, zakrywający

mu energiczne a małe szczęki, ciekawe i ironiczne, w ciągłym poruszeniu będące. Dokoła niego gromadziła się garszka posłów, a on dominował nad nimi wielkopańską swą butą i tem czemś nieuchwytnym, co pana z panów otacza. Dominował nad całą salą, ciągnąc ku swej kształtnej głowie wszystkie promienie. Z rozchyłonego kołnierza koszuli wysuwała się szyja żylasta i silna, zda się z szlachetnej stali ukuta. Czynił wrażenie wybornego rumaka czystej krwi, nagle w tabun ospałych koni wpuszczonego. Trzymał się prosto, oczy mrużył i na trybunę ironicznie patrzył. Przed nim wisiały w powietrzu płachty trywialnych twarzy marszałka i namiestnika. Szczególniej marszałek ze swą upartą czerwoną twarzą, ciemniał w przestrzeni. Nieco niżej jeszcze, jakiś nadzwyczajny c. kr. urzędnik prezentował olbrzymią łysą głowę, lśniącą jak kula bilardowa na tle brudno-zielonych kotar. Stefanja, znużona monotonią zachowywania się posłów, przeniosła wzrok swój na górę ku łozom i galerji. Publiczności było mało, a ta, co była, zdawała się mało interesować tokiem obrad sejmowych. Kilku dziennikarzy w wytartych surdutach gryzło zawzięcie ołówki, oparłszy się o balustradę swych szafek.

W łozach nie było jeszcze nikogo, zaledwie trzy kobiety nieśmiałe i niepewne, zajęły miejsca naprzeciw namiestnika. Zdawały się być bardzo przerażone. Potworna twarz Ormianina imponowała im. Siedziały ciche i w kąt wtulone, nie śmiejąc oprzeć się o poręczę wyścielanychksamitem krzesel. Natomiast w łoży dygnitarskiej, jakaś smukła blondynka, z gorączkowymi wypiekami na dość kształtnej twarzy, oparta łokciami o poręcz, patrzyła z uwagą w dół sali.

Oczy jej błękitne i jakby od łez spłowiałe, biegły często w stronę trybuny namiestnika i zatrzymywały się na wyzłoczonej głowie młodego urzędnika.

Wtedy i on podnosił oczy, i chwilę cztery te źrenice tonęły w sobie pełne nerwowego niepokoju i tajonej rozkoszy. Lecz już za sekundę rozbiegały się znów obojga tych ludzi spojrzenia i kobieta przymykała powieki, jakby nie chcąc patrzeć na co innego, jak tylko w doskonale piękną twarz praktykanta.

Stefanja instynktem kobiety odczuwającej każdy przejaw uczucia, jak po drucie, wzrokiem od oczów arystokratki, zbiegła na dół ku źrenicom urzędnika.

Nie zdawała sobie sprawy z wzajemnego stosunku tych dwojga.

Czuła, że jest między nimi „coś” i, z podziwieniem wniknąwszy w siebie, znalazła jakiś cień sympatii dla tej nagłej miłości, przeniesionej w pełny ruch sesji sejmowej.

Wzruszyła jednak ramionami, i starała się zagłuszyć w sobie tę niezdrową ciekawość, która ją ku tym dwojgu ciągnęła.

Co jej do tego? przysłała tu z Jadzią, która wbrew swemu zimnemu usposobieniu okazywała szaloną chęć pójścia na dzisiejsze posiedzenie sejmowe.

Pani Metzler bowiem wstała z bólem głowy i całą wyinkrustowaną plasterkami cytryny, obsypanami kawą, snuła się po domu jęcząc i piszcząc, jak młode szczenię.

Jadwinia miała w rękach dwa bilety wejścia, podłużne białe papierki przysłane jej przez Rudka, którego dzień przedtem na Wałach spotkawszy w dość hardy i stanowczy sposób zainteresowała:

— Bywasz pan w Sejmie?

— Od czasu do czasu... jeśli jest przewidziana borba!...

Dziewczyna zdawała się chwilę namyślać i słowa ważyć.

— Kiedy pan będziesz w sali sejmowej?

— Może jutro; gotuje się podobno jakaś utarczka z Rusinami!

— Chciałabym i ja raz się przyjrzeć tej komedii sejmowej!

Na panią Metzler, idącą z boku, wystąpiły płomienie.

— Jadwiniu! jak można tak mówić. Tyle poważnych mężów tam zasiada!

Jadzia ramionami wzruszyła.

— Pani Metzler wszystko imponuje, nawet złocony chłopiec z piernika.

— Jadwiniu!

— Chciałabym więc być na jutrzejszym posiedzeniu. Czy możesz się pan wystarać o bilety!

— O!... posłańcy je prawie po ulicach rozdają.

Pani Metzler westchnęła.

— Mój Boże!... takie drwiny!...

— Więc przyślesz je pan jeszcze dziś wieczorem?

— Przyślę.

— Z pewnością?...

— Z największą.

Po kapelusz sięgnął, chcąc się uwolnić od tej dziewczyny, którą mu imponowała jakaś żelazną równowagą i zimnem a przenikliwym spojrzeniem.

Lecz ona zatrzymała go jeszcze skinieniem ręki.

— A pan, będziesz także?— zapytała przez zaciśnięte nerwowo zęby.

Widocznem było, iż czyniła wysiłek, aby wyrzucić z siebie to pytanie wbrew konwenansom i przykrym formom światowym.

Rudolf z podziwieniem spojrzał na pytającą.

W głosie jej, wrażliwością historyka, odczuł jakiś świat cały pragnień i rozpaczliwego wysiłku.

Zawsze milcząca i zamknięta w sobie, chmurna ciągle niezadowoloniem podrastającej dziewczyny, w tej chwili objawiła mu się jak dławiona jakąś tęsknotą dziewczyna.

Zaciekawiała go.

— Będę, niewątpliwie!—odpowiedział.

Lecz ona nacierała jeszcze.

— O której godzinie?

— O dwunastej!

Teraz skłonił się nisko, niżej, niż zwykle, jakby witał niezwykle objawienie się nieznanej do tej chwili duszy, i odszedł szybko, już ścigany przez siebie samego, przedstawiając sobie swój ukłon, zgięcie nieprawidłowe głowy przed tym płaskim podłotkiem, któremu widać było najdokładniej kamasze sukienne, zapięte wysoko na suchej i niekształtnej nodze.

— Ciekawa jest!—wymówił w umyśle, przecinając Wały i dążąc ku teatrowi.

— Ciekawa?—zaśmiał się w nim ironicznie ten drugi—cóż jest w tej dziewczynie tak ciekawego?

— Ciekawa jest!...—powtórzył Rudolf z uporem, jakby chcąc głos tajemny zmusić do milczenia.

— Będziesz ją może analizował?

— Będę...

Ostatni wyraz wymówił głośno, popierając go gestem.

Własny głos przeraził go, obejrzał się dokoła i uspokoił się, widząc ulicę pustą, i tylko w oddali migające szable dwóch oficerów, idących w stronę kawiarni Józia.

W ten sposób Stefania zmuszona została niejako do zastąpienia pani Metzler w wycieczce, z takim mozołem uplanowanej przez Jadwinie.

Na propozycję doktora, który widząc zmartwienie córki zwrócił się ku Stefanii, odpowiedziała twierdząco:

— Pójdę, z chęcią!...

Wielkiej chęci wszakże nie miała.

Dawno odwykła od gwaru i hałasu, od otoczenia ludzi hałaśliwych.

Sala sejmowa przedstawiała się w jej umyśle jak ul wielki, od pszczoł się rojący.

Lecz prośba doktora była dla niej rozkazem.

Stał przed nią coraz bledszy, coraz się więcej ku ziemi chylący.

Tylko aksamitne czarne źrenice jak dwa sygnały tajemnicze, zaznaczały się pod długą rzęs osłoną.

— Jakże mały? czy konwulsje wróciły?—spytał, podczas gdy Jadwinia z dziwną energią wdziawała przed lustrem kaftanik obłożony piórami.

Stefanija zarumieniła się lekko.

— Zdrow, zdrow prawie zupełnie!—odparła.

Kłamała.

Dziecko codziennie stawało się więcej podobne do figurki woskowej, bardziej przezroczystą skórą powleczone, niż trupy noworodków.

Osowiały, milczący, słał się po kątach, podpierając ciężką głowę wychudłymi rączkami.

Lecz Stefanija, zrażona indagacją doktora co do stanu zdrowia jej męża, bojąc się odgadnięcia tajemnicy, którą tak zazdrośnie w głębi duszy chowała, nie wróciła więcej po radę do ojca Jadwini.

Wypełniała skrupulatnie przepisy o tyle, ile jej nędzna kieszeń na to dozwalała.

Doktor wpatrzył się bystro w twarz nauczycielki.

— Dlaczego pani nie wróciłaś z małym? pragnę serdecznie go zobaczyć. Przyprowadź go jutro!

Stefanija milczała.

Zdawało się jej, że ciało jej dziecka jest otwartą księgą, w której lekarz czytać będzie.

Przytem bielizna Dziudka rozpadała się już w szmatki.

Trzeba było najmniej dwóch nocy bezsennych, aby z koszul wyprawnych uszyć dziecku koszulkę.

— Przyjdiesz pani jutro? — nalegał doktor.

— Nie... przepraszam bardzo... dziękuję... jutro nie mogę!

— Dlaczego?

Rozpaczliwy cień mignął w oczach kobiety.

— Lekcje... inne... czasu brak... — wykrztusiła cicho.

Doktor głową pokręcił.

— To źle! zdrowie dziecka przedewszystkiem. Trzeba przyjść jaknajprędzej.

Uśmiechnął się i dodał:

— Bo... pomyślę, że z pani zła matka!

Stefanija nerwowo fałdy spódnicy obciążać zaczęła. Doktor obserwował ją przez chwilę.

— Nie denerwuj się pani. Ja żartuję!

Lecz ona opuszczonych powiek nie podnosiła, cała zbolała od wlokącej się za nią biedy.

— No!... daj pani rękę na zgodę i przyprowadź malca.

Powoli ujął jej dłoń, w fałdy spódnicy się kryjącą.

Lecz szybko ją opuścił.

Dotknięcie tej ręki chudej, anemicznej, a mimo to ciepłej i w zagięciach palców gorącej, przejęło go dreszczem.

Stefanija także doznała chwilowego olśnienia.

Od ciała jej biegł prąd ukrytej namietności, przywalonej nędzą codziennych trosk i przykrości.

Jadwinia odwróciła się od lustra.

— Idziemy?

Stefanija z pośpiechem naciągnęła biedne niciane rękawiczki.

— Jestem gotowa! — odparła.

Ukloniła się zdaleka doktorowi, cała zawstydzona tem wewnętrznym wstrząśnieniem, jakiego doznała. W prostocie swej wyobrażała sobie, że doktor, jako lekarz, odczuł drganie jej nerwów nagłe i gorące.

I, siedząc w łożu sejmowej, ciągle jeszcze razem ze wspomnieniem tej chwili, doznawała uczucia palącego dreszczu.

Doktor wstrząsał nią całą, niepokoił, iskry w niej zapalał. Ze zdziwieniem i przestachem wracała do tej myśli.

Co to było?

Pojąć nie mogła.

Obok niej Jadwinia, wyprostowana, z zaciętymi nerwowo ustami, napozór obojętna, rzucała ukośne spojrzenia na galerje i łoże.

Na dole tymczasem posłowie siadali w ławkach, uspokajając się powoli. Co chwila podnosił się ktoś, prosząc o głos i najczęściej bełkotał niezrozumiale przez kwadrans, zacinając się, powtarzając okresy. Postawiono wnioski utworzenia w Wydziale Krajowym: posady referenta w komisji gospodarstw, poczem wyraził petycja, komisarz starostwa, interpelant, drogi gminne, fundusz pożyczkowy, ankietą, analogia—brzęczały w powietrzu, czepiając się nitek drucianych,

zawieszonych w powietrzu. Rusini burzliwie oponowali, dzicy drwili, centrum siedziało spokojnie, Stańczycy opasłe drzemali. Koło drzwi wchodowych skupiła się garstka tych, którzy do bufetu ciągnęli, o aktorkach pocichu rozprawiając.

Na fotelu marszałek poruszał się niespokojnie, trapiiony zapewne południową czczością.

Przeciwnie, namiestnik kamieniał coraz bardziej w swej potwornej szpetocie, wisząc w powietrzu rozlaną swą maską, oprawną w rude bokobrody.

Galerje zapępiały się powoli szarą i bezbarwną publicznością, ciekawą i dość ożywioną.

W wiosenne rękawiczki odziane palce, ukazywały wybitniejsze postacie posłów. Dziwiono się, rozprawiano, jakaś kobieta pragnęła koniecznie zobaczyć biskupów. Inna żądała dojrzeć laskę marszałkowską. Jakiś podłotek chychnął, zakrywając usta kuliakiem, z drzemającego w ostatniej ławce posła.

— Toż śpi!... o jej!...

— Pewnie jaki hrabia!

— Co to takiemu szkodzi! Wyśpi się. Djety mu zapłacą!

— A dużo?

— E... abo to można wiedzieć. Takie panowie za ręce się trzymają, to i krzywdy sobie nie robią.

— O!... patrzcie! patrzcie! wychodzą z ławek, idą na środek, kłaniają się!...

Stefanja spoglądała znów na dół i mimowoli trąciła Jadwinę, zapatrzoną w tej chwili w dziennikarskie stałe.

— Gdzie oni idą?

Teraz cała procesja posłów zbliżała się do stołu namiestnika, który, powstawszy, głos zabrał i nosowym przeciągłym tonem odpowiadał na interpelację jednego z Rusinów, w sprawie zachowywania się komisarza rządowego, wysłanego do Odrzykrowia dla uśmierzenia nieporozumień miejscowych.

Wszystko, według jego ekscelencji, było w porządku, skarżono się niewiedzieć dla czego.

Ekscelencja nawet prosi i zastrzega sobie, aby na przyszłość podobne bezpodstawne skargi zanoszone nie były. To sprawia niepotrzebny ambaras i kłopot. Rząd wreszcie zrobi wszystko, co potrzeba i co uzna za najlepsze i najpożyteczniejsze.

Mówiąc, układał usta w formę lisiego ryja, uśmiechał się i kołysał na szeroko rozstawionych nogach.

Marszałek patrzył ukosem, przymrużając małe oczki. Stojąca grupa posłów namiestnika i jego obłudne uśmiechy. Mały, rudy, pokracznie skręcony mężczyzna, stojąc tuż pod estradą, uśmiechał się, kłaniał, jak lalka na sprężynach...

Plaska lojalność gięła karki.

Rusini w swych ławkach jeżyli się, jak czarne krety przed nadejściem burzy.

Dzicy podrwili półgłosem.

Centrum siedziało spokojnie.

Nagle, Jadwinia odwróciła od stali głowę i z udaną uwagą zaczęła śledzić posiedzenie. Natomiast Stefanja, bezwiednie siłą jakąś dziwną pociągnięta, wzrok swój ku galerjom podniosła.

Na tle jasnej smugi rozdzielających się drewnianych parawanów, otaczających dziennikarskie stałe, ujrzała smukłą sylwetkę Rudolfa, opartego o balustradę i patrzącego w stronę łoży.

Od chwili owego nocnego spotkania, gdy stała przed nim bosa, okryta swym płaszczem żałobnym, który w tej chwili miała także na sobie, nie widziała go, nie spotkała nigdzie.

Cała jej moralna istota doznała wstrząśnienia. Zmysły pozostały spokojne.

Tylko serce zatrzepotało, jak ptak uwięziony w klatce.

Gdyby była sama, uciekłaby natychmiast z tej sali, z przed oczu tego człowieka.

Lecz on stał spokojny, trochę ironiczny, delikatny, wysmukły, rasowo-jasny w przestrzeni. Była to chorobliwa dystynkcja histeryka, niemniej przecież miała w sobie coś pociągającego, coś moralnie podniecającego, szczególnie dla zdenerwowanej i wrażliwej natury kobiecej.

Jadwinia, po długiej chwili, podniosła wreszcie oczy i lekko skinęła głową.

Rudolf uklonił się dwukrotnie.

Stefanja mimowoli uklon oddała.

Jadwinia spojrzała na nią badawczo.

— Pani zna pana Rudolfa?

— Tak...

Dziewczyna zacięła usta, lecz na jej twarzy widać było chmurę niezadowolenia.

— Imienne losowanie! imienne losowanie!... — śmiano się na galerjach.

Tłum się poruszał, ożywał.

Ów, górujący nad obozem dzikich, mężczyzna

wspaniały, pełen energii i siły, zażądał imiennego głosowania.

— W ten sposób—mówił—dowiemy się, kto rzeczywiście bywa na sesjach, a kogo brak. Są tu posłowie, którzy nigdy się nie pojawiają w sali, lub wpadają jakby po ogień. Dowiemy się... dowiemy...

I z ironicznym śmiechem, włożywszy ręce w kieszenie od spodni, powiódł triumfującym wzrokiem po sali, mrużąc oczy w stronę Stańczyków, gdzie ławki świeciły pustymi pulpitemi.

I zaczęła się śmieszna, poniżająca, dziecinna komedia imiennego głosowania.

Nadaśmym i brutalnym głosem wywoływał marszałek po nazwisku posłów, a każdy z wywoływanych odpowiadał jak żak szkolny: „jestem!”

Lecz wielkie rody mają to do siebie, że starannie pielęgnują jedne i te same imiona.

Znalazło się więc siedmiu Janów jednego nazwiska i pięciu Stanisławów jednego rodu.

I znów rozpoczęła się opozycja „dzikiego”, który żądał, aby każdy Jan, czy z Siemieńca, czy z Pięciuwłók, odpowiadał za siebie jasno i dobitnie. Wydało się nawet małe szachrajstwo.

Jan hrabia X. odpowiadał za nieobecnego Jana hrabiego X.

Nieubłagany „dziki” odwrócił się i, wciąż trzymając ręce w kieszeniach od spodni, dręczył zapamiętałe swą brać arystokratyczną, brzęcząc ironicznym i przenikliwym głosem!

Na galerjach pokładano się ze śmiechu.

— To, to! dobrze im! próżniaki, niedbalce. Kraj płaci djety, a oni lampartują!

Dobrze im!

Triumf „dzikiego” wzrastał do apoteozy.

Ten śmieszny, studencki sposób sprawdzania, zaciężył nagle nad całą czernią posłów i przygniótł ją w dziwny sposób.

Ci siwi i tysi mężczyźni mieli w sobie nagle zaleknienie dzieci schwytych na gorącym uczynku. Jadwinia podniosła się nagle, wzruszając ramionami.

— Chodźmy! nudzi mnie to wszystko!

Stefanija porwała się z pośpiechem.

Od wejścia Rudolfa do sali, czuła się jakby chora i nie śmiała poruszyć głową, drętwiejąc w jednej pozycji.

Po wąskich kręconych schodach zeszły na dół.

Jadwinia szybko szarpnęła drzwiami i, jakby zawiedzio-

na, stanęła na progu.

Chwilę szukała kogoś oczyma po pustym i jasnym od światła dziedzińcu.

— Chodźmy!—wyrzekła ze złością w głosie.

Dziwna rzecz.

Stefanija doznała także nagle jakby zawodu.

Nie mogła sobie sformułować, na czym zasadzał się ten zawód, ale w umyśle jej, razem z pustką dziedzińca, powstała także pustka zimna i niewymownie przykra.

Wydostały się na plac przed gmach sejmowy i powoli przeszły na drugą stronę ulicy pustej, całej jakby zalanej szarą bezbarwną i niepochwytą barwą.

Jadwinia szła szybko, z zaciętymi ustami, nie oglądając się poza siebie, prując wąską piersią powietrze.

Stefanija ledwie jej nadażyć mogła utykając w zniszczonych bucikach, przez których podeszwy czuć się jej dawały bezpośrednio flizy chodnika. Czuła, że przemówić coś powinna.

— Cóż, panno Jadwiniu, zaspokoila pani swą ciekawość?

Dziewczyna mruknęła coś zamiast odpowiedzi.

Stefanija, widząc jej niechęć do prowadzenia dalszej rozmowy, nie nalegała zupełnie.

Szły więc pustymi i jakby wymarłymi ulicami, milcząc, podobne do dwóch posągów zbiegłych z cmentarnej kaplicy.

Minęły Wały, ulicę Sobieskiego, wydostały się na Szkarpy i weszły na ulicę Strzelecką.

Koło bramy Jadwinia stanęła nagle.

— Dziękuję pani—wyrzuciła sucho.

Spojrzała w ulicę i wzrok jej się zamącił.

Zdawała się jej, że na rogu w jasnej przestrzeni bezlistnych drzew szkarpowych, dostrzegła elegancką sylwetkę Rudolfa, stojącego jakby w oczekiwaniu przy początku ulicy.

— Może pani wejdzie na górę!—dorzuciła nagle, siłąc się na uprzejmość.

Lecz Stefanija odmówiła i szybko zabierała się do odejścia.

— Nie mogę, czasu nie mam. I tak się spóźnię do Czyżykównej. Czekają na mnie od kwadransa.

Jadwinia weszła do bramy i chwilę stała, walcząc z chęcią zawrócenia się i szpiegowania tych dwojga, którzy z pewnością, według niej, już zejść się musieli na rogu ulicy.

Twarz jej blada i zapadnięta przybrała wyraz strasznej,

dojrzałej, kobiecej zazdrości.

W półcieniu bramy stała tak zgębiona z serdeczną raną otwierającą się w jej nawpół jeszcze dziecięcej piersi.

Wreszcie, głowę spuściwszy, powlokła się na schody.

Tymczasem Stefanja, z ulicy wybiegłszy, prosto w aleję Szkarpową wpadła, chcąc ulicą Różaną dostać się na Rynek.

Szła szybko, patrząc na ziemię, na której liście gnily, w brunatną masę powoli się zamieniając.

Po prawej stronie wznosiły się ślimakowato szarozielonawe ściany góry, przecięte całą kaskadą białych schodów, spadających ku ziemi w nagłej i olśniewającej fali.

Wysoko, na szczycie, ponad delikatną gałęzi drzewnych koronką, cały biały i prosty jak habit zakonniczy, wznosił się kościół Karmelitów, dominując tą jasną masą nad doliną Szkarpową, szarzącą od drzew i całą w chłód jesienny spowitą.

Stefanja mimowoli rzuciła okiem na ten punkt czysty, unoszący się na ciemnym wale ziemi, obramowanym szarą podartą koronką krzaków.

W znękanu moralnem i fizycznym, w jakim żyła, każdy kościół przedstawiał się jako miejsce cichego, chwilowego spoczynku.

Lecz tuż nad uchem jej zabrzmiał dość miękkiej, harmonijny głos mężki:

— Pozwoli pani, że się przypomnę jej pamięci?

Odwrociła się szybko.

Otworzyła usta, jakby pragnąc pochwycić powietrze.

Rudolf, siedł obok niej, bladej od jesiennego chłodu.

Tylko dwie różowe plamki na policzkach mu się mieniły.

— Chciałbym całą siłą woli naprawić złe wrażenie, jakie mogłaś pani odnieść z powodu mej pierwszej w domu państwa bytności. O tak późnej porze ośmieliłem się wejść i niepokoić panią...

Stefania drżała jak liść.

Milczała.

— Upoważniony byłem do tego kroku serdecznością męża pani. Zapraszał mnie tak gorąco, że wreszcie skusiłem się dać. Czy się pani na mnie nie gniewa?

Nie spodziewał się odpowiedzi.

Widział jej zmieszanie, zaleknienie, i ta trwoga spłoszonego ptaka zajmować go zaczęła.

Ta kobieta rozwinięta, żona, matka, drży jak pensjonarka za zbliżeniem się mężczyzny.

Ciekawa natura.

Badawczem obrzucał ją spojrzeniem.

Zauważył, że miała delikatny, doskonały profil i cerę niezdrową, anemiczną, cerę ubogiej, zmęczonej kobiety. Prosząc ją o przebaczenie, starał się dostrzedz choć pasek jej szyj z po za kołnierza rotundy. To, co dojrzał, żółte było z lekko sinawym odcieniem. Wchodził w ulicę Różaną, pomiędzy tłumem żydostwa, zalegającego trotuary.

— Jakże? czy nie otrzymam od pani słowa przebaczenia?

Ona oprzytomniała powoli, całą siłą woli starając się odzyskać władzę panowania nad sobą.

— Ja się nie gniewam — odparła cicho, sama nie wiedząc, co mówi.

— Dziękuję pani!

Szli teraz środkiem ulicy dość blisko siebie, tak, że fałdy jej płaszcza dotykały niemal jego palta.

Dzieci żydowskie skakały dokoła starego blacharza, niosącego stos arkuszy blaszanych na głowie.

Z daleka, z rynku dolatywały chrapliwe głosy katarynki. I nagle w umyśle Rudolfa powstała chęć zrobienia gwałtownego doświadczenia na tej istocie nieśmiałej i zaleknionej, prawie dziewiczej, pomimo macierzyństwa i wypełnionych obowiązków żony.

Chciał nieoczekiwanem, nagle wyrzuconem słowem otworzyć przed nią nieznane jej horyzonty i oślepić ją prosto niespodzianie.

Przytem niedowiarstwo jego grało tu silną rolę. Wyglądał jak ptak spłoszony, nędzny i wygłodniały; lecz kto wie, czy pod tą niewinną maską wyniszczenia nie kryje się cała moc zbrodni i chęci nieprawych, może nawet już nie raz w czyn zamienionych.

Zapuci więc nagle sondę w jej duszę i będzie śledził przez tę chwilę jej wewnętrzną istotę.

I już „ten drugi“ zjawił się, szepcząc ironicznie:

— Zobaczysz, jak się ciśnie, jak się obrazi! zupełnie tak samo, jak każda z żon wiarołomnych, kryjących wspomnienie schadzek w fałdach swej sukni.

Doszli do bramy domu, w którym mieszkał Funkier, a ponad nim, na trzecim piętrze, w kącie ciemnego kory-

tarza, Czyżyczek z wnuczką Melcią, nową uczennicą Stefanji.

Rudolf, widząc, że młoda kobieta pochyła niezgrabnie głowę i zwraca się ku otworowi bramy, wyciągnął rękę, zagradzając jej poniekąd drogę.

— Dla czego pani ucieka bez jednego przychylnego słówka dla mnie? Czy pani sądzi, że owo wieczorne najście waszego domu było czysto przypadkowe... Czy pani nic nie zgaduje?...

Przejrzystemi oczyma świdrował jej twarz wybladłą, doskonale spokojną, ważącą każde słowo, które z gładkich i drobnych ust wyrzucał.

Ona szarpała się nerwowo, niezgrabnie, chcąc zerwać całą siłą węzeł, jaki się między nią i tym delikatnym blondynem nawiązywał.

— Przepraszam pana... na lekcję czas... czekają... dobry wieczór panu...

Rudolf uśmiechnął się nieznacznie.

— Mówisz mi pani dobry wieczór, a tu samo południe. Ale nic dziwnego. I mnie się w oczach świat zasłania.

Pochylił się cokolwiek i rękę usunął.

— Kocham panią! — wymówił dobitnie i głośnie, niż sam tego pragnął.

Oczekiwał wybuchu, piorunującego spojrzenia.

Ale Stefania nie drgnęła, nie zmieniła wyrazu przerażenia i nerwowego niepokoju, jaki od chwili spotkania Rudolfa miała na twarzy.

Zdawało się, że nie dosłyszała nawet tych słów, że osunęły się w fałdach jej czarnego płaszcza, jak krople deszczu po draperji posągu.

Jak cień niepochwytny, znikła w ciemni bramy, pozostawiając Rudolfowi wrażenie nagle ujrzanego sfinksa.

XX.

Jak karawan ubogich trupów przewłókł się listopad nad kostniejącem z zimna miastem.

Rzadko promień słońca przedarł się przez szare i niepewne mroki zimowych dni.

I tylko w południe nieśmiałe żółte promienie, jakby skradając się, dotykały dachów domów, na których groma-

dzili się powoli grube warstwy śniegu, ciężącego ku rynnom wydętymi warstwami o srebrnawo rudych połyskach.

Rankiem, o szarym, wilgotnym, gęstym mroku, chyłkiem pod kamienicami, jak cienie niepochwytne, bległy sługi odziane w ciemne grube chustki, lub stare kobiety w długich watowanych tołubkach. Skręcały szybko i nikły w otwartych drzwiach kościołów, przed którymi, jakby tajemnicze zarzewie, czerwieniały rozżarzone węgle w garnkach u stóp siedzących na stołkach żebraków.

Purpurowy blask zlekka oświecał te kupy watowanych lachmanów, z pomiędzy których wylaniały się ostro kontury pomarszczonych i bezzębnych twarzy. Oświetlone od dołu, rysy te przybierały potworną spiczastość nieziemskich zjawisk. Oczy zapadały głęboko, podkrojone czarnymi cieniami, rozplywającemi się w złotą purpurę ku skroniom Czasem wyciągnięta nad garnkiem ręka, klekotała długimi powiązanymi palcami, wysuwającemi się z oprawy włóczkowego mankieta. Każdy palec miał wówczas purpurową obwódkę, znaczącą krwawym konturem rozszczepienie członków. I skurczone po nad tym żarem postacie żebraków miały w sobie coś z Sabatu czarownic, podczas gdy po za nimi wznosiły się czarnymi, ponuremi linjami mury kościołów, w których w adwentowej ciszy szemrały fale modlitw oratnych.

Lecz już stopniowo, ku świętom się zbliżając, ginęło odrętwienie miasta i zdawało się, że coś we wnętrzu, w żyłach jego nurtować i poruszać się zaczyna. Leniwo-głupie zazwyczaj, ciche i uśpione, miało teraz w sobie dreszcz podskórny histeryczki, gotującej się do ataku, kończącego się nowem omdleniem.

Powoli, z kątów, ścigała „arystokracja“ na zimowe leże, i z okien cichszych i bardziej wymarłych ulic nad wieczorem, po przez sztory, były dyskretne pół-swiatła, różowe jak skóra blondynki, lub blado-zielone jak tafla zgnilawego i wymarłego stawu.

Po ulicach biegały szybko, szczerlnie w angielskie kostjumy otulone kobiety, o małych, kształtnych głowach i impertynencko wydętych wargach.

Pędziły szybko jak kule po nad brzegami rynsztoków, pełne dezynwoltury i pewności siebie.

Za niektórymi gonili mały lokajczyk w zbyt świeżej liberyjce.

Czasem kuląła panna-służąca, niosąca podpalanego King-Charles'a, lub Affen pinczera, wyszczerzającego białe ząbki z pod kudłatego pledu.

Tu i owdzie stały karety odświeżone, odlakierowane, jak stare elegantki.

W Kasynie końskim panowało wielkie ożywienie.

Grano w karty do późnej nocy, robiono plotki i politykę, znieważano honor kobiet i nowego kucharza.

Bezposażne panny wycinały głęboko staniki rautowych sukien; te, które miały posagi, z góry spoglądały na ludzi, jeżdżących dorożkami.

Niezrozumiane mężatki chuchwały na zamarzniete szyby, a fachowi szykowcy czynili fensterpromenady, ślizgając się po asfalcie, pokrytym szarawą lawą zamarzłego błota. I na to wszystko, na tę głupotę mężczyzn i zdradę kobiet, na ujadanie psów i śpiew nowego tenora, na dachy karek i ocembrowanie wodociągu Marjackiego placu, na nędzę i gorącą łzę wydziedziczonych, na płomień roratnej świecy i ziewanie próżniaka, spadały kłęby śniegu, białego, zimnego, nieubłaganego, jak lawina przesłania przez potworne sito, ręką demona nad miastem wstrząsane.

XXI.

— Owa! będę też sobie z panią ceregieli robiła!

— Ależ, moja Heleno!...

— Chcę odejść i tyle. Mam dosyć takiej służby. Pani mi zapłaci mój kwartał, a ja se pójdę od pojutrze.

Stefanja nerwowo chwyciła za krzesło.

— Jakże to chcesz odejść tak odrazu i zostawić mnie i dziecko bez sługi! Nie masz prawa!

Helena, układając rzeczy w kuferku, ramionami ruszyła.

— Oje!... albo to pani miała recht nie zapłacić mi bez cały kwartał?

— Nie upominałaś się; myślałam, że ci nie potrzeba.

— O la Boga!... co też pani gada! Jakiej to słudze nie potrzeba pieniędzy zarobionych?!

— Ja ci nie zaprzeczam. Wiem, że ci się należy za trzy miesiące, ale sługa tak nie odchodzi z miejsca, bez wypowiedzenia najmniej na dwa tygodnie.

Helena usta wydeła.

— Phi!... jak zkad! Jakby tak do sądu przyszło, to by mi recht dali. Taż w takim piekle sodomskim to nikt nie strzyma, ino ja jedna. Pani Wisienkiewicz pedziała, co

i tyła nie będę...

— Pani Wisienkiewicz miesza się do tego co do niej nie należy! — przerwała Stefanja silnie zirytowana.

Od dwóch tygodni zauważyła, że Wisienkiewiczowa ma bezustanne narady z Heleną, i że ta ostatnia więcej przebywa na pierwszym piętrze, niż u siebie w kuchni.

— Pani Wisienkiewicz je bardzo porządna i odpowiedzialna pani! — odparła Helena z przyciskiem.

— Może idziesz do niej na służbę?

— A tak!... czy mi to nie wolno polepszyć se, kiedy mi durno gdzie?

Stefanja zwróciła się ku drzwiom, prowadzącym do pokoju.

— Z Panem Bogiem! — wyrzekła podniesionym głosem — z Panem Bogiem, idź-że od jutra do tej porządnej pani, co sługi po piętrach odmawia. Będziecie razem plotki robić.

I szybko weszła do pokoju, w którym Dziudek drzymał, oparłszy głowę na swym małym stoliczku.

Przeszła mimo dziecka i osunęła się na stojące w kącie pokoju krzesło.

Zdawało się jej, że jest przed jakąś przepaścią, w której lada chwila wpadnie.

Zostawała bez sługi, i to w chwili dla niej najcięższej, gdy całe dnie biegała po mieście, lub grała na lekcjach tańca u Funkiera.

Oddawna dostrzegła, że Wisienkiewiczowa powoli obrała ją sobie za cel plotek i bezustannych rozmów ze sługami i z sąsiadkami.

Zacinała zęby, przechodząc mimo drzwi, i spuszczała oczy, gdy w korytarzu dostrzegła beczelną twarz którejś sługi, lub ciemne okulary samej pani.

Zdawało się jej, że popełniła jakąś zbrodnię, i że przechodzi przed sądem nieubłaganych i surowych sędziów.

Wiedziała, że przez Helenę w całym domu znają jej nędzę, nocne sceny z Michałem, jego nałóg, konwulsje Dziudka, ciągły brak środków do życia — i wstyd, upokorzenie, myśl, że jest pośmiewiskiem tylu ludzi, zabijały ją prostopo.

Rozdrażnienie jej nerwowe zaczynało dochodzić do kulminacyjnego punktu. To bezustanne dławienie swych wzruszeń, to życie bitego i głodnego zwierzęcia, ciągnącego swój zaprzęg w śmiertelnym wysiłku, wyczerpało nawet jej siłę woli i złamało hart ducha.

Michał szalał codzień więcej.

Teraz był prawie już ciągle pijany, zda się, upijając się powietrzem, bo wychodził niewiele, ciągle wściekły, rozszalały, z pianą na zsiniałych wargach.

W nocy zrywał się, grożąc, krzycząc, szarpiąc koldrę i poduszki, rwąc się do tłuczenia szyb, które go magicznie ku sobie ciągnęły.

Stefanja zbita, skopana, opluta cuchnącą śliną, czepiała się jego rąk, błagając o spokój, tłumiąc jego wrzaski, gdyż i tak lokatorowie żalili się na te nocne sceny.

Zaległa gospodarzowi za całe półrocze.

Krew jej ścinała się w żyłach, gdy pomyślała, że gospodarz może wymówić jej mieszkanie.

Dziudek miał ponowny atak konwulsji, dłuższy, cięższy, kończący się omdleniem.

Chwilami przecież zrywał się, ożywiony, nerwowy, ustawiał zabawki, plół od rzeczy, machając w powietrzu rękoma.

Robił wtedy wrażenie małego idjoty.

Stefanja wpatrywała się w twarz dziecka, jakby w tym żółtym, anemicznym manekinie chciała koniecznie odnaleźć i zaczerpnąć siły do dalszej egzystencji.

Za to wiara jej słabła z dniem każdym, szeptała jeszcze modlitwę św. Bernarda w wieczór, ale co wieczór szczypta wiary rozsypywała się w proch u stóp krucyfiksu, obwiedzionego różańcem.

Przysłowie „Bóg daleko!“ zaczynało się jej przedstawiać w uchwytniej formie. Gdy się modliła, spoglądała mimowoli na posiniałe swe ręce.

Matka mówiła: „Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże zsyła“.

Teraz, w tym kącie, przytulona do ściany, w południe niedzielne, nie wie, gdzie głowę złożyć, co począć z sobą. Jutro, pod grozą ohydnej sceny, musi dać dwanaście guldenów Helenie. Nie sięga do portmonetki: wie dobrze, że na dnie woreczka mieści się niecałe dwa reńskie. Wczoraj dała Michałowi srebrnego guldena, ulegając przemocy. Wylałaby jej ręce i kopał w brzuch kolanem. Byłaby może nie uległa mimo tej katorgi, ale Dziudek usiadł nagle w kolebce, i zdawało się jej, że pod wpływem przestrachu atak epilepsji mu wraca. Cisnęła więc monetę mężowi i do kołyski dopadła. Ale już dziecko leżało na wznak, jakby uśpione, tylko usteczka lekko mu drżały, całe sine i prawie w płamie twarzy ginące.

Zaskrobało coś koło drzwi od kuchni.

Stefanja nie odwróciła głowy, tylko z wysiłkiem spojrziała w kierunku szmeru.

Przez cicho otwierające się drzwi wsunęła się Jenta. Stefanja doznała nagłego uczucia wyschnięcia śliny w gardle.

Zapomniała, że tydzień temu przyrzekła żydówce, bądź co bądź, dać cokolwiek na rachunek długu.

Jenta zatrzymała się u progu.

— Wlaznęłam do pokoju, bo panna Helena u tej pani z pierwszego w kuchni siedzi...

Stefanja skinęła ręką.

— Niech Jenta wejdzie i drzwi zamknie.

Jenta przestąpiła próg ostrożnie, ciągle zboląła, chora, wlokąca wydęty brzuch na cienkich drżących nogach. Pod pachą trzymała duży pakiet, starannie opięty w białe prześcieradło, z którego widać było fałbany jedwabne pokryte koronkami.

— Pani tak sama siedzi?—zaczęła, rozglądając się po pokoju—wzięła by pani panicza za rączkę i poszła na spacer. Moje bachory już poszły. Aj, aj, tak się lchim wystróż! Już od wczoraj, od szabasu, chodzi w atlasowych majtkach i zdjąć nie da. Te majtki to mu uszyłam z tiunik od jednej aktorki. Fałbaneczki też dodałam. A jakże!...

Stefanja próbowała się uśmiechnąć.

Żydówka uśmiech ten w lot pochwytiła.

— Pani się śmieje, ale co pani chce? Ja się dla dzieci to i cała rozbiore, aby one były wesołe. Aj, ja sobie przysięgam. Można? Ja dziś cały dzień latałam za sprawunkami dla jednej wielkiej pani, co tu co dwa, trzy miesiące do Lwowa zjeżdża. Zrzuci całe jeszcze, i pięty i nosy są! Aj! ja mam u niej duży zarobek.

Przysiadła na ziemi, skurczyła się, zupełnie podobna do wrony przypadłej do pustego zagonu.

— Pani smutna? co?—zapytała, w oczy Stefanji patrząc.

— Trzeba mi, Jento, poszukać sługi.

Żydówka cmoknęła.

— Te!... panna Helena odchodzi?

— Tak.

— Od kiedy?

— Od jutra.

— Ja się postaram. Do rajfurki pójdę. Tam u niej, wiem, że siedzą po dwie, po trzy, po dziesięć na stancji. To i co wybiorę.

— Moja Jento!...

Stefanja urwała, bo czuła, że ły jej do gardła się cisną.

— No... a jakże względem tego... co...

Żydówka się czała, dobierała wyrazy.

Instynktownie odczuła nędzę.

Stefanja milczała.

— Pani dziś nic dać nie może?

— Nic.

— Aj!...

Nastąpi cisza.

— Choć trzy szóstki da mi pani na kawę; gardło mi zaschło.

Stefanja machinalnie do kieszeni sięgnęła.

Wyjęła portmonetkę, i dobywszy trzy pieniążki, żydówce podała.

— Dziękuję pani!

Dziudek główkę podniósł i zaspanemi oczyma na Jentę patrzył.

— Paniczyk blady... chory?

Ręce ku dziecku wyciągała.

— Paniczyk pójdzie do Jenty? Jenta przywiódłaby Ichimka do panicza; na zabawkę... ale może paniczyk-by się z nim bawić nie chciał. Co?...

Dziudek siedział, wciąż milczący i jakby osowiały.

— Pani źle robi, co dziecka na dwór nie wypuści; powietrza jakby zipnął, toby lepiej się zrobiło!...

Stefanja westchnęła.

— Brak mu dużo rzeczy. Ciepłych pończoch nie ma. Kapelusz słomiany.

Jenta się zafrasowała.

— Na pończochy to ja mam borg, ale kapelusz to będzie ciężko!

Stefanja szybko rękę wyciągnęła.

— Nie, moja Jento! niech Jenta już nic nie przynosi. Ja tyle już jestem Jencie winna; nie chcę, żeby rachunek rósł.

Jenta zwolna się z ziemi dźwignęła.

— Aj, aj, co tu gadać! Pani winna, pani odda, pani jest szlachetna pani i zna się na interesie. Ja kapelusz przyniosę.

W duszy już obliczyła pół na pół zarobku na kapeluszu, który gotówką zapłaci na rynku.

— A ja pani teraz co pokażę pięknego, to się pani lepiej na duszy zrobi.

Przykłęła znów i węzły prześcieradła rozplątywać zaczęła.

— To suknia tej wielkiej pani, co to ja mam tyle u niej zysku.

— Moja Jento... ja nie ciekawa.

— Ja pani pokażę: to paryskie. Pani się dotknie. Czysty jedwab.

Wprawnie, szybko wyjęła z prześcieradła przepyszną suknię z błado-błękitnej mory, z trenem z morelowego aksamitu, pokrajanym wytłaczanymi bukietami niebieskiego habru.

Strzepnęła spódnice i, przysunawszy dwa krzesła, rozwiesiła suknię, rozkładając szeroko falbany podbicia, całe koronkowe, lekko złote, przetykane niebieską aksamitką.

W Stefani mimowoli obudziła się kobieta.

Nie ruszając się z miejsca, parrzyła na doskonale delikatny kolor aksamitu, na mieniący się deseń mory, na wspinałą frendzlę stanika.

Lekki zapach werweny unosił się z tych fałd, uwydatniających zda się odcień ciepłego ciała kobiecego i rysujących kontury pełnych piersi, bioder, ramion.

Dziudek nawet się ożywił.

Otworzył buzię, rączki rozłożył i z krzeselka wstawszy, do Jenty się zbliżył.

— No, co pani powie? — pytała żydówka, cała ożywiona przed tak doskonałym towarem — świeże, nie noszone prawie, paryskie! A pachnie! A koronek tu najmniej za sto guldeny! I pani wie, za co ona chce to zbyć? Ona chce...

Urwała nagle i, zniżając ton, dodała poufnie:

— Ta pani, to ona już sobie jest w wieku osoba! Nie coby była stara! Nie! ale ona już ma syna, co taki wielki, jak ona. No! co pani chce, ona się zawsze bawi, na bale chodzi, i tak suknie zrzuca i przezemnie facjenduje. Pan Rudolf to się czasem za głowę łapie i mówi: „aj, mamusi! aj mameczko!...” To i ona się śmieje i tak coś po francusku do niego gada. To i on się śmieje. To bardzo ładny pan i dobrze się uczy. W Dublanach jest! pani wie, tam panowie się na wieś przyuczają!

„Pan Rudolf?”

Czyżby to był ten sam człowiek, który rzucił jej te słowa, trawiące ją do dziś dnia nieodkrytą zagadką. Spojrzała ponownie na aksamit i morę, na rozłożony pusty stannik, prezentujący jedwabną cielistą podszewkę przeciętą liniami wstążek fiszbinowych, i zdawało się jej nagle, że w tym subtelnym zapachu unoszącym się w przestrzeni

odnajduje coś z woni, która pozostała w przedpokoju po odejściu Rudolfa, owej pamiętnej nocy.

Przytem delikatne tony sukni miały w sobie jakąś mistyczną doskonałość cery jasnego blondyna, o różowej skórze i złotych włosach.

Ogarnął ją smutek wielki.

Ta woń, ten przepych, ten zbytek, ta miękkość aksamitu i artystyczny dobór barw, wnosiły za sobą imponujący chłód ludzi bogatych, pewnych siebie i dla nędzy pogardę mających.

— Ja tę suknię zaniosę do pani Melcharusowej, urzędniczki od kolei, ona się lubi stroić. Ma teraz wesele. Żeni krewniaczkę, pewnie suknię weźmie!

Składała suknię powoli, cmokając, rozkoszując się dotknięciem aksamitu.

— Oo... niech pani dotknie! niech pani pogłodzi.

Podsunała pod rękę Stefanji tren, mieniący się tajemniczo złotem i cielistymi barwami.

— Nie! nie!... mogę poplamieć! — tłómaczyła się nagle zaniepokojona.

Ta cielistka, puchem młodzieńczym pokryta tkanina, sprawiała jej zupełnie niewytłómaczone wrażenie zmysłowe.

Dziudek tymczasem rączkę wyciągał.

— No, to paniczek pogłodzi!

Stefanja chciała go wstrzymać, lecz, widząc ożywioną twarz malca, umilkła.

Dziecko pociągnęło delikatnie bladymi paluszkami po powierzchni aksamitu.

— Cacana! — zawyrokowało z powagą.

Jenta śmiać się zaczęła.

— O!... jak to już wie, co ładne. To jak pan Rudolf, mruży oczy i mówi: „se bą!“ A tak!... ot i ja się po francusku nauczyłam! Tylko ten pan Rudolf, to ma coś, z przeproszeniem, w nieporządku w głowie. Matka to czasem wdycha i mówi: — „moja Jento! jak ja się boję! aj! jak ja się boję!...“

Suknia, zupełnie złożona, znikła w prześcieradle. Stefania odetchnęła.

Zdawało się jej, że jakiś gość wstrętny i uciążliwy opuścił jej biedne mieszkanie.

— Ja już pójdę; kiedy dziś nic pani dać nie może, to kiedy mam przyjść?

— Za tydzień!

Stefanja rzuciła ten termin na los szczęścia.

Wiedziała, że za tydzień tak samo nie będzie miała pieniędzy, jak dzisiaj.

Zyskiwała jednak tydzień względnego choć z tej strony spokoju.

— Ja służę jutro przyśle. Dobranoc pani, dobranoc, paniczku! Mówię dobranoc, bo już ciemno!... aj! gdzie mnie jeszcze, aż do kolei iść... A no, jak trzeba, to mus!...

Stękając, wysunęła się za drzwi.

Chwilę jeszcze słychać było odgłos jej kroków, potem zamknięcie drzwi kuchennych i nastała cisza.

Dziudek przysunął się do matki i u jej kolan przykucnął, senną głowę znów w fałdy sukni kryjąc. Stefania siedziała, jak martwa, wspomnieniem Rudolfa do głębi przejęta.

Dla czego powiedział jej, że ją kocha?

Spadło to na nią tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili nie zdała sobie nawet sprawy z całej doniosłości tego wyrazu.

Cofnęła się do bramy i powoli weszła na górę. Gdy była w ciemnicy schodów, wrażenie chaosu nie opuściło jej jeszcze.

Lecz gdy wydostała się na jaśniejszą przestrzeń, a zwłaszcza, gdy się znalazła w saloniku Czyżyczkowej, szerokim, widnym, bez przyćmienia firanek, zdawało się jej, że zbłąkała się nagle i drogi znaleźć nie może.

Krzykliwy głos Czyżyczkowej przywołał ją do przytomności.

— Spóźniła się pani! dalej, Melka! flondro jedna, do fortepianu, a graj czysto, bo uszy poobrywam.

Szastnęła brudną fularową spódnicą i wyszła z saloniku cała czerwona, z sinemi pręgami na odsłoniętym czole, obramowanym szczotką białych jak mleko włosów.

Melka, zezowata, dziwna dziewczyna, pokręcona, ze szwami skrofulicznymi za uszami, na kolana przed Stefanją padła i ręce rozłożyła, jak do modlitwy:

— Świętości moje! Pani najśliczniejsza!...

Z jakąś chorobliwą ekstazą porwała brzeg zniszczonej spódnicy Stefanji.

— Kocham panią! — krzyczała grubym głosem.

Drzwi się otwały, purpurowa twarz Czyżyczkowej mignęła.

— Melka!... bzikaczko wykleła! wstań!... ściagnę dyscypliną!

Melka porwała się z ziemi i przy fortepianie krzątać się zaczęła. Czyżyczkowa znikła.

— Babka znów dziś... chora!—szeptała dziewczyna za zwój nut chwytając—a wszystko na mnie się krupi, pani wie dlaczego?

— Nie wiem, wiedzieć nie pragnę...

— Babcia ma do mojej nieboszczki mamci anse za to, że...

— Melciu, zacznijmy lekcję.

Melcia ręce czerwone, popękane, z brudnymi liniami paznogi, na pokapanej stearyną klawiaturze położyła.

— Za to, że mamcia kochała się w panu Powidlańskim po śmierci naszego tatki!

Gama z tonu C-dur zahuczała w powietrzu.

— Pan Powidlański był urzędnikiem na poczcie i bardzo do rzeczy. Babcia śpić go nie mogła, bo dopatrzył kiedyś, że babcia pije...

Gama zmieniła się w urywane akordy.

— Mamcia umarła, a teraz babcia na mnie i na Włodku złość spędza! Ale to nic, mnie z serca nikt mojej miłości nie wydrze!... Pani wie?...

— Mrugnęła krzywem okiem i, oderwawszy ręce od klawiatury, rozłożyła je szeroko.

— Kocham księcia!—wyrzekła ponuro.

Stefanja machnęła ręką.

— Dobrze... wiem o tem oddawna. Graj G dur!

— Kocham go codzień więcej!

— Graj G-dur!

— Codzień zapamiętałem!...

Graj G dur!

Codzień powtarzała się ta sama scena.

Nerwowa histeryczna dziewczyna, oddziedziczywszy po matce czułość miłosną, po ojcu skrufuły, zwierzała się Stefanji przy akompaniamencie gam ze swej miłości dla Funia Kuczkiryszczaka. Poznali się u Funkierów i Melka w jednej chwili została podbita świetną powierzchownością kurhanowego bohatera. On ze swej stony blagował serdecznie rad z tej namiętnej ekstazy, którą dziewczyna afiszowała wobec ludzi, mdlejąc mu prawie w rękach, gdy tańczyli walca. Książę uczynił ją „baronówną“ i opowiadał jej w antrakcie mazura o serwantce z łzawnicami i mogiłach Kuczkiryszczki i Kuczkiryszczychy.

Melcia wyciągnęła nogi obute w prunelowe pantofle i, sapiąc, zdawała się wciągać w siebie powietrze ukraińskich stepów. Książę powtarzał:

Ma foi! baronówna mi nie wierzy?

Ale ona odpowiadała grubym, dziwnie drżącym głosem:

— Wierzę księciu!

Czyżyczkowa zjawiała się w porę i kładła tamę temu sam na sam, brutalnem wyciągnięciem Melki z kompletu do domu.

Wtedy zaczynały się sceny rozpacz.

Melcia, jak zwierz dziki, chodziła po małych pokojach, pustych i smutnych, oświeconych krzywo oprawioną świeczką, płonąca przy łóżku Czyżyczkowej.

Potrząsała włosami, które rozrzucone dokoła jej chudych ramion, opadały czarną jak atrament kaskadą, i szczęśliwa z pozy męczenniczki, niskim gardłowym głosem wyrzucała z siebie:

— Kocham księcia tak, jak mamcia kochała Powidlańskiego!...

Czyżyczkowa podskakiwała jak bomba.

— Tak! tak! niedaleko padło jabłko od jabłoni. Jaka matka, taka córka!

I zaczynała się ciągła historia, wiecznie motywowana od lat tylu, ten romans cichy, pełen jeszcze pragnień i siły wdowy, z wysokim i lekkomyślnym urzędnikiem pocztowym, który, niszcząc sławę matki, nie miał zamiaru małżeństwem zrehabilitować kobiety.

Była to tragedia cicha, straszna, wstrząsająca, na pozór bardzo banalna, a przecież mająca epilog cmentarny, trumnę trzydziestoczteroletniej kobiety, niemogącej przenieść ciągłych scen z matką i tej miłości szarpiącej ją, jak pazury jastrzębia.

Melcia, przedwcześnie rozwinięta, świadek ciągłych walk babki z matką, rozumiała dokładnie całą sytuację, zapamiętała zgon matki, wyrozumowała jego przyczynę i teraz, doszedłszy do lat siedemnastu, leniwa do pracy, zmysłowa, egzaltowana, powtarzała w formie groźby:

— Umrę jak mamcia! umrę!... a kochać księcia nie przestanę!

Lecz Czyżyczkowa porywała się groźna, straszna jak furja, wśród lachmanów watówek i flanel, jakie na sobie nosiła:

— Giń! przepadnij!... — wołała trzęsąc rękami — wołę i ciebie pochować, niż patrzeć na lądactwo!...

Z niewyrozumiałością kobiety, mającej namiętność w gorących trunkach, alkoholicka nałogowa, zrodzona z ojca alkoholika, przeszła przez życie bez pożądań miłosnych, w późnej starości dopiero w pijaństwie starannie

ukrywaniem odurzenia szukając.

Cały więc urok tego słowa, tak umiejętnie rzuconego pod stopy Stefanji, rozwiął się wrzaskliwym głosem Czyżyczkowej i chrapliwym basem Melki, huczącej uparcie:

— Kocham księcia!...

Było to jakieś brutalne otrzeźwienie i przyprowadzenie do równowagi odurzonej chwilowo kobiety.

Gdy wreszcie, po ukończeniu lekcji, Stefanja znalazła się znów na ulicy, zdawało się jej, że spotkanie Rudolfa, odezwanie się jego przed bramą, było jakimś snem zacierającym się w jej pamięci.

Powróciła do domu, prawie spokojna, cała już zajęta troską dnia jutrzejszego, myślą o Michale, Dziudku i obliczaniem ilości muślinu, potrzebnego na spódnice lalek.

Lecz powoli, gdy fakta codzienne szły zwykłym trybem, gdy zbita przez męża, wymierzyła materiał sukienek i, usiadłszy przy lampce, szyć w nocy zaczęła, mimowoli cofnęła się myślą do tej niezwyklej dla niej chwili, i na próżno w umyśle swym szukając przyczyny, przyjęła samo istnienie faktu, którego zaprzeczyć nie mogła.

Powiedział jej, że ją kocha!

Przed jej oczami stała teraz postać Rudka, elegancka, wiotka, mimo to silnie męzka, i zmysłowa.

Lecz ona nie odczuła żadnego dreszczu na wspomnienie tej sylwetki.

Zmysły jej spały zupełnie, i ani głos, ani spojrzenie tego człowieka, nie budziły w niej zwierzęcia.

Natomiast, w duchowej połowie jej istoty, nagły spokój, jakaś cisza, trochę chłodna, zaznaczała się najwyraźniej.

I powoli Stefanja budowała w swym zboląłem sercu kapliczkę.

Na ołtarzu kładła posłyszane w ostrem świetle uciążliwym, pieszczone, jasne słowa:

— Kocham panią!

Nie zdawała sobie sprawy za co, dlaczego, w jakim celu Rudolf rzucił jej to słowo.

Uspokajało ją to, dawało sekundę złudzenia, snu. Wracając doń, odtwarzała tę chwilę.

Z twarzy Rudolfa zapamiętała jasną włosów barwę i ust różowych wyraz słodki.

Zdawał się jej już znajomym dawniej — od lat dzie-

cinnych.

Nie, nie знаła go jednak wcale.

Tylko w książce od nabożeństwa miała obrazek świętego, z lilją w rękę i w sutannie zapiętej pod szyję...

Ignacy Lojola, miał ten sam wyraz ust słodki, i złotą z włosów kręconych koronę.

I w pojęciu tej prostej, czystej duszy kobiecej, tak silnie poniewieranej w błocie dnia powszedniego, zaczął rozkwitać drobny kwiat egzaltowanej duchowej tajemnicy.

Skopana i oplwana, zmięta ręką losu jak liść zaledwie zieleniejący, a już pod obcasem pijaka stłoczony, chroniła się w ten kąt mistyczny, bez cienia jeszcze miłości, tylko ciągle wsłuchana w dźwięk tego słowa, zupełnie dla niej obcego, o którego istnieniu w nędzy swej zapomniała zupełnie. I pierwszy przed jej wyobraźnią jawiło się to słowo, tak łagodne i tak przejrzyste jak promień wschodzącej jutrenki, a dopiero w ślad za nim, już z pewną trudnością, wyłaniały się różowe usta, które je wyszeptaly!

Po wyjściu Jenty, Stefanja, siedząc ciągle w szarzącym teraz stopniowo kącie pokoju, w martwocie swej i pozorze zastygnięciu, żyła znów wspomnieniem tej chwili.

Zapomniała o Helenie, o troskach, duszę jej jak wampiry szarpiących, stała znów na rynku, przed bramą, i słuchała... słuchała...

Nagle dzwonek zajączał przeciągle.

Powstała, usunęła dziecko i, poznawszy sposób dzwonięcia Michała, westchnąwszy, do przedpokoju się powlokła. Zaledwie drzwi otworzyła, już silne uderzenie pięści pomiędzy oczy zachwiała nią całą.

— Ja... cię... nauczę, mnie za drzwiami trzymać!

Cofnęła się w głąb mieszkania i weszła do swego pokoju.

Dziudek już w kąciu siedział; główkę pomiędzy rączki ukrywając.

Podeszła do dziecka, cała jeszcze drżąca od otrzymanego ciosu.

— Co ci Dziudku?... podnieś główkę! chodź!... będziemy się bawić!

Próbowała się uśmiechnąć, czując jaki strasznie przynębiający wpływ każda scena Michała wywiera na dziecko.

Michał zamknął drzwi z łoskotem i pozostał w saloniku.

Stefanja odetchnęła.

Pewnie położy się spać na sofce i pozostanie tak do późnej nocy.

Ona tymczasem dziecko zabawi, rozbierze i do snu ułoży.

Ciemne cienie powoli zalegały kąty pokoju.

Zimowy, blady mrok, biedny i nieśmiały, do wnętrza jak żebrak się wciskał, po kątach się czając. Stefanja usiadła na ziemi i próbowała zabawić malca, wycinając mu całe szeregi lalek ze starej gazety. Ustawiała je na ziemi, w kółko, niezgrabnie, płaskie figurki, mówiąc:

— Patrz, Dziuduś, lale tańczą mazura.

Lecz dziecko na ramię się jej ślaniało.

— Spać, mamiusiul! — wyszeptano cicho.

— Nie chcesz się bawić, Dziudku? Patrz jakie lale cacane!...

Dziecko milczało.

W cieniach tej szarej godziny stało chmurne, śpiące, całe już wynurzone straszną chorobą, przytomność mu odbierającą.

Stefanja powstała i, zapaliwszy lampę, rozebrała syna i ułożyła w kołysce.

— Śpij, Dziudziu!

Lecz dziecko już spało, oddychając ciężko.

Podeszła teraz ku drzwiom, zadziwiona ciszą, jaka panowała w salonie.

— Zapewne śpi! niech-że śpi jaknajdłużej...

Usiadła pod lampą, założyła ręce i zamyśliła się chwilę.

Dziś niedziela. Za nic w świecie szyć nie będzie. To grzech!

Przywykła jednak tak do ciągłej pracy, że powstała i pudełko z lalkami na krześle ustawiła.

— Pokraje sukienki, jutro mieć będę gotową robotę.

W saloniku panowała ciągle cisza.

Stefanja ostrożnie wydobyła nożyczki i rozwinęła różowy perkal.

Dawno już przestała czuć dla Michała to serdeczne, litośne przywiązanie, jakie niegdyś dla niego żywiła. Nie kochała nigdy namiętnie, a razem z jego nalogiem, w jej sercu dziwnie dobrem i przebaczącym krzywdy, odezwawało się uczucie zdrowego dla chorej natury. Teraz, kiedy Michał w okrucieństwie swem trwał ciągle, nie mając już wcale owych chwili żalu i smutku, które go w objęcia żony rzucały, źródło litości wyschło w sercu Stefanji. Znosiła razy i to piekne życie z poddaniem się, bo była to miękka, przeciętna natura kobieca, nie pojmująca innego życia, jak to, które się przed nią stało. Szarpnąć jarzmem, wyzwolić

się z tego udrczenia, przez myśl jej nawet nie przeszło. Tak Bóg chce, tak być musi! A przecież łańcuch ten ciążył jej strasznie. Opuszczała pokaleczone ręce bezsilnie i nie próbowała stargać swych oków.

Uderzona przez Michała, naprzód czuła ból i raz, a potem dopiero niewyraźnie przedstawiała sobie bijącego ją męża. W tym wypadku, miała zupełnie te samą logikę, jak w postępowaniu Rudka. Najprzód słyszała wyraz, potem widziała mężczyznę. Michał nie był jej nienawistny za swoje okrucieństwa, Michał był poprostu jej losem. Któż mógł kiedykolwiek swego losu uniknąć?

Nie uchylała się więc, szła za podmuchem chwili, będąc ściśle przeciętną istotą, związaną ze swem nieszczęściem, które nad nią dominowało. Godziny mijały jedna za drugą.

Około dziesiątej posłyszała Stefanja łoskot w saloniku.

Porwał się z miejsca instynktownie, rzucając na łóżko pudełko z lalkami i materiały pokrajane i sfastrygowane. Była to zawsze jej pierwsza troska z chwilą zbliżania się ataku furji Michała. Myślała o ocaleniu sposobów pracy, o niezbudzeniu dziecka, o niezwróceniu uwagi sąsiadów, o sobie, o razach jakie na nią spaść miały, nie myślała nigdy.

Oddychając ciężko, Michał jak zwierz nagle zbudzony szedł teraz ku drzwiom sypialni.

Idąc, potrącał sprzęty, chwycił się muru, czepiał stołu. Wreszcie, dotarł do drzwi i szarpnął je silnie. Stanął w ciemnym otworze nieoświetlonego pokoju, mając cały blask lampy wprost w twarz rzucony.

— Pójdź tu!... — zaryczał przez zaciśnięte zęby.

Ona ociągając się, spoglądając na kołyskę.

— Pójdź tu!... — krzyknął, otwierając szeroko krwią zasnutę oczy.

— Cicho!... nie krzycz!... już idę!...

Wzięła w rękę lampę, bojąc się pozostać w ciemnościach z tym szaleńcem, który zdawał się dziś być więcej podnieconym, niż kiedykolwiek.

Lecz on tupnął nogą.

— Zostaw... ja się z tobą i tak rozprawię!...

Próbowała opóźnić tę chwilę.

— Co chcesz? cóż znów zrobiłam?

— Ja cię nauczę... męża za drzwiami trzymać!... ty podła!...

Porwał ją za rękę i do ciemnego pokoju wciągnął. Zatrzymał się u progu.

Klucz w zamku namacał, przekreślił.

— Nie uciekniesz mi teraz!... szelmo!

Jednym uderzeniem pięści do stóp ją sobie powalił.

— Będiesz otwierać zaraz, kiedy zadzwonię?

Pluł mówiąc, i ślina padała na jej głowę, na rękę, którą się zasłonić usiłowała.

— Michał!—szeptala—Michał!...

Uderzenia następowały szybko jedno po drugim. Purpurowe ognie migwały przed jej oczyma, cała do ziemi przypadła, głowę w ramiona wtuliwszy, grzbiet pod pięść męża poddawała. Chwyliła go za nogi, i mimowoli palce jej nerwowo się w jego ciało wpily.

On szarpał się, kopiąc ją teraz w piersi, w bok, w brzuch, gdzie mógł trafić, wśród tej ciemności cały rozszalały dziką radością, czując jakąś odporność w tej masie niewidzialnej, a przecież pod jego batem elastycznie się rzucającej.

— A będziesz... otwierać?... powtarzał ciągle, podniecając się własnym głosem.

Bił ją teraz kluczem, trzymanym w rękę, i nagle kurcz nerwowy mu palce wyprężył i roztworzył, jak wachlarz lub skrzydła nietoperza.

Klucz z brzękiem na ziemię upadł.

Pijak, sekundą przytomności zdjęty, uczuł, że bić dalej nie ma siły.

Chwylił leżącą na ziemi kobietę za włosy.

— Won z domu! won!—ryczał, kopiąc nogami.

Ona sama porwała się i machinalnie klucz pochwyciwszy, do drzwi sypialni się rzuciła.

— Nie tu, suko!... nie tu!... won!... na ulicę! pod latarnię!... poszła!...

W ciemności, wśród sprzętów porozrzucanych, o kanty mebli się obijając, dwoje tych nieszczęśliwych, spętanych tajemniczym węzłem, szarpało się, jak duchy potępione, przeklęte, zgubione.

Wreszcie, do drzwi wejściowych dotarli.

Stefania sama je otworzyła, i jak szalona do sieni wypadła, cała zalana łzami i krwią ściekającą jej z głowy. Szpilki spinające jej włosy wbiły się jej w skórę, broszka lawowa wpięta w suknię pod szyją, wryła się w ciało.

Michał na progu stanął, ręką się drzwi trzymając.

— Poszła!...—krzyczał, a głos jego w klatce schodowej rykiem zwierzęcym się rozlegał.

Stefania szybko po schodach schodzić zaczęła. Czuła, że jeśli nie zejdzie, Michał rzuci się za nią na schody i cała ta straszna scena powtórzy się wobec świadków, wobec lokatorów, którzy już drzwi uchylać zaczęli.

Czepiając się ścian, dostała się na pierwsze piętro. Przez uchylone drzwi od kuchni Wisienkiewiczowej widać było dokładnie jasną smugę światła, a w niej sylwetki samej pani, Teodozki i Heleny.

— Widzicie ją! — syknęła Wisienkiewiczowa — jaka porządna osoba! aż własny mąż z domu w nocy wyrzuca! Innymi pomiata! Od nieporządných wymyśla!

Wysunęła się z kuchni zła, cała żółta od wściekłości, która ją trawiła.

— Teodozka! a daj-no tu lampę, poświeć pani Michałowej, która idzie na spacer!...

Światło błysnęło i Wisienkiewiczowa aż cofnęła się przed tą nędzą kobiecą, tak straszna, blada, oblana krwią i okryta płaszczem rozczochranych włosów, ukazała się oparta o ścianę Stefania.

Lecz była to krótka chwila zastanowienia.

Stara kobieta, nieposzlakowana w swem monotonnem, spokojnem życiu zastygłej mieszcanki, podniecona plotkami Heleny, z całą zajadłością złego zwierzęcia rzuciła się na Stefanię.

— Porządne kobiety po nocach się nie włóczą! porządne kobiety z mężami, jak Bóg przykazał żyją! Prawda Maksymiljanie?

Stefania wyciągnęła rękę.

— Pani!...—wybełkotała.

Lecz z trzeciego piętra doleciał ją ryk zwierzęcia:

— Poszła!... na ulicę! poszła!

Szarpnęła się naprzód, Teodozka z lampą drogę jej zastępowała.

Szalona wściekłość ogarnęła nagle Stefanię.

— Precz!... gadziny!... precz!...—zawołała, rzucając się na schody i zbiegając do sieni.

Po za nią zawrzał hałas piekielny.

Słyszała jeszcze pomieszane głosy: Wisienkiewiczowej, Teodozki, Heleny, Michała... drzwi bramy były na rościez otwarte, wypadła na ulicę, przebiegła na drugą stronę i oparła się o mur sąsiedniego domu, bez tchu, bez życia, cała pogrążając się w ciszy, jaka po ulicy ciągnęła piwnicznym chłodem.

Wówczas od muru sąsiedniego domu oderwała się smukła sylwetka mężczyzny, który, nie gasząc migocącego isierka papierosa, z wolna ku stojącej nieruchomo kobiecie posunął się.

Przechodząc rozjaśnił iskrę i czerwony płomień, jak piętno jaskrawe, padł na straszną twarz Stefani, w płomieniu tem nagle się ujawniającą.

Rudolf od kilku dni nocą po Ormiańskiej ulicy się przechadzał, mając nadzieję spotkania Michała, wprowadzenia go do jakiej knajpy i dostania się znów „na kawę“ do wnętrza mieszkania.

To ciche, spokojne przyjęcie jego wyznania miłości przez Stefanję niepokoiło go i drażniło ciągle.

— Co ona też teraz o mnie myśli? co się w jej mózgu dzieje? — powtarzał ciągle z ciekawością maniaka.

Lecz gdy nagle ujrzał ją, tuż obok siebie, bladą, obszarpaną, ze śladami krwi na czole, doznał niemiłego wrażenia.

Na sekundę mignęło mu wspomnienie doznanej kiedyś na wsi podobnej chwili, gdy jakaś bezdomna suka, obita przez bandę dzieci, do nóg mu przypadła i końce butów lizać zaczęła.

Estetyczna strona jego miłosnej natury wzdrygnęła się w zetknięciu z tą lepą nędzą, lecz Stefanja zdawała się nie poznawać go i rękę ku niemu wyciągnęła, nie mówiąc wszakże ani słowa.

Podał Stefanji swą dłoń, i nagle uczuł się silnym, nerwowym ruchem przyciągnięty bliżej; postąpił kilka kroków i chwiejącą się kobietę objął.

Poczuł, że była bez gorsetu, i że drżała cała nierównem, szarpnięciem się drganiem.

— Co pani jest? niech się pani uspokoi! ja proszę!...

Ona nie odpowiadała, obracając głowę, pomimo, że oczy miała ciągle utkwione w cielsko kamienicy.

Nagle spazm zdławił jej gardło, rodzaj przedłużonego jęku wybiegł z jej ust zaciśniętych.

Rudolf uczuł, że jej głowa chyli się powoli na jego ramie.

Spojrzał na prawo i lewo. Ulica była pusta i tylko w żółtem, świetle latarni brudne smugi śniegu szarzały.

Jasną swą, delikatną szyję podsunął prawie pod usta

kobiety.

Dreszcz go przebiegł.

Nawet wobec majestatu nędzy, podskórny samiec się budził.

Rękę koło stanu Stefani silniej zacisnął.

Ona osuwała się prawie bezwiednie, nie zdając sobie sprawy ze swego podstępku.

Była zbita, zmęczona, tuliła się jak ta suka, która, do nóg mu przypadłszy, szuwaks z butów lizala.

Lecz nagle straszny brzęk przeciał powietrze. To Michał wybiłszy szyby i wstrząsał ramami okna z niepojętą siłą.

Stefanja szarpnęła się od ramienia Rudolfa i, nie puszczać jego ręki, zawołała:

— Szyby wybija!... szyby wybija!...

Na płowem tle domu, mającem jakiś różowy odcień, czerwieniejący ku górze i przecięty tylko plamami zamkniętych i niepewnie migocących okien, ujawniła się nagle czarna szczyba, a w niej jasna postać ludzka, poruszająca się gwałtownie.

Biała koszula Michała odcinała jego tors w tej ciemnicy, tors szaleńca, gwałtownymi rzuty drgającego.

— Szelmy!... lajdaki!... ja... was nauczę!... całą chałupę rozwalę... roz... wa... le!

Przewiesił się przez parapet okna i bił pięściami o mur, rycząc przeraźliwie:

— Roz... wa... le!

Okna Wisienkiewiczowej rozwarły się natychmiast. Mnóstwo głów zaruszało się w przestrzeni.

— *Policaj! policaj!..* — krzyczała Wisienkiewiczowa.

Stefanja paznogie w rękę Rudolfa wpiła.

— Jezu! policję wołają!...

Już i w innych oknach błyskały światła, otwierały się lufki.

Zdaleka słychać było przenikliwą gwizdawkę policjanta, zwolującego kolegów.

Cała ulica zaruszała się i ożyła.

Z sąsiednich domów wychodzili wpół ubrani stróże i, ciężko butami o bruk waląc, czarnymi odcieniami na środku ulicy się znaczyli.

Tymczasem Michał, podniecony tym widokiem, szalał coraz więcej.

Cofnął się w głąb pokoju i za chwilę z trzaskiem i łoskotem spadło na ulicę krzesło i, lecąc uderzyło o ramę

okna, w którym stała Wisienkiewiczowa, otoczona sługami.

— Jezus, Marja!... — wrzeszczała przerażona i, wychyliwszy się, z całej siły krzyżeć zaczęła:

— *Policaj!... Policaj!...*

Rudolf, zniecierpliwiony, zdenerwowany tą sceną, szarpnął nagle rękę Stefani.

— Chodźmy!... niech pani nie patrzy!... to panią denerwuje!... Pani tu stać nie może!

Lecz ona, na głos ten oprzytomniawszy, porwała się z miejsca i biedz ku bramie zaczęła.

— Dziecko!—rzuciła mu ochrypłym głosem.

Na podwórko wpadła i szybko po drabinie tylnych schodów się pieła. Już i tu ludzie powylegali na ganki.

— Co się tam od przodku dzieje?—pytali jedni drugich.

Stefania do kuchni wbiegła i już w progu potknęła się o Dziudka, stojącego wśród ciemności boso i w koszulce.

Dziecko, zbudzone rykiem i hałasem, z kołyski się wysunęło i do kuchni uciekło, posiniąte od chłodu i trwogi.

Stefania je na ręce porwała i do piersi przycisnęła.

Stała tak chwilę w zupełnej ciemności, drżąc konwulsyjnie, z drżącym dzieckiem na rękach, nie słysząc wrzasków Michała, nie widząc nic, nieprzytomna prawie, z oczyma w ciemną przestrzeń wlepionymi.

Ciężkie kroki w sieni słyszeć się dały.

— Tędy! tędy! panowie policjanci! proszę świecę!...

— Dziękujemy, trafimy.

Stefanii tchu zabrakło.

— Policja!

Drzwi od kuchni się otworzyły i pierwszy, zasłaniając świecę ręką, wszedł stróż w narzuconym na plecy kożuchu.

Za nim błyszczały jak oczy stada kotów, guziki na ciemnych mundurach policjantów.

Stefania z nagłą energią zwróciła się ku wchodzącym:

— Czego?

— My, po pana!

— Jakto po pana?

— A no...—tłómaczył stróż, stearynę palcami ze świecy oskrobując—musi się z nim porządek zrobić, bo strasznie hecuje; to po nocy nie uchodzi!

— Policji nic do tego... Pan chory, to moja rzecz!

Wysoki, młody, silnie zbudowany policjant wystąpił naprzód.

— Iak chory, to musi do szpitala! Pan komisarz zaordynuje mu lekarstwo—Chodźcie, chłopcy.

Thumnie zwalili się do sypialni, w której lampa oblewała smutnym blaskiem porzrzućane muśliny i kawałki szychów. Zamknięte drzwi oparły się jednak naciskowi.

— Zamknęłaś pani?—rzekł młody policjant, odwracając się ku Stefani.

Ona stała pośród nich, straszna, rozczochrana, a krople krwi spływały z jej czoła i ginęły w jasnych włosach Dziudka, kryjącego swą twarzyczkę na jej piersi.

— Gdzie klucz?

— Nie wiem.

— O! w rękę pani ma jakiś klucz!... niech-no pani odda!

Ostąpili ją zwartem kołem, dławiąc ją ciężką wonią źle utrzymywanych ciał i grubej odzieży.

— Niech pani odda!

Ona z trudnością chwytiała powietrze.

— Po co? to nie ten klucz!... a zresztą... słuchajcie... o! już ucieli!... teraz pewnie śpi... zostawcie go!...

Stróż wzruszył ramionami.

— I zaraz!... taki pijak to już jak raz hecować zaczął, to nie będzie spokoju. Pan gospodarz wygnałby mnie, żebym go to zostawił.

— Niech-no pani da klucz!

Kilka rąk ciężkich wysunęło się ku Stefani.

Ona upierała się chorobliwie, cisnąc klucz w kurczowo zacisniętych palcach.

— Nie dam! nie dam!

Nagle jakaś miękka, zimna dłoń dotknęła jej szyi.

— Daj im pani klucz! ja proszę!

Stefania odwróciła głowę.

Po za nią stał Rudolf, spokojny, zimny, lecz w swych jasnych oczach wiele siły mający.

Chciała się jeszcze bronić.

— Po co? on już ucieli!... po co?...

Lecz rękę z kluczem ku mężczyźnie wyciągała, bezsilna, zdając się na wolę jego.

— Teraz usuń się pani i nie wchodź; my tam sami wejdziemy.

— Nie zrobicie mu nic złego?

Rudolf ramionami ruszył.

— Cofnij się pani i nie nasuwaj mu się przed oczy!

Szybko gromadę policjantów rozsunał i klucz w zamku przekreślił.

Poczem, lampę w rękę wzięwszy, wszedł pierwszy,

spokojny, prawie uśmiechnięty.

Zdawało mu się, że wchodzi do przegrody dzikiego zwierzęcia i mimowoli wysuwał naprzód klatkę piersiową i rozszerzał żrenice.

Grał teraz rolę i przejmował się nią z całą dobrą wiarą histeryka.

Na progu przeciwnych drzwi spostrzegł stojącego Michała.

Szaleniec miał poszarpane strzępy koszuli, okręcone dokoła szyi. Spodnie na jednej szelce zawieszzone, podciągnięte z lewego boku bardzo silnie, z prawej strony opadały na uda, ukazując ławkę biodra, obciążonego skórą żółtą i przejrystą.

Na bokach przeglądały żebra zielonawymi pręgami; z rąk pokrajanych szkłem zbitych szyb, lała się krew.

Cała twarz zamazana krwią, przedstawiała się jak ciemna przegowana maska.

Zobaczywszy wchodzących, Michał szybko w tył się przegiał i nagle znów naprzód pochylił z nadzwyczajną elastycznością i giętkością w kości pancerzowej.

Rudolf lampę na krześle postawił i ku policjantom się zwrócił.

— Czy macie czem związać? — zapytał.

Nie zdążyli odpowiedzieć, gdy Michał wypadł z ram drzwi na środek pokoju i oparł się na szeroko rozstawionych nogach, charcząc, z pod brwi silnie zsunętych patrzył.

I nastąpiła chwila długiego, niemal uroczystego milczenia, przerywana tylko charczeniem szaleńca, który spojrzeniem swym trzymał na uwieży całą grupę tych ludzi, zbrojnych i silnych, stojących nieruchomo przed nim, jakby zahypnotyzowanych jego krwawym, migocącym wzrokiem.

Nagle Michał zakreślił się, zakreślając prawem ramieniem półkole i, krzyknawszy raz jeden, upadł na ziemię wykrzywiając w potworny sposób maskę twarzy.

Rudolf zwrócił się do stróża.

— Idźcie po jakiego doktora!

— Gdzie go tam najdę!

— Na rogu mieszka cyrkulowy. Widziałem kiedyś czerwoną latarnię...

— Ojej! albo to nie lepiej związać i do szpitala bez

cyrkuł oddać!

Idźcie, kiedy wam mówię.

Stróż wyszedł, mrucząc.

Przechodząc przez sypialnię, splunął w stronę przytulonej do muru Stefanji.

— Choroba z takimi pijackimi latyndami! — wy-rzekł dość głośno.

Tymczasem w salce jadalnej, Michał, leżąc na ziemi, był tak trupio bladym, że zdawało się nie mieć kropli krwi w żyłach. Itylko czerwone smugi krwi krzepnącej na twarzy uwydatniały tę białą płachtę dokładnością japońskich wykrzywionych masek.

Rudolf z wzrastającą ciekawością bladość tę śledził i knot od lampy podniecał, aby lepiej koloryt ciała się uwi-doczniał i z cieniu występował.

Michał leżał na ziemi, nie mówiąc nic, pokręcony, drga-jący, jak zwierz zdychający po spożyciu zatrutej padliny.

Policjanci oparli się o ściany, obojętni, przyzwyczajeni do rozmaitych scen i widoków, pełni tej pogardy dla nę-dzy ludzkiej, jaką mają posługacze pogrzebowi, wynoszący ze skrzywieniem znudzenia tyfusowe trupy na pochyłonych ramionach.

Jeden z nich tylko do Rudolfa się zwrócił:

— Może go wodą schlustać? — zapytał.

Lecz Rudolf rękę wyciągnął.

— Nie, nie! zostawcie go, doktor zaraz przyjdzie.

Teraz pod jaśniejszym światłem lampy, ciało Michała wydawało się już prawie trupio-zielone, tak bladło ciągle, potężniejąc w tej bladości.

Lecz już jakieś ciemnawe cienie zdawały się przemy-kać pod skórą, krew jakby zepsuta, prawie granatowa, na-pływała do żył i dawała podkład sinawy, chłonną w siebie białosć i zielonawe tony.

Dały się słyszeć kroki.

— Pan doktor — szepnął policjant koło drzwi stojący.

Niewielki, rudy mężczyzna, z głową w kształcie jajka, wszedł szybko i zaraz przy chorym ukląkł.

Porwał go za rękę i wstrząsnął nim gwałtownie.

Z bladego, Michał stał się nagle fioletowym i całe kłęby piany żółtej i lepkiej z ust mu cieknać zaczęły. Włł się i jęczał, uderzając piętami o podłogę.

Alkoholik? — zapytał doktor. spoglądając na Rudolfa.

— Tak, zdaje się!

— Hm! ciekawy egzemplarz! epilepsja wspaniała!...

Pochylił się nad chorym, wpatrując się z ciekawością

w twarz jego straszliwie wykrzywioną.

— Skoro się uspokoi, wpadnie w odrętwienie, lecz niedługo porwie go atak szaleństwa. Straci przytomność i trudno będzie sobie z nim poradzić. Trzeba go teraz przewieźć do szpitala. Jak pan myślisz?

Rudolf ramionami wzruszył.

— Sądzę, że pan najlepiej wie, co zrobić trzeba. Nie znam się zupełnie na tego rodzaju chorych.

Doktor się z ziemi podniósł.

— Czy on tu sam jest? czy jest tu żona, matka, sługa?

— Jest żona—odparł jeden z policjantów.

— Gdzie.

— W tym pokoju.

Doktor ku drzwiom się zwrócił.

— Proszę pani do mnie!

Stefanja posunęła się do progu.

Doktor spojrzał na nią świdrującymi, niewielkimi oczkami.

— Niech pani da czem męża okryć, zabierzemy go z sobą.

— Gdzie?

Niemal obłęd mignął w jej oczach, gdy to pytanie rzuciła.

— Jakto gdzie? do szpitala!

— Nie, nie! ja nie chcę!

Doktor parsknął śmiechem.

— Dla czego?

— Do szpitala? nie!... ja go tu lepiej dopilnuję.

— Tu? aha! chyba, że pani chcesz, aby panią albo dziecko zabił.

— Zabił?... dlaczego?...

Doktor zniecierpliwiony ręką machnął.

— Daj-no pani lepiej jaką okryjbiędę i nie mieszaj się do tego, co do ciebie nie należy!

Obejrzał się dokoła.

— A coś tam leży na łóżku, daj-no pani; w to go zawiniemy!

Widząc, że Stefanja się nie rusza, sam po płaszcz sięgnął i do salki powrócił.

Michał nieruchomo prawie na ziemi leżał i tylko kolanom mu drgały miarowym, suchym rzutem.

Doktor płaszcz nań narzucił.

— Pan go odwiezie? — zapytał Rudolfa.

Ten skrzywił się nieznacznie.

— Nie panie, ja tu obcy jestem. Przypadkowo tu wszedłem...

— No, więc ktoś z nim pojedzie?

— Może pan?...

— Kląnam uniżenie! Czas będę tracił.

— Ja... wynagrodzę!

Doktor z pod oka na mówiącego popatrzył i coś nakształt uśmiechu przesunęło się po jego wąskich wargach.

— Tylko... bo to...

— Służę panu.

Rudolf różowy papierek z pugilaresu wyjął i zmiąwszy go, rękę wyciągnął.

Dziękuję.

Doktor ku policjantom się zwrócił.

— No, dalej! dźwignijcie go, a jeden niech po *einspannera* duchem skoczy!

Jeden z policjantów pęk postronków na ziemię rzucił.

— Związać go?

Doktor usta wydał.

— Hm... dla bezpieczeństwa. Niewiadomo kiedy go atak chwyci. Zwiążcie go, a dobrze!...

— Niech się pan nie boi, my zwyczajni!

Szybko ściągnęli płaszcz i, nogi drgające Michała zsunawszy, postronkiem owijać zaczęli. Chory pozwalał się wiązać, jęcząc z cicha. Oczy utkwiał w sufit i tylko chwilami rzucał się, uderzając głową o podłogę.

We drzwiach salki stanęła Stefanja.

Dostrzegłszy związanego męża, rzuciła się ku niemu.

— Nie chcę!... nie pozwolę!... rozwiążcie go!...

Dziecko na ziemi postawiła i do męża przypadła.

— Rozwiążcie go!... ja nie dam go ztąd zabrać... ja mam prawo!...

Za postronki chwyciła i nagle się pochyliła szarpiąc węzeł zębami.

Doktor porwał ją za ramiona:

— Proszę pani ztąd wyjść!

Kobieta szamotała się w tłustych rękach doktora, lecz on siłą zmusił ją do powstania i odsunięcia się pod ścianę, po za plecy policjantów.

Teraz ci ostatni pochylili się nad Michałem i jeli go dźwigać z podłogi.

Doktor płaszcz na nagie zsiniałe piersi pijaka narzucił i cały pochód ku drzwiom frontowym się skierował.

Chwilę jeszcze przed oczyma Stefanji mignęły świe-

całe półksiężycy na piersiach policjantów, ich czarne postacie skupione dokoła męża, z którego ciała, jak całun długi w czarne fałdy spadał jej płaszcz i włókł się po ziemi niewielkim, ciemnym szmatem. Słyszała jak otwarto drzwi frontowe z klucza, jak zsuwano je z rygli, i wniesiono Michała w klatkę schodową napełnioną tłumem sług, kobiet, które nawet z ulicy przez otwartą bramę się cisnęły.

Skrót drzwi zamknął, rygle pozaśwalał, i było słychać tylko łoskot ciężkich butów, tłoczących stopnie schodów.

Rudolf i Stefania pozostali sami.

Długą chwilę młoda kobieta stała tak oparta plecami o ścianę, mając w fałdach swej sukni Dziudka, przytulonego i główką do jej kolan przyciśniętego.

Jakieś uczucie ciszy, spokoju, ogarnęło ją całą. Rudolf drzwi od saloniku, z którego pędziło ostre zimno przez otwarte okno, zamknął i, spokojnym wzrokiem stojącą przed nim kobietę obrzuciwszy, ku niej podszedł.

Lecz gdy bliżej spojrzał na tę twarz tak strasznie zmienioną, pobladłą, nieruchomą w swem zboleniu, uczucie estetyczne zbudziło się w nim nagle i między nim a nią stanęło silnym murem. Była brzydka, nędzna, skarłała.

Nieszczęście, w oczach tego analizującego na zimno człowieka, nie dodawała jej uroku.

Było to nieszczęście trywialne, cuchnące, niestetyczne i wcale nie wykwinie drażniące.

— Pani pozwoli, że ją pożegnaj? — zapytał, pochylając nieco przed nią głowę.

Głos jego zabrzmiał, jak harmonijka szklana wśród ciszy cmentarnej, gnijącej wśród grobów. Stefania podniosła na niego zamglone łzami oczy.

— Dobranoc panu!

— Pani potrzebuje spoczynku, mały także...

Wzrok jego z twarzy matki zsunął się na dziecko, które przedstawiało mu się jak niekształtny i wstrętny papier jasnego ciała, ledwie pokrytego trochę płótna.

Stefania otarła ręką oczy i zsuwała na czoło opadające włosy.

— Ja pana przepraszam — zaczęła ledwie dosłyszalnym głosem — bardzo przepraszam... dziękuję za wszystko... to się stało tak niespodziewanie... bardzo przepraszam!

Urwała na chwilę, poczem, nie patrząc na Rudolfa, dodała nieśmiało.

— Może pan usiądzie?

Wskazywała krzesło nlegrabnym gestem źle ułożonej kobiety.

Rudolf patrzył ciągle na nią przenikliwie i badawczo.

Zdawała się zupełnie zapominać o tem, że on niedawno rzucił jej słowo miłosne, traktowała go jak obcego, w chwili rozpacznej napotkanego człowieka.

Co pod tą dziewiczą powłoką kryło się właściwie? Uczciwa nieświadomość, czy przewrotna i nawet w takiej chwili wyrafinowana obojętność?

Dziudek zaczął szarpać fałdy jej sukni.

— Mamusi! spać!...

Ona przesunęła ręką po roztrzaskanych włosach dziecka.

— Gdyby się pan nie obraził — wyrzekła z cieniem bolesnego uśmiechu — to ja pójdę dziecko położyć!

— I owszem.

Rudolf z kurtuazją się skłonił.

Stefania z synem znikła po za drzwiami.

Lekki szmer, skrzyp trzciny w kołysce, szept przytulmiony dobiegał teraz do uszu Rudolfa.

Usiadł na wyplatanej krzeselku i uważnie spojrzał wkolo.

Nędza wyzierała z każdego kącika.

Przez chwilę wzrok jego zatrzymał się na siatkowej firance, oceniającej okno.

Siatka ta zabolala poprostu jego estetyczną naturę.

— Ha! ha! — zachychotał „ten drugi“ — teraz już chodzisz za kobietami, które siatkowe firanki u okien zawieszają! Ładnie spadłeś! niema co mówić!

Na stoliku pod oknem stał druczany koszyczek, napełniony pasawą włóczką, pozwijaną, w duże kłębki. Duże kościane szydełko białało niepewną linią na tem tle krwawem.

Rudolf, rzuciwszy okiem na drzwi przymknięte, sięgnął do kieszeni bocznej i, wyjąwszy pugilares, krótką chwilę czegoś w nim szukał.

Wyjął stureński papier, lecz ramionami wzruszył i w przegródkę go włożył.

Pięć dziesięcioceńskich papierów zwinął i w koszyczku, na włóczkach, dość widocznie położył. Pugilares schował i znów ręce na lasce skrzyżował, ruchem przyzwyczajonego do obserwacji człowieka.

Lecz już „ten drugi“ drwił z niego niemiłosiernie.

— Filantrop!

Rudolf się otrząsnął, jakby pod uderzeniem szpicruty.

— Biedna jest... dopomagam...

— Ha! ha! nic więcej?

— Brzydka mi się wydaje dziś i nie ciekawa!

— Ejże!

— Słowo daję!

Ostatnie wyrazy wymówił głośno.

W tej chwili Stefanja stanęła w progu.

— Co pan mówi?

Rudolf zmieszał się, jakby schwycony na gorącym uczynku.

— Nic!... nic!... chciałem panią pożegnać, pójść już!

— Ja panu poświęcę.

Wzięła lampę i oświetliła nagle pół twarzy, podczas gdy druga połowa pozostała w cieniu. Przepyszny jej profil odciął się delikatnie czarnoróżową linią. Przyglądała rozrzucone włosy i spięła je nisko na karku kilkoma szpilkami. Widocznym było, że obmyła twarz zimną wodą, bo na policzkach i na czole miała teraz jasno-różowe, delikatne plamy. Niemniej przeto rysy jej zgrubiały od płaczu i powieki silnie nabrzękły.

Teraz, gdy stali tak dwoje naprzeciw siebie, w ciszy i osamotnieniu, po przez świeże wrażenia strasznej sceny z Michałem, zaczął w umyśle Stefanji przeziierać niepokój, szarpiący jej stargane nerwy. Nieposzlakowana elegancja i zimna krew Rudka przytłaczały ją znów nieokreślonym uczuciem.

Doszli już do drzwi wchodowych w milczeniu, nie wiedząc, co mają sobie powiedzieć, tak cała ta sytuacja dziwnie się im powikłała zdawała. On ciągle niezaspokojony w swej ciekawości, namyślał się, jakby wołać zaraz, tu, katastrofę uczucia z jej strony; ona coraz więcej zmieszana, przypominając sobie chwilę przed bramą, na Rynku, gdy na głowę jej, jak dachówka nieoczekiwana, spadło to „kocham“, nagle, ostre, dziwaczne, niespodzianek pełne.

Teraz, gdy dziecka w fałdach jej sukni nie było, gdy, oświetlona w półcieniu, rysowała mu się dość estetycznie, gdy w czterech pustych ścianach przedpokoiku nic go nie raziło, obrzucił ją zimnym wzrokiem kupca i równocześnie ocenił jej ciało i duszę.

— Ja przyjdę niezadługo! — wyrzekł już na progu, pochylając głowę.

Nie wyciągnął wszakże ręki, nie ujął jej dłoni. Wspomnienie piany toczącej się z ust Michała, siatkowej firanki,

rozrzuconej głowy Dziudka, napęniało go niesmakiem.

Ona wszakże wyciągnęła swą biedną drżącą rękę.

Drzwi się zamknęły.

Ręka kobiety opadła.

— Żeby się tylko nie pogniewał! — pomyślała, drzwi na klucz zamykając.

Do jadalni weszła i, lampę na stole postawiwszy, porzucając krzeselka ustawiała pod ścianami, ceratę na stole nasuwała machinalnie, z wysiłkiem czepiając się ścian, cała przerażona tą pustką, jaka się wkoło niej zrobiła.

Zbliżyła się do koszyczka i, za uszko go ująwszy, na drugi koniec stołu przesuwiała, gdy nagle pochyliła się nad kłębkiem włóczki przerażona... Znalazła pieniądze, i teraz, gdy się tych banknotów dotykała, miała złudzenie snu.

Pieniądże? lecz kto je tu położył? kto?

I nagle zimna, sztywna postać Rudolfa mignęła jej przed oczami.

On!

Tak! nikt inny, przecież nie doktor, nie policjant!

I w sercu kobiety otworzyła się wielka, paląca rana.

Zostawił jej te pieniądze, jak żebracze, jak nędzarce zgłodniałej i biednej.

Zrozumiał jej nędzę i dał jej jałmużnę.

Pewnie już nie wróci więcej, skoro tak postąpił.

Lecz ona go odszuka i pieniądze te mu odda, nietknięte, nienaruszone.

Te pieniądze porzucone miały w sobie podobieństwo wielkie z tem; „kocham panią!“ porzuconem przed bramą Czyżyczkowej.

To „kocham“ przyjęła, zwrócić go nie może, nie ma sposobu; lecz pieniądze! odda je! odda jaknajprędzej!

Powoli jednak bolesne uczucie ustępowało miejsca serdecznemu rozrzewnieniu.

Nikt o nią się nie troszczył — ani moralnie, ani materialnie.

On jeden, on najpierwszy otacza ją jakąś opieką. I w umyśle tej sponiewieranej i znędniałej istoty, wystygła postać histeryka, rzucającego jej z obojętnością zupełną pieniądze i miłosne, dla próby, słowa, zaczęła w nocej ciszy stroić się w apoteozę szlachetności niewielkiej.

Zdziwiona, z oczyma szeroko rozwartymi, stała Stefanja, jak przykuta, obok tej nędznej garstki banknotów, różowiącej na ciemnym tle stołu.

Przypomniła sobie, że kiedyś Jadwinia podsuwała jej

tak samo zielony papierek — lecz szybko to wspomnienie znikło z jej umysłu.

On jeden! on — wszechwładnie już zaczynał się rozwielmożniać w opustoszałych murach tego mieszkania... Znekane serce kobiety odkryło w przenikliwych jego oczach promień... dobroci, i w smudze tej ogrzewać się zaczęło, jak zziębnięty wędrowiec przy promieniu księżyca.

XXIII.

Nazajutrz rano obudziła się Stefanja ze snu ciężkiego, który zamiast ją pokrzepić, zmęczył i zdławił, jak gorączka całonocna.

Leżała chwilę jak martwa, przypominając sobie wypadki minionej nocy.

Zakryła ręką oczy na samą myśl strasznej choroby Michała.

Więc doktor miał rację, gdy mówił, że pijaństwo jest chorobą?

Co on tam robi? co się z nim dzieje? Dla czego nie poszła za nim, gdy go wynoszono? Co robiła potem? Pozostała z Rudolmem, odprowadziła go do drzwi... znalazła pieniądze, tak! teraz przypomina to sobie dokładnie.

Sięgnęła pod poduszkę i namacała zwitek banknotów. Są, lecz gdzie je odesłać? przez kogo? pod jaki adres?

Nagle drzwi się od kuchni otwarły.

W progu stała Helena.

— Proszę pani, ja już kufer stłumiłam, i odchodzę.

Stefanja podniosła się na łóżku i spojrzała na dziewczynę zamglonemi oczami.

— Idziesz?

— Świadeństwo mi pani później napisze. Ja idę na pierwsze, to się przez świadectwa na teraz obejdzę. Pani mi tylko zapłaci.

Stefanie całą przebiegł płomień.

Znów ta nieszczęsna pensja zaległa, na którą niema ani grosza.

— Proszę pani o pieniądze... bo mi się śpieszy!

Cisnąc usta kuliakiem, ironicznie skrzywiona, stała teraz sługa w progu drzwi, tyranizując swą panią zuchwa-

łym wzrokiem, jaki tylko umie migać w oczach ludu, brutalizującego swych chlebobawców.

— Dla czego mi pani pieniądze strzymuje? — zaczęła znów płaczliwym głosem — ja pani nic nie stłukłam, ani nie podarłam. Sobie trzewiki zdarłam, nogi zbiłam, kiecki zniszczyłam w takiej służbie. Jeszcze teraz o pensję się mam prosić! Słyszane to rzeczy!...

Stefanja leżała wciąż nieruchoma, nie wiedząc, co odpowiedzieć na te słowa, które siekły ją po prostu jak uderzenie różgi po zbolalej skórze.

— Ale ja sobie poradzę! — ciągnęła Helena, rozzuwalając się milczeniem pani — ja do komisarza pójde, ja do sądu trafię z moją krzywdą. Dobrze mi mówili na dole, że będę się musiała sądownie o moje pieniądze, Porządne państwo! ze sług się bogacą!

Stefanja porwała się na posłaniu.

— Wyjdź ztąd! — krzyknęła.

— Owa! pójde, jak mi pani zapłaci!

Do pokoju cała się wsunęła, szeroka, barczysta w swej fioletowej spódnicy i jasnym barchanowym kaftanie.

— Mi się należy, ja o swoje stoje! niech tu policjanty przyjdą, ja się nie ruszę! Małom to się od tego pijaka nacierpiała! mało to biedy się tu nachleptałam? Trza mi dać, co się należy, inaczej ztąd nie pójde. Bodaj mnie pokreśliło, jak się ztąd ruszę!

Nogą tupnęła, rozżarta, czerwona, z małemi oczkami, silnie błyszczącemi wśród masy lśniącego ciała i nastrzępionych kosmyków grzywki.

Stefanja, blada jak płótno, z ustami zaciętymi, wpatrywała się w podłogę, walcząc z jakąś myślą, która ją ogarniała.

— Za tydzień ci zapłacę! — wyrzekła wreszcie z wysiłkiem.

Lecz Helena tupnęła nogą,

— Nie chcę! nie będę czekać! Pani nie czekała na moje posługiwanie i kazała mi harować bez tyle czasu!... Jak kto nie, ma czem sługi płacić, niech sam se służy, niech się cudzą krzywdą nie bogaci, niech...

Nie dokończyła, bo Stefanja, nagłym ruchem pod poduszkę sięgnawszy — dwa papierki schwyciła i cisnęła je w kierunku drzwi.

— Masz!... a teraz!... precz!...

— Resztę zdam.

— Niepotrzeba!... bierz wszystko!... idź!... idź!...

Helena ramionami ruszyła i trzasnąwszy drzwiami, do kuchni wyszła.

Stefanja twarzą do poduszki przypadła, żalując już chwili uniesienia, wśród której do pieniędzy Rudolfa sięgnęła.

Jeżeli on dziś przyjdzie? co zrobi? co powie? jakże mu w oczy spojrzeć? czemu się wytłómaczy? Leniwy, żółtawy promień słońca chorowitym blaskiem przedarł się przez szyby i niepewno rozłożył się na podłodze.

Z kołyski podniósł się Dziudek i, przecierając oczy kułakiem, przez chwilę białł się barchanką i złościł jasnością swych włosów.

Stefanja odrzuciła kołdrę i, przeżegnawszy się, pończochy szybko wdziewać zaczęła.

-- Spój, synku, zizi w pokoju. Mamusia zaraz w piecu napali!

Stanawszy na podłodze, rzuciła przelotne wejrzenie na puste łóżko Michała.

Zdawało się jej, że to katafalk przygotowany na przyjęcie trupa.

Lecz znów Helena drzwi otworzyła i klucze na krześle położyła.

— Klucze od strychu i piwnicy.

Po chwili słychać było szuranie kufra po podłodze i trzaskanie drzwiami wchodowemi.

Wówczas Stefanja do kuchni weszła i, nawpół ubrana, przykleknawszy na ziemi, drzewo na drzazgi starym tasakiem łupać zaczęła.

XXIV.

W pierwszych dniach nieobecności Michała, Stefanja czuła się jak zbłąkana.

Zabrakło jej nagle kąt, do którego przywykła, zabrakło jej tej chorobliwej, zgnilej postaci, ślaniającej się po kątach z mrukiem i charkaniem wściekłego zwierza, spłoszonego z legowiska.

Sińce, plamiące jej ciało, znikwały powoli, a ona zdziwiona spoglądała nocną porą na gładki ton skóry, nieznaną więcej ciemnymi plamami. Nie widziała męża od chwili wyniesienia go z domu. W cyrkule powiedziano jej, że odwieziono go jeszcze w nocy do szpitala, a w szpitalu nie

dopuszczono jej do chorego, zawiadamiając tylko, że—choroba potrwa długo, a obecnie Michał, ciągle nieprzytomny, jest trzymany w odosobnieniu, aż do nowego rozkazu lekarza.

Stefanja wysłuchiwała tych słów, stojąc pokornie przed rozpartym w krześle urzędnikiem, który ginął po za olbrzymiem biurkiem jesionowem, wznosząc się jak katedra pośrodku izby szpitalnej. Z bielonych ścian spadał chłód ostry na plecy młodej kobiety, a od okna słychać było łomot suchych gałęzi, które, miotane silnym wichrem, o szyby bily, strząsając z siebie cienkie warstwy śniegu.

Stefanja czuła, że odejść powinna, bo urzędnik, wziąwszy w rękę gęsie pióro, wykałał niem zęby, w bardzo lekkawający sposób.

— Kiedy przyjdę będę mogła?—zapytała wreszcie po chwili milczenia.

— Nie wiem, nic nie wiem!—odparł urzędnik, zadowolony z przygniatającego wrażenia, jakie wywierał na tej zgnęźniałej i wystraszonej kobiecie.

Ona posuwała się już do drzwi i, ujmując już za klamkę, spytała nieśmiało:

— Przepraszam bardzo pana... ale, na co mój mąż chory?

Mężczyzna podniósł brwi i wlepił w pytającą zadziwione oczy.

— Pani nie wie?

Roześmiał się, kładąc ręce w kieszenie od spodni.

— Pani nie wie?

I śmiał się przeciągle, młaskał językiem, udając kasta-niety.

— Mąż pani... chory—na pijaństwo!

— Dziękuję panu!

Wyszła szybko na dziedziniec szpitalny, biały od śniegu, z koronką kraty czerniejącą w przestrzeni.

Na lewo, rodzaj okrągłej wieży przecinał jej drogę, żółtem zmarzniętym zielskiem.

Czarne cieniuchne gałązki chmielu pięły się ku górze, ku zakitowanym oknom.

Z po za szyb mignął siny barchanowy kaftan i biała bawełniana szlafmyca.

— Na pijaństwo!...

Więc to, co było w Michale, było poprostu chorobą, taką jak suchoty, zapalenie płuc lub ospa!

Michał był chory, a ona czepiała się nóg jego, prosząc o opamiętanie, o poprawę.

Głupia była, i kto wie—może uporem i głupotą swoją zaszkoziła Michałowi i powiększyła jego chorobę. Wróciła do domu niespokojna i zamyślona.

Na progu spotkała nową sługę, czarną, małą dziewczkę, nastreczoną jej za pośrednictwem Jenty.

Przyszedłszy rano, dziewczyna zabrała się do gotowania, ponura, milcząca, zaciskająca wąskie sine wargi w upartem, chłopskiem milczeniu.

Teraz, zobaczywszy powracającą do domu panią, zbliżyła się trzymając zawiniątko rzeczy w ręku.

— Proszę pani o mój fant i papiery. Ja odchodzę.

Stefanja zatrzymała się zdziwiona.

— Odchodzisz? dla czego?

— Bo mi się ta służba nie nadaje. Ja idę!

— Nie zgodziłam cię na pół dnia przecież.

— To mi jedno. Ja idę, a pani mnie nie ma prawa bez siłę strzymywać.

Stefanja przeszła kuchnię i wszedłszy w głąb mieszkania, powróciła za chwilę ze starą chustką wełnianą i paczką papierów w ręku.

— Masz fant, oddaj zadatek.

Lecz dziewczka wyrwała chustkę i papiery i szybko na schody wypadła.

— I zaraz! a mój dzień stracony, kto mi zapłaci?

Stefanja wybiegła do sieni, lecz już od Wisienkiewiczowej biegła w górę cała gama przyciszonych szeptów i chichotów.

Stefanja cofnęła się do kuchni i drzwi silnie zatrzasnęła.

I odtąd rozpoczął się prawdziwy galop sług na trzecie piętro kamienicy. Codziennie rano niezmordowana Jenta przyprowadzała nową dziewczynę lub kobietę po to, aby już po południu, odmówiona przez Wisienkiewiczową, nieubłaganą w swej zemście i historycznej nienawiści dla tego co młodsze—domagała się swych papierów i fantu, i uciekała zatrzymując się zawsze na pierwszym piętrze chwil kilka, jakby dla podziękowania za ocalenie od złej służby, w której jakoby miała dźiać się straszna sługom krzywda.

Stefanja zdenerwowana, zmęczona, starała się dobrocią, słodyczą, szklankami kawy, kawałkami chleba z masłem i serdelkiem przejednać i przynęcić każdą z nowo zjawiających się kobiet—naprawdę! jadowity szept, płynący z pierwszego piętra, niszczył wszystkie jej zabiegi. Sługi uciekały jedna po drugiej, zuchwale, harde, unosząc zadatki, rzucając

na odejście słowa obelgi, drwin, aluzji do choroby Michała, Dziudka, do nędzy domu, kuchennych naczyń, złego stanu ścierek, żelazek, samowaru.

Stefanja, biegając po lekcjach, zmuszona była teraz zostawiać samego Dziudka, zamykając go w pustej salce, z której wynosiła wszystko, cokolwiek jaką katastrofę spowodować mogło. Lufciki okitowała szczerbie i okno zasnurowała postronkami, tracąc już głowę z trwogi na samą myśl straszego wypadku.

Lecz chłopiec, jakby odczuł ciężkie położenie matki, cicho i spokojnie siedział w kącie salki owinięty w szal, kuląc ręce pod ciepłą tkaninę, oddychając swobodnie bez widoku ojca i Heleny, których zniknięcie było dla niego prawdziwym z męczarni wyswobodzeniem.

Gdy Stefanja, wychodząc na lekcje, klękała przy nim, i obstawiała go jak małe psiatko, miseczkami, z wodą, z mlekiem, kawałkami biszkopcików i szczątkami zabawek, chłopiec śledził z pod jasnej grzywy ruchy matki i kiwał dużą głową, jakby aprobuując jej czynności.

— Nie wyleziesz na okno, Dziudku?

— Nie, mamusiu!

— Nie będziesz płakał?

— Nie, mamusiu!

— Położysz się spać, jak zechcesz luli?

— Tak, mamusiu.

Urządziła mu na ziemi posłanie z poduszek i starych kołder, połączonych tasemkami.

Było to smutne legowisko, barłóg opuszczonej sieroty, w które Dziudek się wkopywał, zanurzając ciężącą mu ciągle głowę pomiędzy wystające rogi jaśków.

Zastawała go najczęściej śpiącego, zziębniętego, osowiałego.

Brała go na ręce, otulała szalem, i w kapeluszu jeszcze rozpalala ogień i wstawiała garnuszki z obiadem ugotowanym dnia poprzedniego wieczorem. Gdy wreszcie i w sympialnym pokoju ogień w piecu zapłonął, a na maluchnym stoliku, przysuniętym do drzwiczek pieca, stanęła wazka z gorącą zupą, Stefanja siadała obok klęczącego na krześle Dziudka i doznawała po raz pierwszy od lat tylu uczucia względnego spokoju i wypoczynku.

Jak zawsze nieśmiała, lękliwa, czyniła sobie wyrzuty za tę ulgę, w chwili, gdy Michał cierpiał zapewne o kilka ulic od niej oddalony, lecz mimo to uczucie spokoju istniało, rozwielało się, ogarniało ją całą. Brak sługi zmuszał

ją do podwójnej pracy, mimo to—czuła się teraz uspokojoną, będąc panią w swym domu, bez ciągłej kontroli wrogo usposobionej dla niej istoty.

Czerwony płomień ognia oblewał ją gorącym żarem, parząc bolesną rozkoszą pół czaszki, ramię i biodro do pieca zwrócone; obok niej—dziecko, ożywiając się stopniowo, wyciągało ręce do purpurowych płomieni. Na stoliku obok nakrycia stykały się prawie i mieszały w nieporządku kończącego się obiadu. Żółknijąca na obramowaniach listków kamelia, którą Melcia wcisnęła w rękę Stefanji z protestacjami gorącej dla księcia miłości, wiedła w szklance tuż koło karafki z wodą i talerza z resztką usmażonych kartofli.

Lampa, stojąca na komodzie, rzuciła łagodne światło na cały pokój, dziwnie w ciszy tonący. Dziudek galki z chleba gniół i uważnie układał je pomiędzy talerzami, jak różaniec ciemny i węzem się wijący.

Stefanja oczy przymknęła i, głowę w tył zwiesiwszy, kąpała się w tej ciszy, która jej letnią kołysanką na ciało spadała.

Od pewnego czasu szukała takich chwil smutnych, spokojnych, ciepłych, w których nic jej fizycznie nie dokuczało i myśli jej w porządną krąg układać się mogły, nie szarpiąc jej zmęczonego umysłu, nie ściskając udręczonego serca.

Myśl i troska o Michała była jeszcze zawsze tu na pierwszym planie, lecz wszystkie wycierpiane katusze majaczyły już zlekka tylko jak stado mar krwawych i bolesnych. Powoli przecież sylwetka męża bladła i nikła po za tą kratą szpitalną, a wysuwała się na pierwszy plan postać Rudka, który od chwili owej nocnej katastrofy nie zjawiał się wcale, lecz pozostawił po sobie w tych ciasnych i zimnych murach wspomnienie uroczystego zjawiska.

I w zbitem, zniszczonem i zmęczonem zwierzęciu zaczęła się budzić teraz — kobieta.

Zbudzenie to było tem straszniejsze, że zmysły nie grały tu żadnej roli.

Jedynie serce, ta gwałtowna potrzeba miłosego uczucia, ta rzewna, drgająca w głębi każdej kobiecej duszy piosenka — niedośpiewana, niedomotana — zaczynała teraz wibrować wyraźnie jak głos harmonijki szklanej ze snu zbudzonej.

Stefanja nie miała Rudka—we krwi, nic się w jej ciele, w głębi jej zmysłowej istoty nie domagało zbliżenia i nasyceń gorączki fizycznej; lecz serce jej rwało się w głębi

piersi na samo wspomnienie jego łagodnego głosu i tej niby dobroci, w jaką zimną postać histeryka gwałtownie stroiła.

I, siedząc tak w ciszy i ciepłe zimowego wieczoru, skąpana w niepojętym dla niej dawniej odpoczynku, uśmiechała się mimowoli do nieobecnego, a tak już w ściany te wrosłego widma. Skurczone ręce tuliła do piersi powtarzając z cicha:

— On taki dobry! taki dobry!...

Lecz sformułować dokładnie tej dobroci nie potrafiła. Czula tylko, że jest jej dobrze z tą myślą o jego szlachetności, że zaczyna dach czuć nad swą głową, że ta ciemna pustka, którą do tej chwili dźwigała koło siebie, wypełnia się i daje jej przedsmak wypoczynku!

Dziudek znużony ciepłem i ciszą, zsuwał się z krzeselka i przysiadł na fałdach jej sukni, jasną główkę opierając na jej kolanach. Ona opuszczała rękę na głowę syna i wolno, automatycznym ruchem gładziła jego miękkie włosy.

Te chwile utonięcia w jakiejś dziwnej kontemplacji tego, co było, bez nadziei i pragnienia jeszcze tego, co się stać może, miały dla niej urok niewypowiedziany.

W ciągu dnia całego marzyła o tem po obiedzie, i teraz z głową w tył przechyloną, czując lekki, drażniący szmer newralgii pracującej głucho w lewej stronie jej twarzy i szyji pod wpływem ognia, po raz pierwszy w życiu dozwalała się ogarniać marzącemu lenistwu.

Ciało jej bite, wyniszczone pracą, złem pożywieniem, duch jej szarpany i kołatany bezustannym niepokojem, buntowały się wreszcie i zaczynały rozpościerać panowanie swoje.

Wyrobna maszyna ożywała się zwolna, w domowej zanędziałej sile roboczej formowała się kobieta, miłości żądna. Miłość to była romantyczna, bez dreszczów zmysłowych, miłość okaleczonej samicy pragnącej jedynie ciszy gniazda.

Krew płynęła w żyłach jej jednostajnie wspomnieniem jasnej skóry blondyna niezmacona, lecz natomiast dusza egzaltowała się, rozrzewniała, gorączkowała w chorobliwym nastroju.

I była wielka różnica w uczuciach tych dwojga ludzi.

On miał ją chwilami we krwi.

Ona go miała ciągle w sercu.

Lecz gdy Dziudek, ułożony w kolysce, zasypiał wreszcie kamiennym snem anemicznego dziecka, Stefania, wynosząc do zimnej kuchni resztki obiadu, zrywała nie sentymentalną, jaką przedła na kołowrotku chwilowej zadumy.

Nie dlatego przecież, aby trywialność jej otoczenia, ubogie sprzęty, nieestetyczne linie raziły ją i z koła marzeń wyrzywały. Wyrosła na gruncie włóczkowych patarafek, szklanych lichtarzy, wełnianych kołder, koszul z długimi rękawami i siatkowych firanek, nie odczuwała braków estetycznej formy. Stojąc przed blacikiem kuchennym i krając resztki sztuki mięsa na bigosik, stanowiący główną podstawę jutrzejszego obiadu, gdyby nie troska materialna i nie widok sprzętów, przypominających jej Michała, myślałaby dalej o dobroci Rudka i uśmiechała się do tej „pocziwości”, w którą go sama stroiła.

Lecz Michał panował tu jeszcze wszechwładnie, i Stefania z chwilą zajęcia się codzienną, powszednią pracą, czuła jeszcze na swym pochylonym karku kościstą prawicę pijaka, dławiącą i potężną. Nawet z za kraty szpitalnej groźny i charkotliwy wylańczał się wśród śniegowej bieli i trząsł tem nędznym wnętrzem domowym, zdając się włóczyć jeszcze wśród pustkowia ścian zimnych, potrącając sprzęty i kalecząc wypukłe plecy żony. Ona—chwilami zatrzymywała się wśród swej nocnej pracy, nasłuchując z wytężeniem. Zdawało się jej, że od kuchni do sypialni wloką się ciężkie, rozlaźle, dobrze jej znane kroki, że krzesło trącone upada...

Zimny pot pokrywał jej kark pod kołnierzem sukni. Nie!... to przywidzenie. Cisza zupełna, ogień tylko pryska pod blachą smutny, biedny ogień staremi gazetami podsycany. Lecz napróżno; rzeczywistości w przywidzenie się zmienia. Ten mąż-kat jest ciągle koło żony-ofiary, stoi z nią w zimnej kuchence, drżącą, pijacką dłonią kark jej zmęczony newralgią i anemią, ponad cuchnącą blachę chyli. Gorącym, przesiąkniętym alkoholem oddechem odpędza od niej jeszcze napozór jasną sylwetkę Rudka i wydiera jej z serca kielkujące marzenie. Ona—w bojaźni dziesięciu przykazań chowana, trwogą bezzmysłowej kobiety skuta, chyli głowę pod jarzmo i gwałtem myślom ku mężowi powracać każe.

— On chory! on biedny! on...

Lecz w głębi jej piersi coś się buntuje, coś rwie, szarpie.

Mimo to, powraca do pokoju i siada przy łóżku, mając przed sobą jak pusty katafalk w szpitalnej kostnicy, łóżko Michała pokryte ciemną kratkowaną kołdrą.

Machinalnie sięga ręką po grubą książkę, oprawną w zniszczoną czarną skórę, książkę, zostawioną jej przez matkę z setkami obrazków pomiędzy żółtkami kartkami.

Szuka modlitwy — za drogą sobie osobę...

Podniosła od kartek oczy i w ciemności pokoju zamajaczyły jej siatkowe rozpięte nad oknem firanki.

Wydały się jej bardzo brudne...

— Ta para jeszcze ujdzie, ale tamte, wiszące w jadalni, są prawie czarne od kurzu.

Porwała się z miejsca.

— Trzeba je wyprać koniecznie, bo gdyby...

Sama cofnęła myśl przed nią się zjawiającą, opuściła oczy na książkę — modlitwa „za drogą osobę” czerniała wąskimi sznurkami na rozłożonej kartce. Czytać zaczęła, lecz napróżno; sztucznie naciskała nerwy na karku i starała się podniecić duchowo. Ciemna siatka firanek zasłaniała jej oczy. Za dewizę po matce odziedziczyła owo „choć ubogo, ale chędogo” — i ta chędogość zastępowała jej piękno i estetyczne linie lub barwy.

Przecież Rudek przyjść musi: czy prędzej, czy później ona go sama wezwie po odbiór pieniędzy. Wprawdzie z pozostawionych przez Dublańczyka guldenów niema już ani centa, ale przed świętami Bożego Narodzenia Stefanja odbierze pieniądze za lekcje i, zamiast posłać gospodarzowi domu, odda, jeśli nie wszystko, to chociaż połowę. Adres dostanie przez Jentę, albo w inny sposób. Obmyśliła to już dawno. W każdym razie powinna być na jego przyjście przygotowana. Powiedział, że powróci. On kłamać nie może. Powróci?—kto wie? może jutro rano. Służącą dopiero Jenta sprowadzi pojutrze wieczorem. Zresztą, trudno ją zaraz do prania zapędzić. Powoli, jakby poczuwając się do złego postępu, Stefanja odłożyła książkę do nabożeństwa, nie zamykając jej wszakże.

— Dokończę później! — wyszeptwała, podnosząc się z miejsca, lecz nagle przysła jej myśl, że może właśnie teraz Michał przechodzi jaką krytyczną chwilę i koniecznie potrzebuje jej modlitwy. Przyklekła więc, strwożona, udęczona i szeptać „Zdrowaś Marija” zaczęła. Szybko, gorączkowo podnosząc swe piękne załzawione oczy ku popękaniu sufitowi, dodawała przez zaciśnięte zęby:

— Uzdrawienie chorych! módl się za nim!...

Powstała trochę uspokojona. Zdawało się jej, w jej czystej, spokojnej istocie, że modlitwa ta zażegnała na pewien czas niebezpieczeństwo i że ona może teraz szybko,

choć w zimnej wodzie splukać kurz z firanek. I jak cień cichy a nieuchwytny weszła do jadalni, z której po chwili wróciła wlokąc za sobą siatkę przejrzystą, przerzuconą przez plecy.

W słabem, żółtawem świetle lampy miała w sobie wdzięk dziewczyny rybackiej spowitej w fałdy sieci, które ją owijały przezroczystą tkaniną. I tylko delikatna jej głowa, z aureolą srebrnawo - popielatych włosów ponad wązkiem czołem, niespokojnie chyliła się naprzód, jakby pod obuchem złego, karygodnego czynu...

XXV.

Sufit był dość niski, kinkiety poczepiane u ścian sali przygaszały powoli, żółte ścieląc smugi. W środku salonu, jak w konwulsyjnych podrygach, kręciło się kilkanaście par zczepionych nerwowym uściskiem. I ponad szurganie brutalne ciężkich butów mężczyzn i wykrzywionych obcasów kobiet, wybijał się z jakimś rozpaczliwym uporem piękny walc Metry, niosący za sobą wspomnienie kastanietów i wydutych bioder.

W centrum kręcących się par, sam jeden jak dyrektor orkiestry, ze smyczkiem, z którego opadało włosie, o wysoko podniesionej ręce, stał, a raczej podrygiwał Funkier rozkołysany, uważny na najłżejsze zboczenie, nieubłagany w surowości swojej.

— *Ein, zwei, drei! ein, zwei, drei!*...

Liczył takt, smyczkiem po zgarbionych plecach uderzał, kolana zgięte jak szpicrutą podcinał.

— Panie Powidlański, wyciągnij się pan, panno Marto, na lewy kłęb! na lewy kłęb! Co panna Melcia tak język wywiesza? Książę, każ jej język schować! dalej, dalej, *ein, zwei, drei!*...

I w takt melodji Metry, przenikliwej, upartej wili się wąż trywialnych ciał, parodji par kształtnych i pełnych wdzięku. Nie była to poezja młodości, ów wir garbatych pleców, nóg w pałak wygiętych, głów pokrzywionych w historycznym zmęczeniu, skrofulicznych szyi, wyciągniętych w niekształtne luki pod zadymionym sufitem tanecznej sali... I ostra woń rozgrzanego ciała ludzkiego, mieszając się z atomem czarnego swędu unoszącego się w powietrzu,

wirowała w szeleście obracanych szykko spódnic i fałd surdutów męzkich. I ciągle, ciągle, jak nieubłagany głos gminnej katarynki, drgała hiszpańska serenada silna, nieskończona, nacierpliwa, nerwowo przeciągła. Wreszcie Funkier wrzasnął:

— *Hamować!*...

Dźwięki fortepianu cichnąć zaczęły i walc wolniał, mając ciągle jeszcze pierwszą nutę każdego taktu gwałtownie wybitą.

Pary kołysały się już prawie na miejscu, i jakiś leciuchny oddech namiętności powiał dokoła. Kobiety opierały się silniej na ramionach mężczyzn i gięły się w pasie, wdzięcznym a wrodzonym poddającej się kobiecie ruchem. Mężczyźni wsuwali głowy w ramiona, zaokrąglając plecy.

Walc cichł, wolniał, wreszcie ledwie słychać było tylko pierwszą każdego taktu nutę.

I pary rozplątywały się, rozchodziły pod ściany, ku ławeczkom dążąc.

Środek sali opustoszał szybko, i teraz tylko od strony fortepianu przysłyszona zupełnie konała hiszpańska serenada.

Cicho, jak ptak zraniony, trzepotały się chwilę wiolinami tony, doskonale poetyczne, nerwowe, aż wreszcie umilkły w arpedżiowym akordzie.

Wówczas z poza pulpitu podniosła się powoli Stefanja i w obramowaniu dwóch zapalonych świec ukazała swą przeczystą twarz anemicznej Madonny.

Siedzący naprzeciw fortepianu po drugiej stronie sali Rudolf, mimowoli pociągnięty estetyczną pięknnością tych kształtnych rysów i przepysznego owalu twarzy, wpatrzył się silnie w promieniejące wśród wyziewów i czadu zjawisko.

Stefanja nie wiedziała o obecności Rudolfa w sali tańca.

Przyszła dziś tak, jak zwykle, ubrana w swoją szarą sukienkę, i usiadła zaraz przy fortepianie, na którym migotały już dwie zapalone świece. Od rana bolało ją gardło; zawiązała więc pod kołnierzykiem sukni czarną szeroką tasiemkę, która wysuwając się ciągle, tworzyła pod delikatnym podbródkiem krwawą linję. Dodawało to jej oryginalnego wdzięku, neutralizując trochę delikatny wdzięk jej twarzy. Od dni kilku nowa służąca, czarno ubrana bigotka, zajmowała się Dziudkiem i dozwoliła Stefanji odetchnąć swobo-

dniej. Czula, że nowoprzybyła traktuje ją ze świątobliwą pogardą, lecz teraz, kiedy Funkier przed Bożem Narodzeniem postanowił dać sześć kompletów, trwających noc całą, Stefanja zacięła zęby, i dla zebrania potrzebnych pieniędzy nadskakiwała prawie Magdalenie, dogadzając jej, pozwalając chodzić na roraty, leżeć na stopniach ołtarzy, śpiewać godzinki w kuchni. Dziudek nieufny i chmurny spoglądał na tę ciemno ubraną kobietę, suwającą się po pokojach z miną zakrystjana, i z pod przymkniętych rzęs patrzył na całe rzędy obrazków i różanców, porozwieszanych na ścianach kuchni.

Rudek zjawił się u Funkiera popchnięty nagle jakąś niewytłomaczoną chęcią zajrzenia na ten „komplet”, na którym Kuczkiryszczak kokietował Melcię i sześć innych dziewcząt, równie chudych, jak głupich.

Zjawienie się tego eleganckiego blondyna w trakcie walca przeszło niepostrzeżenie.

Dopiero gdy się pary rozbiegały i „damy” zajęły miejsca pod ścianami, a „panowie” zbili się w gromadę koło drzwi przedpokoju, oczy wszystkich w stronę Rudolfa się zwróciły.

Funkier ręce rozstawił i ku przybyłemu podbiegł.

Rudolf ramionami ruszył.

— Radca wiesz: nie tańczę.

— Furda, Kopystyński!... wszyscy tańczą. Nogi są, poleczka jak nic! Damy jak tanie! Dawaj radca rękę, przedstawie...

Nagle uczył się za polę szarpniętym.

Tadek stał pod łokciem ojcowskim zły i nachmurzony.

— Czegoś się naindyczył?

Tadek z pod brwi zsuniętych patrzył.

— Ojciec wszystko kaniem puszcza. Żeby też ojciec widział, jak ten Powidłański pannę swoją posadził!... Potem powie, że się u Funkiera uczył!

Funkier roześmiał się radośnie.

— To smyk! jak on wszystko dojrzy!... Jak on się we mnie wrodził! Drugi radca! drugi radca!...

W kącie ku mężczyznom się posunął i tam Powidłańskiego szukał, a znalazłszy, do muru przyparł:

— Jakesz pan swoją pannę posadził? jak? czy to torba sieczki, albo pudło do kapelusza?... To ja tak galanterji uczę? co?...

Napadnięty bronił się, jak mógł, cały czerwony, czując wejrzenia wszystkich na siebie zwrócone,

Tymczasem Rudolf założył nogę na nogę, rozsiadł się wygodnie na ławeczce i przygasłym wzrokiem wodził po twarzach siedzących pod ścianami dziewcząt, rozbierając rysy, odsłaniając grzywki, rozpinając kołnierzyki.

Melcia ze swą chorobliwą twarzą przerażonej i zdenerwowanej dziewczyny, zatrzymała dłużej jego uwagę na sobie.

— To musi być ciekawy numer! — pomyślał, uśmiechając się.

Książę, siedząc obok niej, wachlował się z gracją szapoklakiem, jeden tylko we fraku między całą czeredą źle ubranej młodzieży, wyperfumowany, z grzywką lśniących włosów przeciętą równą linją *lance promenady*.

Lecz znów wzrok Rudolfa ku Stefanji pomknął i coś nakształt cieplejszego prądu przebiegło żyły mężczyzny.

Ona stała oparta o zamknięty teraz pulpit, trzymając ręce we wdzięcznej pozie flamandzkiego obrazka. Ale raczej był to subtelny Lebrun z Greuzowskim odcieniem. Srebrne włosy jakby lekko lśniącym pudrem przysypane, mieniły się delikatnie przejrzystym obłoczkiem dokoła jej czoła. Usta głęboko wcięte miały słodycz dziecięcą, właściwą kobietom, nie mającym spazmów miłosnej ekstazy.

I wówczas podniósł się z ławeczki Rudolf i z pewnością siebie, dobrze wychowanego człowieka, przez długość salonu ku fortepianowi iść zaczął.

Stefanja dojrzała go dopiero teraz i w pierwszej chwili uczucie nieokreślonej radości ogarnęło ją gorącym prądem.

Stała ciągle oparta o pulpit i tylko czerwona łuna oblała jej delikatną twarzyczkę ciemną purpurą.

Rudolf już stał przed nią i rękę wyciągał.

— Witam panią!

Podala mu rękę niezgrabnie, pośpiesznie, szybko cofając się za pulpit, który podniosła, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Usiadła i ręce na klawiszach położyła.

Rudolf wziął jedno ze stojących krzeseł obok fortepianu i do klawiatury je przysunął.

— Pani pozwoli?

Ona głową skinęła, nie śmiejąc oczu od klawiszy oderwać.

Czula wzrok wszystkich skierowany na nich dwoje, odczuwała szepty poza wachlarzami, wzruszenia ramion, zdziwienie Funkierowej.

Rudek czuł bardzo dobrze, że kompromituje w ten

sposób „taperkę“, jak nazywano Stefanję. Lecz sprawiało mu to niewytlómaczoną a przyjemną sensację.

W swej połamanej naturze lubił sprawiać czasem takie moralne przykrości niewinnym istotom.

Rumieniec Stefanji podniecał go zmysłowo; idąc wbrew woli wszystkich, uspokajał chwilowo nerwy.

— Kadryl!... kadryl!..., angażować!... Pani Michałowa! zatrąb pobudkę!...

Stefanja uderzyła w klawisze i zaczęła przegrywkę banalnego kadryla. Lecz już jak trąba powietrzna, z szumem wykrochmalonych spódnic, dopadła fortepianu Melcia i do Stefanji się cisnęła:

— Święta! anielska!... zagraj „Życie paryskie“! Książę prosi!

Za Melcią sunął książę w lansadach, prezentując straszłą twarz, oszpeconą krwawymi wyrzutami, jak piętnem rozpusty.

— *Oui! oui!... Pariser Leben!...*

Ręką ku Rudolfowi skinął.

— *Bonjour, comte! comment va?*

Rudolf z pod przymrużonych powiek na Melcię patrzył.

Stała w półcieniu, oświetlona jednym płomykiem świecy dość silnie, podczas gdy druga połowa twarzy równo pogrążona była w cieniu.

Kredowo blada o czarniawym cieniu koło ust, z oczyma głęboko podsiniałymi, owinięta w sukienkę piernikowego koloru, przedstawiała doskonały typ anemicznej histeryczki, przedwcześnie targającej się już w szponach tej nawpół moralnej choroby, rosnącej szybko, jak chwast na drodze.

Purpurowa róża, wpięta w nisko opuszczone warkocze, wiodła w zbliżeniu tego niezdrowego ciała dziewczyny która we krwi swej miała żółtą zgniliznę miłosnych poszukiwań, z łona matki jeszcze zaczerpniętą.

Stefanja, powolna żądaniom książęcej pary, rozpoczęła przegrywkę z „Życia paryskiego“, i nagle w trywialnych dźwiękach ofenbachowskiej zwrotki postyszała głos Rudolfa, mówiącego do księcia:

— Zechciej mnie przedstawić pani.

Książę dopełnił żądania kolegi z całą precyzją powiatowego gentlemena.

— Czy zechcesz pani tańczyć ze mną kadryla?

Stefanja podniosła głowę i spojrzała zdziwiona na Rudolfa, stojącego teraz po drugiej stronie fortepianu i składającego głowę przed Melcią.

Melcia zezowała coraz gorzej.

Książę — bąknęła — książę angażował mnie raz na zawsze!

Rudolf parsknął impertynenckim śmiechem.

— *Voyons, c'est pas sérieux!* raz na zawsze! to byłoby okrutne dla nas wszystkich! Służę pani!...

Melcia oglądała się na księcia.

— *Allez duchesse!* — wymówił tenże z całą podrzędną zarozumiałością samca — *allez...* zrobimy wyjątek na ten raz jeden!...

Rudolf podał Melci rękę i znikli w rzędach ustawiających się par.

Książę poszedł emablować starą Czyżyczkową, która z siatką sznelową, przekreconą na bakier, szalała ze złości pod jednym z kinkietów.

Stefanja pozostała sama przy fortepianie.

Opróżnione krzesło Rudolfa zdawało się naigrawać z jej chwilowej radości.

— Poszedł tańczyć! rzecz to naturalna... dla czego jednak brał krzesło i ustawił je przy fortepianie, jeżeli nie miał zamiaru usiąść przy niej? I już w pierwszej figurze kadryla odczuwała Stefanja wrażenie, jakby Rudolf odszedł od niej bardzo daleko i silnie zagniewany. Grała, a serce jej ścisnęło się wielkim smutkiem.

Tymczasem kadryl rozwijał się prawidłowo, ku wielkiej ucieciesze Funkiera. Był to czwarty z rzędu komplet, i wszyscy tańczący mieli pojęcie dobrze wyrobione o tańcu. Te biedne szwaczki, modystki, a nawet seminarzystki, szczęśliwe z możliwości spędzenia całej nocy na zabawie, całą duszą rzuciły się w wir denerwującej gimnastyki, wyczerpującej resztę ich sił i potu. Miłostki zawiązywały się tu szybko, miłostki często bez ważniejszych następstw, czasem jednak rozwijające się dramatem też kobiety i wspianego odejścia mężczyzny. W salce tej nawpół ciemnej, pełnej woni kobiecego ciała, odgrywały się całe tragedje zmysłowych porywów, utraty świadomości, konania uczucia, rozpacz osamotnienia, nerwowych wyteżeń próżnego oczekiwania. W zewnętrznych tonach tańca dojrzywało tu królowanie mężczyzny z całą poezją, sentymentalizmem i brutalnością swej przewagi. Kobiety szły na lep, zmuszone nieubłaganiem prawami natury, która, dawszy im konieczność płodzenia, obwarowała je węzłami światowego ustroju. I była to ciągła, cicha walka, bolesna, krwawa walka opętanych istot, pełnych siły i życia, mających przepych krwi, zdolnej

do wytworu, z płaską, despotyczną masą konwenansów i porządków społecznych. Każda z tych kobiet miała we krwi samice, która, rozpaczliwie jęcząc, rzuciła się w tej klatce przesądów z koniecznych linii. Niektóre, jak Stefania, powolniejsze były i upartsze w ożywianiu się buntowniczym. Zwierzę drzemało w nich, nie budząc się na wszystkie głosy. We krwi tych kobiet była konieczność sympatycznych pierwastków krwi drugiej, i ciało ich zostawało zimne do chwili spotkania odpowiedniej im istoty.

Lecz, mimo to wszystko, zawsze i wszędzie potęga ta, jak siła niewidzialna a gorączki pełna, kłóciła spokój, żreńce i dłonie wypełniała gorącą wilgocią. Zbudzone w chwili rozwoju, a często i przedwcześnie, kobiety ogłuszały się koniecznością obowiązków, godności, modlitwy, skrótności dziewczęcej. Duch tłumiał ciało, lecz krew krążyła ciągle, triumfalna i w sile swej niezwalczona. W zetknięciu tanecznym, w podaniu ręki, opasaniu ciała przez fałdy odzieży, istoty porozumiewały się z sobą, rwąc się ku sobie w szalonym pragnieniu. Z wyciętych w caro staników, oszytych lichą koronką lub opiętych przedwiekowym frywolitywnym kołnierzykiem, biła cała luna gorąca i ku pochylonej twarzy mężczyzny sięgała. Pod koniec kadryla wszystkie ręce miały zmysłową wilgoć wstrzymywanej ekstazy. Z wyjątkiem Rudka, wszyscy tu tańczyli bez rękawiczek, nagiemi dłońmi nagle dłonie ujmując.

Krew więc falowała, prawie przelewając się niewidzialnie z jednego ciała w drugie. Była to transfuzja prawie niewidoczna, a przecież do głębi targająca, zwycięzka, bo żadnymi wznioślejszymi uczuciami nie hamowana.

— *Grand rond!*...

Splotłszy się w jeden wąż, pospolity a rozkoszny, tańczący kroczyli teraz leniwo, ciągnąc się jak łańcuchy holujące statki.

Funkier ze swym ryjem mrówkojada, ze szczęką dolną wystającą, z ciekawością starego szkieletu, prowadził koło taneczne, jakby kometa swój ogon, w smudze żółtawego gnijącego światła kinkietów.

— *Halt!*

Rękę wyciągnął.

Wszyscy stanęli, olśnieni nagle tym spoczynkiem w wirze galopady.

— *Grrrrande chaine!*...

Nastąpił ruch, zamieszanie i nagle z chaosu tego wyłonił się najpiękniejszy szmat kadrylowej figury.

Szybko, z pewnym wdziękiem miarowego falowania wszyscy tańczący posuwali się naprzód, podając sobie kolejno dłonie.

Kobiety mimowoli gięły się w biodrach ruchem andaluzjanek, i podnosząc oczy ku nadchodzącym ścisłym szeregiem mężczyznom, rozjaśniały się jakąś nieokreśloną i napozór niepojętą radością.

I znów w tym wirze zawrotnym, nazwanym *grande chaine*, wystąpiło nieubłagane prawo chęci zmiany, dominujące wszechpotęgą swoją w mężczyznach i spływające lekko z latami przeżytymi na barki kobiece. Tańczące w tym wężu dziewczyny młode jeszcze były i zlekka tylko egzaltacją miłosną dotknięte. Niektóre miały już swój багаż miłosny dość ciężki i silnie na sprzączkach tajemnicy spięty. Wszystkie jednak w tej jednej chwili miały jakby lekkie przecucie przyszłości i ręce ich nurzające się bezwstydnie w coraz to nowej dłoni męskiej, odrywały się z chęcią dążenia naprzód, wyciągały w przestrzeń, jakby szukając coraz nowych wrażeń, nowych sensacji, nowego dreszczu.

— *Retour!*

Zaszeleściły spódnice, chwilowo nastało milczenie i znów andaluzyjskie kołysanie bioder rozpoczęło się w takcie paryskiego kankana.

Stefania grała z jakąś nerwową zaciętością.

I ją ten szelest sukien i powiew niezdrowego powietrza, przelatujący dokoła jej głowy, podniecał i ubogą krew podsycił. Czuła bezwiednie, nie biorąc w zabawie udziału, że we krwi tych ludzi krąży teraz życiowy pierwiastek dziki, gorący, rozkiełznany. Promienie te biją i ku niej ścielą się ukośnie i tracąc po drodze swą moc ostrą i brutalną.

Dla tego też to, co się dostawało do niej, było złagodzeniem, echem tego, co spływało ze środka sali. Nie maiej przeto i ona czuła jakiś niepokój, który przypisywała obecności Rudolfa. Chwilami gorąco biło jej do głowy tak, że nie widziała nic przed sobą i grała machinalnie, wpadając w coraz szybsze tempo.

„On... tam! on... zostanie może jeszcze godzinę, jeszcze dwie.“

— *A sa place!*... Szufladki!

Teraz pary migają z szybkością błyskawicy.

Kobiety przelatują w objęcia mężczyzn, którzy, śmiejąc się, porywają słabe i nieoporne ciała. Jestto jakiś dziki pościg, przerzucania się bez godności, bez wdzięku, coś trywial-

nego, podnieconego w którym mężczyzna tryumfuje, szarpając ku sobie i porzucając nagle kobietę. Melcia czepia się objęcia Rudolfa, jak rozdrażniona małpa, a ukośne jej żrenice ciskają maluchne iskierki. Z kredowo-bładej stała się teraz ciemno-granatową, żyły nabiegły wzdłuż czoła i uwiódłszy całą masę wyrzutów podskórnych, z ostrości krwi powstały. Ciężka masa włosów opadała jej na plecy i sunęła się ku kłębom. Ona cała pogrążona w dzikim szale skoków, uśmiechnięta, spocona, miała w sobie oryginalne cechy źle wychowanej, pełnej temperamentu i zbudzonych chęci dziewczyny. Rudolf jeden prawie z tańczących spokojny i prawie chłodny, obserwował Melcie bardzo uważnie, ciągle usiłując z nią zawiązać rozmowę. Dziewczyna odpowiadała mu niskim, urywanym głosem, i tem, co mówiła, wprowadzała Rudolfa w podziw. Miała ten szybki zmysł orjentowania się w sytuacjach i przeczuwania swą namiętną naturą wrażenia, jakie na nim wywiera. Rudolf mówił z nią inaczej, niż książę, dla tego też odpowiadała mu inaczej, układając się jak namiętne kocie wobec pieszczącej go dłoni. Miała w swych odpowiedziach śmiałość trzydziestoletniej mężatki, śmiejąc się ze zbyt śmiałych zwrotów, których nie rozumiała, ale które zdawało się jej, że rozumieć powinna. Rudolf odczuł szybko to udawanie wszechwiedzy złego i bawił się tem, zasypując cynicznymi uwagami całą postać dziewczyny. Ona śmiała się ciągle, zezując, pragnąc okazać się „panną postępową“ i „europejską“, tak jak książę pragnął. Rudolf „postęp“ ten szybko podchwycił i dziewczynę poprostu na żarnach obracał, znajdując ją dość ciekawą i zabawną istotą. Spokojnie wszakże przysuwał ją w tańcu do siebie, nie czując najmniejszego zmysłowego wrażenia w zbliżeniu tego dziwnie pokręconego ciała. Zostawiała go spokojnym, zimnym zupełnie, i tylko umysł jego drażniła swym śmiechem młodej a przewrotnej kozy. Nie miał jej we krwi ani na jedną sekundę. Stąpione jego zmysły drzemały w chwilach zbliżenia się.

Ona tak samo jak i on, podniecona tylko ogólnym prądem tanecznym, obserwowała go trochę, zaślepiona swą namiętnością dla księcia, którego szeptota była dla niej szczytem piękna, a ukradkowo zamieniane z nim po kątach uściski, przedsmakami raju. Niemniej przeto Rudolf był jej miłym, gdyż dozwalał rozwijać się dowoli jej duchowej istocie, podczas gdy książę drażnił ciało i zmusiał ją do bezustannej ekstazy, jakoteż zaślepienia zmysłowego.

— *Finis i Ende!*...

Koło tańczących rozplotło się w mgnieniu oka; Stefanja podniosła się od fortepianu, ale nie położyła rąk zmęczonych na bagietki pulpitu. Odwróciła się szybko i, zwróciwszy ku oknu, wsunęła się pomiędzy firanki.

Przez podwójne zamarzłe okna, ku dołowi grubą masą lodu obrosłe, dostrzedz można było blade płomyki świecących się na rynku latarni. Całe brylantowe gałęzie wily się po szybach zewnętrznych okien, wyrastając z pokładu ciemnego mchu, ściśniętego w wąskiej przestrzeni.

Nagle Stefanja przeczuła zbliżanie się Rudolfa. Nie odwróciła jednak głowy, cała napozór zajęta śledzeniem rysujących się na szybie deseni.

Uchylił fałdów firanek i wsunął się w zagłębienie.

— Dziękujemy pani... — wyrzekł, pochylając z kurtuazją głowę przed Stefanją.

Ona podniosła na niego oczy spłoszonej gazelli.

— Za co?

— Za kadryla.

— Przecież ja nie tańczyłam...

— Ale pani grała.

— Ach, mój Boże! przecież ja tu jestem od tego...

Znów niezręcznością swoją zbiła go z tropu.

W zacisznym kąciку tym, wtulona we framugę, tonąc prawie w cieniu, robiła wrażenie angielskiej miss, flirtującej o zmroku w melancholiczny trochę sposób. Lecz Rudolf tego wieczora rozpaczliwie chwycił się jakiegoś zajmującego punktu, któryby go w równowadze utrzymał i z ironicznej apatii wyciągnął.

— Winienem się usprawiedliwić, że tak dawno nie byłem u pani — zaczął zwolna — miałem mnóstwo zajęć w szkole, przytem trochę spraw domowych.

Kłamał niedbale, śledząc ciągle śliczny kształt stojącej przed nim kobiety.

— Ale ja się poprawię — dodał z uśmiechem — będę teraz częstym gościem w domu pani. Jesteś sama, potrzebujesz opieki. Czy przyjmiesz mnie za opiekuna, za przyjaciela?...

W piersi Stefanji zapanowała nagle jakaś rozkoszna cisza.

Opiekun? przyjaciel?...

Te słowa były dla niej dotąd martwą literą. To ona, musiała być do tej chwili opiekunem męża - pijaka, dziecka, siebie samej, ubogiego domu, słowem, wszystkiego!

On czuł dziwnie subtelną swą intuicją potrzebę zaatakowania silnie moralnej istoty, aby przez nią podbić kobietę.

Robił się miłym, układnym, pochylał się dobrotliwie jakby nagle ojcowiskim uczuciem zdjęty.

— Nie zdaje mi się, żebyś była pani do tej chwili szczęśliwą — ciągnął dalej, opierając się o drugą stronę framugi — czy pani skarża się dostatecznie, choć mówisz tak mało. Zresztą, los uczynił mnie dwukrotnie świadkiem scen dość dla pani ciężkich, bolesnych. Mam wiele dla pani współczucia, sympatji. Chciałbym wywołać trochę pogody na to piękne czoło. Tylko... trzeba mi zaufać zupełnie, zwierzać mi się ze swych smutków i cierpień, trzeba mi powiedzieć, co się w tem biednym sercu pani mieści. Będę pani przyjacielem, jeżeli zechcesz, niczem więcej. Czy dobrze?

Mówiąc to, patrzył na dość szybki spadek ramion Stefanji i myślał, że biodra jej muszą iść w podobnym kierunku.

Ona tymczasem tonęła w letniej rozkoszy i czuła się tak rozrzuwioną, iż ły jej nabiegały do oczu.

Jakto? on? on tak szlachetnie, tak pięknie do niej przemawiał. Po raz pierwszy od śmierci matki słyszy głos przyjazny, spokojny, cichy jak wieczór wiosenny...

— Czy dobrze?

Wyciągnął ku niej rękę i w fałdach sukni dłoni jej szukał.

— Będę pani... bratem? czy zgoda?

— Zgoda.

Odpowiedź jej szeptem była prawie.

Rudolf tymczasem, trzymając jej rękę, palcami swemi wzdłuż ją leciutko głaskał.

— Moja siostrzyczka! — wyszeptał.

Lecz skóra „siostrzyczki“ była trochę chropawa i częstem maczaniem w ługu zniszczona. Delikatne końce palców Rudolfa odczuły tę chropowatość. „Ten drugi“ już drwić zaczynał.

— Ładne rączki!... jak u praczki...

Rudolf szybko całą dłonią rękę Stefanji schwycił i mocno ścisnął, jakby chcąc sobie przerwać refleksję. I znów uczuł pociąg zmysłowy ku temu biednemu ciału, pociąg krótki, przelotny, ale mimo to silnie zaznaczony. Stefania poddawała się temu uściskowi biernie, cała przejęta moralnem zadowoleniem za znalezienie nareszcie przyjaznej dla siebie istoty.

Gdy Rudolf rzucił jej to pamiętne: „kocham panią!“ na dole, pod tem samem oknem, w którem teraz stali, czuła już jakąś wdzięczność za tę miłość, której znaczenia pojąć dokładnie nie mogła.

Teraz każda inna, więcej w świecie żyjąca kobieta, znalazłaby silne niekonsekwencje w postępowaniu Rudolfa, lecz ona, zachowująca w swych nieszczęściach niemal przez całą białosć uczciwej kobiety, nie rozróżniała żadnych odcieni.

Czuła, tylko że ten człowiek był dla niej dobrym, że na prośbę jej oddalił się, gdy ledwie okryta stała przed nim w nocnej porze, że znalazł się nagle w strasznej chwili szaleństwa Michała, że pieniędzmi jego opłaciła Helenę i żyła z dzieckiem przez czas jakiś, że teraz stoi przed nią, pieści jej rękę i mówi:

— Moja siostrzyczka!...

Wydał się jej pięknym, dobrym, szlachetnym. Oddała mu się w tej chwili moralnie — cała, na przepadłe, jak zbity pies, za dobre słowo, za lekką pieszczotę.

Zdawało jej się nagle, że ma nad głową ducha, że to uczucie pustki nie istnieje dokoła niej...

Otworzyła przymknięte na chwilę powieki i chłonęła w siebie obecność mężczyzny tego, który, ściskając jej zmęczoną od grania rękę, wywoływał w sobie dreszcze zmysłowe. Nie czując nic, żadnego podrażnienia ciała, oddawała mu się całą siłą zbolalej duszy, nie dotykając nawet skrzydłem myśli, możliwości uzmysłowienia sytuacji. Inteligencja jej była rozwinięta; uśpiona wobec Rudolfa ciałem, przypuszczała możliwość niesplamionej miłości. Dlatego też, gdy Rudolf, pochyliwszy się, zapytał:

— Czy mogę przyjść jutro w południe?

— Dobrze — odpowiedziała niemal radośnie, czując jakiś strzępek dumy w głębi jej rosnący.

.....

Tymczasem książę, za intencją Funkiera zorganizował składkową kolację. „Panowie“ sięgnęli do kieszeni i papierki zaszeleściły na stole. Funkierowa przywołana z kuchni, zła i nachmurzona, dodała do pomocy dwie służące, i jeden z „panów“ poszedł rozbijać sklepy i winiarnie. Książę chodził tymczasem po salonie, mając uczeplone po obu stronach dwie szwaczki wydekoltowane w karo, spocone i ściśnięte połamaniem sznurówkami.

Melcia, uwięziona przy spódnicy babki, konała z zazdrości, pomimo, że, jako panna „europejska“, nie powinna mieć w sobie ani cienia zazdrości.

Wzrokiem szukała Rudka, chcąc za jego pomocą zemścić się na księciu. Dojrzała go we framudze okna. Porwała się i jak strzała popędziła naprzód. Czyżyczkowa powstała, lecz widząc, że Melcia przebiegła mimo księcia, nie zatrzymując się, usiadła napowrót na ławce.

Tymczasem Melcia dopadła do okna, a dostrzegłszy Stefanję, rzuciła się do niej jak szalona.

— Moja święta! moja królowo! moje djamenty!... — wołała, ściskając silnie ramię Stefanji.

Rudolf mimowoli uśmiechnął się.

— Tak się panie bardzo kochacie? — zapytał z niedowierzaniem.

Stefanja milczała.

Lecz Melcia szybko mówić zaczęła:

— Bo ja paniusię moją nad życie kocham, ona mi płaci obojętnością za miłość...

Porwała Stefanję za szyję i w twarz jej się wpiła jak blady wampir nienasycony i potworny.

— Melciu, skończ... proszę cię... — wyrывała się Stefanja.

Lecz ona, dopełniając programu małomiasteczkowej kokieterji, w której panny zwykle wobec mężczyzn prześcigają się we wzajemnych pieszczotach, ciągle męczyła delikatną twarz Stefanji, wyrывającej się prawie przemocą od tego pocałunku.

Nagle zaskrzeciał głos Funkiera:

— Mazurek! mazurek! przed kolacją, angażować! gdzie pani Michałowa?

Stefanja z po za firanek wybiegła.

— Jestem.

Melcia niski, lansierowy ukłon przed Rudkiem złożyła.

— Jako „postępowa“ panna, angażuję pana do mazurka!

— Jako „postępowy“ kawaler odmawiam go pani.

— Pan nie tańczysz?

— Tańczę czasem, ale w tej chwili z przywileju pani korzystam i tańczyć nie będę.

— Widzę, że z pana inwalid!

— Być może!

— Gdzież się pan tak zinwalidził?

Stefanja podniosła na Melcię przerażone oczy.

— Melciu... co ty pleciesz?

Melcia skrzywiła usta ironicznie i rozłożyła z pretensją Hiszpanki, papierowy japoński wachlarz.

— Nazywam rzeczy po nazwisku. *Voilà!*

Odeszła, stawiając z góry nogi, mrużąc oczy z pogardą, maltretując inne dziewczęta.

Rudolf usiadł koło fortepianu.

Czuł sam wybornie całą płaskość swego przekomarzenia się z Melką. Mimo to, gdy wyzywała go, stojąc tak przed nim ze szpetotą swoją, z tą twarzą clowna, odpowiadał jej w trywialnym a poddanym przez nią tonie. Był to dla niego rodzaj źle przyprawionego korniszona podlanego octem: Siedmiu złodziei.

Stefanja zaczęła grać wezwane do mazura, wlewając dużo werwy w uderzane akordy. Myśl o pieniądzach, zostawionych przez Rudolfa, zaczęła ją znów dławić w okrutny sposób. Grając, rozmyślała nad sposobem dotknięcia tej kwestji.

Tymczasem pary formowały się na środku sali i wreszcie ochrypliły głos Funkiera zakomenderował:

— Mazur!

Jak konie ze stajni wypuszczone, tak rzuciło się całe stado w konwulsyjnych podrygach. Tupanie butów, hołubce, szuranie nóg kobiecych i piskliwy głos Funkiera przyspieszający: „dziś! dziś! dziś! jutro! jutro!...“ wszystko zawyroowało, zaszumiło w przestrzeni.

— Pierwsza para, druga para—liczył Funkier.

Tadek stał na boku ze smyczkiem ojcowskim w dłoni, patrząc bacznie na nogi mężczyzn.

— Pierwsze dwie pary!...

Puścił się książę i Funkier.

Sunęli jak baletnicy, obaj wyćwiczeni, dobrze na palcach się trzymając.

Przy nich podrygiwała Melcia, i jakaś sceniczna artystka faworytka Funkiera.

— Kółeczko!

Książę końce palców podał seminarzystce.

Nagle Tadek ze smyczkiem do tańczących podleciał:

— Ojcie! panna Melcia się negliżuje, tańczy na trzy nie na sześć!... O!... patrz ojciec sam!...

Z drugiego pokoju dolatywał szcęk talerzy, brzęk szkła i srebra o stół rzucanego.

Piskliwy głos posłanego po prowizje „pana“ rozlegał się z dziwną dokładnością.

— Jak Boga kocham! wszystkie salami z bufetu wzięłem, szprotów też przyniosłem, i dwa słoiki musztardy.

Rudolf, patrząc na tańczących i słysząc ten głos, zaczął znów doznawać dziwnego niesmaku.

Co tu robił, po co tu siedział w tym gminnym, ciemnym pokoju, pełnym zaduchu i jakieś rozhułanej szpetoty. Ta składkowa kolacja przygotowywana się po za drzwiami salonu, zniesiona z resztek bufetów nocnych knajp i gar-kuchni, to wino fałszowane, które Funkierowa zapewne roz-cieńczyła w tej chwili wodą, wziętą z dzbanka swej umy-walni w kącie dzieciennego pokoju, napieniało subtelną na-turę młodego chłopca wstrętem, rozwijającym się stopniowo.

Spojrzał na Stefanję.

Wydobyta na światło, wydała mu się znów jakąś nędzną i smutną. Czerwona rozwiązana tasiemka spływała jej dwoma końcami na piersi i dawała pozór szwaczki, która przewiesiła przez ramię pasmo czerwonej bawełny.

Grała jak maszyna, stępiona, na poczucie piękna i melodji, wybijając nuty, rzucając ręce niedbale zgięte w kostkach, czerwone od krwi nabiegu.

Wówczas Rudolf powstał z krzesła i ku grającej się pochylił:

— Idę! — wyrzekł, oczu jej szukając.

Nie odrywając rąk od klawiatury, spojrzała nań tak szczerze i tak serdecznie się uśmiechnęła, że znów doznał ośnienia na widok piękności jej uśmiechu.

— Do jutra! — wyrzekła spokojnie młoda kobieta.

— Do jutra! — powtórzył jak echo mężczyzna.

Nagle zatrzymał się i usta przygryzł.

— Kto panią odprowadzi? — zapytał.

W tem pytaniu dojrzała tylko braterską troskliwość.

— O!... pójdę sama! albo z panami. Ja już do tego przywykłam. Pan Funkier zawsze panów po komplecie do łaźni zabiera. Łaźnia w mojej stronie. Odprowadzają mnie!

Rudolf się wyprostował i szybko od fortepianu od-szedł.

Myśl o całej bandzie tych źle ubranych mężczyzn ordynarnych, o rannym świcie do łaźni śpieszących, dopeł-niała miary.

Stefanja bezwiednie zepsuła czar swego uśmiechu, opowiadając mu o tem zwykłym fakcie. Jego chora wyob-raźnia nie umiała przyjąć rzeczy tak, jak być powinny; we wszystkich jego węż, wzrok, słuch wchodził w grę. Każdy obraz psuł mu się niemal w chwili podjawienia.

Przesunął się cicho pod ścianami, jakby lękając otrzeć o którego z tańczących, i zniknął w ciemnym przedpo-koju jak drewniany manekin, sztywny, białoróżowy, w sło-necznej jasności zewnętrznej, wykwinny cerą, kształtem głowy i wybornym smockingu wykrojem.

W niespełną godzinę później, w sali jadalnej Funkie-rów, cała gromada „komplecistów“ otoczyła stół, na którym Funkierowa bez smaku i gustu ułożyła kolację.

Ostry zapach wędlin mieszał się z nieokreśloną wonią serów i charakterystycznym zapachem szprotów. Trochę cukierków różowiło się koło szklanej wyszczerbionej ma-sielniczki.

Długie faszki wódek, pod światłem zawieszanej nad stołem lampy, przybierały tony krwawników, topazów i ane-micznych szmaragdów. Brakowało chleba, ale zato dwie stare babki po dwóch końcach stołu sterczały. Szynka miała czarniawe zacięcia, a salami nie odwinęte ze srebrnego papieru, błyszczało matowym, chorobliwym blaskiem. Książ-że w środku stołu, mimo galanterji, pełen cynizmu, opychał się serami, unikając wędlin. Podsuwał jednak często swój kieliszek w stronę Funkiera, zapomniawszy, że trucizna rozpusty, jaką miał we krwi swojej, alkoholu nie znosi.

Zdawało się chwilami, że człowiek ten wyzywa śmierć okropną, i z kieliszkiem w ręku ją wita.

Lecz już i inni dopadli butelek i z hałasem wyciągali, korki, obcierając szyjki butelek spoconemi rękami.

— Jest w czem pławić konie! — roześmiał się Funkier licząc butelki.

Kobiety cisnęły się także do stołu, zanurzając widelce w stopy wędlin.

Taiowa szła do sypialni Funkierowej, rozsnuować zbyt ściśnięty gorset. Melcia otoczona „pannami“, uderzała się po płaskiej piersi, mówiąc z trjumbem:

— Nie noszę gorseta, to nie po europejsku!

Czyżyczkowa próbowała wódek jedną po drugiej, de-cydując, że wszystkie są mdłe i bez charakteru. Funkier promieniał, przekształcał się w gospodarza domu, częstował, ugaszczał, talerze ze szprotami podsuwał. I w tej atmosf-erze zacieśnionej jadalni, w której wszystko zdawało się przesiąkać wyziewami obiadowego smaku i topionych skwarek, rozpoczynało się podsycanie sztuczne organizmów,

wśród spóźnionej pory nocy zimowej.

— Jeszcze jedno! kawalerskie!...

Kieliszek szedł kołem. Funkier nalewał pewną kościstą ręką, silnie w palcach butelkę dzierząc. Kobiety miały swój odrębny do wódki kieliszek, lecz wargi mężczyźni spotykały się ciągle na jednym brzegu.

— Nagle, w gwar ten gburowaty wpadła cicha a niespokojna melodia. Było to coś urywanego, nerwowego, niepewnego, jakby szukającego oparcia. I ciągle uparta wracała nuta jedna, nieskończona, jakby w połowie przecięta, i brzęczała złowrogim dźwiękiem w łagodnej kolysance miłosnej.

Stefanja, pozostawszy sama przy fortepianie, grała „Smutne przecucie“ Szumana, które prawie bezwiednie wplątało się jej pod palce. Nie szła na kolację nigdy, zwykle dawano jej porcję złożoną na talerz, który stawiano na fortepianie.

Ona tymczasem przez czas trwania kolacji, grała zwykle jakąś łatwą, oklepaną melodię albo urywek z opery, a wówczas chór „komplecistów“ intonował z dzikim zapalem znaną arję.

Szczególniej Miserere z „Trubadura“, poruszało silnie uczucia tancerzy. Z ustami pełnymi salami i szwajcarskiego sera, śpiewali „O, Eleonoro!...“ wyciągając ręce i odrzucając w tył włosy. Lecz piosenka Szumana, dziwna, splątana wpadła nagle między nich ze zgrzytem złowrogim, jak powracający karawan pomiędzy karety weselne.

— Co to?—pytano dokoła.

— To... „Smutne przecucie“ Szumana — odezwał się cieniutki głos jakiejś skrofulicznej dziewczynki.

Funkier zaczął skakać jak młody żrebrak.

— Żadnych przecuciów smutnych! żadnych!... wesoło!... wesoło!... Pani Michałowa! a zagraj co z opery, nie marszuj nam żalobnie, bo nas w dołkach boli!...

Poskoczył do progu salonu i powtarzał, ciągle skacząc jak w konwulsjach:

— Wesoło! wesoło!

W jednej ręce trzymał flaszkę z „wiśniówką“ w drugiej butelkę „kulmbachera“.

Za nim jak cień mały a pokraczny, podrygiwał Tadek, z butelką „rózanej“ i kieliszkiem w garści.

Stefanja, zasluchana w rwące się smutnem przecuciem pieśni Szumana, drgnęła nerwowo, jakby ze snu zbudzona.

Rzec można, że Rudolf pozostawił po za sobą jakąś

smugę chorobliwej melancholji, która owionęła teraz duszę kobiety.

Zostawszy sama, nie mogąc ikać, ani dozwolić płynąć łzom, które do oczu jej biegły, zaczęła grać pieśni niemieckie, skarżące się, lękliwe, nerwowo udręczone.

Lecz trywialne wtargnięcie Funkiera szarpnęło nią całą.

W jednej sekundzie oprzytomniała, i powstrzymała uniesione ręce nad klawiaturą, jakby w pamięci szukając czegoś odpowiadającego nastrojowi ogółu.

I nagle, jak snop iskiei na ciemnem tle nieba, tak wybiegła w ciemną przestrzeń saloniku piosenka Alfreda:

Więc pijmy! więc pijmy!

Na chwałę miłości!...

— Otóż to!... otóż to!... — zaaprobował Funkier — Wesoło i z życiem!

Lecz już za nim, w głębi jadalni, cały chór biesiadników, sprzątnąwszy z talerzy salami i szproty, zagryzłszy ser babką, intonował wykwinną piosenkę Dumasowskiego bohatera, przywodzącą na pamięć bukiety kamelji i lzy suchotnicy. Tancerze i tancerki Funkierowskich komplementów, podpojeni wódką, rozepchani wędlinami, w przepoczonej odzieży, źle skrojonej i smutnej barwami wyli teraz chórem delikatną melodię, subtelną i poetycznie rozpustną.

XXVI.

Jak nietoperz zimny i oślizgły, a zda się atlas na skrzydłach mający, tak wsunął się teraz Rudolf do domu Stefanji.

Przychodził często o szarej godzinie, nie przeczuwając, że porę obiadu młodej kobiety odwłóczy do późnej nocy.

Ona czuła się tak szczęśliwą i radośnie usposobioną, że z rumieńcami na twarzy siedząc obok Rudka, nie czuła nawet głodu.

Dziudek tymczasem jadł obiad w towarzystwie Magdaleny, która za nic w świecie nie pozwoliłaby odwlec godziny obiadu.

Ile razy Rudolf wchodził na schody, otwierały się drzwi Wisienkiewiczowej i w ciemnej szparze błyskały okulary.

W przedpokoju witała go Stefania radosnym uśmiechem, wyciągała ku niemu ręce, które miała zwykle lodowato chłodne i czerwone.

On ujmował je w swe zimne, wilgotne dłonie, i tak wchodzili do saloniku, w którym paliło się w piecu, a czerwone błyski lizały podłogę, ciemną farbą teraz zaciągniętą.

Siadali przed drzwiczkami, na przygotowanych już fotelikach, oboje skępowani, niepewni, niewiedząc od czego rozpocząć rozmowę.

Najczęściej Rudek, oglądając się dokoła, pytał:

— Cóż słysząc?

Stefania odpowiadała cichutko:

— Nic.

I patrzyli na wnętrza pieca, w którym drzewo skręcało się w ogniste wężyki.

Powoli jednak kobieta zaczynała tajać jak bryła śniegowa.

Pomimo niezbyt wielkiego ciepła, jakie ze strony Rudka płynęło, Stefania ostrożnie i jakby nieśmiało, wydobywała na wierzch całą nędzę swego istnienia, przebyte smutki i niepewność przyszłości.

On przyjmował te zwierzenia jak brat dobry, lecz obojętny, przerywając jej od czasu do czasu wtrąceniem jakiegoś zdania, nie mającego związku z tem, co mówiła, rad w duszy serdecznie, że wybił ją z siodła!

Lecz ona, w prostocie swojej, nie czuła, w tem złośliwości małpy, otwierała tylko szeroko błękitne oczy i po chwili rozpoczynała swe opowiadania nanowo, cichym, jakby do snu kołyszącym głosem.

Rudolf z początku wyciągał z niej powoli te zwierzenia, czując, że Stefania należy do rzędu tych kobiet, których dusze pierwsi się odają, niż ciała. Z duszą jej wprawdzie nie wiedział, co robić, trochę zafrasowany tym niepotrzebnym dodatkiem, jednak dusza tej kobiety była tak prosta, tak nieskomplikowana, a przytem nawet i ciekawa potrosze w tej prostocie swojej, że Rudolf pozwalał łaskawie moralnej istocie Stefani wywnętrzać się powoli.

Umiejętnie, przewrotnie wodząc po labiryntach wymowy i subtelności, wydarł z niej najtajniejsze myśli, dziwiąc się nadzwyczajnej ciemności i brakowi jej estetycznych

popędów. Nie mając zamiaru przetwarzania tej istoty, ograniczał się na egzaminowaniu, sądowaniu, wprowadzaniu w chwilowy kłopot, patrząc z pod przymrużonych powiek na zaplonioną twarz kobiety.

Nie dotykał jej nigdy, jakkolwiek, siedząc w żarze, płynącym z rozwartych drzwiczek pieca, wiało silne pokuszenie zmysłowe.

W migocącym świetle, Stefania występowała jaskrawo oświetlona, poznaczona złoconymi iskierkami, które nadały jej charakter gorączkowo tajemniczy.

Lecz Rudolf wynalazł właśnie odrębną zmysłową rozkosz w odwlekaniu chwil zadowolenia swej chęci.

Patrząc na śliczną twarz kobiety, na delikatny wykrój jej ust, rozchylony i bezwiednie namiętny, Rudolf odczuwał wrażenie głodu, i ten głód podniecał go, podtrzymywał.

Zdawało mu się bowiem, że tylko rękę wyciągnąć powinien, a ta kobieta mu się w ramiona osunie, zwyciężona, spaliona, pełna chęci upadku.

Skoro tak szybko, tak natrętnie prawie odsłoniła przed nim tajne zakątki swej duszy, dla czego nie miałaby zrobić tego samego i z ciałem, oddać mu się cała, drżąca z wdzięczności i zachwyty?

Z powagą zupełną wydzierał z jej serca gołębie tajemnice uczciwej mężatki, odsłaniał z delikatną brutalnością sekrety alkowy, mówił o macierzyństwie, o narodzinach Dziudka, rzucając ciągle ukośne wejrzenia na jej dziewiczą twarzyczkę.

Stefania w pierwszych chwilach cofała się przerażona, zazdraśnięta w swej mieszczańskiej skromności, ale powoli, spokojny ton mowy Rudka, opiekuńcza prawie troskliwość starszego brata, z jaką badał stan jej zdrowia, głębiej domowego pożycia, ośmielała ją i do odpowiedzi skłaniała.

I teraz też, rozgadana, rozgorączkowana chęcią wypowiedzenia wszystkiego, co przeszła, opowiadała już sama, szperając w swej duszy, w nieszczęściach swych, często laniem przerywając mowę. Miała bowiem naturę do zwierzeń serdecznych skłonną, a tyle chwil ciężkich nagromadziło się na dnie tej duszy, że tylko potrzebowała czerpać i razem ze łzami na światło je wydobywać. Miała w tem ulgę wielką, po raz pierwszy w życiu mówiąc o swym bólu, ona, która do tej chwili za powierników miała: tylko poduszkę, albo zimną ścianę, o którą skłopotaną głowę opierała, czoło rozpalone chłodząc.

Tymczasem Rudolf naprzeciw niej siedząc, kołysany

jej monotonna, cicha, łzawą skargą, ani na chwilę nie zapomniał o celu, do którego dążył. Nic go nie wzruszało, ani jej nędza, ani niedola, jaką przechodziła. Stefania mogła przed nim wypłakać wszystkie łzy swej duszy, on ciągle myślał o tem, w jaki sposób mu się odda, będąc tak smutnie egzaltowaną.

I powoli grunt uprawiał, rzucając od czasu do czasu jakieś pytanie nawskroś zmysłowe, pochylając się przytem z udaniem współczuciem i zajęciem.

Stefania odpowiadała niechętnie lub milczała skłopotana, bojąc się obrazić i zniechęcić tego „brata“, przy którym odpoczywała, oddychała kąpiąc się w atmosferze fikcyjnego ciepła, które z niego ku niej płynęło. Była tak udręczona, i przychylności żadna, że nędzną, zdawkową monetę histerycznego analizatora, brała za szczere złoto uczucia. W pierwszych chwilach niespokojna i drżąca, od pamiętnego dla niej *kompletu* u Funkierów, uspokoiła się, szczęśliwa, że tak a nie inaczej ułożył się jej stosunek z Rudolfem. Możliwość wprowadzenia zmysłowego zbliżenia, nie powstała nigdy w jej głowie. Dla niej sprzeniewierzenie małżeńskie było strasznym słowem i, robiąc rachunek sumienia, nie czyniła nigdy nawet odnośnego ustępu. To nie było dla niej, to szóste przykazanie, ani dla niej, ani dla innych kobiet jej znanych. Te, dla których w rachunku sumienia wypisano tak nieprzyzwoite pytania, musiały istnieć na nieznanych dla niej ulicach i zaułkach.

Niepokój jej w chwili układania się jej stosunku do Rudolfa pochodził ztąd, że nie była pewną stopnia poufałości, w jakiej pozostaną. Przytem, był to moralny wyrzut, iż człowiek obcy zajmuje w myślach jej tak szerokie i nieokreślone miejsce. Lecz było to silniejsze od niej. Spryt Rudolfa, wkradnięcie się w rany jej duszy, zwalczył reszłę skrupułów. Szła, teraz z wyciągniętymi rękoma ku lodowni, która się jej wydawała promiennem ogniskiem. Szła, siejąc po drodze perły łez i diamenty zwierzeń, i jak biblijna przepowiedź mówi: „Rzucała perły przed zwierzę!“

Raz jeden, Rudolf powróciwszy z długo przeciągającego się śniadania, którem książkę oblawał nową nadsyłką pieniężną, wszedłszy do saloniku, czuł się trochę bezsilnym i zrozumiał, że nie będzie może w stanie ściągnąć cugli zmysłom swoim.

Tembardziej, że od pewnego czasu „ten drugi“ zniknął, pozostawiając Rudka w spokoju, nie drażniąc, nie drwiąc, nie walcząc bezustannie. Rudek był trochę swobodniejszy, lecz fantazji jego silnie podnieconej nic nie hamowało sceptycznymi przycinkami. Dziwił się sam, że zaczynał znajdować świat trochę weselszym i rano budził się bez ciężaru, który mu zawsze mózg ugniatał.

Stefania dnia tego miała na sobie flanelowy niebieski szlafroczek, który Jenta jej sprzedała za kilka guldenów. Jasno błękitny aksamitny kołnierzyk obejmował delikatnie jej kształtną szyję. Ował prawie przezroczysty odcinał się na tym błękitcie. Ciężki węzeł włosów skromnie splecionych, jasną niebieską wstążką związanych, osunął się jej na kark. Była to kokieteryja uczciwej mężatki, kokieterja zapięta szczerze pod szyję, z długimi rękawami, obszytymi koroneczką, z gorsetem szczerze ściśniętym pod flanelą szlafrocza. Niemniej przeto, był to nowy, jasny wdzięk dziewczęcia i nie skażony.

Rudolf objął ją wzrokiem i silnie zębami przyciął dolną wargę.

Stefania siedziała przed nim, uśmiechnięta, trochę zakłopotana długimi połami szlafrocza, które opinały jej wychudłe kolana, opadając ciężko na ziemię.

W prostocie swej nie rozumiała, że często zmiana barwy sukni, jej krój, przewiązanie wstążki, budzi w mężczyźnie zwierzę.

Nie wiedziała i nie rozumiała, że jej w niebieskim kolorze do twarzy; miała tylko w sobie zakłopotanie biednej istoty, która nie przywykła jeszcze do nowej barwy odzieży.

Była rano w szpitalu, i o tej wizycie opowiadała Rudolfowi, zdając mu dokładnie sprawę z całej bytności.

Nie widziała jeszcze Michała, ale lekarz naczelny, bardzo grzeczny człowiek, mówił jej, że stan chorego jest o wiele lepszy, że atak epileptyczny był wypadkowy i niejako dodatkowy do ogólnego stanu choroby, że nie powtórzył się już w murach szpitalnych, że Michał powoli odzyskuje przytomność, choć często jeszcze zamykają go w *powijak*.

I powoli, z łagodnym, choć nieśmiałym gestem tłomaczyła zapatrzonemu w nią Rudkowi, co to jest „powijak“, który wyrugował używanie „kaftana“, jak powijak taki jest urządzony i jak pozwala choremu transpirować, poruszać się, oddychać, nie dławiąc go, jak to miało miejsce przy kżyciu kaftana.

Zapolska *We krwi* (Lektor).

Teraz, chodząc często do szpitala, interesowała się tem wszystkim, chwytając gesta i wyrażenia lekarza z fotograficzną dokładnością. Według zdania doktora, Michał rzadko już przebywający w wyścielanej celi, jest w fazie zakończenia nerwowego naprężenia, i przechodzi w stan wyczerpania, który wymaga wielkich starań i ciągłej opieki.

Teraz mówiła spokojnie o Michale uważając go za zwierzę niebezpieczne, w dobrej klatce zamknięte. Ostatnia scena wywarła na niej wrażenie głębokie, a cisza, która panowała teraz w jej ścianach, wydawała się rajem niczem niezakłóconym. Pomimo tego, co mówił doktor, traktując pijaństwo Michała jako chorobę, ona ciągle, z uporem mieszczańki, zaliczała je w poczet grzechów głównych i jako bunt przeciw Bogu uważała. Dlatego Michał robił na niej wrażenie człowieka, który w śmiertelnym grzechu dobrowolnie się nurzał i ją katował.

O! bo teraz zaczynała pamiętać każde uderzenie i każdy policzek, każde kopnięcie!

Gdy skarżyła się o szarej godzinie przed Rudolfem, zdawało się jej, że przechodzi powtórne męczarnie, powtórny ból, powtórne upokorzenie...

Michał rysować się jej zaczynał potwornymi linjami.

Miała w sobie mściwe przypomnienie słodkich i pokornych istot.

I dnia tego, siedząc na swem zwykłym miejscu, kręciła w rękę gałązkę bzu białego, którą jej przyniósł Rudek, owiniętą w watę i białe wstążki. Głaszcząc delikatne, wężkie listki, ciągle powracała do owych czasów, kiedy nie kwiaty, ale sińce były jej udziałem. Straciła godność i chęć ukrywania swej nędzy; z jakąż dziwną rozkoszą roztaczała przed Rudkiem okrucieństwo mężowskie!

Rzec można, że sama przed sobą z czegoś się usprawiedliwić pragnęła...

Nagle Rudek jej przerwał:

— Chodźmy tam! będzie lepiej...

Ręką wskazywał kąt kanapy w cieniu niknącej. Ona swe wielkie, dziecinne oczy na niego podniosła.

— Pan się boi od ognia kataru? — zapytała spokojnie.

Ręka mężczyzny opadła.

— Nie! zostanmy tak, jak jesteśmy.

— Jak pan chcesz, mnie wszystko jedno!

I znów monotonnym głosem, kołysankę swych skarg rozpoczęła, podczas gdy Rudek doznawał jakiegoś uczucia

niepewności i zadowolenia, że jeszcze chwila stanowcza nie nadeszła, i ta delikatna postać kobieca, po której ślizgały się złotawe płomienie, nie stała się jego kochanką.

XXVII.

Bo widzisz... te pierścionki, o nic nie chodzi, tylko o te pierścionki. Trzeba je odebrać!

— Tak! tak! pomyśl o tem, bądź spokojny, odbierzemy je z pewnością!

— Nie, ty mnie nie rozumiesz. O nic mi nie chodzi, tylko o pierścionki.

— Tak! wiem, przecież mówię ci, że je odbierzemy.

Stefanija powstała z krzesła i podeszła do okna, z którego dojrzeć można było dziedziniec szpitalny, równy, czysto umieciony, okolony sztachetami, za którymi rozciągał się ogród i nieprzejrzany szmat białego zasłanego pola.

Kwadrans już czekała w tym małym pokoiku wyklejonym szarem obiciem w martwe, duże, białe róże. Cztery wypłatanie krzeselka stanowiły umeblowanie. Nóżki ich odbijały się w lśniącej posadzce, jak w zwierciadle, a szary sukienny chodniczek, oblamowany czerwoną tasiemką, przecinał nagle ten błyszczący kwadrat smutną pręgą, i ciągnąc się od drzwi wchodowych, znikał we drzwiach, prowadzących do drugiego pokoiku, w którym słychać było smutny, monotony głos warjata, rozmawiającego z żoną, i dopominającego się ciągle, bezustannie o jakieś pierścionki.

Gdy Stefanija weszła do pawilonu i, przeprowadzona przez posługacza, udała się do parlatorjum, ci dwoje byli już tam, w tej małej klatce; on dziwnie łagodny i spokojny w swej szarej sukiennej kurtce, ona zapłoniowana, zgorączkowana, w płaszczu futrzanym u szyi rozpiętym, jakby tchu jej brakowało do odpowiedzi na te bezustanne, dławiące, straszne w swej monotonii polecenia warjata.

Stefanija pozostała w pierwszym pokoju, zgębiona tą bolesną tragedją najstraszniejszego nieszczęścia, jakie się przed nią rozegrało. Przez otwór, bo drzwi z zawiasów wyjęto, widziała dokładnie młodą kobietę, opartą o ścianę, czerniejącą na białym tle obicia, silnymi konturami ciemnych barw płaszcza i kapelusza. Przed nią w postawie złowionego na gorącym uczynku studenta, stał mężczyzna, młody

prawdopodobnie, lecz w tem potwornem ubraniu, zatracającym wiek, urodę, barwę, tak smutny, stary, bezbarwny, jak szary ślimak na piasek opadły.

Ręce jego zwieszone po obu stronach ciała, prawie martwe, były dziwnym kontrastem z niespokojnym ruchem rąk młodej kobiety. I był to dziwny, nienaturalny przewrót ról. Ona, zdenerwowana, drżąca, niespokojna, on nieruchomy jak słup szarej soli przed nią wbity, z oczyma wlepionymi w jej szyję, z głową pochyloną jakby od uderzenia potwornej a niewidzialnej pięści.

Obok nich, na jednym z krzesełek, duża paka, owinięta jasną bibułą, z rozwartem i rozszarpanem wnętrzem, z którego wysuwały się okrągłe kule pomarańcz, kładących w tę szarą jamę tonów, dobitny ton jaskrawy i krzykliwy.

— Bo widzisz... chodzi mi o te pierścionki—ciągnął znów warjat.

Wówczas Stefanja wstała i podeszła do okna, do głęboko wzruszona przejmującym głosem obłąkanego.

Po raz pierwszy wprowadzono ją do tego pawilonu, który zdawał się drzeć spokojnie wśród bieli śniegowej.

Zwykle rozmawiała z doktorem w głównym budynku, w żółtej dużej sali, koło której ścian biegły wazki szlabany. Jasna i czysta głowa doktora, głowa zdrowego blondyna, dodawała jej zwykle otuchy i uspakajała ją trochę. Wchodziła do tej dzielnicy nędzy ludzkiej ze strachem, z wrodzoną trwogą przed ludźmi obłąkanymi, i siedząc na jednym ze szlabanów, rada była przez grubość ścian dojrzeć, co się we wnętrzu tych budynków odbywa. Nie spotykała nigdy żadnego chorego ani na korytarzach, ani w rozmawialni, do której szła szybko, wsuwając głowę w ramiona. Lecz dziś miała zobaczyć Michała, zobaczyć go po raz pierwszy od tej strasznej nocy, w której policjanci wynieśli go, okrytego ciemnymi fałdami płaszcza.

Doktor mówił wprawdzie, że mąż jej oprócz niezmiernego wyczerpania, jest zupełnie przytomny, ona wszakże niedowierzała, strachem zdjeta, chora prawie na myśl tego widzenia, mając ciągle przed oczami straszne, krwią nabiegłe żrenice tego człowieka, z wysuniętą naprzód szczęką, opłute żółtą pianą usta i tę pięść kata, pięść opadającą na jej głowę miarowym ruchem piekielnej maszyny.

Ten warjat w drugim pokoju żonę torturujący, łagodny jest przynajmniej i cichy. Stoi nieruchomo i płaczącym głosem dopomina się o jakieś pierścionki. Ale on! ale Michał! jakże się jej oczom przedstawi? jakimi obelgami

zionać znów będzie na jej widok. Kto wie, może do bicia się porwie?

Nagle zapukano do drzwi i głos z wnętrza korytarza dał się słyszeć, cichy ale odnośny:

— Wizyta skończona!

W drugim pokoiku poruszyło się coś wreszcie.

Warjat cicho, spokojnie, jak cień szary i nie wyraźny, z miejsca się oderwał, i po dywaniku ku drzwiom korytarzowym śpieszył. Szedł jak kot, ręce w tył wyciągał i palce krogulczo zaginał. Nie wziął pomarańcz, nie pożegnał się z żoną, przemknął przed oczyma wciśniętej w kąt Stefanji z szybkością niepochwytanego zjawiska. Miał w sobie grozę niewyraźnych konturów, nogi rozplywające się w powietrzu. Był jakby cieniem człowieka, cieniem, skradającym się, szybkim, potwornym. Drzwi nacisnął i włączył gmachu zniknął.

Młoda kobieta nasuwała kapelusz, zapinała już na progu palto i, oddychając ciężko, z oczyma w ziemię utkwionymi, po tej samej ścieżce szarej i miękkiej, po której przed chwilą przemknął warjat, iść zaczęła. Była to jej Golgota, nie tylko jej jednej, ale wielu innych kobiet, które do tego męskiego parlatorjum wchodziły, drżące na myśl spotkania się ze swym chorym, a odchodziły dyszące, dławiąc się łzami, z gorączką na ustach i ranami w sercu.

Stefanja mimowoli kobietę tę ku drzwiom wzrokiem przeprowadziła, i dostrzegła siwe pasmo włosów w ciemnym warkoczu z tyłu głowy nisko na karku upiętym. Kobieta była przecież młoda i warkocz był pełen i ciężki. Mimo to, białe pasma się wily, smutne, jak noce bezsenne.

Drzwi się zamknęły, i Stefanja pozostała sama. Zdjął ją dreszcz nerwowy, uczuła silne w piersiach ściśnięcie i nagłe uczucie czczości i pragnienia. Oparła się o ścianę i stała tak, oczekując, nasłuchując, chwytając każdy szmer wyłożonym uchem.

Lecz w głębi pawilonu wszystko spało w tajemniczej ciszy, ani jeden wykrzyk, łoskot, ani szmer kroków się nie przejawiał. Było coś klasztorowego w tym wielkim spokoju, coś z ciszy grobów drzemących wśród śniegu. Było to wielkie mauzoleum ludzkiego rozumu, sarkofag dusz zmąconych i w nicość idących.

Nagle stłumione, jakby aksamitne kroki dały się słyszeć za drzwiami.

Stefanja wyprostowała się, nawpół nieprzytomna z trwogi i oczy we drzwiach utkwiała.

Otworzyły się one zwolna, i w ciemnym zagłębieniu

kurytarzowego wnętrza stanął nowy cień szary, lękliwy, niepochwytany. To samo opuszczenie rąk wzdłuż ciała, to samo pochylenie głowy...

Stefanija stała ciągle koło ściany, nie mogąc postąpić kroku.

Michał wzrokiem jej szukał, mrużąc zapalone i purpurową obwódka obwiedzione powieki.

Dostrzegłszy, wolnym, cichym krokiem posunął się ku ścianie, rąk wszakże nie wyciągając.

— Dzień dobry! — wyrzekł złamanym, bezdźwięcznym głosem.

Stefaniji zdawało się, że to ktoś przemówił pod jej stopami nisko, pod lustrzanym kwadratem podłogi. Lecz przed nią już stał jej mąż, ten Michał, kat i pijak, rosnący w czasie swej nieobecności do rozmiarów potwora, w imaginacji jej potrosze mściwej i rozmowami z Rudkiem drażnionej, kształty i dzikość zwierzęcia mający.

Tymczasem, w tym złamanym, smutnym, znędziałym człowieku, owiniętym w grubą szarą kurtkę i także spodnie, zdawała się istnieć gołębia słodycz zbitego dziecka, które głodne i zziębnięte do domu powraca.

Gdy stanął tuż przed nią, bezbarwny, z twarzą obrosłą rzadką, nędzną brodą, z ustami bladymi jak oplatek, z cerą twarzy żółtą, poprzecinaną siecią ledwo dostrzegalnych zmarszczek, w piersiach Stefaniji zamarł oddech na widok tej strasznej nędzy fizycznej i tego upadku duszy, która zdawała się powracać do stanu niemowlęstwa i życia się dopraszać.

I nagle uczuła straszny zawód.

Wolałaby spotkać Michała rozżartego, straszniego, z pięściami podniesionymi nad jej głowę, i z nogą wyciągniętą, gotową do strącania jej ciała, skopania głowy.

Ten Michał smutny, pokorny, stojący przed nią, ze łzami w zapadłych i zaczerwienionych oczach, szarpał nią całą, nie budząc litości...

Nie litowała się nad jego nędzą, nic w głębi jej istoty nie drgnęło gorącem, uznanem jej uczuciem.

Zrozumiała w tej chwili całą prawdę.

Przestała go kochać.

Mimo to, gdy on wyciągnął powoli rękę, zbliżyła się i dozwoliła mu się ucałować.

Zaparla jednak w sobie oddech, tak ciężka woń tej szpitalnej odzieży zdławiła ją.

Cofnęła się znów i do ściany przylgnęła, przybierając

mimowoli tę samą pozę, jaką miała przed chwilą ta druga gdy przed nią stał taki sam cień szary, pokorny i cichy jakby pod niewidzialnym a dla niego widocznym batem kark chyłacy.

Czuła, że powinna coś przemówić, choćby się rozplakać.

Ani łzy, ani słowa znaleźć nie mogła na swe usługi.

— Usiądź! — przemówiła wreszcie, podsuwając mężowi krzesło.

On usiadł na brzeжку, ciągle w tej podstawie potulnego dziecka.

— Jakże się teraz czujesz?

— Bardzo słaby jestem — odparł prawie ze łzami w głosie — bardzo osłabiony!

Umilkł i, zwracając swe szafirowe oczy, które kolor swój zupełnie straciły i w żółtej powierzchni białek pływały — wyczytała:

— Chciałbym wrócić do domu.

Ona doznała nagle jakby olśnienia.

— Do domu! on! Michał!

Oddawna przez umysł jej, w krainie fantazji się plawiący, nie przeszła możebność powrotu do domu tego człowieka, męża i pana, którego była do śmierci żoną i niewolnicą.

Przymknęła oczy, czuła, że jej serce w piersi zastyga. On wyciągnął rękę, cokolwiek nabrzmiała, oznaczona szeroką czarną obwódką.

— Nie mówisz nic, czy się na mnie gniewasz?

Oprzytomniała siłą woli i powoli pochyliła się ku niemu.

— Za cóż miałbym się gniewać na ciebie — spytała.

Głos jej brzmiał jakoś sucho, drewniano. Była w nim nuta żalu, nuta, dawniej jej zupełnie nieznana. W niewolnicy zbudziła się kobieta, i ta przebaczyć nie mogła, czy nie chciała.

— Byłem niedobry dla ciebie, dokuczałem ci. Teraz już się odmienię... będę innym...

Zapanowało znów milczenie.

Stefanija z pod przymrużonych powiek patrzyła wciąż na męża.

Łagodne jej zwykle usta miały w sobie jakiś lekki cień zuchwałej ironji. Siedząc tak przed nią skurczony, przypominał jej Dziudka, który zwykle tak na ławeczce swej siadywał, trzymając głowę wyciągniętą i ku lewemu ramie-

niu przechyloną.

— Nie pytasz o dziecko? — przemówiła wreszcie.

Po twarzy Michała przemknął cień niepokoju.

— Co robi?

— Nic.

— Nie chore przecież?

Jakaś nagła chęć zgnębienia męża przemknęła przez umysł Stefanji.

— Ono wiecznie chore i nędzne!

Michał ręce nerwowo zacisnął.

— Dla czego?

Chciała mu już rzucić całą gorzką prawdę w oczy, chciała mu powiedzieć, że dziecko, w tej pijackiej atmosferze, w jakiej żyło, nie mogło być przecież wesołe i mieć jasnej cery, lecz jakiś nieokreślony wstręt do wdawania się w dyskusje z tym moralnym i fizycznym nędzarzem ogarniał ją całą.

Był to najstraszniejszy rodzaj litości, jaki ogarnąć może kobietę — bo litość zrodzona ze wstrętu.

Teraz każda sekunda niemal zaznaczała się dla niej czymś nowem.

Od obojętności przechodziła w pogardę i odczucie, fizycznej niechęci, która zapanowała w niej wszechwładnie z błyskawiczną szybkością.

Nie lękała się teraz Michała, wyprostowana, chmurna; stała ciągle koło ściany, jak sędzia surowy i nieubłagany, mając przed sobą, tuż u stóp prawie, skurczonego i jakby nieszczęściem zgniecionego dawnego tyrana.

Była to jakby chwila odwetu, rozpoczęcia zemsty, wypłaty razów i łez, bezsennych nocy i upokorzeń straszliwych.

Cały różaniec wieczorów, spędzonych obok Rudolfa, w podniecającej atmosferze gorącego ognia i skarg ze szkodrobliwością niedość inteligentnej kobiety rzucanych, rozwinął w niej tę nerwową jakąś namiętność, mającą już zaczątki budzącego się egoizmu.

Radość z ustania cierpień już jej nie wystarczała; teraz potrzebne jej było cierpienie sprawcy nieszczęść. Był to nieubłagany szereg objawów w jej duszy, mającej, tak jak wreszcie dusza każdej przeciętnej mieszcanki, dobrze prowadzoną rachunkowość.

Skoro się raz księga roztworzy, skrupulatnie wszystko obliczyć potrzeba. Każdy uśmiech i każdą łzę, każdą boleść i zadowolenie.

Księga rachunków w duszy Stefanji odemknęła się wśród tej ciszy szpitalnej, ciszy szlimazarnej i bezbarwnej, przepojonej, zda się, tym jęczmiennym wywarem, który pijący w siebie chłoną.

Lecz w księdze tej były same łzy.

Uśmiechu nie było wcale.

I Stefanja, stojąc tak przycisnięta do jasnej ściany, z oczyma utkwionemi w przestrzeń, zdawała się liczyć... liczyć...

Z dziewiczo-słodkiej, łagodnej, i choć nerwowej, lecz spokojniej, twarz jej stawała się powoli surową, chłodną, nieubłaganą.

Cień jakiś spadał na nią, cień szary i groźny.

Tymczasem twarz Michała kurczyła się w łzawem rozrzwinięciu. Koło ust drżących, w podkowę opuszczonych, rysowała się siatka zmarszczek.

Siedział ciągle na swem krzeselku, i skubiąc sukno odzieży, powtarzał cichym, stłumionym głosem:

— Chciałbym wrócić do domu! do domu...

.....

Lecz gdy wieczorem Stefanja znalazła się znów sam na sam z Rudolfem, ogarnęło ją nieokreślone, ale dla niej niepojęte uczucie niesmaku.

Zdawało się jej po raz pierwszy, że ten młody chłopiec, rozłożony na fotelu w biednym saloniku, gra dziwną rolę intruza, i zabiera czyjeś miejsce, a zabiera z natrętną siłą i pewnością siebie.

Gdy powitał ją zwykłym: „co słyhać?”, nie odpowiedziała mu nic, tylko z pod brwi zsuniętych patrzyła, jak przysuwał leniwym ruchem bliżej pieca swój fotelik i jak układał się na nim kociemi, okrągłemi poruszeniami.

Gdy usiadł i założył nogę na nogę, tak, że z pod obrębu spodni wysunęła się guma buta i część stalowo-czarnych jedwabnych skarpetek, przeciętych wysoko linją czarnej gumowej podwiązki, Stefanja wpatrzyła się uparcie w sylwetkę wyciągniętej impertynencko tej nogi, która tem ujawnieniem tajemnic odzieży zdawała się jej uragać, znieważać zuchwale, nie dbając o formę, o wdzięk, o estetyczną stronę.

Na ponowne pytanie „co słyhać?” milczała ciągle, przytłoczona, zdenerwowana, czując, że teraz życie jej jest przepełnione obcemi, że ci obcy zamiast spokoju, dają jej

jakieś niezdrowe pragnienie samotności, i że ten Rudolf, którego wczoraj jeszcze tak słodko i tak spokojnie kochała, obecnością swoją pogrąża ją w jakiś odmet, z którego nie ma uczciwego wyjścia.

Nie słysząc odpowiedzi na dane pytanie, Rudolf spojrział zdziwiony na siedzącą naprzeciw niego młodą kobietę.

Była chmurna i łagodne jej zwykle usta wykrzywił niedobry uśmiech zdenerwowanej istoty.

Węchem sprytnego mężczyzny odczuł Rudolf jakąś moralną zmianę w duszy Stefanji.

— Byłaś pani w szpitalu? — zapytał.

— Byłam — odparła sucho, jakby chcąc urwać zawiązującą się rozmowę.

— Widziałas go pani?

Stefanja chwilę milczała.

Po raz pierwszy Rudolf wydał się jej niedyskretnym. Wezwał się w jej tajemnice. Zapomniała prawie, że od kilku tygodni ona sama wylewała całe potoki, skarg pod jego stopy.

— Widziałam — odparła po chwili.

— Cóż? rzucał się bardzo?

Stefanja powstała z miejsca i odsunęła fotelik aż pod ścianę.

— Nie rzucał się wcale; przeciwnie, zachowywał się zupełnie spokojnie...

Mówiąc to, patrzyła ciągle na nogę Rudolfa, na tę stopę długą, wąską, impertynencką, tak zuchwale w blaskach ognia sterczącą. Gdyby nie powstrzymywała ją wrodzona nieśmiałość, ona teraz zrobiłaby Rudolfowi scenę za sposób jego siedzenia i mówienia do niej z przymrużeniem oczyma. Czuła instynktownie nienaturalny stosunek, jaki ją wiąże z tym człowiekiem.

Dopóki Michał był tylko cieniem męża, daleko, w białych murach szpitala, czar trwał, wzrastając ciągle; lecz teraz, gdy ten mąż z pomroki zapomnienia wstał jak szary upiór, pokorny, lecz groźny, Rudolf spadał do roli intruza denerwującego, bolesnego, a w dodatku gburowato-zuchwałego. Stefanja nie miała w sobie przewrotnej żądzzy żon niewiernych, które w niebezpieczeństwie i obecności męża znajdują smak zaostrzający ich tępiący się już temperament. Nie, pomimo uroku, jaki na nią Rudek wywierał, pozostała zawsze szlachetną, uczciwą naturą.

Widziała Michała: ten cień oblókł się w ciało i stanął przed nią, jak wspomnienie obowiązku z danej przed

oltarzem przysięgi.

Na czule brutalności Rudka, zatopiona w jego pozornej dobroci, jaką ją otaczał, czuła się samą i tuliła się tam, skąd wiało ciepło. Dziś widziała Michała, i skrytość jej wrodzona ocknęła się z letargu. Nie chciała, aby ten obcy wdzierał się dalej w jej tajemnice. Z Michałem wiązała ją cała przeszłość dni razem spędzonych, nocy przespanych, nędz przebytych.

Z Rudolfem nie wiązało jej nic, prócz silnego uroku, jaki na nią wywierał. Cofnęła się w głąb swej duszy i cierpienie jej stało się znów skryte i milczące.

Natomiast w zdenerwowaniu tem stała się dziwnie czuła i wrażliwa. Raz jeden wstąpiwszy na drogę podejrzeń i niezadowolenia, w każdym słowie Rudka znajdowała coś, co ją drażniło.

Gdy zdziwiony jej obejściem, rzucił jej przez ramię:

— Powiedz pani, jakże to tam było?

Wzruszyła ramionami w sposób jej zupełnie nieznan.

— Nie powiem... bo nic niema ciekawego do powiedzenia.

Rudek powoli głowę ku niej odwrócił:

— Ale przecież widzieliście się poraz pierwszy. Cóż mówił?

Stefanja przyklękła przy piecu i po polanko drzewa sięgnęła.

— Nie pamiętam co mówił.

— Ale się już wytrzeźwił?

Młoda kobieta uczuła się jakby osobiście dotknięta. Wyprostowała się i, oświetlona purpurą ognia, prosto w twarz Rudka spojrzała.

— Wytrzeźwił się zupełnie... możesz pan być spokojny — odparła, odkładając trzymane już w rękę polano.

Poraz pierwszy nie pożałowała drzewa na ogień, i z ukrytą jakąś radością patrzyła na dopalające się kawałki.

Rudolf przeczuł, że to, co nastraja duszę Stefanji jest ważniejsze, niż mu się w pierwszej chwili wydało. Zrozumiał, że jeśli nie chce przegrać partji, powinien odejść jak najprędzej i przyspieszyć chwilę, do której dążył. Jeśli stan taki potrwa, ta kobieta może mu się wymknąć, zmęczona zbyt silnem wrażeniem wewnętrznem. Przerachował się; samo zaufanie nie wystarczało, obce wpływy niweczyły misterną tkanę.

Jeżeli chciał posiadać Stefanję, posiadać raz jeden, tak, jak zresztą zamierzał, powinien się śpieszyć, korzystając

z czasu, jaki jeszcze pozostał. Widział, że ta kobieta ma religję wspomnień i obowiązku, i że mu się nie odda w tem mieszkaniu, obok dziecka, wśród sprzętów, przypominających jej męża. Trzeba było przedsięwziąć coś innego, obmyśleć plan, ułożyć *mise en scène*...

Zresztą, Rudolf nadto cenił delikatną piękność Stefanji, aby chciał ją pojąć w tem gminnem otoczeniu, na tandencie kupionych mebli. Z tą główką młodej dziewczyny, robiła na niego wrażenie panny młodej, nieświadomej i płochliwej.

Stanowczo biały bal, koronki, snop róż i delikatny zapach perfum Ylang, powinny się płatać w tej psychologicznej chwili upadku.

Rudolf miał stępione uczucie wyrafinowanej delikatności.

Nieznosił siatkowych firanek i flanelowych spódnic, a sam prezentował w szarej godzinie rozciągnięte gumy butów i stalowe skarpetki.

.....

Gdy Rudolf wyszedł, Stefanja długi czas siedziała z łokciami, opartymi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Gdy się drzwi zamknęły, Rudolf stał się znów cieniem, i opuszczony przed chwilą fotelik pozostał samotny, czerniąc się w słabych blaskach dogasającego ognia.

Wówczas Stefanja poczuła straszny ból, jakby jej serce ktoś rozdzierał na poły żelaznemi, zimnemi szponami.

Wyciągnęła ręce w stronę drzwi, pierwszy raz zdjęta szaloną chęcią przytulenia się do piersi Rudolfa, i dwie strugi gorących łez stoczyły się jej po twarzy...

XXVIII.

W kilka dni później, gdy Stefanja wychodziła na lekcję, Magdalena weszła do jej pokoju. Dewotka trzymała w ręku laskę z podłużną, srebrną główką, w stylu Ludwika XIV-go.

— Proszę pani, to stało w przedpokoju!

Stefanja, będąc już przy drzwiach, spojrzała zdziwiona.

— Skądże się to wzięło?

— Pan pewnie zostawił.

Lecz Stefanja pokręciła głową:

— Nie, Magdaleno, pan nie ma takiej laski.

— Jakże nie ma! — obruszyła się sługa — ile razy wieczorem przyjdzie, to ją w kącie stawia!

Na twarz Stefanji wybiegły płomienie.

„Pan“, to znaczyło, Rudolf!

Chciała coś odpowiedzieć, zaprzeczyć, lecz Magdalena imponowała jej zawsze powagą nieskalanej kobiety, spowitej w prostą, czarną szatę sługi-bigotki.

— To panowa laska! — ciągnęła dalej sługa.

Lecz Stefanja była już na schodach i, przechodząc mimo drzwi Wisienkiewiczowej, poczuła silne uczucia wstydu i bojaźni. Wiedziała, że Magdalena zatrzymuje się na pierwszym piętrze i w kuchni wie dzie rozmowy. Wisienkiewiczowa więc musiała być powiadomiona o wizytach Rudolfa, i to powiadomiona przez Magdalene, która go nazywa... panem!

Czemże będzie Michał, skoro powróci?

10

.....

Tymczasem Magdalena, która, pomimo swej dewocji służyła przeważnie u utrzymanek, rekrutowanych z Tingel-Tanglów, i teraz nauczyła się chodzić na nieszpory i nazywać najczęściej bywającego w domu mężczyznę „panem“, odniosła z uszanowaniem laskę do przedpokoju, a wracając przez jadalnię, otworzyła kredens, wyjęła cukierniczkę, wzięła kilka kawałków cukru i, zawinawszy je w chusteczkę do nosa, weszła do kuchni.

— Chodź, synku! — wyrzekła do Dziudka — będziesz się przykazań Bożych uczył.

I, usiadłszy nad koszykiem, wybierała zeń ziemniaki, odkładała je w ścierkę, a dziecko, na ziemi przysiadłszy, powtarzało w ciszy zimowego ranka:

— Piąte: nie zabijaj!

— Nie bijaj!

— Szóste: nie cudzołóż!

— Nie łóż!

— Siódme: nie kradnij!

— Nie tradni!

XXIX.

Pode drzwiami salonu zatrzymała się Stefania. Jadwinia, siedząc sama przed fortepianem, grała „Warum“ Schumana.

Fortepian jęczał, płakał, skarżył się pod rękami dziewczyny.

Stefania, przywykła do drewnianej gry Jadwini, stała zdziwiona.

Dziecko to miało w sobie całą przepaść uczucia już obudzonego.

Uczucie to tłumila w sobie, dławiła je ciągle sztywna, zimna, zakuta w obojętności niezwykle. Lecz gdy Jadwinia była sama, zrzucała maskę.

Wtedy dławiła się łzami.

Warum? — pytała pieśń — warum?

Cała melancholia tkliwego, kobiecego usposobienia, ta dusza, która jest najwspanialszym wdziękiem w ciele kobiecie, to pragnienie, dążenie do miłości, oddanie się bez podziału, bez zastrzeżeń, wszystko to budziło się teraz w zapadłej piersi podlotka, ze smutkiem i rozpaczą konieczności nieuniknionej.

Cicha, nerwowa melodia Schumana wpadła teraz w istotę Stefani i znajdowała w niej oddźwięk silny i potężny. To pytanie rozpaczliwe, w przestrzeń rzucone, z uporem istoty łkającej, rwało się w niej akordem smutku pełnym.

Nagle melodia ucichła, urwana jakby w spazmie łez drgającym.

Stefania nerwowo pocisnęła klamkę i nagle w pełnym świetle dnia zimowego dojrzała smukłą sylwetkę dziewczyny, wyciągającej rozpaczliwym ruchem ręce wprost przed siebie, jakby ku istocie, dojrzonej w przestrzeni.

Stefania ruch ten dobrze знаła.

Sama niedawno wyciągała tak ręce za Rudolffem, gdy odszedł, pozostawiając ją przy wygasającym ogniu.

Z oczu Jadwini płynęły łzy!

Stefania stała na progu zmieszana, jakby czując się winna wobec tego dziecka, które poraz pierwszy w życiu ukazało obcemu zażawione żrenice.

A w powietrzu dźwięczało jeszcze ciągle: — dlaczego! dlaczego! Lecz już szybko Jadwinia otarła oczy, i z suchym,

zaciętym wyrazem twarzy, ukloniła się i poprawiła taburet.

Rozłożyła nuty etiud, i usiadła przy fortepianie.

Nikt nie poznałby patrząc na jej obojętną, sztywną głowę źle rozwiniętej dziewczyny, że w tem sercu, od dziecka, od kołyski prawie, odbywa się ciągła tęsknota za silnem przywiązaniem, za miłością bez granic, każdej istocie należną.

Przeszła dzieciństwo bez matki, wpatrując się tylko w portret suchotnicy, wśród dobrze płatnych guwernantek, uczciwie wypełniających swe obowiązki. Ojciec, zajęty pacjentami, obecnie dogasający w smutnym krwi rozkładzie, wypełniał także swój obowiązek, dbając o wykształcenie i zdrowie córki. Tymczasem w drobnem tem sercu ciągle była próżnia, wielka, niezapełniona. Nadeszła chwila krytycznego rozwoju, i teraz zamiast dziecięcej tęsknoty, wyrastała kobieca bolesna natura.

Jak kwiat przed czasem zwiędnięty, darmo słońca wyglądający, pełen jeszcze barw i woni, a już ku ziemi schylony, tak w pierwszym uczuciu swem dotknięta, bezilnie smutna, pod tchnieniem melodji Szumana, w nędzy swej wspaniała, wieczna pomimo śmierci, pomimo łachmanów moralnych, w uczucie łachmanów bogata, rozwijała się, pragnąc miłości.

XXX.

— Ładna mamusia! ładna mamusia!...

I bez wytchnienia prawie, od chwili, w której Stefania ubierać się zaczęła, Dziudek dreptał wciąż dokoła matki, przysiadając, poprawiając fałdy białego muslinu, pełen zachwyty, wykrzykników i radości.

Stefania ubierała się powoli, trochę ociężale, bez chęci najmniejszej podobania się samej sobie, nie spoglądając w lustro, które przed nią postawiła usługna Funkierowa.

W sypialni bowiem Funkierów, od godziny drugiej popołudniu, kładła na siebie Stefania strój balowy, skromny, śnieżno-biały zwój muslinu, spięty na boku i koło szyi pękiem róż białych, o delikatnym, cielistym odcieniu.

Obok niej Funkierowa spocona, purpurowa, wytarła świeżo gliceryną i z plackiem pudru na szyi i policzkach, przypinała pęki wstążek do swej białej kaszmirowej sukni,

rozłożonej na szeroko rozstawionych krzeselkach.

Tu i owdzie, jak dwie muchy ciemne, w biel wpadłe, kręcił się Tadek i Dziudek, przysiadając, mrużąc oczy, wykrzywiając głowy.

Z salonu dolatywały przyciszone głosy i śmiechy, co chwila dzwonek jęczał w przedpokoju, rwany niecierpliwą ręką.

Tadek do otwierania drzwi się zrywał, ale szybko się nawracał, zezując ciągle na olbrzymi flakon Yalongu, postawiony przed lustrem Stefanji.

Pomysł to był dla Rudka, ten bal „biały“, bal, odbyć się mający w Helenówce, tuż pod miastem letniej rezydencji jego matki.

Cały „komplet“ funkierowski został zaproszony, z wyraźnym zastrzeżeniem, że: panowie mieć będą fraki, a panie białe suknie i pudrowane włosy. Serca szwaczek i seminarzystek zabiły silnem wzruszeniem. Ta biel, ten puder, wybieczka zamiejska, panowie we frakach, wszystko to wprowało biedne mózgi w stan kołowaczyny.

Oszczędności krwawe poszły na biały muślin, kaszmi koronki i grodenaplowe wstążki. Nawet sama Funkierówna została z tej bieli wyłączona. Rudek chciał dać wszystkim uniform śnieżny, jasny i czysty, usuwając w ten sposób możliwość fatalnych spłowiałych barw, lub jaskrawych kolorów.

Był to rodzaj wyrafinowania z jego strony; chciał być spokojnym przynajmniej pod względem wzroku. Czuł, że mężczyźni swemi wynajętymi frakami i kolorowymi podszewkami klaków, będą go razić i dręczyć noc całą. Pragnął przynajmniej w monotonji białej utopić wszystkie kobiety, okryć ich skarłale kształty dziewiczym płaszczem nieskalanej bieli. Przytem ustrojenie Stefanji grało tu główną rolę.

Jakże ją skłonić miał do porzucenia szarej, beżowej sukienki? Chciał ją mieć białą, całą świeżą, w mgłę przejrzystych fałdów spowitą. Chciał ją sobie rzucić w ramiona w godowej szacie oblubienicy. Chory jego mózg pragnął tej dekoracji, ułożył ją sobie, uplanował. Skoro miało już przyjść do tego, że ma pojąć tę żonę pijanego stroiciela fortepianów, niechże chwila ta nie pozostawi mu niesmaku.

Ona długi czas wzbraniała się przyjąć udział w tej zabawie, która przejmowała ją nieokreślonem uczuciem wstrętu.

Raz jeden zamknąwszy się w swem milczeniu i docho-

waniu domowej tajemnicy, silna walką, w której zostawiała połowę swej duszy, zmuszała się do uważania Rudolfa za wykreśloną z jej życia istotę.

Wiedziała, że lada chwila Michał wypisany ze szpitala, powróci, i że wtedy dla Rudka miejsca w jej ubogiem mieszkaniu zabraknie.

Od owego wieczora, w którym rozdrażniona, zmęczona, wyciągnęła w szale rozpacz ręce za majaczącą w jej umyśle sylwetką ukochanego, powstała w niej reakcja wielka.

Zaczęła własnymi rękami grzebać mogiłę dla swej miłości, i składać do trumny nawet nierozwinięte uczucie. Na straży tej mogiły postawiła kamień z napisem: „obowiązek“, i od tej chwili patrzyła na Rudka, jak na fotografię zmarłej a drogiej istoty. Wolałaby nawet nie widzieć go wcale, nie widzieć go już nigdy! I tak jak on słusznie zauważył, kobieta ta miała religję wspomnień i w niej umrzeć pragnęła.

Zwróciła się znów do dziecka, które zaniedbała od pewnego czasu, zajęła się energicznie spłacaniem choć w części długów, w które w ostatnich zwłaszcza miesiącach, coraz głębiej wpadała. Gorączkowo chwyciła się ubierania Jalek i całe noce trawiła teraz, szyjąc, krajając, naszywając blaszki, galony, świecidła. Przygotowywała dom na przyjęcie męża, spruła koldrę i wypikowała starannie wierzch z zielonej starej portjery. Wszystkie te czynności chłoneły jej czas zupełnie. Mimo to, były chwile, w których opierała głowę o ścianę i, gryząc do krwi usta, dławila w sobie spazmatyczne łkanie. Czuła wtedy, że serce jej kołace, jak ptak raniony, rwie się ku niemu i pragnie zobaczyć go za jakąbądź cenę.

Piła wtedy wodę i rozkładała książkę Dunina—czytając machinalnie modlitwę o „oddaleniu złych myśli“.

Dławila się swą boleścią i tęsknotą, a gdy nagle Rudolf zjawiał się wśród takiej chwili, czuła, że ból się jej jeszcze wzmacnia i tęsknota staje się sroższą.

Było jej wtedy tak jak gdyby ten umarły powstał nagle z grobu i na chwilę przelotnym a niepochwytnym cieniem przesunął się przed jej zalawionemi oczami.

Nie chciała więc jechać na ten „biały bal“, który w umyśle jej przedstawiał się jak mroźna, sucha przestrzeń, po której się błakać będą cmentarne widziadła. Funkier zgromił ją po swojemu, mówiąc ze szczerem zdziwieniem:

— To ci pstro w głowie pani Michałowej!... Taka okazja na taperkę, a ona jechać nie chce. Grać pani bę-

dzies noc całą, pan Rudolf zapłaci nieźle. Jedź pani, nie bądź głupia!...

A Funkierowa serdecznie z boku dodała:

— Przetrzęsiesz się pani trochę, powietrza wciągniesz, wieś zobaczysz!...

Stefanja zastawiała się dzieckiem.

— Dziudka weźmiemy na tę noc do nas — zawyro-kowała Funkierowa — spać będzie z Tadkiem, kucharka ich dopilnuje!

Pomimo to jednak, Stefania pozostawała niewzruszoną.

Jechać nie mogła, nie chciała.

Podczas ostatniej wizyty w szpitalu, Michał zapowiedział jej, że wypiszą go w ostatnich dniach stycznia. Dnia nie oznaczono, ale termin miał pozostać niezmienny. Stefania z ponurą obojętnością przyjęła tę wiadomość, wracając jednak do domu, miała dwie purpurowe plamy na policzkach. Poddawała głowę pod jarzmo ze zwykłą rezygnacją, cierpiała jednak bardzo. Wchodząc na schody, spotkała stróża, który schodził z trzeciego piętra.

— Pan gospodarz kazał powiedzieć, co od kwartału będzie mu potrzebny lokal dla krewniaka. Pani se gdzieś indziej poszuka.

Stefanja oparła się silniej o poręcz schodów.

Z wół przymkniętych drzwi migotały okulary Wisienkiewiczowej.

— Niech Wawrzon powie gospodarzowi, że chciałam mu sama wymówić mieszkanie — wyrzekła wreszcie głośno i dobitnie — niepodobna w takim sąsiedztwie dłużej wytrzymać.

Oczami wskazywała drzwi Wisienkiewiczowej, jakby wyzywając ukrytą za drzwiami nieprzyjaciółkę.

Lecz cisza panowała zupełna.

Tylko okulary zamigotały chwilę i zgasty.

Stefanja, wszedłszy do mieszkania, zastała czekającego na nią Rudolfa.

W saloniku zimno było, piec wystygły świecił zdala chłodną białością kafli.

Rudolf siedział w futrze, szczelnie zapięty pod szyję.

Delikatna, jasna jego głowa odcinała się wytwornym kontrastem od ciemnej barwy bobrowego kołnierza.

Widząc Stefanję, powstał leniwym ruchem zmęczonego życiem człowieka.

— Dobrze, że pani przysłaś, musimy stanowczo oznaczyć dzień balu.

Stefanja stanęła naprzeciw niemu, cała jeszcze wzburzona myślą bliskiej przeprowadzki.

— Tak, tak! — odparła machinalnie, licząc w myśli ile się należy gospodarzowi za komorne, ile trzeba będzie zapłacić tragarzom, ile dać zadatku na nowe mieszkanie.

— Nie wybrnę nigdy z tej matni — myślała z rozpaczą — nie będę miała pieniędzy; gospodarz mnie nie wypuści, zamkną bramę, zajmą meble.

Tymczasem Rudolf ciągnął dalej, nie zważając na za-kłopotanie młodej kobiety:

— Chciałbym dwudziestego szóstego stycznia, za ty-dzien. Czy pani nie masz nic przeciw temu?

— Ja?... nie, nie...

Wzrok jej prześliznął się mimowoli po twarzy Rudolfa, zbiegł wzduż futra, aż ku jego stopom. Jeszcze i jemu jest winna pięćdziesiąt guldenów! Dla czego nigdy o tem nie wspomniała? dla czego milczała do tej chwili? Co on mógł myśleć o niej, o jej postępowaniu, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko już skończone, kiedy niezadługo ten człowiek, który miał być jej „bratem“, będzie dla niej już tylko dro-gim... trupem.

— Ja panu winna jestem... dużo pieniędzy! — wyrzekła nagle, z jakąś odwagą rozpaczliwą i szlachetną.

On spojrzał na nią zdziwiony, sądząc, że z umysłu nie mówiła mu nigdy o tej sumie, którą podrzucił w krytycznej chwili pomiędzy kłębki czerwonej włóczki.

— Nie chodzi tu o to, co mi pani winna; teraz traktujemy poważniejsze sprawy... czy pani przyjdzie na bal i czy się pani biało ubierze?

Stefanja tymczasem powtarzała z uporem maniaka:

— Ja panu winna jestem dużo pieniędzy.

Rudolfowi przemknęła przez umysł myśl nadzwyczajna:

— Tak, winna mi panni... dużo pieniędzy. Chce pani mi je oddać, co?

Stefanja spojrzała nań prawie obłąkanemi oczyma:

— Ja?... tak!... chcę! chcę!... ale ja teraz nie mam! nie mam! proszę mi wierzyć.

— Ja pani podam sposób.

— Jaki?

— Proszę przyjąć na moim balu obowiązki taperki. Będzie pani grać do tańca noc całą. Suma się w ten sposób wyrówna.

Stefanja milczała chwilę.

Czuła, że wpadła w pułapkę.

Cofnąć się jednak nie mogła.

— Cóż? zgoda?

— Zgoda, — odparła wreszcie.

— A biała suknia obowiązuje. Proszę o tem pamiętać.

Czy i na to zgoda?

— Zgoda!

Jakaś gorycz zaczęła opanowywać duszę Stefanji. Czuła, że Rudek nadużywa swej przemocy i że wyzyskuje położenie. Przedstawił jej się teraz jeszcze w gorszym świetle. Spojrzała mu prosto w twarz i zdziwiła się, że ta delikatna, białoróżowa twarzyczka, wydała się jej brzydsza niż dotychczas. Schwyciła się więc moralnie za kark i wtrąciła w całą przepaść kłopotów i trosk.

Tak, pójdzie na ten „bal biały“, sprawi sobie nową suknię, weźmie na kredyt od Jenty muslinu lub tarlatanu, zadłuży się jeszcze więcej. Kupi sobie nawet białe rękawiczki i włoży ślubne pantofle i ślubne pończochy. Pójdzie tak wystrojona odrabiać dług zaciągnięty w chwili czarnej nędzy u tego pana, kryjącego podbródek w miękkim aksamicie bobrowych skór.

Rudek tymczasem rad z siebie wyszedł od Stefanji, poszedł prosto szukać starego Frejlinga, i zamówić go do grania na noc całą...

— Powiem, że go wziąłem, aby ją wyręczał... Inaczej zrobi mi scenę. Czuje, że się tam coś pod tą skórą fermentuje. W każdym razie, trzeba to raz skończyć!

.....

Wreszcie dwudziestego szóstego stycznia, cały zastęp białych sukien szeleścił w salonie Funkierów. Stefanja przyszła z Dziudkiem znacznie wcześniej, prowadząc z sobą Magdalene niosącą zawiniętą w prześcieradło suknię. W sypialni Funkierów ubrała się szybko, nerwowo, jakby dopełniając musowego faktu, i gdy wreszcie stanęła na środku sypialni, jasna i rozpromieniona dziewczęcym wdziękiem, Dziudek na ziemi przysiadł i, rączki szeroko rozłożwszy, zawołał:

— Ładna mamusia!

Opuszczono sztory w sypialni i zapalono lampy i świece. Funkierowa ustawiła je wszędzie: na szafie, na komodzie, na tualecie. Żółty blask oblewał Stefanję, uwydatniając wielki czar jej delikatnej urody. Biała muslinowa suknia,

prosta, lekko na biodrach udrapowana, opadała z tyłu w przejrzyste faldy. Szczelnie pod szyję zapięty stanik miał wyciętą podszewkę i przez tę tkaninę lekką a mieniącą się morą nitek, przebijały plecy, ramiona, ciało delikatne i lekko różowe. Długie, białe rękawiczki wyciągnięte do łokcia, dodawały prostemu krojowi rękawów elegancji. Przy boku tuliły się róż. Włosy lekko splecione i nisko na karku upięte, przeblyskiwały złotawymi nitkami. Subtelna woń Ylangu unosiła się dokoła młodej kobiety.

Stefanja ujęła w rękę puszek i ostrożnie włosy pudrować zaczęła. W delikatnej tej powodzi wonnego pyłku, twarz jej nabierała doskonałego, matowego tonu, a włosy bielaly stopniowo, tworząc nad czołem jasną aureolę. Ciemne rzęsy i brwi występowały teraz coraz silniej i po chwili przepyszny typ filigranowej Pompadour-markizy, zamajaczył w przestrzeni.

Obok niej Funkierowa krótka i gruba, pod strzechą upudrowanej grzywy, miała pozór niekształtnego pakietu ciała—czerwonego, poplamionego mąką.

Stefanja pochyliła się ku ziemi i ostrożnie, nie dotykając sukni, podniosła ku sobie Dziudka, całując go gorąco. Miała w tej chwili w sobie całą przepaść serdecznego smutku i tuliła się do drobnych ust dziecka jak do obrazka zdjętego z poświęconego ołtarza.

Postawiła dziecko na ziemi jeszcze się za niem oglądała, choć malec pełen podziwu, dreptał już za Funkierową, smarującą z wszelkimi możliwymi ostrożnościami powidła na cienkie kromki chleba rozłożone na stole.

— To dla Tadka, to dla Dziudka, to dla niańki, to dla kucharki, wyliczała—wskazując palcem kromki chleba.

Ślugi, cisnące się we drzwiach sypialni, kiwały poważnie głowami.

Lecz Tadek rozstawił szeroko nogi i nagle wrzasnął.

— Śmieć się radczyni z tego... to wszystko będzie dla młodego radcy, kiedy go na kulig nie bierzecie!

Żył silną urazę w głębi serca, za pozostawienie go w domu, pomimo zaproszenia, które wymodlił u Rudka.

Funkierowa odwróciła się i pogroziła pięścią:

— Bądź grzeczny, urwisiu!... radzę ci! inaczej, policzymy się z sobą!...

Tadek ramionami poruszył i, śledząc ruchy matki, rozpromieniał cały.

— Wiwat!... dobra nasza!—wykrzyknął, nagle krokiem mazurowym ku drzwiom sali sunąc.

Gdy wreszcie Stefanja weszła do sali tańca, już wszyscy zaproszeni i uczestniczący w „balu białym” zgromadzili się, oczekując na hasło wyjazdu.

W żółtem świetle pozapalanych kinkietów kręciło się całe stado biało ubranych dziewczyn, rozsypując się po kątach, pod ścianami, to znów łącząc się w jeden wielki bukiet na środku sali.

Dziewczyny te zyskały wiele w muślinie i tarlatanie, całe białe, jakby odzyskując niewinność moralną, wydolikane tumanem pudru pokrywającym włosy, przybierając mimowoli jakieś dystyngowańsze ruchy i estetyczniejsze pozy.

Pomiędzy niemi mężczyźni w białych krawatach, we frakach wypożyczonych lub wyczyszczonych benzyną, w spodniach zbyt krótkich, lub długich, z szapoklakami o stubarwnych podszewkach, kładli ciemną nutę na tę całą lekką biel, jasno różowymi piętnami twarzy tylko poznaconą.

Flirtująca na „europejski” sposób Melcia, zobaczywszy wchodzącą Stefanję, rozstawiła szeroko ręce, z których zbyt szerokie i długie rękawiczki spadały:

— Święta! anielska!... — krzyknęła, tonąc w ekstazie — królowo nasza!

Od rana, Czyżyczkowa silnemi szturchańcami starała się wpoić w swą wnuczkę moralne zasady. Nie zaproszona na bal, na który tylko Funkierowa jako ogólna „matka” miała wstęp dozwolony, po długich i gorących walkach, zdecydowała się pozwolić Melci na uczestniczenie w kuligu.

— A z księciem po kątach się nie włócz, bo jakem Czyżyczkowa, tak wiedzieć wszystko będę! taką ci mitrę na plecach wypiszę, że ruski miesiąc ją nosić będziesz!

Melcia z zaciętymi ustami, pełna heroicznego postanowienia nieodpowiadania babce, czyszcząc benzyną białe pantofle, z pod rozczochranej grzywy chmurne wejrzenia przed siebie rzuciła.

Stefanja dostrzegła między mężczyznami Frejlga, który z paczką nut zwiniętą i związaną sznurkiem, tanecznym krokiem ku niej sunął.

— Dziś ja grać będę! — mówił, śmiejąc się wesolo, wbrew swemu chmurnemu usposobieniu — a pani po mojej muzyce tańcować będzie!

Stefanja spojrzała ze zdziwieniem na Funkierową:

— Przecież ja jadę jako taperka?

Funkierowa ramionami wzruszyła.

— No i cóż? zabawa potrwa do dnia białego; trzeba kogoś do wyręczenia choćby w mazurze!

Z pod oka śledziła twarz Stefanji odgadując sprytem kobiecym stosunek, łączący ją z Rudolfem, a będąc dziś w wyjątkowo dobrym humorze, czuła się pobłażliwie na błędy drugich usposobiona.

Biała suknia, puder, perfumy, wtrącały ją nagle w jakiś wir młodości i porywów.

Czuła się odmłodzona i zaczynała mrużyć oczy i uśmiechać się kokieteryjnie.

Nawet z pewnego rodzaju politowaniem patrzyła na chudą postać Funkiera, kręcącego się wśród dziewcząt, jak chart wśród stada gesi.

Lecz Stefanja niezadowolona, czując się nagle upokorzoną tą obecnością drugiego grajka, podczas kiedy ona chciała odrobić grą swoją pożyczone pieniądze, schwyciła Funkierowę za rękę.

— leżeli pan Freilig jedzie... ja nie jestem potrzebna, zostanę i wrócę do domu.

Lecz Funkierowa parsknęła śmiechem.

— A to chciwa niezmęczenie ta pani Michałowa; nie bój się pani, będzie roboty dla was dwojga!

I silnie ku drzwiom wyjściowym Stefanję ciągnąć zaczęła.

Stefanja obejrzała się raz jeszcze za dzieckiem, chcąc je ucałować, lecz Dziudek stał już przy stole w sypialni, pełen podziwu dla Tadka, który cztery figi z dziesięciu palców zrobiwszy, z dumą młodego patrycjusza, owoce swych studjów zirytowanej kucharce prezentował.

Tymczasem ze schodów, z krzykiem, śmiechem i hałasem, zaczęli zbiegać goście Rudka, otulając się w zimowe palt, futra i dolmany.

Cały rząd sanek dzwonił przed kamienicą, gromadząc tłumy gawiedzi. Gaz zapalano powoli na rynku i żółte gwiazdy światła, otoczone jasnemi kęgami, migotały w powietrzu. Śnieg prószył, lekko czeplając się grzyw końskich, a wielki kamienny geniusz po nad główną bramą ratusza, szary, smutny i we mgle tonący, rozpiął silne ramiona i dłonie po drobne płateczki wyciągał, zbierając powoli śnieżne, migocące róże w swych kamiennych dłoniach. Nareszcie jak stado hałaśliwe i niesforne, wylegli wszyscy na ulicę i ku sankom się rozbiegali, nie zważając na rozpaczliwe wołanie Funkierowej, której głos ginął w brzęku dzwonek i nawoływaniu dorożkarzy.

— Panienki! panienki!... proszę ze mną!

Lecz „panienki“ wskakiwały do sanek, mieszając się z mężczyznami, nasuwając na włosy włóczkowe kapturki lub harasówki. Tu i owdzie powstała mała sprzeczką; Funkier biegał, łagodził, przesadzał.

Melcia chmurna stała na trotuarze, wyglądając napróżno księcia. Obiecał, że przyjedzie najpierwszy i swą wybraną powiezie. Tymczasem wybrana stała, cała zielona już od zimna i gniewu, mając ochotę powrócić na górę, do babki, która owinięta turbanem siedziała w łufiku.

Nagle zaszumiało, zadzwoniło, jakby setka Włochów tańczyła tarantellę i, poprzedzone dwoma wyrostkami, przebranymi za kozaków i trzymającymi pochodnie pozapalane w rękach, w szalonym pędzie jechały sanki, z których wyskoczył książę, wlokący za sobą olbrzymią niedźwiedzią szubę, z bukietem białych kamelii w ręku.

Stojąc na trotuarze, gawiedź wydała okrzyk podziwu.

Książę z przepyszną niedbałością, skinął ręką i, zbliżywszy się do Funkierów, przywitał się z nimi protekcyjnie. Był uroczysty, wspaniały, pełen godności i taktu. Dwaj kozacy z pochodniami mieli na rękach blachy, na których były wyrte herby Kuczkiryszczaków. Książę dźwigał swą godność z powagą i, zbliżywszy się do nieprzytomnej z uciechy Melci, rękę jej podał.

— Wsiadajmy, baronówno! — wyrzekł, ku sankom ją prowadząc.

W łufiku tkwiąca głowa Czyżyczkowej, zdawała się być przytłoczona tą wielką pompą i powagą księcia.

Umieściwszy się w sankach, książę dał znak kozakom i ci pomknęli jak strzała, strasząc po drodze ludzi, konie i policjantów. Pochodnie, w tył wiatrem odrzucone, wlokły swój płomień jak purpurową chorągiew, otwierając tymi ognistymi sztandarami drogę, w latarnie zielone, lub białe zaopatrzonym sankom.

Szybko, jedne za drugimi, ruszały sanki poprzez place i ciche ulice, zwabiając do okien wystraszonych mieszczan. Żydzi wybiegali ze sklepów, krzycząc: „Feuer!“, biorąc cały kulig za spieszących do ognia strażaków i niesforną kupą za sankami pędzili.

Wreszcie, do rogatek się dobiwszy, sanki na pole się wydostały, pole białe, jeszcze resztkami dnia świecące. Po bokach zapadały jakieś niewyraźne smugi szarawo-czarne, w oddaleniu niepewne.

Brzękadła dzwoniły piekielną tarantellę, konie parskaly,

z sanek dochodziły bezustannie wybuchy nerwowego śmiechu.

Śnieg padał coraz gęstszy i powoli płomienie pochodni tłumił, które teraz miały chwilami podobieństwo poszarpanych, jakby w potyczce, sztandarów.

XXXI.

Na dwie godziny przed wyjazdem kuligu z domu Funkierów, na ulicę Ormiańską zajechała jednokonna, dorożka, która zatrzymała się przed kamienicą, zamieszkiwaną przez Stefanję.

Z dorożki wysiadł powoli mężczyzna, odziany w grube palto, jakby na urząd dla więźniów lub chorych zrobione, i przymrużonemi oczyma spojrzawszy na numer domu, ręką w głąb powozu skinął.

Wówczas, z otwartych drzwiczek wysunął się drugi mężczyzna, silny i barczysty, ubrany w kozuch i baranią czapkę.

— To tu? — zapytał.

Michał skinął głową.

— Tu!

Szybko zaczął palto szpitalne rozpinać.

Posługacz zatrzymał go brutalnie.

— Co pan wyrabia? na mrozie? chodźmy na górę, to się pan tam rozbierze!

Weszli na schody.

Z pół przymkniętych drzwi Wisienkiewiczowej błysnęły okulary. Cichy chychot dziewczek dał się słyszeć w kącie.

Michał wyprostował się, rękę od poręczy odjął, jakby chcąc pokazać, że silny i zdrow powraca do domu po tej długiej nieobecności.

Dostali się wreszcie na trzecie piętro i Michał za dzwonek pociągnął.

Był wzruszony, dziwnie wzruszony, widząc te drzwi, które tyle razy kopał nogami w chwilach szału, słysząc po za nimi ciche i szybkie kroki nóg bosych.

I w sercu chorego wezbrało teraz całe morze serdecznego uczucia dla żony, dla dziecka, dla tych ścian, z których wyganiał go potężny nalóg. Uprosił doktora o przy-

spieszenie opuszczenia szpitala. Powietrze to dławiło go. Zimne i obojętne starania, jakie go otaczały, pomnożyły jego smutek i tęsknotę. Doktor wypisał go dziś właśnie i pozwolił mu wrócić do domu, sprawić niespodziankę żonie i dziecku.

Michał podczas trwania choroby i po przyjsciu do przytomności, zdziecinniał prawie, zlagodniał. Ułożył sobie słowa, jakimi powita Stefanę i Dziudka. Wiedział, że jest bardzo zmieniony i zmartwił się, myśląc: jakie sprawi na „swoich“ wrażenie. Obiecywał sobie zaraz nazajutrz ogolić brodę, i zabrać się do pracy.

Pociągnął za dzwonek raz, drugi, dziwiąc się, że Stefanja tak długo nie otwiera.

— Nie omyliłem się przecież—rzekł, patrząc na schodki prowadzące na strych.

Lecz już po za drzwiami dały się słyszeć powolne kroki, ciche i posuwiste.

Drzwi się uchyliły ostrożnie.

Gładko przyczesaana głowa dewotki ukazała się w szparze.

— A czego?

Michał za klamkę ujął i drzwi popchnął.

— Proszę pani powiedzieć, że pan powrócił.

Dewotka drgnęła cała jak na sprężynach.

— Pan?—powtórzyła przeciągle.

— Tak!

— Pani niema!

— Wyszła?

— Pojechała na bal.

W pierwszej chwili zastanowienia przypuścił, że idzie tu o granie na jakimkolwiek śniadaniu tańczącym, tak często we Lwowie wydawanem.

— Dobrze...—wyrzekł, zdejmując paltot i oddając go posługaczowi—ja tymczasem się dzieckiem pobawię.

— Dziecka niema.

— Jakto niema!

Pani je zabrała z sobą!

Michał wszedł do saloniku; zimny był i pusty, tylko wiązanka kwiatów wiodła w szklance, zziębnięta i opuszczona.

Michał na kwiaty spojrział, trochę zdziwiony tą zbyt kowną rzeczą.

Dewotka szła za nim krok w krok, z oczyma spuszczo-nemi, z rękami splecionemi na brzuchu, cała przejęta pogardą dla tego „pijusa“ o którego istnieniu wiedziała

dostatecznie od Wisienkiewiczowej i Heleny. Postanowiła podziękować za służbę z chwilą powrotu tego „pana“ do domu, gdyż podobny grześnia sprawiał jej odrazę najwyższą.

Michał wszedł teraz do sypialnego pokoju i zamglo-nem okiem ogarnął tę ciasną przestrzeń, w której powoli rozgrywała się tragedia jego życia. Puste łóżka ciemniały w szarawem świetle zimowego dzionka. Kołyska dziecka miała pozór opuszczonej trumienki. Na ziemi postawiona blaszana miednica z resztką mydlin, porzucony na krześle ręcznik, brudne pończoszki dziecka, mówiły mu o tych istotach, które były tu przed chwilą, ruszały się, żyły, ale dla niego znikły jakby niepochwytne cienie.

Służąca weszła do kuchni i drzwi za sobą przymknęła. Michał pozostał sam.

Zbliżył się do pieca i ręce wyciągnął.

Piec był zaledwie letni, lecz Michał szybko się doń przytulił, jakby chcąc się rozgrzać pod ciepłem tchnieniem. Przysunął krzesło i usiadł, opierając plecy o kafle. Ręce w kieszeni kurtki włożył i siedział tak cichy, spokojny, zrezygnowany, a mimo to nieobecnością żony i dziecka boleśnie dotknięty.

Zdawało mu się, że Stefanja powinna była przeczuć jego powrót do domu i czekać nań wraz z dzieckiem. Pragnienie domowego ciepła i łagodnych słów wzrastało w nim razem z chłodem i pustką tych ścian. Był głodny teraz miłości i serdecznego uczucia. Tulił głowę do stygnących kafli i kurczył się cały, dławiąc łzami. Czuł, że tych dwoje, którzy tu byli przed chwilą, urządzili sobie życie bez niego, nie licząc na jego powrót. Podczas gdy on konał w szpitalu, oni żyli tu dawnym życiem, oddychając swobodnie. Teraz on powracał, chcąc zająć swe dawne stanowisko. Znajdował pustkę i osamotnienie.

Powoli cienie zaczęły ściągać się po kątach pokoju, zostawiając jaśniejszą strugę od okna i topiąc stojące pod ścianami sprzęty w niewyraźnej ciemnej barwie. Razem z ciemnością, jakieś wilgotne, zatęchłe zimno wysuwało się z murów i pieło ku sufitowi.

Siedzący pod piecem mężczyzna wpatrzył się uporczywie w znikającą jasną smugę, która z żółtej, stawała się powoli białą, a potem przybierała szarawo rudawe odcienie.

W smudze tej zwinęte, ciemniały pończoszki Dziudka, ślad bytności żyjącej w tych ścianach istoty, i podwójna szpilka czarna, rogowa, wypadła z włosów Stefanji.

I zdawało się w tej chwili Michałowi, że tych dwoje uciekło od niego z całą samowiedzą i rzuciło mu jakby z litości te pamiątki po sobie, jak grabarz rzuca oderwane z trumny strzępy płaczącej koło grobu rodzinie.

— Moja dobra, proszę was, zróbcie to! przecież Pan Jezus wzdrygał się, patrząc na takie skandale!

— Ja bym się tam do tego nie chciała mieszać!

— Co was to obchodzi! Wy nie wiecie co w tym liście napisane. Cała rzecz, oddać mu tak mądrze, ażeby zaraz przeczytał. Ja to robię jeno z przychylności, bo mi żal tego człowieka. Niech go ta wiedźma więcej nie oszukuje. Ja jestem porządna kobieta i na skandale nie lubię patrzeć.

— Ha! no, to już niech tak będzie, i tak mam odejść!

I dewotka wyciągnęła rękę po list, który jej na progu kuchni podawała Wisienkiewiczowa.

— A jak list przeczyta, pewnie go porzuci, to proszę was, zaraz list weźcie do siebie i mnie go odnieście. Da on jej białe bale! Leb sobie spudrowała i poleciała!... Oj to to!... będzie miała drugi bal jak powróci!

Stara kobieta, mściwa i nieubłagana, drżała teraz złości, na myśl, że całe towarzystwo Funkierów pojechało do „pałacu“, i że Stefanja należy do wycieczki.

Podpatrując bytności wieczorne Rudolfa, kombinując zapłacenie Heleny, przynoszenie kwiatów, wyciągając wiadomości z ust bigotki, doszła do przekonania, że Rudolf jest kochankiem Stefanji, że ta ostatnia przyjmuje od niego podarunki, pieniądze, i płonąca zemstą, postanowiła listem anonimowym odkryć całą prawdę Michałowi, skoro powróci. Przypadek posłużył jej znakomicie.

Michał powrócił właśnie wtedy, gdy Stefanja była u Rudolfa. Była z całym towarzystwem, ale to niczego nie dowodzi. Chodzi tu głównie o sam fakt, o pojechanie do kochanka.

Ani chwili czasu nie tracąc, Wisienkiewiczowa bez pomocy Maksymiljana, napisała brulion listu, przepisała go, włożyła w kopertę i zawołała dewotkę.

Kilka chwil jednak upłynęło, zanim służąca Stefanji zdecydowała się na zanieśienie listu.

Wreszcie, przekonana argumentami i wymową Wisienkiewiczowej, list wzięła, wdrapała się na schody i weszła do sypialni. Michał siedział ciągle koło pieca, nieruchomy,

przybity i blady od chłodu i smutku szarpiącego jego duszę.

Gdy Magdalena weszła do pokoju, podniósł głowę.

— Nie możnaby napalić?—zapytał nieśmiało.

— Niema drzewa, pani pieniędzy nie zostawiła.

Wyciągnęła rękę z listem.

— Proszę pana, list!

— Do mnie?

— Do pana!

— Proszę mi świecę zapalić.

Cicho, jak czarna kotka, podeszła kobieta do komody, i po chwili jasny żółtawy trochę, płomyk oświecał ciemnie pokój.

Michał podniósł się z krzesła i niespokojny podeszedł do komnaty.

Co to mógł być za list? kto mógł pisać do niego zaraz po wyjściu ze szpitala?

Magdalena wysunęła się do kuchni.

Michał spojrzał na kopertę.

Nieznał tego pisma, naśladującego druk wielkimi, starannie kreślonymi literami

Rozerwał kopertę i wydobył duży sztywny arkusz papieru.

Zaczął czytać i, po chwili, opuścił rękę z listem na blat komody...

Ręka, opadając, wydała łoskot jakby kawał drewna uderzył o deskę.

Michał oczy na chwilę przymknął i, z wysiłkiem je otworzywszy, znów czytać zaczął.

„Szanowny panie!

Jako dobry przyjaciel, prawdziwy i wierny, zmuszony jestem pana zawiadomić, że żona pana oszukuje i zdradza. Ma bowiem kochanka, niejakiego pana Rudolfa, który w czasie pańskiej nieobecności utrzymywał ją i codziennie do niej przychodził. A co mówię, to mogą poprzeć naoczni świadkowie. Dziś właśnie żona pana, pojechała pode Lwów, do folwarku matki swego kochanka, na bibę, którą dla niej pan Rudolf w nieobecności matki w Helenówce wyprawia. A o czym może się szanowny pan sam przekonać.

z szacunkiem

Przyjaciel“.

Przeczytawszy, Michał list na komodzie położył, i pod

piec wrócił.

Usiadł na krześle, przybierając poprzednią pozycję, tylko brwi miał silnie ściągnięte i muskuły mu w twarzy drgały.

Snadź mózg jego pracował.

Stefanja ma kochanka!

Tak mówił list, podając szczegóły.

Kochanka?

To niepodobna!

Michał roześmiał się, lecz śmiech ten urwał się nagle, jakby ostrzem szpady przecięty.

— A gdyby!

I całe morze purpury przesunęło się przed oczyma Michała.

Nie! to niepodobna. List ten kłamie, Stefania nawet tej myśli mieć nie mogła...

Powiodł oczyma dokoła.

Kołyska dziecka, łóżko żony, przesunęły się przed nim ciche, niewzruszone...

Lecz gdzieś jest Stefania? list mówi, że w Helenówce u Rudolfa! To nieprawda. Cóżby ona tam robiła, podczas gdy on, mąż jej, był w szpitalu? Lecz list wspomina o świadkach... o świadkach!...

I nagle cichy, stłumiony krzyk wydarł się z piersi Michała.

Jeżeli są świadkowie, więc fakty być musiały. List mówi o codziennych odwiedzinach Rudka. Ta służka, ta czarno ubrana kobieta, musi coś o tem wiedzieć; trzeba się jej zapytać, wybadać. I Michał dźwignął się z krzesła i drzwi do kuchni uchylił.

— Proszę tutaj! — wyrzekł stłumionym głosem.

Magdalena ku drzwiom wyjściowym się posunęła.

— A co pan każe? — spytała, kłamię dla bezpieczeństwa ujmując.

— Chciałem się spytać... czy... bywał tu kto... w czasie mojej nieobecności?... tylko proszę nie kłamać!

Dewotka wyprostowała się dumnie.

— Boga się boję i nie kłamię nigdy! Chodził tu jeden młody pan co dnia. Więcej nikt!

Michał głową skinął.

— Dziękuję.

I znów pod piec wrócił.

Lecz już nie usiadł na krzeselku, tylko czoło o kafe zimne oparł, i tak stał długą chwilę.

Gdy się wreszcie oderwał, z bladego stał się trupio żółty, a dolna szczeka obwisła mu bezwładnie. Oddychał ciężko. Krople potu spływały mu z czoła.

Obejrzał się dokoła i ciężkim, powolnym krokiem do stojącej w jadalni szafy z rzeczami podszedł. Drżącymi rękami namacał swe zimowe palto i z kołka je zdarł. Po ciemku palto na plecy narzucił i ku drzwiom się skierował.

— Ja tam pójdę... — zabełkotał ochryplym, niskim głosem.

XXXII.

Dworki przedmieścia znikły już zupełnie. Ciemnice straszne, choć od śniegu białe na polach, ścielących się pod stopami Wysokiego Zamku i bramujących stawy Kisielki... Gdzieś tam w oddali maluchne światelko...

Czasem pies zawyje przeciągle, płaczliwie, a wycie to mroźną dal leci i z płatami śniegu po drodze się ściele...

Wydeptaną i wyjeżdżoną saniami drogą w stronę Helenowskiego folwarku, powoli nie idzie, lecz wlecze się Michał...

Przytrzymuje paltot koło szyi, a wiatr mu poly rozwiewa i całymi szmatami śniegu w oczy ciska.

Na rogatce wskazano mu drogę, dziwiąc się wybladłej twarzy i zamglonym oczom pytającego.

— Warjat, czy co? — pytali siebie strażnicy.

Jeden zaproponował, aby go nie puścić za miasto, lecz inni obruszyli się na to żądanie.

— Idzie spokojnie, o drogę pyta, co go gwałtować!

I Michał minął rogatkę, cały potem obłany i szedł z wyteżonym nerwowo wzrokiem, nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, dokąd dąży, gnany raz obudzoną chęcią ruchu, z umysłem zapadającym powoli w mrok, z krwią nabiegającą znowu na mózg jeszcze chory i nie-
pewnie funkcjonujący.

Dopóki otaczały go mury miasta, kamienice o kłamiwym blasku przysłoniętych okien, ludzie mknący obojętnie pod smaganiem biczu śniegowych, miał jeszcze dokładną świadomość swych czynów i chęć dostania się czemprę dziej do tej Helenówki, w której przebywała obecnie Stefania, wraz ze swym kochankiem. Lecz powoli, razem z rze-

piec wrócił.

Usiadł na krześle, przybierając poprzednią pozycję, tylko brwi miał silnie ściągnięte i muskuły mu w twarzy drgały.

Snadź mózg jego pracował.

Stefanja ma kochanka!

Tak mówił list, podając szczegóły.

Kochanka?

To niepodobna!

Michał roześmiał się, lecz śmiech ten urwał się nagle, jakby ostrzem szpady przecięty.

— A gdyby!

I całe morze purpury przesunęło się przed oczyma Michała.

Nie! to niepodobna. List ten kłamie, Stefanja nawet tej myśli mieć nie mogła...

Powiódł oczyma dokoła.

Kołyska dziecka, łóżko żony, przesunęły się przed nim ciche, niewzruszone...

Lecz gdzie jest Stefanja? list mówi, że w Helenówce u Rudolfa! To nieprawda. Cóżby ona tam robiła, podczas gdy on, mąż jej, był w szpitalu? Lecz list wspomina o świadkach... o świadkach!...

I nagle cichy, stłumiony krzyk wydarł się z piersi Michała.

Jeżeli są świadkowie, więc fakty być musiały. List mówi o codziennych odwiedzinach Rudka. Ta służka, ta czarno ubrana kobieta, musi coś o tem wiedzieć; trzeba się jej zapytać, wybadać. I Michał dźwignął się z krzesła i drzwi do kuchni uchylił.

— Proszę tutaj! — wyrzekł stłumionym głosem.

Magdalena ku drzwiom wyjściowym się posunęła.

— A co pan każe? — spytała, kłamkę dla bezpieczeństwa ujmując.

— Chciałem się spytać... czy... bywał tu kto... w czasie mojej nieobecności?... tylko proszę nie kłamać!

Dewotka wyprostowała się dumnie.

— Boga się boję i nie kłamię nigdy! Chodził tu jeden młody pan co dnia. Więcej nikt!

Michał głową skinął.

— Dziękuję.

I znów pod piec wrócił.

Lecz już nie usiadł na krzeselku, tylko czoło o kafe zimne oparł, i tak stał długą chwilę.

Gdy się wreszcie oderwał, z bledego stał się trupio żółty, a dolna szczeka obwisła mu bezwładnie. Oddychał ciężko. Krople potu spływały mu z czoła.

Obejrzał się dokoła i ciężkim, powolnym krokiem do stojącej w jadalni szafy z rzeczami podszedł. Drżącymi rękami namacał swe zimowe palto i z kołka je zdart. Po ciemku palto na plecy narzucił i ku drzwiom się skierował.

— Ja tam pójde... — zabełkotał ochryplym, niskim głosem.

XXXII.

Dworki przedmieścia znikły już zupełnie. Ciemnice straszne, choć od śniegu białe na polach, ścielących się pod stopami Wysokiego Zamku i bramujących stawy Kisielki... Gdzieś tam w oddali maluchne światelko...

Czasem pies zawyje przeciągle, płacziwie, a wycie to mroźną dal leci i z płatami śniegu po drodze się ściele...

Wydeptaną i wyjeżdżoną saniami drogą w stronę Helenowskiego folwarku, powoli nie idzie, lecz wlecze się Michał...

Przytrzymuje paltot koło szyi, a wiatr mu poły rozwiewa i całemi szmatami śniegu w oczy ciska.

Na rogatce wskazano mu drogę, dziwiąc się wybladłej twarzy i zamglonym oczom pytającego.

— Warjat, czy co? — pytali siebie strażnicy.

Jeden zaproponował, aby go nie puścić za miasto, lecz inni obruszyli się na to żądanie.

— Idzie spokojnie, o drogę pyta, co go gwałtować!

I Michał minął rogatkę, cały potem oblany i szedł z wytężonym nerwowo wzrokiem, nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, dokąd dąży, gnany raz obudzoną chęcią ruchu, z umysłem zapadającym powoli w mrok, z krwią nabiegającą znowu na mózg jeszcze chory i niepewnie funkcjonujący.

Dopóki otaczały go mury miasta, kamienice o kłamliwym blasku przysłoniętych okien, ludzie mknący obojętnie pod smaganiem biczy śniegowych, miał jeszcze dokładną świadomość swych czynów i chęć dostania się czemprejdzem do tej Helenówki, w której przebywała obecnie Stefanja, wraz ze swym kochankiem. Lecz powoli, razem z rze-

dniejącym wałem domostw, coraz to jaśniejszą świecących
szczerbą, opuszczał go szal dławiający mu oddech i nape-
dzający krew do głowy. Minawszy rogatkę, brnąc wśród
śniegu, cały owiany mroźnymi igłami czepiającymi się jego
twarzy, rąk, odzieży, stygł, marzył powoli, i to zimno ze-
wnętrzne zdawało mu się przedostawać do wnętrza ciała,
ranę serca mrozić i serce to w bryłę lodu zamieniać. Szedł
jednak wciąż naprzód gnany już teraz koniecznością ruchu;
pojękując od czasu do czasu, skomleniem psa zranionego.
Wiedział tylko to jedno, że jest nieszczęśliwy, że wszystko
go opuściło, a doznanawane w szpitalu przykrości zaryso-
wały mu się teraz w mózgu z dokładnością największą. Zda-
wało mu się, że kładą mu znów powijak z szarego płótna
i podsuwają pod usta klejek owsiany. Posługacz go potra-
cał i dręczył, on szedł coraz dalej spowity w ciasne, płó-
cienne bandaże. Ktoś go bił w kark silnie i do przyspie-
szenia kroku zmuszał. I Michał pod tą niewidzialną dłonią,
głowę korzył i plecy nadstawiał, lecz szedł ciągle, ciągle
naprzód, cały teraz biały od śniegu, tracąc chwilami z cze-
ścieżki, ginącej pod powodzią płatów, sypiących się z go-
łęb i ciemnej, wyciem psa przecinanej, uczył się zupełnie wycie-
panym moralnie i fizycznie, i całą nędza ludzkiego życia
stanęła mu po nad głową po raz pierwszy z wstrętną sze-
rością. Zdawało mu się, że jest bardzo małego wzrostu,
i bardzo chudy, a mimo to, jeszcze zawiele zabiera miejsca
w przestrzeni. Ściągał palto dokoła siebie, i oglądał się po
polu łzawemi oczyma. Łzy marzły mu na policzkach, lub
ściekały w mokre włosy brody.

Potknął się, i wśród śniegu przykłął, lecz zaraz się
dźwignął, jakby bojąc się zostać samotny w tej wielkiej
zimnej ciemnicy.

Z gąszczy czerniałych drzew mignęło nagle światło.
Niewielka karczemka przydrożna, przysiadła ku ziemi
tuż po nad ścieżką.

Drzwi były nawpół otwarte. Z poza oszklonej szybki
okna migało czerwone światło, filtrując się przez purpurę
firanki.

Jakaś ciemna postać snuła się dokoła domostwa, wiążąc
konie i zamykając wrota małej stajenki.

Przed karczmą czerniało pudło bryki.

Na widok ludzi, Michał oprzytomniał.

Przypomniawszy sobie dokąd idzie i poco.

Lecz serce miał tak zmrożone, że już nie czuł tego

bólu, jaki nim targnął, gdy w opuszczonym mieszkaniu czo-
ło o kafele pieca opierał. Strzymał się i głosem, który usi-
lował wzmocnić, zapytał:

— Daleko do Helenówki?

Meżczyzna, zasuwający rygle stajenki odpowiedział:

— Nie wiem. Wejdźcie do karczmy, powiedzą!
Michał próbował karczmy przestąpił.

W niewielkiej kwadratowej przestrzeni, na glinianej
ubitej podłodze, tłoczyło się kilkanaście ludzkich istot,
odzianych w chustki, paltoty i kożuchy.

W głębi szynkwas, wyłożony ceratą, a na nim całe
szeregi flaszek, kubków i zielonych, grubych kieliszków.

Na brzegu talerz z kielbasą, chlebem, szmatami mięsa
i trochę pokruszonych jajek...

W środku izby, na cienkim drucie, lampka naftowa
siebie wylewała. I tylko pod lampą tą właśnie jaśniejszy
świat się krążył, wydobywając głowy ludzi, ich ramiona,
kocha kożuchów, strzępy harasówek, którymi dziewczki miały
głowy pookrywane. Jeszcze stół świeżo umyty żółciał
w przestrzeni, zdala migotała flaszka rezedówki zielonym
szkiełkiem, jasnym i promiennym, podczas gdy reszta
izby tonęła w pełnym cieniu. Na ławce koło drzwi drze-
mała chłopka, wioząca do miasta kury, gdaczące w koszu,
inne kobiety poustawiały swe blaszanki z mlekiem nad
ławami. Szmaty płócienną leżały dokoła. W kącie, cicho
szepotał jakiś wyrostek w paltocie z dziewczyną, odzianą
w wytarty dolman i kapelusz z perkałową różą.

Gdy Michał stanął na progu, nikt nie zwrócił na niego
uwagi.

Wszyscy byli zajęci sobą, piciem i kłóceniem się
z karczmarzem chimurnym, małym brunetem, kręcącym się
po za szynkwasem z miną wypchanego szczura.

Michał zbliżył się do szynkarza i znów zapomniał
z czym tu przyszedł.

Ostra woń alkoholu owładnęła nim całym. Wstrząs-
nął się jednak ze wstrętem. Uczuł nagle nudności i zarazem
uczucie próżni w żołądku. Spazm dawał mu gardło. Stał
przed szynkwasem i na ceratę patrzył niepewnym, wystra-
szonym wzrokiem. Szynkarz zmrużył oczy i na przybyłego
spojrzał.

Zapolska *We krwi* (Lektor).

— Co panu nalać?—zapytał.
 Michał, oszołomiony, przybity, nie odpowiadał.
 Krzyk i hałas po za jego plecami przytłaczał mu mózg i wprawiał go w rodzaj osłupienia.
 Szynkarz ramionami wzruszył.
 — Pan zziął! — wyrzekł, zsiniała twarz Michała śledząc — ja panu radzę pestkówki. Sam cymes na rozgrzewkę!
 Po flaszkę sięgnął i duży kieliszek przed sobą postawił.

— Leję większy, bo naparstki, to dobre dla bab.
 Zielony płyn lał ostrożnie, a napelniwszy kieliszek po brzegi, ku Michałowi podsunął.

— Służę panu!
 Lecz jeszcze nie zdążył ręki swej cofnąć, a już Michał nałogowym ruchem za nóżkę kieliszek pochwycił.

Przechyliwszy się, wlał w siebie cuchnący płyn, mający smak niewyraźnie rozgniecionych pestek moreli i wisien.
 Szynkarz wężem nałogowego pijaka przeczuł.

— Drugi?—zapytał.
 Michał w żołądku poczuł ogień, gardło mu się nagłósćisnęło i serce zabiło gwałtownie.

Zanim się opamiętał, drugi kieliszek stał na brzoju szynkasu.

Pochwycił go i wypił szybko, wypełniwszy przeźroczystym płynem całą jamę ustną, aby pozostawić sobie na ustach smak palącej trucizny.

— Trzeci?—zapytał szynkarz.

Lecz Michał nie odpowiadał nic, tylko kurczowo brzegu kontuaru się uchwycił, i stał tak czując coraz szybsze kołatanie serca i tamowanie oddechu.

Szynkarz flaszkę zakorkował i wódkę schował. Teraz już wiedział z kim ma do czynienia.

Z „powrotnikiem“, to jest takim, który powraca ze szpitala i zaraz po pierwszym kieliszku z nóg się ścina.

— Zapłać pan i idź swoją drogą!

Michał milczał wciąż, tkwiąc przed kontuarem nieruchomo, a śnieg w wilgotnem cieple, panującym w karczmie topniał, i spływał z jego brody, odzieży, kapelusza strugami całami.

— Dawaj pan pieniądze!—wrzasnął wreszcie zniecierpliwiony szynkarz.

— Nie masz?

Wyszedł z po za bufetu i do kieszeni paltota Michała sięgnął.

— Pusta! jak Boga kocham, pusta!...

Dziewki zaczęły się zbliżać, wyrostek wstał z ławki i gwiżdżąc podszedł ku szynkarzowi.

— To warjat! o!... jak patrzy!...

Dziewki w kącie izby z piskiem się rzuciły. Mężczyźni odsunęli się trochę.

— Warjat!... Warjat!...

Dziewucha ubrana w kapelusz i dolman, chychotała zadzierając nogi.

— Bzika ma!... Jezusiuniu! bzika!

Wyrostek z drugiej kieszeni paltota wyciągnął dużą, fularową chustkę.

— To ci heca!—wyrzekł z podziwem.

Lecz szynkarz mu chustkę z ręki wyrwał.

— Daj pan Hieronim, także ten łatynda nie ma czym pestkówki zapłacić. Wezmę ten lachman, czy co?

Fular w rękę zwinął i za kontuar rzucił, poczem szybko Michała za plecy schwyciwszy, ku drzwiom kierował.

— Idźcie do diabła! idźcie, drogi nie zawalajcie!

Hieronim, idąc za nimi, podskakiwał, śmiał się i język wieszał. Dziewka z różą aż położyła się na ławce z wielką ciekawością.

— To ci psia wiara, śmieszny!—wołała chychocząc piskiem.

Michał, już będąc na progu, obejrzał się i zrobił ruch wstecz, jakby chciał się cofnąć.

Zimny powiew wiatru cisnął mu w oczy całą garść śniegu.

Pole czerniało przed nim, jak przepaść niezgłębiona.

Chciał pozostać wśród ludzi, chciał przytulić się do kąta i tam siedzieć bez ruchu, nie myśląc, nie zdając sobie sprawy z tego, czem jest i do czego dąży.

Lecz szynkarz, czując ten ruch wsteczny, wypchnął nieproszonego gościa i silnie drzwi za nim zatrzęsnał.

— Bez takich, to cały handel by diabli wzieni! — wyrzekł, po za kontuar wracając.

Tymczasem Michał, znalazłszy się znów wśród śniegu i wichru, wydostał się na drogę, i włókł dalej bezsilnie, czując teraz gorące zarzewie we wnętrzu. Gorąco to chwyciło go chwilami z mocą dzikiego zwierzęcia i lotem błyskawicy wzdłuż boków do pleców się sunąc, ścisnęło mu kolumnę pancerzową, jakby płonącymi kłaniami. Serce biło mu nierówno, a nogi drżeć zaczynały pod ciężarem korpusu. Wyciągnął prawą rękę i szedł jak ślepy, nie widząc

prawie nic przed sobą, chłostany ciągle różgami śniegu, straszny, zbolaty, nie znający już wymiaru swej boleści i wyniszczenia.

Zdawało mu się, że słyszy gdzieś daleko przeciągłe wycie psa. Nie był jednak pewien, czy to był głos ludzki, czy zwierzęcy. Coraz więcej tracił przytomność, i teraz czuł straszny ciężar, gniotący mu czoło. Urywaniem, szorstkimi ruchami cofał głowę wstecz, jakby chcąc się uchylić od naporu tej niewidzialnej siły. Paltot opadł mu z pleców, on włókł się jeszcze chwilę po śniegu, wreszcie skostniałe palce upuściły faldy odzieży. On szedł dalej, nie oglądając się, nie czując prawie chłodu, i tylko ciągle trzymał w dół spuszczoną lewą rękę, jakby paltot włókł jeszcze za sobą.

Wreszcie przed oczyma zaczęły mu tańczyć purpurowe pasma, przecięte żółtymi nićmi. On, aby pasem tych nie widzieć, oczy zamknął i teraz tarzał się po śniegu, jakby podmuchem wiatru rzucany. Nie bronił się już, nie odslaniał przed tą lawiną, co mu się na głowę waliła. Coś się, postępował naprzód, obracał wkoło, to znów prze-gwałtownie rzutami powietrze, jak zwierzę w sieć tany. Nogi tonęły mu w śniegu, on kopał białą puch, rzucał dokoła siebie całe chmury, wreszcie obłany puchem, bezprzytomny, charczący, na ziemię padł.

Raz jeden jeszcze od ziemi tej mroźnej i od śniegu miękkiej, chciał się oderwać ostatnim wysiłkiem. Na jedną sekundę błysnęła mu przytomność i postacie żony i Dziudka przemknęły przed nim jakby w purpurze błyskawicy. Lecz w tej samej chwili jakby nic się przerwała w jego mózgu z bólem najwyższym, porwała go ciekawka ciskająca nim bez przestanku. Zdołał tylko twarz nieco od ziemi odwrócić, reszta ciała pozostała jakby do śniegu przykuta, nieruchoma, bezsilna zupełnie. Lecz już i na twarz szybko śnieg padać zaczął olbrzymimi płatami i zakrywał mu rysy mroźną zasłoną. Michał oczy przymknął, usta otworzył, i z uczuciem niewypowiedzianej ulgi, tak w śniegu pozostał, wpół senny, śmierć w sobie mający. I powoli jak mogiła olbrzymia, śnieżna, dziewczęca, cała z puchu utkana, nieskalana, potężna... cym śniegowa warstwa równa, piękna, nieskalana, potężna...

I ciągle, ciągle, wśród grobowej ciszy i ciemnicy no-cnej, zwartym szeregiem z niedościgłej wysokości leciały płaty zimne, jak kwiaty mistyczne, tajemną ręką duchów na

mogile przydrożną rzucane.

Grób rósł, a pod tą białą śniegową stygło ciało człowieka i ginął duch w mroźnej fali tonący.

XXXIII.

— Wejdz, wejdz! czego się oglądasz? Nikt za nami nie idzie!

I Rudek szybko otworzył drzwi małego saloniku, przy-jazającego do sypialni matki.

Stefanija zawahała się na progu.

Lecz on ujął ją szybko za rękę i prawie gwałtownie wejścia zmusił.

Drzwi za sobą starannie zamknął i ku stojącej na sro-gu saloniku Stefaniji się zwrócił.

— Chodź! — wyrzekł, wyciągając ku niej rękę.

Wtedy tylko, że przybiegnie i głowę mu na piersi złoży. Wtedy tylko, że zwycięstwa, widząc ją po raz pierwszy uśmiechniętą, rozpromienioną, podnieconą kilkoma kieliszka-mi wina, tańczącą walca z delikatną gracją białej statuetki. W jasnej swej sukience rysowała się elegancką sylwetką, połyskując koroną swych włosów, z których puder spadał powoli, akcentując teraz tylko ich ton popielaty o chłodnym, srebrnawym połysku. Tańcząc z nią, i czując dokładnie pod lekkim muslinem sukni to ubogie ciało, działające jednak na niego i podniecające go zmysłowo, szukał jej znów i bawił się dziewczęciem niemal zakłopotaniem, jakie znajdo-wał w tych wielkich, marzących żrenicach. Dziś w tej ramie estetycznej, w którą ją sam wrzucił, nic nie raziło jego zmysłów i ona sama, jakby cudownym instynktem wiedzio-na, miała w sobie melancholję uśmiechów, całą gamę smutnej radości, jakieś oddanie się pokorne i beznerwowe, coś z uległości odaliski, uśmiechającej się wstydliwie pod gazą welonu.

W tej śnieżnej bieli robiła na niego wrażenie panny młodej, stojącej na progu życia i nieświadomej przyszłości. Bawiło go to, że on właśnie wprowadzi ją na drogę wy-

stepku. Miał w sobie całe wyrafinowanie rozpusty moralnej. Przyciskał ją do siebie silnie w zwrotach walca i starał się pod jej jasną skórą dopatrzeć dreszczu. Zdawało mu się, że chwilami ożywała i przeginała się w pół, jakby pod dotknięciem iskry elektrycznej. Lecz na twarzy, koło ust, pojawiał się równocześnie anielski, spokojny uśmiech, nie wspólnego z wrażeniem zmysłowem nie mający. Uśmiech ten na chwilę zastanowił Rudofa. Czyżby ona nic nie czuła? czyżby poddawała się tylko jego urokowi z bierną uległością przeciętnej kobiety?

Dokoła nich, w ścianach jasnego i przejrzystego salonu, w potokach światła, splotami zieleni ujętych, tańczyli zaproszeni, kąpiąc się w blasku, cieple i harmonii dźwięków. Atmosfera powolnej trochę, leniwej rozkoszy panowała tu wszechwładnie; miękkie liście palm kłębami całymi po kątach porozstawianych, ciemniały jak wachlarze, niewidzialna rzesza niewolników, nad głowami gości trzymanych.

Lecz już od środka sufitu zawieszony żyrandol całą kaskadę światła na białe suknie kobiet, ich odsłaniał i spocone karki mężczyzn. Wypomadowana głowa księżca migiała jak gwiazda, koło niego czerniała obłędna masa włosów Melci i jej poszarpane i podarte w tańcu suknie.

Funkier promieniał, w każdy kąt domu nos wtykając. Ten letni pałacyk podżyłej elegantki, urządzony z bogactwem gminnym przepychem wycofującej się z szeregu armii pięknej kobiety, imponował mu miękkością i doborem tonów.

Funkierowa na chwilę zgnębiona brakiem kluczy, który to brak dopiero w Helenówce dostrzegła, tańczyła, flirtowała, śmiała się, próbując wdzięków na młodym Kociatkiewicz, synu radcy namiestnictwa. Wszystkie „panienki“, pozostawione same sobie, odżywały w atmosferze zbytku i tych wspomnień miłosnych, włóczących się tu niemal na każdym kroku. Nieobecna pani domu pozostawiła po sobie jakiś subtelny zapach ciągłej miłosnej ekstazy, w której żyła, i zapach ten wciskał się w płuca gości, rozmazując, dłonie łącząc, do kradzionych pieśczęt składając.

Gdy podano kolację w oranżeryi, w gąszczu bujnych i wilgotnych roślin, w cieple niezdrowem, woń włosów brunetki przypominającym, Rudek po za krzesłem Stefani usiadł, zachowawszy dla niej maluchny stolczyk w klombie younk, verni japońskich i delikatnych draczen. Reszta towarzysza grupowała się według sympatii i chęci, zajmując stoliki ocienione liśćmi i oświetlone z góry jasnym światłem

olbrzymich lamp. Zdaleka, z salonu, dolatywały dźwięki walca. Frejlig grał *Loin du bal*, cicho, delikatnie siekąc drobne tony i nawlekając je, jak paciorki szklane.

Od początku balu Rudek zaznaczył swe zajęcie się Stefanją w tak dobitny sposób, że natychmiast jakby dziwną delikatnością zdjęci, wszyscy zdawali się niedostrzegać tej pary, przesuwał się z uroczym wdziękiem nowożeńskich, pod wachlarzami palm, lub w jasnym świetle kandelabrow.

Stefania rwała się do fortepianu, chciała grać, lecz Rudolf sprzeciwił się temu stanowczo, i ona, z początku chmurna i oporna, powoli pod wpływem jego pacholecego prawie wdzięku, uległa, czując w tej uległości rozkosz wielką, prawie nieznaną, i poszła w wir tańca, w pierwszych chwilach sztywna i niepewna, później prawie bezwładna, z wzrastającym smutkiem w głębi serca, i z uśmiechem na zaróżowionych gorączką ustach.

Zdawało się jej, że tańczy na własnym pogrzebie. Wiedziała, że to dziś niema jutra, że razem z promieniem słońca całe szczęście jej rozwionie się jak sen, że powróci do swych obowiązków, że znów do tacek się wprzęgnie, na całe życie.

I jakby na urągowisko jej boleści, Rudolf objawił się jej takim, jakim go wypieściła w snach swoich, takim, jakim go widywała w płomieniu migocącym jej ubożego saloniku.

Zdawało się jej, że ten trup, którego pochowała i ziemią przykryła, wstał nagle z mogiły na chwil kilka i żegna się z nią, dając jej w tem pożegnaniu całą rozkoszną boleść niewygasłych wspomnień.

Gdyby jej dziś powtórzył: „kocham ciebie!“, odpowiedziałaby mu łkaniem, tak miała bolesną ranę zamiast serca, tyle ją kosztowała energia wyrzeczenia się raz na zawsze jego widoku.

Lecz on, cały zajęty chęcią posiadania jej choćby przez minut kilka, cały zamieniony w zwierzę, w krew kipiącą i niecierpliwą, myślał o pretekście uprowadzenia jej do małego saloniku, w którym sam własnoręcznie zapalił japońską latarnię, zawieszoną na łańcuszkach, i przezszklane ściany tęczę kolorów filtrującą.

Dolewając jej wino, o matce swej mówić zaczął, rozczulając się trochę nad jej dobrocią i niezwykłą urodą.

— Chcesz widzieć jej portret? — zapytał.

Ona skinęła głową, uśmiechając się, zasluchana jeszcze

w perłowe, drobne tony płynącego wśród liści walcu.

— Chodźmy...

— Jakto? teraz?

— Naturalnie! teraz nas nikt nie zobaczy. Gdyby spostrzeżono, że idziemy, wszyscy chcieliby wejść do saloniku mamy. Nie chcę tego. Tobie jednej tylko ten portret pokaże.

Powstała uszczęśliwiona, cała drżąca, nie zważając, że Rudek wbrew zwyczajowi, mówił jej „ty” i ramię jej przyciskał.

I teraz, gdy doszli do tego wpółciemnego saloniku, stanęła na środku, szukając oczyma portretu.

Lecz portretu nigdzie nie było.

Przed nią stał Rudek i, ręce ku niej wyciągając, mówił:

— Chodź!

Tymczasem, ona, nieporuszona, jakby zahypnotyzowana, ciągle stała na środku pokoju...

Rudolf zniecierpliwiony, sam ku niej postąpił i pochwycił ją w ramiona.

Ogarnęło ją wzruszenie wielkie.

Doznała tak wielkiej rozkoszy, takiego spokoju w tem objęciu mężkiem, takiego ukojenia bólu i rozpacz, że, oczy przymknawszy, głowę na ramię Rudka opuszczała.

Zdawało się jej, że po całych latach mężczarni i wierności, znajduje jakąś cichą przystań i po raz pierwszy odychać może spokojnie.

Nic w niej nie drgnęło, nic się nie zbudziło nic nie wołało o nasycenie; przeciwnie, wszystko zasypiało, drętwiało, milkło w rozkosznym upojeniu. Nagle uczuła na sobie rękę Rudolfa, rękę dotykającą jej stanika, czystą draperję jej sukni...

Serce w niej bić przestało, nie miała siły krzyknąć, otworzyła tylko usta, dławiąc się spazmatycznym łkaniem.

Lecz naraz, nosowy głos księcia odezwał się tuż za drzwiami salonu.

— Hrabio!... gdzie jesteś?... ważna nowina!... o dekoracjach kotyljonowych zapomiano!... hrabio!...

Był już podedrzwiami, donośnym swym głosem szarpiąc powietrze.

Rudek puścił Stefanję i, cały purpurowy z gniewu, ku drzwiom poskoczył.

— Jestem tu! idę!

— Chodź, hrabio! jak Boga kocham, zginiemy! niema dekoracji!

Rudek ku Stefanji się zwrócił:

— Czekaj tu na mnie...—szepnął—w tej chwili wrócę! Dla bezpieczeństwa, zamknę cię na klucz.

Wyszedł, i za chwilę Stefanja posłyszała zgrzyt klucza.

Została sama.

Stała ciągle w tem samym miejscu, nieruchoma, i tylko z oczu jej spływały teraz powoli dwie wielkie łzy.

Czuła się tak strasznie znieważoną brutalnym gestem Rudolfa, że zdawało się jej, iż spadła nagle do rzędu ostatnich kobiet, pogardy najwyższej godnych.

Właśnie w tej chwili, gdy dusza jej w uścisku tym łączyła się z nim na wieki, gdy cała moralna jej istota dobywała się na energję wspaniałej woli — on nie zrozumiał jej, nie odczuł, nie pojął, tylko wziąć ją chciał jak każdą inną napotkaną na drodze dziewczynę, następnie rzucić na pastwę moralnej nędzy i niedoli.

A więc te żony z uczciwych domów za mąż wychodzące, ze szczepionymi moralnymi zasadami, z całą świadomością ohydy, w jaką się pogrążają, stają się wiarołomnymi, a następnie staczają się po pochyłości, pogrążają się w rozpuście już bez cienia wstydu, jak ostatnie wyrzutki uliczne, powstające z mętów społeczeństwa a grzeszące bez świadomości tamtych... Więc takie kobiety istnieją?

Stefanja wstrząsnęła się z obrzydzenia, i w tej chwili Rudolf wydał się jej wstrętnym i okrutnym stworzeniem, czyniacem jej wiele bólu i niezapomnianego cierpienia.

Obejrzała się dokoła.

Nizkie, miękkie fotele wyciągały swe ramiona obciągnięte w atlas, lśniący jak ciepło kobiece, spowite.

Duży szeszlag zarzucony poduszkami, wysuwał się na środek pokoju.

Po nad nim zwieszała się palma, a po za nią rysował się delikatny plusz morelowych firanek. Etażerki Louis XVI, biureczko wykładane bronzami, cacko zbyt kowne, figurki z saskiej porcelany za szybami witryn się wdzięczące, cały luksus kobiety traktującej życie z miękkością pasteli, rozkładał się tu cichy, wesoły, wabiący, drażniący.

Stefanija zgarnęła koło siebie fałdy sukni.

Zdawało się jej, że raz już odczuła podobne wrażenie srebrzystych, morelowych połysków pluszu, delikatnej woni subtelnych perfum, mających w sobie wdzięk kobiety wychowanej w zbytku.

Co jednak ona tu robi — ona, biedna taperka, wynajęta na godziny grania, co robi w tym buduarze, zamknięta na klucz, jak ptak w klatce? jak niewolnica w haremie, czekająca na swego sultana?

Rudolf powiedział, że — wróci.

Teraz nie ograniczy się na powierzchownej pieśczoce, teraz wtarczy ją w przepaść „z której się nie wraca“.

Zimny pot oblał twarz Stefaniji.

Nie! za nic na świecie nie zostanie wiarołomną tona

I nagle chęć powrotu do domu zbudziła się w niej z całą siłą.

Ten dom, w którym znosiła katowanie męża, głód, chłód, upokorzenia, nędzę, wydał się jej teraz rajem, ziemią obiecaną, do której zdążyć chciała.

Uciec? ale jak? Rudolf drzwi zamknął i klucz wziął z sobą.

W obramowaniu pluszem, białą strugą firanek odznaczało się okno, w pogłębieniu framugi.

Stefanija do okna dopadła, szarpnęła silnie. Nie było opatrzone, ale lód przymarzł i ramy mocno do drzewa przyległy.

Rozpacz sił jej dodała. Zdawało się jej, że Rudolf stoi tuż za nią, że znów wyciąga rękę, więc, odsunawszy rygiel, odrzuciwszy zawiasy, pchnęła całą siłą okno. Jedna jego połowa rozwarła się z trzaskiem. Mroźne powietrze oblało ją: cofnęła się i, instynktem wiedzioną, jakiegokolwiek odzieży szukać zaczęła.

W saloniku nie znalazła nic, czemu się okryć mogła; szybko wbiegła do sypialni, błękitną z białą materją obciągniętą, jakby sypialnia młodej dziewczyny świeżo z klasztoru przybyłej.

Stefanija przyciemkę z płonącej na etażerze świecy zdarła nerwowym ruchem.

Łzy oślepiły ją, nie mogła rozróżnić nic w powodzi tych błękitnych i białych przedmiotów, które w niebieskiem świetle przyciemki przybierały tajemnicze kształty.

Wreszcie, w jaśniejszym blasku, jakiś ciemniejszy przedmiot zatrzymał jej wzrok na sobie. Był to długi ciemno-szafirowy szlafrok, z grubej angielskiej tkaniny, obłożony wąską imitacją bobrów, zawieszony obok łóżka.

Pochwyciła go silnie obiema rękami, zdarła z wieszadła, które z hałasem upadło na ziemię. Szybko wdziała na siebie obszernie odzienie, w które otuliła się cała.

Ciepło podwójnej flanelki, podbitej miękkim jedwabem, objęło ją całą. Lecz nie zastanowiła się nad doznawanem uczuciem. Chciała ztąd uciec, uciec jak najprędzej. Powietrze tego domu dławilo ją.

Przysunęła krzesło do okna, weszła nań, i na wszystko zdecydowana, zsunęła się na zewnątrz domu. Chwilę zawisała w przestrzeni; trzymając się framugi, nogi jej szarpały podstawy, wreszcie wydłużając stopę, uczuła pod palcami grunt trochę niepewny i miękki od śniegu.

Puściła ręce, a spadając z niewielkiej wysokości stała na ziemi.

Obejrzała się dokoła.

Z okien biło silne światło i stało się podłużnymi pasami po bieli śniegowej.

Od podjazdu dwie smugi zapalonych latarni jasne były i równe, nieruchome teraz, bo wiatr ustał i śnieg przestał padać zupełnie.

W oddali, widniało jeszcze jedno koło świetlane, w powietrzu jak gwiazda zawieszone.

Była to latarnia nad bramą, na sztabach wygiętych w półkole przymocowana.

Na lewo pod stajniami, migotały dwa zielone światła, brzęczały dzwonki i rżały konie, zakładane do sanek.

W jasnym świetle podjazdu czerniała sylwetka woźnicy księcia, który, nakładając rękawiczki, stał gotów do drogi i odbierał ostatnie z ust swego pana informacje.

Stefanija, zebraawszy fałdy sukni, cicho, jak gad podpełzła wzdłuż muru i do ściany wystającej peronu przygłęła.

Księcia widać nie było, lecz głos jego skrzykliwy rozlegał się w powietrzu.

— Dzwonić będziesz tak długo, aż się pobudzą i otworzą. Pudelka stoją w przedpokoju na lewo pod ścianą!... Rozumiesz?

— Rozumiem—odmruknął sankarz.

— Koni nie żałuj, powinienes tu stanąć za pół godziny.

Sankarz głową skinął, odwrócił się i ku stajniom iść zaczął.

— Hej!... Walenty!... — zawołał jeszcze książę — a może chcesz wziąć z sobą kozaka?

— A po kiego djabła? — zapytał woźnica, nie odwracając się nawet — będzie mi znów konie straszył i ślepie im wypalał!

Il fait trop froid! rentrons!... — odezwał się nagle głos Rudka.

Stefanji tchu w piersiach nie stało.

Drzwi wchodowe zamknęły się teraz ciężko, jak wieko trumny.

Nastąpiło milczenie brzękiem tylko dzwonek u sanek przerywane.

Stefanja zrozumiała, że nie ma ani chwili do stracenia.

Szybko brnąć w śniegu, w stronę stajen iść zaczęła.

Od oranżerii dolatywał ją dźwięk walca i gwałtowny głosów.

Przecinała strugi świetlane z jakąś rozpaczliwą wagą! Ciemno-zielone światła latarni były punktem zbawienia.

Gdy dobiegła do sanek, woźnica wsiadł właśnie koziół.

Stefanja uczepiła się barjerki kozła.

— Ja z wami jadę!

Sankarz, zdziwiony, stanął już w sankach, obejrzał się po za siebie.

— A po co?

— Pan tak kazał. Boi się, że pudełko nie znajdziecie, albo inne jakie wam dadzą...

— A no, to niech panna siada!

Odpiął futrzany fartuch, Stefanja wsiadła, zabrzęczały dzwonki i sanki, zataczając koło, jak strzała wypadły za bramę.

śmiercią, lub za szczęściem goniąc.

Stefanja zsuwała się coraz niżej pod fartuch, kostniejąc z zimna pod cienką tkaniną szlafroka. Pęd sani włosy jej rozwiwał, resztę, pudru strząsając, z kostniejącego czoła rozrzucił grzywkę i poddawał pod mróz odsłoniętą twarz kobiety, siną od chłodu z purpurowymi plamami na policzkach i brodzie.

Lecz Stefanja wdał wpatrzona, jakby chcąc potęgą wzroku wywołać czempredziej miasto, do którego dążyła, nie osłaniała twarzy, nie dbała o dotkliwy ból oczów, jaki szarpał z dziwną zaciętością.

Cały jej ból koncentrował się teraz w krzyżu, czuła ztamtąd zimno przenikliwe, bezustannym dreszczem po ciele płynące. Kurczyła się drżąc tłumiła w sobie jęki, aby nie zwrócić uwagi sankarza.

I ciągle, ciągle dokoła niej ciemność zimna, obłędna, straszna, czerni nieprzejrzana, tajemnicy grobowej.

Nagle, małe światełka zamajaczyły w przestrzeni. Stefanja porwała się radośnie.

— Miasto! — zawołała.

— Ale!... — odparł sankarz — to karczma przydrożna!

Stefanja opadła na siedzenie zniechęcona chwilowo, dzieć szybko ujrzenia Dziudka podniecona. Teraz dziecku swem skoncentrowała całe swe istnienie. Mąż jej przestał istnieć pod względem uczucia. Skuta, związała iść musiała z nim razem, wypełniając obowiązek, lecz dziecko!... ono jedno da jej zapomnienie chwil minionych, tej jasnej smugi światła, tak szybko zgasłej i wspomnienie grubej ręki Rudolfa po sobie zostawiającej.

Tak! ona dziecko to wychowa, siłą woli zdoła zapracować na kształcenie go w klasach, kto wie... może w uniwersytecie, a później przy nim odpocznie! — odpocznie!

Nagle, konie zachnęły się i rzuciły w bok, sanki potknęły się o jakiś przedmiot twardy, kupą śniegu pokryty... Sankarz zaklął, śmignął batem, i konie ruszyły zdwojonym pędem, ku miastu lecąc.

Wówczas Stefanja poczuła, jakby jakaś niewidzialna ręka ciągnęła ją silnie za włosy, jakby mistyczny topielec czepiał się jej i ratunku domagał...

Lecz sanki pędziły ciągle z szybkością szaloną, minęły karczemkę, skreśliły i już zdaleka zaczęły migotać światełka przedmieścia.

Pędzili tak jak wichrem gnani, jakby uciekając przed

— Macie pudełka, wracajcie do Helenówki!
 — A panna!...
 — Ja w mieście zostanę. Zimno wracać... a!... oddajcie to jeszcze we dworze!

Stefanja rzuciła z siebie szlafrok i podała go sankarzowi, który stał na schodach, oświetlony z góry świecą, którą trzymała kucharka Funkierow.

— Jezus!... jak pani wygląda!... — wyrzekła sługa, gdy sankarz ze schodów zeszedł i drzwi od bramy zatrzasnął.

— Zimno jest bardzo... jechaliśmy tak szybko!... tłomaczyła się Stefanja.

— Niech też pani do mieszkania wejdzie! a! Jezus!... a toć pani aż zzieleniała.

— To przejdzie!... ogrzeję się. Gdzie dziecko?

— Śpi w Tadka pokoju, już ze dwie godziny jak my ich ułożyły.

Weszły teraz obie do sypialni Funkierów, z której drzwi otwarte prowadziły do jadalnego pokoju.

— A wy jeszcze nie śpicie?

— E... zagrały my się w loteryjkę z młodszą i z młodszą kucharką z drugiego!

— Już późno!

— No... to i my też balujemy!

Przeszły do jadalnego pokoju i nagle kucharka krzyknęła, pokazując palcem na otwarty kredens:

— A to ci dopiero!...

Podniosła świecę i żółty blask oblał przystawione do kredensu krzeselko, kilka flaszek, pudełko z marynatą, słoik konfitur, rozdarta pakę ciastek i parę stłuczonych kieliszków, walających się na blacie kredensu.

— To Tadek!... ale z kąd wziął klucze?

Klucze były w zamku, srebrząc się białawymi punktami na srebrnej barwie drzewa.

Stefanja zwróciła się ku drzwiom.

— Tam pokój Tadka?

— Tak.

— Czekaj pani, niech poświecę!

Stefanja weszła pierwsza i stanęła jak skamieniała w progu.

W kałuży rozlanego wina, likieru i wódki, wśród której pławiły się cukierki angielskie i sardynki z puszek palcami widocznie czerpane, leżał Dziudek, twarzyczką zwrócony ku ziemi, wpół nagi, z barchanką oblaną winem i porterelem.

W lichtarzu wstawionym w miszkę wody, dogorywała świeca, rzucając ponury blask na jasne ciało dziecka, leżącego wśród cuchnącej powodzi trujących napoi.

Niedaleko, na niskiej sofce, rozparty, uśmiechnięty przez sen, spał Tadek, zamotany w płótno długiej koszuli.

Wreszcie Stefanja ku dziecku się rzuciła i w ciemnej kałuży przyklękła.

Kucharka szarpnęła Tadka za ramię, świecąc mu w oczy, klnąc z wściekłości.

— Coś ty zrobił, smarkaczu?

Tadek oczy otworzył, przetarł je pięścią, i nagle wybuchnął przenikliwym śmiechem:

— Jak się to radca upił! — zawołał trjufalnie, pokazując na Dziudka.

Wydał usta, i w tej chwili stał się rażąco podobny do niej, trzeźwy wśród wyziewów rozlanego wina, szyderczy wobec przedświadczenia o własnej sile.

Upił się... i śpi!...

Stefanja podniosła dziecko i przytrzymała w drżących objęciach.

Upił się? Dziudek? czyżby i on także?...

Odgarnęła włosy z twarzy dziecka, które w tej chwili podniosło powieki i spojrzało na matkę zasnutymi bielmem oczyma.

Stefanja zdrętwiała, tak maska twarzy dziecka miała w tej strasznej chwili podobieństwo do twarzy Michała, gdy padał bezprzytomny na ziemię, z pianą płynącą po obu kątach ust!

Więc i on i syn także!...

Trzymając pijane dziecko w objęciach, zrozumiała, że cała przyszłość jaśniejsza wali się w gruzy, i że ona wiecznie żyć będzie w charczeniu pijackim, w grozie chwil bolesnych, łzawych, jak noc zimowa długich, nierozjaśnionych...

I gdy powstała z ziemi, trzymając nieprzytomne dziecko w swem objęciu, wydało się jej, że podnosi z ziemi ciężar

straszny, tragiczny, ciągnący ją do otwartej grobowej jamy...
z której się wydostać na powierzchnię życia nie było mo-
żliwości.

Paryż, 1891 roku.

KONIEC.



268964